

GEORGE



ADAM SYN OLIIII

UCIECZKA

Rozdział pierwszy

— Ile by Adasiowi przyjemności sprawiło to obchodzenie granic! Szkoda, że go nie ma — powiedziała Oliwia. Jechała kabrioletem obok męża, który powoził. Z tyłu siedziały: ich córka, Ewelina, i siostra Filipa, Molly.

W czterdziestym drugim roku życia siwizna przyprószyła skronie jej męża, ale kasztanowate włosy Oliwii płonęły pod słomkową budką równie gorącą barwą, jak wtedy, gdy Filip, wówczas jeszcze parobek wiejski, poznał ją, panienkę ze dworu w Binwood. Siedemnaście lat małżeństwa wcale nie osłabiło zachwyty, z jakim Oliwia spoglądała na Filipa, nawet na jego spłaszczony nos — pamiątkę po młodzieńczych bijatykach — i na długie, proste wargi, pod których dotknięciem jeszcze teraz ugięły się pod nią kolana.

Filip zachował szczupłą postać, nie pozwalając osłabnąć mięśniom, wyrobionym ciężką pracą w polu za fernalskich czasów. Nosił wąsy i bokobrody. Oliwia rozwinęła się bujnie w trzykrotnym macierzyństwie, ale jej urodzie dojrzałość tylko przydawała czarę; zawsze tak samo namiętna miłość do męża ożywiała gorącym blaskiem ciemne oczy, a dumny ruch, z jakim podnosiła twarz o jasnej, świeżej cerze, pasował do kobiety dojrzałej więcej nawet niż niegdyś do dziewczyny.

— Adam tylko by patrzył, gdzie jakiego figla spletać i jak nas skompromitować — odpowiedział żonie Filip. Mówił zwięźle, szorstko.

— Zawsze byłeś dla niego za surowy. Mówiłam ci to już — rzekła z wymówką w głosie Oliwia. — Jest pełen życia, a to nie zbrodnia, nawet nie wada u młodego chłopca.

— Napyta sobie biedy, jeśli nie ochłonie — odparł Filip. — Pomyśl, co wyprawiał u Hammondów i Lane'ów. Gdyby był zwykłym chłopakiem wiejskim, oddano by go za to w ręce policji. Popsuł mi stosunki z. tymi rodzinami, właśnie wtedy, kiedy się do nich trochę zbliżyłem. A wszystko dlatego, że nie mógł zakładać swoich siedeł na zające gdzie indziej tylko właśnie na ich polach ani powstrzymać się od włożenia na jabłonie w ich sadzie. Jakbyśmy nie mieli dosyć naszej ziemi i naszego sadu!

Filip machnął biczyskiem, popędzając deresza, dobrego i zazwyczaj rącego konia, tylko skłonnego do leniuchowania w gorący dzień. Kabriolet pomknął zwałwiej.

— Kradzione owoce są najśłodsze — powiedziała Oliwia, rzucając na męża spod długich rzęs porozumiewawcze, filuterne spojrzenie.

Filip jednak zignorował ten małżeński sekret, który chciała mu przypomnieć słowami i spojrzeniem.

— Z Adamem zawsze są tylko kłopoty — wmieszała się Ewelina. — Cieszę się, że go tu nie ma!

Filip odwrócił się, by z uśmiechem spojrzeć na córkę, o włosach równie płomiennie kasztanowatych jak żony, którą od tak dawna kochał i której tak wiele zawdzięczał — chociaż ostatnio coraz rzadziej to przyznawał.

— Antoni Lane powiedział mi w oczy — rzekł — że moje fornalskie pochodzenie znać po moim synu. To koniec jakichkolwiek towarzyskich aspiracji dla nas w tej okolicy.

— A ty wciąż się rozwodzisz o Hammondach i Lane'ach! — zaprotestowała nie bez goryczy Oliwia. — Doprawdy, że też się nie znudzisz! Ja nie mam żadnych towarzyskich aspiracji. Zostawiam to Ewelinie. Ona wyjdzie za mąż co najmniej za wicehrabiego. A ja, kim jestem, to jestem, a komu się to nie podoba, może sobie odwracać się od nas. Wcale mi ich twarze do szczęścia nie są potrzebne.

— Dobrze ci mówić — odparł Filip. — W oczach Hammondów i Lane'ów zawsze byłaś i pozostaniesz córką baroneta i wielkiego właściciela ziemskiego. A ja już dziś nie jestem tym chłopcem stajennym, którym byłem kiedyś, i oni niechętnym okiem patrzą, jak wdzieram się w ich towarzystwo.

Oliwia miała na końcu języka odpowiedź: „Istotnie, nie jesteś już tym, czym byłeś kiedyś”, ale na szczęście do rozmowy wtrąciła się Molly. Sznurując usta powiedziała:

— Sądzę, że Filip ma słuszność. Lepiej nie obrażać ludzi, którzy mogą się przydać. Nasza nieboszczka matka na taką właśnie bezceremonialność sobie pozwalała i cała rodzina przez to cierpiała.

Molly, o parę lat młodsza od Filipa, nie wyszła za mąż, co wcale nie wpływało korzystnie na spokój domu Hunterów, bo ślepo uwielbiała brata, jedynego pozostałego przy życiu członka jej rodziny, i nie pozwalała mu się sprzeciwić, choćby postępował nierozsądnie, ani go krytykować. Jej smukła postać, kruczoczarne włosy i biała cera — które niegdyś, gdy jeszcze była pokojówką Oliwii, zwróciły uwagę gospodyni, zajmującej się dostarczaniem odpowiednich towarzyszek łoża owdowiałemu dziedzicowi Binwood — nie zmieniły się wiele w miarę upływających lat. Ale jej zaciśnięte usta świadczyły o uporze, a na twarzy zagościł wyraz goryczy i rozczarowania.

— A widzisz! — zwrócił się Filip do Oliwii, bezceremonialnie podkreślając poparcie córki i siostry.

Oliwia przygryzła wargi i zamilkła na chwilę, wreszcie wybuchnęła, odwracając się przez ramię do Molly:

— Był czas, jeżeli dobrze pamiętam, kiedy wolałaś raczej rzucić dobrą posadę, niż obrazić kogoś, kto byłby ci się z pewnością przydał! — Oliwia zdawała sobie sprawę, że nie było rozsądnej analogii między surowością Filipa wobec najstarszego syna a tamtym wydarzeniem w życiu Molly, kiedy w obliczu uwiedzenia młodzika dziewczyna chciała uciec ze dworu i dopiero Oliwia wzięła sprawę w ręce: wychłostała rajfurkę gospodynię i wyrzuciła ją z domu.

Molly zaczerwieniła się i zawołała:

— Jak możesz, Oliwio! To nie ma nic wspólnego z tym, o czym Filip mówi!

— A ty też nie powinnaś mieć nic wspólnego z tym, o czym mówił Filip! — odparła gorąco Oliwia.

Uważając, że chwila jest wysoce nieodpowiednia na kłótnię i chcąc ochronić siostrę od niewątpliwej przewagi Oliwii w złośliwych docinkach, Filip powiedział spieszenie:

— W każdym razie, kiedy Adam wróci do domu na wakacje, będę go dobrze trzymał w rękę. I nie pozwolę nikomu, nikomu zachęcać go do łobuzowania.

Tych dwoje znało granice, do których mogli się posunąć w sprzeczkach, by nie przekształcić ich w boleśnie raniącą kłótnię. Ale Oliwia wycofywała się z poczuciem strategii, zostawiając męża w pełnej świadomości żoninej przewagi.

— Jeszcze stogów nigdzie nie podpalił — mruknęła teraz, a ukośne, porozumiewawcze spojrzenie tym razem zadało cios celniejszy od słów.

Szczęki Filipa zacisnęły się mocno, ale nie próbował odpowiedzieć.

W dawnych czasach, jeszcze przed ich ślubem, kiedy to bezczelny chłopak ze stajni odważył się zmierzyć pełnym uznania, a dość już doświadczonym spojrzeniem panienkę ze dworu i kiedy Oliwia, chociaż zdawała sobie doskonale sprawę z niewłaściwości własnych uczuć, pozwoliła temu spojrzeniu obudzić różne skryte pragnienia — w tych czasach Filip, znany z humoru i szyderstw kpiarz, wojował przeciw dworowi i wszystkiemu, co dwór symbolizował w oczach wsi: przeciw komfortowi i dostatkom, zdobywanym kosztem głodowania najemników. Ta kampania zakończyła się wypędzeniem przez wieśniaków pod przewodnictwem Filipa zniechęconego rządcy, który był zarazem nadzorcą gminnym i miał nieograniczoną władzę nad tymi, którym wypłacał głodowe zasiłki z tytułu bezrobocia; zakończyła się wręczeniem petycji ojcu Oliwii i podpaleniem jęgo stogów, gdy tę petycję odrzucił.

Dziś Filip nie myślał o szyderstwach. Jego bojowy temperament uległ złagodzeniu, gdy ożenił się w roku 1835, po wyjściu z więzienia, z Oliwią i osiadł na własnym małym folwarczku, ofiarowanym młodej parze przez dziadka Oliwii. Kpiarski humor znikł razem z jego najlepszymi w oczach Oliwii cechami: zapalem, pogardą wobec opinii, agresywną bojowością o sprawę najbardziej uciośnionych.

Folwark, z którego Hunterowie wyjechali przed pół godziną, nie był tym kupionym dla nich przez Jamesa Debenhama, dziadka Oliwii. Filip pracował z zapamiętaniem. Oliwia, choć niby panienka ze dworu, też potrafiła ciężko pracować i okazała się doskonałą gospodynią. Dobrze zarabiali na wczesnych warzywach i owocach, które dostarczali na targ do pobliskiego miasteczka. Spłacili Debenhamowi wartość folwarku i kupili nową, większą posiadłość, gdzie uprawiali zboże i hodowali bydło. Ten folwark, nazwany Orchard, znajdował się o kilka mil od Chilcote, nie opodal gościńca Oxford—Newbury, o pięćdziesiąt mniej więcej mil na zachód od Londynu.

Filip sam zaprzął tego ranka deresza do kabrioletu. Zatrudnił parobków, ale nie ufał nikomu, gdy chodziło o dobrego konia. Podjechał kabrioletem przed front domu — niskiego, długiego, o dachu krytym strzechą. Budynki gospodarcze przylegały doń od strony podwórza pod prostym kątem.

Kobiety jeszcze nie były gotowe. Filip zirytował się, gdy odkrył, że Ewelina siedziała pod czeresnią, Molly kręciła się po mleczarń, a Oliwia pielęła w warzywniku. Zniecierpliwiony poszedł na łąkę, gdzie dwaj dawni przyjaciele z czasów „rewolty głodnych żołądków”, bracia Stanley i Tomasz Appletonowie, przrzucali siano.

Wreszcie wszyscy się zebrali. Deresz pokłusował piękną aleją starych drzew, która prowadziła do Orchard. Minawszy gościniec Oxford—Newbury, zbliżyli się do pierwszych zabudowań wioski Chilcote, schowanej u stóp wzgórz Berkshire Downs i od niedawna porastającej w dostatki dzięki założeniu w pobliżu paru wielkich stajni koni wyścigowych.

Gdy wybuchła sprzeczka o nieobecnego Adama, kabriolet minął kilka schludnie utrzymanych chat, otoczonych równo przystrzyżonymi żywopłotami i barwnymi ogrodami, pełnymi kwitnących bylin, i potoczył się między dwuszeregiem starych dębów ocieniających drogę, białą teraz od pyłu, ale tonącą w szarym błocie w deszczowy dzień.

Zjechali nieco w dół, zanim dotarli do skrzyżowania: jedna droga prowadziła w lewo, w stronę podmokłych pól i najuboższych chat, druga — pretensjonalnie nazwana ulicą Wysoką — szczyliła się jedynym we wsi sklepem i oberżą. Przy tej drodze, cofnięte nieco w głąb, mieściły się obszerne domostwa bogatszych farmerów.

W samym środku skrzyżowania tych trzech dróg zielenił się obszerne trójkąt murawy — cel wyprawy Hunterów. Było to miejsce popularnych

zebrań, z którego w owym roku 1852 dawny pęgierz już znikł i zabroniono urządzania walk kogutów i szczucia niedźwiedzi. Teraz chłopcy grywali na murawie w krykieta, a dziewczęta przyglądały się, trącając jedną drugą łokciami i chichocząc; tu odbywały się zabawy i tańce ludowe, zawody bokserskie; tu, przed wyborami do lokalnych władz, przemawiali kandydaci.

Hunterowie przyjechali późno. Procesja właśnie wyruszyła. Filip przywiązał deresz do słupa przed stodołą wioskowego kołodzieja, Harolda Cooka, jeszcze jednego dawnego kombatanta z oddalonego o dwadzieścia mil Binwood, gdzie mieścił się majątek ojca Oliwii. Przed stodołą, na skrawku pastwiska, nieco cofniętym od drogi, deresz mógł się paść spokojnie.

Trzy kobiety poszły w stronę murawy, a Filip za nimi. Większość zebranego ziemianstwa i farmerów witała ich dość chłodno. Jeden tylko Sir James Paton, którego syn uczył się w tej samej szkole co i Adam, był odrobinę uprzejmiejszy. Co do reszty — ta nie zapomniała, że przecież ten Filip Hunter kiedyś występował przeciw interesom całej ich sfery. Teraz inaczej śpiewa, ale nie wiadomo, czy mu można ufać. A pani Hunter — która powinna była mieć więcej rozsądku, bo przecież wychowała się w ziemiańskim dworze — wcale nie ukrywała swoich sympatii do rozmaitych zwariowanych pomysłów w rodzaju żądań lepszego odżywiania w domach pracy albo remontowania na koszt właścicieli chat najemnych parobków, albo popierania ustawy o przymusowym nauczaniu — co by się stało z tanią siłą roboczą, gdyby każdy wyrostek wiejski chodził do szkoły? — albo żądania praw wyborczych dla wszystkich właścicieli byle kawałka ziemi i tym podobnych nonsensów. A w każdym razie Hunterowie postępowali nieetycznie, gdyż płacili za roboczną wyższe dniówki od kogokolwiek w okolicy. I pomyśleć tylko o tym łobuziaku, ich synu! Nie, Filip Hunter nie był ziemianinem, nie rozumiał, czego się od ziemianina wymaga, a co do jego żony — to renegatka i tyle.

Antagonizm okolicznego ziemianstwa umacniał jeszcze Filipa w uporze, z jakim postanowił przełamać społeczne bariery jednym przynajmniej atutem, który miał w ręku, a który tamci dobrze rozumieli — oto będzie miał nie mniej ziemi od nich, a każdy akr roli będzie mu dawał więcej w twardej gotówce niż im. Oliwia nie dbała o niczyje fomy i fochy, ale też w zamian spodziewała się, że i jej pozostawią kompletną swobodę postępowania.

Mali chłopcy z kościelnego chóru, ubrani w białe komże, zeszli z murawy na drogę, a za nimi wieśniak niosący mosiężny krzyż na wysokim drągu; korpulentny, rumianolicy wikary w sutannie, komży i stule, dalej mężczyźni z chóru kościelnego, nadzorca gminny, członkowie rady gminnej i około setki ziemian i wieśniaków.

Tuż za radnymi szło dwóch dawnych kompanów Filipa, których on sam — gdy razem z nim odsiedzieli karę więzienia za wyzwanie, jakie rzucili swoim społecznym i ekonomicznym zwierzchnikom — sprowadził do Chilcote i do-

pomógł im osiedlić się tutaj: kowal Percy Green, ciemnowłoso, śniady, potężnej budowy ciała, ale zdradzający już podeszły wiek, i oberżysta, Robert Hawthorne, niski, łysy, niegdyś ruchliwy i korpulentny, dziś ciężki i otyły. Obydwu nieźle się powodziło w Chilcote — końskie podkowy i piwo dobrze szły w okolicy, chlubiącej się stajniami wyścigowymi — i obaj jeszcze bardziej chyba od Filipa szukali spokoju i poważania, unikając ryzyka, związanego z wszelką niebezpieczną działalnością.

Kołodziej Harold Cook — wysoki, o siewięjących wąsikach, których końce często przykładał do czoła, by zwrócić uwagę na ich imponujące zaiste rozmiary — nie siedł razem z Greenem i Hawthornem, ale znacznie dalej; dla niego walka pozostała tak samo ważna jak zawsze — i pozostanie, dopóki ludzie pracy w miastach i na wsi nie zdobędą równych praw ze szlachtą i jakichś możliwości przyswoitego życia. Do tej grupy, która przybyła do Chilcote razem z Hunterami, należeli jeszcze bracia Appletonowie, ale ci przerzucali nadal siano na łąkach Filipa, no i najstarszy z nich wszystkich, Bert Goddard, który leżał już na cmentarzu pod kamiennym nagrobkiem, wzniesionym wskutek nalegań Oliwii.

Green i Hawthorne usunęli się, czyniąc przed sobą miejsce dla Hunterów. Oliwia się zawahała. Molly i Ewelina włączyły się do procesji. Filip ujął żonę pod ramię, chcąc i ją wprowadzić, ale się odsunęła. Nie lubiła tych dwóch mężczyzn, których wpływu na męża nie pochwałała. Podeszła do Harolda Cooka i jego maleńkiej żony. Filip podniósł brwi, wzruszył ramionami i poszedł za siostrą i córką. W długiej, wolno posuwającej się kolumnie sporo osób pokiwało głowami i tręcało się łokciami na widok otwartej bezceremonialności, z jaką Oliwia okazywała swoje sympatie towarzyskie.

Obchodzenie granic, ściślej mówiąc „chłostanie miedzy”, było starożytnym obyczajem angielskich wieśniaków, którzy z pastorem, dziedzicem i radą gminną raz do roku obchodzili kamienie graniczne wsi, by sprawdzić, czy żaden z nich nie został poruszony. Szli tedy z powrotem drogą, którą przyjechali Hunterowie, ku kościołowi i pierwszym kamieniom, wyznaczającym granice gruntów Percy Harrisa, jednego z najzamożniejszych ziemian w okolicy.

Przed laty, w czasie „rewolty głodnych żołądków” Harris ośmielił się narazić sąsiadom, gdyż zgodził się na podwyższenie dniówek wtedy, gdy inni się temu sprzeciwiali i patrzeli, jak płoną ich stogi i stodoły. Gdy zamieszki stłumiono, nagle zabudowania gospodarcze Harrisa z niewiadomych, niewytłumaczalnych przyczyn spłonęły. Powiadano, że podpalaczy wynajęli w Newbury sąsiedzi-ziemianie, ale dowodów oczywiście nie było. Potem okoliczni młynarze nie chcieli przyjmować do przemiału zboża Harrisa, handlarze bydła nie kupowali od niego jałówek, a żaden z ziemian nie chciał mieć z nim nic do czynienia. Było to surowe ostrzeżenie pod adresem wszystkich,

którzy by zamierzali wyłamać się z szeregow solidarności ziemiańskiej i szlacheckiej. Harris pozaciągał długi na hipotekę majątku i zaczął pić, by zapomnieć o gromadzących się coraz poważniejszych troskach. Człowiek ten, który przyjaźnie odniósł się do Hunterów, gdy ci osiedlili się w Chilcote, teraz był w oczach Filipa groźną przestrogą. Gdyby jego, Filipa, spotkał los Harrisa, świat ziemiański, włącznie z jego własnym teściem, powiedziałby tylko: „Nie można żebraka posadzić na wierzchowca”.

Chór kościelny śpiewał po drodze hymny. Harold Cook i paru innych próbowało bezskutecznie, w przerwach między śpiewaniem hymnów, intonować takie bojowe pieśni, jak Shelleya:

Ludu Anglii, porzuć znój!
Jarzma lordów zdejmij krzyż!

Ale do ich śpiewu nie przyłączały się głosy wieśniaków, często agresywnych w karczmie, przy piwie, ale teraz strwożonych obecnością tych, od których zależał codzienny chleb dla ich rodzin.

Z gruntów Harrisa procesja szła wzdłuż gościńca Oxford—Newbury, pełną ścieżką za wsią, następnie traktem prowadzącym do większej wsi, zwanej Upton, i wokoło z powrotem do punktu wyjścia. Nadzorca sprawdzał kamienie na planie. Filip korzystał ze sposobności, by oglądać stan zbóż swoich sąsiadów, ogrodzeń, zabudowań gospodarczych. Prócz tego wciąż wracał w myślach do kalkulacji zysków, które spodziewał się osiągnąć przy pomocy nowo zakupionych maszyn: siewczarni i młynka do krajania brukwi dla krów.

Przy murawie czekał Alek, młodszy syn Hunterów: dwunastoletni chłopiec o ciemnych włosach i oczach ojca, ale budowy delikatnej, blade, o spokojnym, uważnym spojrzeniu obserwatora. Za jego naukę, na razie, odpowiedzialną była korpulentna postać pastora z Chilcote. Zamiłowanie do czytania wszystkiego, co tylko mógł dostać, łączyło się w umyśle chłopca z analitycznym zainteresowaniem technologa. Tego piątkowego popołudnia przypatrywał się drenowaniu nisko położonego, gliniastego kawałka pola, należącego do jego ojca. Na dzień obchodzenia granic większość farmerów, jeśli tylko mieli już zwiezione siano, zwalniała swoich najemników. Robotnicy, pracujący przy drenowaniu, byli sprowadzeni z miasta. Kopali rowy głębokości dwóch stóp, układali w nich kamienne rury — nowość w całej okolicy.

Procesja się rozpraszala, ludzie odchodzili. Oliwia, uśmiechając się do syna, przyłączyła się z powrotem do rodziny.

— Wiesz, tatusiu, robotnicy rozprawiają wciąż o tym — powiedział Alek — czy drenowanie tego pola się opłaci.

— No, i jak sądzą, opłaci mi się? - zapytał Filip, z zadowoleniem patrząc na tego syna, którego spokojne a intensywne zaabsorbowanie życiem sprawiało, że nikomu nie przyczyniał kłopotów.

— Jedni powiadają, że nie, a inni, że może tak, ale długo potrwa, nim zobaczysz swoje pieniądze z powrotem.

— Oni umieją kłaść rury — zauważył Filip. — A ja umiem ciągnąć zyski z ziemi. Każdy niech się swoim fachem zajmuje!

— Ale ja lubię się temu przypatrywać — odrzekł poważnie Alek.

— Chłopak jest praktyczny — Percy Green pokiwał z uznaniem głową. — To mnie cieszy. Nasza nowa szkoła zapchana jest dziećmiakami, i co im z tego przyjdzie? Nie lepiej by im było praktykować w rolnictwie albo przyuczać się do jakiegoś pożytecznego rzemiosła, jak na przykład u mnie w kuźni? Całe szczęście, że nie wszyscy jeszcze tak pogłupieli, żeby zamykać swoje szkraby z nauczycielami, którzy niczego nie umieją, tylko czytać, pisać i rachować. I jak niby ta książkowa wiedza pomoże synowi wiejskiego parobka zarabiać na życie? Ja tam uważam, że dzieciaki nie powinny tracić czasu na to, co im się na nic nie przyda.

— Nie masz racji, Percy — odrzekł Filip. — Alek chodzi i będzie chodził do szkół. Niech się kształci, niech ma więcej wykształcenia od rodziców. I właśnie wykształcenia z książek. Gdybym ja miał więcej książek i więcej szkół, gdy byłem w wieku Alka...

— Ależ Alek to co innego. Ja mówiłem o dzieciach parobków — powiedział pospiesznie Green. Bardzo mu zależało na dobrych stosunkach z Filipem.

— Zamierzam dać moim chłopcom tyle wykształcenia, ile tylko będę w stanie im zapewnić — ciągnął Filip stanowczym tonem. — Ale to wcale nie znaczy, że będą zwolnieni od praktycznych prac w moim gospodarstwie.

— Tylko Ewelinie wolno próżnować — uzupełnił niespodziewanie Alek. — Ona ma mnóstwo czasu, bo tatuś mówi, że dziewczynie nie można kazać pracować przy gospodarstwie, tak jak mnie i Adamowi. — Nie była to skarga, tylko rzeczowe stwierdzenie faktu.

Na tyradę Greena o szkołach odpowiedziała teraz Oliwia. Mówiła z uśmiechem, bardzo słodko, ale w słowach jej kryła się złośliwość i ani Percy Green, ani Filip nie mogli się zorientować, przeciw któremu z nich ta złośliwość jest skierowana.

— Wiesz, Percy, jeśli ktoś chce się wybić w świecie, musi mieć w dzisiejszych czasach wykształcenie. Wiemy o tym wszyscy. No, i oczywiście istnieje taki punkt widzenia, że kształcenie umysłu jest rzeczą dobrą samą w sobie, pomaga do pełniejszego życia, rozszerza horyzonty myślowe, które by mogły się zacieśnić do wąskiego kręgu własnych spraw. Właściwie to głównie dla tego chciałabym, aby każde z naszej trójki miało wykształcenie.

Znowu uśmiechnęła się bardzo słodko, gdy Filip pomógł jej wsiąść do kabrioletu i posadził na koźle obok siebie. Ewelina próbowała wsunąć się

na to miejsce i Alek także. Ale gdy Hunterowie wyjeżdżali razem, miejsce obok Filipa zarezerwowane było tylko dla Oliwii.

W chwili gdy deresz skręcał z trójkątnej łączki na drogę, Harold Cook podszedł do kabrioletu i spoglądając do góry na Filipa, rzekł:

— Zajdę do ciebie za małą godzinę, jeśli będziesz mógł mi poświęcić chwilkę czasu.

Filip spojrział na niego pytająco, ale Oliwia przechyliła się koło męża i zawołała:

— Zawsze cię chętnie widzimy, Haroldzie!

— Zawsze jesteś kochana, droga Oliwio — odrzekł Cook i zwracając się do Filipa, dodał: — Appletonowie i ja chcielibyśmy omówić z tobą jedną sprawę.

Filip skinął głową i potrząsnął lejcami. Deresz ruszył żwawo w drogę, a Filip zawołał jeszcze bez cienia serdeczności w głosie do Harolda Cooka:

— Będę w domu przez cały wieczór.

Milczał w powrotnej drodze, zastanawiając się, do jakiej nowej kampanii chcą go wciągnąć.

Rozdział drugi

Hunterowie wcześniej wieszali latem, aby jeszcze po skończonym posiłku wyjść z domu: Oliwia rozkoszowała się pięknym widokiem na wzgórze, Filip planował, co trzeba zrobić nazajutrz na polach, pastwiskach i łąkach.

Ale tego wieczoru nic było czasu na spacer. Za ledwie sprzątnięto ze stołu, skrzywnęła furtka przed ogrodem kwiatowym i wzdłuż wykładanej płaskimi kamieniami ścieżki, ocienionej zbudowaną przez Filipa pergolą, między dwuszeregiem kwitnących roślin skalnych, sadzonych i pielęgnowanych przez Oliwię, nadeszli dwaj bracia Appletonowie. Wprawdzie Filip nie był do nich ostatnio szczególnie przyjaźnie usposobiony, ale nie miał zamiaru być niegościnnie. Nie mógł też całkowicie wykreślić z pamięci wielu wspomnień wspólnej walki o sprawę, w którą wówczas wierzyli. W głębi serca Filip chyba nadal wierzył, ale nacisk ekonomiczny i socjalny podkupuje ludzkie ideały skuteczniej może niż jawna dezercja.

Filip powitał gości na oszklonej werandzie, która we dworze w Orchards spełniała rolę przedpokoju, a Oliwia czekała na nich w bawialni, między pięknymi meblami z drzewa różanego i mahoniu, wśród cennych zbiorów porcelany.

Appletonowie urodzili się w rodzinie zwykłego parobka i na całe życie pozostali prostymi parobkami. Stosunkowa zamożność, którą zyskali w cieniu

dachu Hunterów, w niczym ich nie zmieniała. Na sam widok bawialni Oliwii ogarniał ich przestrah. Nie było tu porządnej solidnej ławki, by mężczyzna mógł sobie spokojnie usiąść; nie wiadomo było, gdzie rzucić zapalną, jeśli by nawet ośmielił się zapalić fajkę; jeśli taki gość przewrócił szklanke, co łatwo mogło się przytrafić w tym otoczeniu, niszczył cenny dywan; a za każdym razem, gdy się poruszył, groziło mu wsadzenie łokcia w jakąś szklaną ser-wantkę lub oszkloną bibliotekę. Wszystko to było zapewne bardzo piękne, ale żeby wśród tego siedzieć?... Oliwia wyczuwała obawy swoich gości. Jeśli ich przyjmowała w bawialni, to nie dlatego, iżby chciała demonstracyjnie podkreślać równość baroneta i robotnika wiejskiego. Szczerze i naturalnie traktowała swoich przyjaciół jako przyjaciół, a nie jako przedstawicieli tej czy innej klasy społeczeństwa.

Bracia Appletonowie stanowili fizyczne przeciwstawienie. Stanley był wysoki, chudy, kościsty, o nadmiernie długich kończynach i jasnych, jakby wyblakłych włosach. Tomasz był niski, krępy, silnie zbudowany, a za młodzieńczych lat pierwszy do każdej awantury albo przynajmniej do przyjacielskich bójek z Filipem. W owych czasach Tomasz rywalizował z Filipem

o intymne względy niektórych dziewcząt ze wsi, co wcale nie naruszało ich przyjaźni. Teraz poskromiła go żona, która okazywała miłość częściej miotłą albo wałkiem od ciasta niż pieszczotami. Przed nazbyt już gwałtownymi atakami żoninymi często bronił go starszy brat, Stanley, który pozostał kawalerem i dzielił dom z Tomaszem.

Bracia stali tuż za progiem bawialni, obaj w odświętnych granatowych ubraniach i ciężkich czarnych butach, pięknie wypucowanych. W rękach nerwowo obracali czapki. Za nimi wszedł Filip ze słowami:

— Kieliszek wina? Orzeźwicie się po tej robocie przy sianie!

Dwie brody, jedna wysoko nad podłogą, druga niżej, uniosły się nieco do góry; dwie pary oczu rozglądały się ukradkiem dookoła, jakby bracia spodziewali się gdzieś ujrzeć napisaną wymówkę, która by im pozwoliła odmówić wina. Stanley spojrział w dół na Tomasza; Tomasz do góry na Stanleya. Obaj wciąż obracali czapki w rękach. Tomasz zerknął niespokojnie na Stanleya, Stanley potrząsnął głową przecząco i z kolei kiwnął w dół do Tomasza, który wreszcie wykrztusił:

— A nie macie czasem kropli chłodnego piwa?

— Ależ mamy, naturalnie — pospieszyła na ratunek Oliwia. — Dobrze, chłodne piwo, beczkowe i schowane w kamiennej piwnicy. Zaraz przyniosę. I proponuję, abyśmy przeszli do altany na końcu kwiatowego ogrodu...

Nie skończyła, bo Tomasz i Stanley zawrócili na miejscu, chcąc wydostać się z tego przerażającego pokoju. I przystanęli. Tomasz gestem kazał iść naprzód starszemu bratu. Ten potrząsnął przecząco głową. Tomasz skapitulował. Wskoczyli jeden za drugim, jak z procy.

Kiedy usiedli w ładnej, drewnianej altanie, otoczonej nisko przyszczyżonym trawnikiem i rabatami kwiatów, z domu wyszła Molly, prowadząc za sobą Harolda Cooka, który podkręcał wąsiska i z galanterią zapewniał, że gdyby tylko szukał żony, nie szukałby daleko i w ogóle nie może zrozumieć, gdzie tutejsi młodzi ludzie mają oczy, że pozwalają jej tak długo pozostawać w Orchards. Miał jak najlepsze intencje, ale zaciśnięte wargi Molly nie rozchyliły się w uśmiechu: uważała komplementy dziarskiego kołodziejca za ujmę dla siebie.

Oliwia i Molly zostawiły mężczyzn z cynowymi kuflami i wielkim dzbanem piwa na stole. Gdy odeszły, Stanley i Tomasz Applctonowie pozbyli się komicznej nerwowości.

— My od razu przystąpimy do rzeczy, Filipie — zaczął Stanley. — Chodzi nam o tę petycję do władz w sprawie przyznania większych racji żywności w domach pracy dla ubogich.

— Byliśmy tam i sprawdzaliśmy — podjął Stanley. — Na tym jedzeniu oni ledwie mogą duszę z ciałem w kupie utrzymać. Mnie by to do życia nie wystarczyło, a i tak jem o połowę mniej od Tomasza.

— Boś nieżonaty — odparł Tomasz, mrugając porozumiewawczo do Filipa i Harolda Cooka. — Masz tylko jedną pracę. My, żonaci, mamy dwie prace. Potem człowiek jest głodny.

— Daj spokój, Tomaszu, to poważna sprawa — skarcił go Cook.

— Czy będziesz, po naszej stronie w sprawie tej petycji? — zapytał Stanley.

Filip potarł policzek, spojrzął na podłogę, podniósł swój kufel piwa, wychylił go, postawił z powrotem, trzymając nadal palce na uszku. Wreszcie odpowiedział:

— Wiecie, powiadają, że gdyby w domu pracy dobrze karmiono, każdy by tam szedł i przerzucał na cudze barki odpowiedzialność za własne utrzymanie.

— Nie powtarzaj bredni, Filipie — zaprotestował Cook. — Sam w to nie wierzysz. Tego rodzaju mowy wygłaszają nam nadzorcy i ich protektorzy.

— Ja nic mówię, że w to wierzę — odrzekł Filip. — Ale trzeba rozważyć wszystkie strony tego problemu. Zamierzam kandydować do rady gminnej. Na tego rodzaju stanowisku nic można mieć ciasnego punktu widzenia.

Nalał wszystkim piwa do kufla, ale nadal nie patrzył w oczy przyjaciołom. Tamci spojrzeli po sobie. Stanley i Tomasz kiwnęli głowami do Cooka.

— Tak, obawialiśmy się jakichś wykrętów, Filipie — rzekł Harold Cook bez ceremonii. — Ale taka odpowiedź nam nie wystarcza. W dawnych czasach wspólnie pracowaliśmy, jednakowo myśleliśmy. Dlaczego teraz jest inaczej? Powiem ci i będę szczery. Bo zrobiłeś się ziemianinem i zatrudniasz robotników.

— Gdy widzę sprawę, o którą, moim zdaniem, warto walczyć...

— Dobrze wiesz, że o to właśnie warto walczyć — wtrącił Stanley. Ale Cook surowo spojrzął na niego, marszcząc brwi. Tomasz, widząc, że Filip z wielką uwagą wpatruje się w swoje, dobrze utrzymane paznokcie, położył obok na drewnianym stole własne poczerńiałe ręce o połamanych paznokciach.

— Czyście tu przyszli, by mnie pytać o zdanie w tej sprawie — zapytał Filip — czy po to, by się dowiedzieć, czy we wszystkim myślę tak samo, jak przed dwudziestu laty?

Znowu Stanley chciał coś powiedzieć, ale Cook powstrzymał go kładąc mu rękę na kolanie i rzekł:

— Poczekaj chwilę, Filipie. Pozwól najpierw, bym ci zadał inne pytanie. Tu chodzi po prostu o pamięć. — Przerwał na chwilę. Chciał, by jego pytanie — istotnie proste, ale wyzywające — oddzielało się wyraźnie, jak mały czarny rysunek na wielkiej przestrzeni białego papieru.

— Czy pamiętasz tę noc, kiedy podpaliśmy stogi, Filipie?

Śmieszne pytanie, oczywiście. Któż by mógł zapomnieć o takiej chwili! A jednak to nie tylko pytanie — to wyzwanie, rzucone nie tyle pamięci, ile woli pamiętania.

Filip wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem po ciasnej altanie. Przystanął wreszcie i stał odwrócony od przyjaciół, którzy, choć mieli własne domki i kawałki gruntu, byli jego pracownikami. Nie widział ani starannie utrzymanego trawnika, ani dobrze wypielonych, równych rabat kwiatowych. Patrzył ponad nimi na nisko kłębiące się chmury.

— O niektórych rzeczach lepiej zapomnieć — rzekł i poprawił się natychmiast — właściwie nie tyle zapomnieć, ile pozostawić wśród wspomnień szalonej młodości.

Cook i Appletonowie znowu wymienili spojrzenia.

— Przypuszczaliśmy, że tak będzie — powiedział Stanley. — Ale my nie zapominamy. — Filip drgnął na te słowa, a Stanley nieubłaganie ciągnął dalej: — I ponieważ byłeś naszym przyjacielem przez te wszystkie lata, a ostatnio również naszym pracodawcą, więc nie chcemy patrzeć, jak ty o tym zapominasz i w dodatku myślisz, że najlepiej by było zapomnieć.

— Czasy się zmieniły — odparł Filip, wciąż obrócony do nich plecami. — Co minęło, nie wróci.

— Czasy muszą się zmieniać — zaoponował gorąco Tomasz, goręcej od swego brata. — To nic nowego! — Filip odwrócił się i spróbował spojrzeć mu w oczy, ale bez powodzenia; a Tomasz mówił dalej: — Ale to nie powód, aby ludzie się zmieniali... — Przekreślił głowę i spojrzął z ukosa na Filipa.

— Ludzie muszą się zmieniać w miarę zmieniających się czasów — bronił się słabo Filip.

— Zgadzam się z tobą, że ludzie muszą się zmieniać — przyznał Harold Cook. — Ale coś jest nie w porządku z taką zmianą, która przekształca po-

stę w zacofanie, człowieka najbardziej czynnego w takiego, który się wykręca od działania.

To ubodło Filipa. Gniewnie zwrócił się do kołodzieja:

— Co ty chcesz przez to powiedzieć? Czyż ci się nie powodzi teraz o wiele lepiej niż dawniej, zanim tu przyjechałeś? Co by się w ogóle z wami stało, gdyśmy wszyscy wyszli z więzienia, gdyby nie ja?

— Wcale nie to miałem na myśli, jak sam wiesz doskonale — odrzekł spokojnie Cook. — Każdy z nas jest ci głęboko wdzięczny. Ale mamy jeszcze dusze, Filipie, i te są nasze własne, chociażby ciała należały do ciebie.

Wśród zieleni ukazała się Oliwia. Szła ku altanie, gdzie zebrała się męska kompania. Cook przerwał, ale gdy weszła, skinęła doń głową na znak, żeby mówił dalej.

— Ja mam na myśli to tylko — ciągnął Cook patrząc na Filipa — że ty powinieneś być tym, który by nas prowadził i nami kierował w sprawie tych głodowych racji w domu ubogich, a tymczasem ty właśnie się ociągasz. Nie gdyś na przedzie, dziś zostajesz w tyle.

Gniew Filipa przygasł w obecności Oliwii.

— Nie jestem wcale pewny, czy to potrzebne — powiedział. — Jestem człowiekiem wolnym, nie zamierzam pozwolić się związać ani przeszłością, ani przyjaźnią.

— Zastanawiam się, Filipie — wtrąciła Oliwia — czy nie jesteśmy jednak do pewnego stopnia związani przeszłością. Dzięki mojemu dziadkowi mogliśmy zacząć gospodarować...

— Spłaciłem mu dług — przerwał Filip.

— A kto inny by nam pożyczył pieniędzy w tych warunkach? A ja chciałam powiedzieć, że takim sprawom, jak niedożywianie ubogich w domu pracy, dziadek poświęcał swoje życie.

— A my — dodał Stanley Appleton — to znaczy ty, Filipie, i ja, i Tomasz, zaznaliśmy na własnej skórze biedy i niedostatku, i niedojadania. Walczyliśmy o to, by mieć co jeść, teraz powinniśmy pomyśleć o tym, żeby i inni mieli co jeść, a zwłaszcza ci, którzy sami nie są w stanie się o to upomnieć.

— Ja myślę — ciągnęła Oliwia — że jesteśmy związani przeszłością o tyle, iż powinniśmy bronić spraw, których by bronił ten, co nam dopomógł. Wiemy przecież, że jego sprawy były dobre i słuszne.

— A ja myślę — rzekł gwałtownie Filip — że żona powinna stać przy mężu, a nie przeciw niemu!

— Mój drogi, ja nie występuję przeciw tobie — zaprotestowała Oliwia. — Wyobrażam sobie, że to przyjacielska narada!

— A ja myślę, że tę całą przyjacielską naradę uradziłaś ty z Haroldem dziś, podczas obchodzenia granic.

Oliwia i Harold Cook spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Ale Filip, zaślepiiony gniewem, nie dbał o nic.

— Ty, Oliwio, mogłaś spiskować ze mną poza plecami twego własnego ojca. Teraz spiskujesz z innymi poza moimi plecami. Razem z Haroldem chcesz mnie wepchnąć w sprawy, które uważam za szkodliwe i niebezpieczne dla mojej rodziny tak samo, jak kiedyś ty i ja chcieliśmy zmusić Sir Aleksandra do postępowania, którego on nie pochwalał.

Harold wstał od stołu, a za jego przykładem poszli bracia Appletonowie, teraz znowu zaambarasowani i kręcący czapki w rękach.

Oliwia nie zwracała na nich uwagi. Patrzyła na męża, mówiąc głosem słodkim jak miód, w którym pszczoła pozostawiła żądło:

— Chyba zapomniałaś, mój drogi Filipie. Przed podpaleniem stogów nigdy nie postąpiłam wbrew wyraźnej woli ojca, prócz tego, że zakochałam się w tobie i dałam temu wyraz, posunąwszy się tak daleko, jak tylko kobieta posunąć się może!

— Oliwio! Jak możesz! — wykrzyknął Filip zgorzony. Ten niegdyś zawołany kobieciarz nie mógł znieść ujawnienia tego, co jego szlachetnie urodzona żona gotowa była w danej chwili otwarcie powiedzieć.

Bracia Appletonowie i Harold Cook dyskretnie wysunęli się z altany.

— Nie rozumiem cię zupełnie — wybuchnął Filip, gdy tamci znikli już za domem. — Jak mogłaś im taką rzecz powiedzieć?

Oliwia miękkim ruchem przysunęła się do niego, wyciągnęła ramiona i ujęła za wyłogi długiego surduta.

— Czy tak bardzo się wstydzisz tej przeszłości, Filipie? I nie chciałbyś jej... powtórzyć?

Objął ją mocno i ucałował kasztanowate włosy. Potem końcami palców podniósł do góry jej podbródek i spojrzał w twarz.

— W jednej rzeczy nie zmieniam się wcale — powiedział cicho. — Przepraszam cię, Oliwio, za mój gniew.

A kobieta, przytulona do niego, miała ostatnie słowo:

— Twój gniew, najdroższy, tylko dowodzi, że zdajesz sobie sprawę, jak wiele słuszności było w słowach twoich przyjaciół.

W drzwiach altany stanęła Ewelina.

Bracia Appletonowie i Harold Cook szli przez dłuższy czas w milczeniu piękną aleją, wiodącą do dworu w Orchards.

Wreszcie Harold Cook pyknął z dużej fajki i rzekł:

— Czasy się zmieniły, oczywiście. I pod pewnymi względami na lepsze. Przed dwudziestu laty rodzice Filipa ledwie mieli na chleb dla dzieci, cóż dopiero na mięso.

— Dzisiaj też tylko u Filipa można zarobić tyle, by starczyło na mięso w domu, w którym są dzieci — zauważył Tomasz. — Bachorki żywią się kapustą i słoniną. Moja stara powiada, że kapusta zabiła już niejednego dzieciaka i tylko najsilniejsze wyżyją.

— Dla robotnika rolnego nadal życie jest harówką, piszczące dzieciaki w domu, a na starość dom pracy — dodał stary kawaler Stanley.

Na zmiankę o domu pracy wszyscy trzej zamilkli, przypomniawszy sobie, że ich misja właściwie spełzła na niczym.

— Patrzcie! — wykrzyknął nagle Tomasz, wskazując na południe, wzdłuż gościńca do Newbury, do którego właśnie dotarli. Kłęby czarnego dymu były gwałtownie w niebo, a wśród nich błyskały języki płomieni.

Nikt nie odpowiedział Tomaszowi. Wszyscy trzej puścili się z miejsca biegiem w stronę pożaru. Krótkie, mocne nogi Tomasza pozwoliły mu najpierw wysforować się naprzód, ale po jakichś trzystu jardach długie nogi Stanleja doгнаły go i wyprzedziły. Harold Cook, starszy od obu braci i tęższy, pozostał w tyle, ale biegł z uporem, sapiąc i machając fajką. Wszyscy trzej ciężko dyszeli, gdy dobiegli — Stanley na przedzie — do folwarku Perrotta. Kilkunastu mężczyzn już się tam zebrało i podawali sobie z rąk do rąk wiadra wody, by ocalić dom. Inni rozbijali siekierami drewnianą komórkę między domem a stodołą.

Stodoła paliła się jeszcze. Płomienie wygasały na słomianej strzesze, wypalanej do cna. Osmalone murowane ściany ocalały.

— Co mamy robić? — zapytał Perrotta zdyszany Tomasz.

Krępy, łysy, o ogorzalej, szerokiej twarzy Eryk Perrott zachował swój zwykły uśmiech nawet w obliczu katastrofy.

— Teraz już chyba nic — odpowiedział. — Za to jutro, jeśli będziecie mieli czas, przyjdźcie pomóc poszyć dach strzechą. Ale czy będę wam mógł zapłacić, to inna sprawa! — Zaśmiał się niewesoło.

Wszystko, co można było zrobić, już zrobiono. Domowi mieszkalnemu nic nie groziło. Harold Cook nabił fajkę i przypatrywał się oświetlonej ogniem scenie.

— Jak zacny człowiek, spalony, zniszczony życiem — powiedział.

— Mury są w porządku. Mocne, grube. Odbuduje się jak złoto — rzekł Stanley i dorzucił, zwracając się do Tomasza: — Może będziemy mogli przyjść pomóc jutro. Na zdrowych murach można budować i będzie znowu dobrze, jak dawniej...

Harold Cook spojrział na niego, ale jeśli któryś z trójki myślał w tej chwili o przyjacielu, z którego domu tak spiesznie wyszli, żaden o tym nie wspomniał.

Namiętność, która niegdyś poprzez dzielące ich różnice społeczne i majątkowe połączyła Oliwię z Filipem, przetrwała lata. Nie przytłumił jej nawet konflikt między lojalnością do dawnej i zawsze nowej sprawy a coraz wyraźniejszym oddalaniem się Filipa w stronę ziemiańskiej obyczajowości. Leżąc tej nocy w ramionach męża, Oliwia wspominała dawną chwilę, kiedy oddała mu się po raz pierwszy w drewnianym szałasie, gdzie mieszkał sam, przed ich ślubem, przedtem, zanim nawet pomyślała, że przewycięży barykady, które społeczeństwo, świat towarzyski i uprzywilejowany będą rzucać pod nogi ich związkowi.

Po południu następnego dnia, w sobotę, Filip dostał dwa listy. Pierwszy był napisany ręką Harolda Cooka. W dość sztywno sformułowanych zdaniach kowal donosił w imieniu braci Appletonów, iż uznali oni za najlepsze poszukać sobie pracy, przynajmniej na pewien czas, gdzie indziej. Prawdopodobnie Eryk Perrott będzie mógł ich tymczasowo zatrudnić przy naprawie szkód, wyrządzonych przez pożar. Prosił, aby wyrazić Filipowi i oczywiście Oliwii ich głęboką wdzięczność; podkreślali, że nie zapomną nigdy, ile są im winni. Filip w milczeniu podał list Oliwii i rozdarł drugą kopertę.

— Ależ oni nie mogą tego zrobić! — zawołała Oliwia. — Musisz pójść tam zaraz i pogadać z nim, Filipie!

Ale na ten jej wybuch nie było odpowiedzi. Drugi dostarczony przez posłańca list zawierał wiadomość, która w rodzicielskim sercu musiała zająć pierwsze miejsce.

— Adam uciekł ze szkoły — oznajmił bez ogródek Filip.

— Oliwia upuściła list Harolda Cooka.

— Uciekł? Dokąd?

— Dyrektor szkoły przypuszcza, że do domu...

— Dużo on tam wie! Kiedy?

— Wczoraj wieczorem po zgaszeniu świateł.

Oliwia wyobraziła sobie nagle ramiona Filipa, obejmujące ją w ciemnościach nocy. „Wtedy, kiedy ja...” — pomyślała bez związku.

— Ależ, Filipie, gdyby chciał uciekać do domu, to już by tu był. Przecież minęło co najmniej szesnaście godzin. Adam przeszedłby dwadzieścia mil jeszcze przed śniadaniem.

— Łobuz. Wiedziałem, że nam przysporzy kłopotów.

— Gdyby się ciebie nie bał, byłby teraz w domu.

Rozdział trzeci

Nie była to najmodniejsza ani najlepsza z angielskich szkół publicznych dziewiętnastego wieku. W innych szkołach płacono drożej za kształcenie

chłopca. Ale większość jej wychowanków wypełniała rolę, wyznaczoną im przez urodzenie i majątek, zajmując wysokie stanowiska w urzędach państwowych, w kościele, w zarządzaniu dobrami albo też w cywilizowaniu tubylców w koloniach. Jeśli dawny wychowanek przypadkiem — z powodu własnej głupoty lub fatalnego zbiegu okoliczności — zhańbił się na tyle, by zostać dziennikarzem, aktorem, sklepikarzem albo prostym żołnierzem, zapominano o nim tak prędko, jakby zaginał bez wieści.

Wszyscy chłopcy z klas zwanych nowoczesnymi, to znaczy o programie matematyczno-przyrodniczym, zebrali się w wielkiej sali, o ścianach wykładanych dębowymi boazeriami, a oknach umieszczonych tak wysoko, aby chłopcy nie mogli wyglądać na obszerne tereny do gier sportowych. Stały tu podwójne ławki z odsuwanyymi pulpitemi. Dziekan klas nowoczesnych stał za katedrą, ustawioną na podwyższeniu pod jedną z dłuższych ścian sali, w todze, w kwadratowym birecie akademickim na siwiejącej głowie, z papierami w ręku — ciężką, solidną laskę położył obok.

— Otrzymałem list z Indii — mówił — od jednego z naszych byłych wychowanków, który zaledwie przed kilku laty siedział tu, w tych ławkach, a który teraz świeci przykładem dla was. Od głosiciela ewangelii, misjonarza, który poświęcił się nawracaniu czarnych dusz hinduskich, od budowniczego Imperium...

W jednej z pierwszych ławek siedział młody Adam Hunter: włosy bardzo jasne, rzęsy prawie niewidoczne, oczy niebieskie, cera opalona, twarz przyjemna, pociągająca, chociaż nie piękna, gdyż nie odziedziczył klasycznych rysów matki ani regularnej linii ust ojca. Był ostatnim z Hunterów, noszących imię Adama: jego dziadek i brat jego ojca, obaj tego imienia, już nie żyli.

Słuchając słów dziekana, chłopiec westchnął niedosłyszalnie i wyciągnął wygodnie nogi. Zanosilo się na dłuższe kazanie o „znoszeniu z odwagą i hartem ducha ciężaru odpowiedzialności, która spada na twoje barki na każdej drodze życia, do której spodoba się Bogu ciebie powołać”. Chłopcy znali to na pamięć. Adamowi okropnie chciało się ziewać, ale powstrzymywał te niewczesne zachcenia, aż mu oczy łzami zachodziły, gdyż dziekan, pomimo siwych włosów, wcale nie stracił energii i młodzieńczych sił w posługiwaniu się ciężką laską.

Chłopiec, siedzący w ławce obok Adama, inaczej reagował na słowa wychowawcy. Młody Edward Paton, syn bliskiego sąsiada Hunterów, Sir Jamesa, uważał, że „droga życia, na którą spodoba się Bogu jego powołać” zapowiada się wcale przyjemnie, a zawsze będzie pod dostatkiem ludzi, którzy go obsłużą, wyczyszczą mu buty i spełnią każdą pracę poniżej jego godności. Był to chłopak ciemnowłosy, o bladej twarzy i nieco obwisłych czerwonych wargach, ubrany bardzo starannie, nawet wykwintnie, przystojny

— gdyby nie zważać na wzrok niespokojny, unikający cudzych oczu. Nieraz już odwiedzał dwór w Orchards, gdzie Oliwia nie ufała mu od pierwszej chwili, a Filip schlebiał młodzikowi jako synowi baroneta.

Dziekan odczytywał list od swego przykładowego wychowanka. Adam nie słuchał, ale oderwane zdania przedzierały się do jego świadomości.

„Znużył mnie ten kraj... praca musi iść naprzód... w uszach mi dźwięczą ostre, szorstkie głosy... nabożeństwa Mahratów z wrzeszczącymi krajowcami... ci krajowcy tacy nieuczciwi, oszuści... mam nadzieję, że mnie niebawem przeniosą do Kalkuty, gdzie Bengalczyki rozumieją po angielsku”.

Dziekan przerwał, położył list na katedrze i ująwszy rękoma tożę na piersiach, pochylił głowę i spojrział ponad okularami na chłopców.

— Trudny jest żywot tych, którzy pracują dla Boga i królowej w winnicach Imperium. — Z lubością intonował słowa. — Pragnąłbym wiedzieć, co dzisiejsza generacja chłopców myśli o liście, który wam przed chwilą przeczytałem. A więc krótkie wypracowanie — krótkie, podkreślam. Daję wam piętnaście minut czasu na spisanie paru własnych myśli o obowiązkach białego człowieka wśród niższych, kolorowych ras.

Adam na wpół gwizdnął cicho, na wpół westchnął. Karty papieru zaszeleściły, gdy chłopcy wyjmowali je z pulpitów. Dziekan zdjął okulary i przecierał je wielką, białą chustą jedwabną, studiując jednocześnie belkowany sufit.

— Bez szepców — odezwał się surowo. — Chcę mieć własne myśli każdego z was — to znaczy każdego, który w ogóle miewa własne myśli.

Napisawszy pierwsze zdanie, Adam wyprostował się w ławce i rozejrzał w zamyśleniu. Edward Paton szybko podniósł rękę.

— Proszę pana!

Dziekan nałożył okulary i spojrział pytająco na chłopca. Paton był drugim po prymusie uczniem w klasie. Szkoda, że tylko drugim. Miał zdrowy, zdyscyplinowany stosunek do szkoły i życia. Podczas gdy Adam Hunter — bardzo zdolny, to prawda — marnował swoje możliwości rebelianctwem i awanturami, nigdy nie było wiadomo, jakich nowych kłopotów przysporzy wychowawcom. Oczywiście, syn takiego ojca...

Edward Paton także żałował, że nie mógł ani rusz wyprzeć Adama z pozycji prymusa. Ale może znajdą się sposoby...

— Proszę pana, Hunter czyta, co ja napisałem, i ściąga ode mnie!

Dziekan zaledwie powstrzymał uśmiech zadowolenia. Adam zaczerwienił się ze złości. Mógł bez trudu odgadnąć, co Paton pisał, wcale nie potrzebował czytać. Coś w tym rodzaju: „Czekam z niecierpliwością dnia, kiedy i ja również w moim skromnym zakresie będę mógł służyć...” Adam wolałby się pod ziemię zapaść, niż pisać takie brednie. On sam napisał, że chciałby wiedzieć, co krajowcy w Indiach sądzą o sługach Boga i królowej. Może by

woleli, by misjonarza służbowo przeniesiono, ale nie do Kalkuty, tylko z powrotem do Anglii, razem z innymi Anglikami, którzy nimi pogardzali. Wiedział dobrze, że takie wypracowanie ściągnie burzę na jego głowę. Ale, jak tylekroć poprzednio, nie mógł się oprzeć pokusie drażnienia pompatycznych zarozumiałców, tak jak w domu nie umiał się powstrzymać od przekłuwania nadętego balonu towarzyskich aspiracji ojca.

— Przynies mi twoje wypracowanie — powiedział uroczyście dziekan. Podniósł wysoko w rękę kartę papieru, podaną mu przez Adama, i bez czytania przedarł ją na pół. — Nie lubię oszustów — wymówił z naciskiem. — Niewykluczone, że tu właśnie kryje się wyjaśnienie tego, co od dawna uważałem za nieprawdopodobny poziom twoich prac, niezgodny z ogólną linią twojego postępowania.

— Protestuję, panie profesorze! — wybuchnął Adam. — Moje wypracowanie i wypracowanie Patona różnią się abso...

— A więc wiesz, co napisał Paton? Dobrze. Stań tutaj. Rozprawię się z tobą po lekcji.

W ławkach chłopcy szurgali nogami, wymieniali spojrzenia, szturchali się łokciami. Hunter znowu się naraził, znowu sobie kłopot na głowę ściągnął. Odwagi mu nie brakowało, trzeba mu to przyznać. Ale to nie popłaca.

Krótkie wypracowania napisano i złożono na katedrze. Paton siedział z oczyma spuszczoneymi. Kiedy tylko podniósł wzrok, nie mógł uniknąć upartego spojrzenia Adama. A niech sobie grozi! Nie dostanie stopnia za wypracowanie. Edward Paton był pewny, że to, co napisał, spodoba się dziekanowi. Pozwoli mu to wysunąć się choćby o włos przed Huntera, wydrzeć mu wreszcie ten stopień prymusa. Dobrze mu tak, taki gbur. A szkoda... Jego ojciec wydobywa się ze swej grubiańskiej przeszłości. A jego siostra to piękność i taka już dojrzała...

Diekan zwrócił się do Adama.

— Adamie Hunterze, przynosisz wstyd tym szlachetnym młodzieńcom, którzy przed tobą stąpali po tych starożytnych posadzkach; przynosisz wstyd wychowawcom, takim jak ja, którzy nadaremnie starają się wszczepić ci słuszną postawę wobec Boga, królowej i ludzkości. Byłem pobłażliwy w stosunku do ciebie, gdyż wręczałeś mi dobre prace piśmienne, które jak sądziłem, były twoje własne. I cóż się okazuje? Że jesteś po prostu zwykłym oszustem.

Diekan przerwał zastanawiając się. Chłosta? Nie miał dowodów zarzucanego Hunterowi przestępstwa. Popełnił błąd — a może i nie? — niszcząc bez przeczytania wypracowanie chłopca. Hunter może się poskarżyć. Dyrektor szkoły był człowiekiem sprawiedliwym — diekan określał go mianem „skrupulata”. Chłosta na podstawie paru słów innego ucznia? Adam stał wyprostowany, ręce zacisnął, walcząc z ogarniającą go buntowniczą wściekłością.

— Zostaniesz w tej klasie, którą ja oczywiście zamknę, i przepisziesz pierwszych pięćset wierszy „Raju Utraconego” Milтона. Żałuję, że opuścisz obiad. Ale pokuta, jak nas uczą święci, najlepsza jest o pustym żołądku.

Paznokcie chłopca wpijały się w dłonie. Klasa opustoszała. Dziekan zebrał papiery i łaskę i z ostatnim surowym spojrzeniem na swoją ofiarę wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Adam wyjrzał przez okno.

— „Nie są więzieniem kamienne mury ani krata klatką” — zacytował półgłosem. — A tu nawet żadnych krat nie ma. — Zastanawiał się. — Za pół godziny obiad. Zdażę. Ten skarżypyta nagada. Ale zanim nagada, już mnie tu... Nie. Niech nie mówią, że stchórzył przed chłostą. Niech biją! A w nocy...

Przysunął pulpit pod wysokie okno, ławkę na pulpit — i ostrożnie wyjrzał. Dziekan nie wróci aż po obiedzie. Tego był pewien. Droga wolna! Zeskoczył lekko, na palce, ugiąwszy nogi w kolanach. Pobiegł wzdłuż muru, przystanął przed rogiem, wyjrzał. Pedel wychodził właśnie na dziedziniec. Lizus, schlebający profesorom, nigdy nie pomijał sposobności oskarżenia jakiegoś ucznia. Adam wycofał się, zawrócił i pośpiesznie wspiął się na stare, rosochate drzewo. Pedel przeszedł pod drzewem, nie zauważywszy chłopca. Adam zsunął się znowu na ziemię, pobiegł za róg budynku i popędził, omijając szerokim łukiem miejsca, gdzie mógł spotkać kolegów albo profesorów, spacerujących przed obiadem.

Wiedział, gdzie znajdzie Patona. Na skraju boiska, po stronie przeciwnej budynkom szkolnym, znajdował się niewielki zagajnik, otaczający jeszcze mniejszą polankę, ulubioną kryjówkę wielu pokoleń chłopców. Paton będzie tam z pewnością, odczytując wybranym kolegom pieprzne ustępy z francuskich romansów, które skądś dostawał. Adam wpadł między nich, ściągając kurtkę, rozwiązując krawat.

— Mówisz, że jestem oszustem, Paton. A ja powiadam, że jesteś łgarz. Teraz rozstrzygniemy, kto z nas ma rację!

Paton i dwaj inni chłopcy porwali się na równe nogi. Syn baroneta wyprostował się na pełną wysokość swoich sześciu stóp — o dwa czy trzy cale nad wzrost Adama. Jego wargi wygięły się pogardliwie. Czysto fizycznej odwagi mu nie brakowało. Walczył już nieraz przedtem z Adamem i walka bywała zawsze nie rozstrzygnięta.

— Niewątpliwie ludzie twojego pochodzenia — rzekł szyderczo — uważają brutalną siłę za naturalny sposób załatwiania każdej sprawy. Bardzo dobrze — jeśli sam chcesz, ty chamlie... — I powoli zaczął się rozbierać.

Paton uczył się boks u najlepszych trenerów. Adam polegał tylko na szybkości ataku, zręczności nóg i sile ramienia. A tym razem szybkość i siłę spotęgowała jeszcze wściekła nienawiść, jakiej dawniej wcale nie czuł do syna Sir Jamesa Patona. Kpił sobie tylko z tego dandysa, wiecznie podlizującego się nauczycielom.

Przyjaciele Patona patrzyli, jak dwaj zawodnicy stanęli pośrodku polanki. Paton wyciągnął rękę.

— Już dość sobie rękę zabrudzę, tłukąc ciebie na kwaśne jabłko! — rzekł prowokacyjnie Adam i podniósł pięści.

— Już! — zawołał jeden z chłopców w roli sekundanta.

Adam rzucił się na Patona, ale powstrzymał go chłodny, dobrze obliczony lewy prosty. Zaatakował znowu, z pochyloną głową, wymachując pięściami. Atak był tak gwałtowny, że Paton aż stęknął pod ciosami. Gdy odskoczył lekko, Paton dosięgnął go prawym sierpowym tak potężnym, że Adam się zachwiał. Oprzytomniał natychmiast. Znowu zaatakował, znowu odrzucił go lewy prosty. Ruszył raz jeszcze, by w zwarciu obrobić zebra Patona, sparował zamierzony cios i dosięgnął zamachem nosa przeciwnika.

Krew kapiała na górną wargę Patona. Ciemne oczy zabłysły złością. Wzbierała w nim pasja równa furii jego przeciwnika. Adamowi właśnie o to chodziło — by przełamać tę chłodną, wyćwiczoną precyzję. Paton zaczął atakować. Ale jego ramionom brakowało rozmachu. Adam ustąpił, uchylił się, wciąż na palcach, jakby tańczył — i jeszcze raz rzucił się naprzód. Od tego ciosu Paton zgął się wpół. Adam odstąpił. Paton wyprostował się i znowu ruszył do walki. Oczy Adama błyszczały, półśmiech wyginał jego wargi, przecięte i trochę krwawiące od owego lewego sierpowego Patona.

I znowu Adam przemknął się przez gardę Patona i młócił pięściami w jego boki. Usta Patona otwarły się, z trudem chwycił oddech.

— Odstęp od zwarcia i wal... Lewym sierpowym... on na to nie ma obro ny! — krzyczeli przyjaciele Patona.

Z trudem łapiąc oddech, Paton wyrwał się, odstąpił o krok i podniósłszy głowę, zamierzył się. Ale ciosy Adama odebrały mu już szybkość ruchów. Adam zdążył skoczyć. Od lewej w oko — i gdy już głowa Patona się odchyliła, jeszcze jeden cios całym ciężarem w splot słoneczny.

Paton padł, zwijając się w upadku i legł na boku skurczony. Adam, również z trudem oddech łapiąc, z krwią spływającą mu z rozciętej wargi, stał, wsparłszy na biodrach dłonie, czerwone od krwi z nosa Patona.

— Łgarze są wyżsi, ale chamy silniejsze, jak widać — sapał.

Paton się nie ruszał.

— Możesz mu tam coś przetrącić? — powiedział jeden z towarzyszy Patona.

— Może on już nie chce, bym go więcej przetrącał — odparł Adam i od wróciwszy się podniósł kurtkę i krawat.

Paton dostał porządnie, ale nie stała mu się większa krzywda. Z odwagą łączył przezorność.

— Chciałem właśnie, byś miał coś na pamiętkę ode mnie — rzucił przez ramię Adam i wysunął się spomiędzy krzaków z tej strony, która była zakryta od budynków szkolnych.

Paton podniósł głowę:

— Pożalujesz tego, choćbym miał do końca życia na okazję czekać!

Znalazłszy się z powrotem w klasie, Adam się oczyścił, o ile tylko mógł, wytarł twarz chusteczką do nosa i zabrał się do spiesznego przepisywania wierszy. Miał wcale niezłą wprawę w odrabianiu tego rodzaju kar.

— Adamie Hunter, przepiszesz za karę...

— Adamie Hunter, zostaniesz po lekcjach w klasie...

— Adamie Hunter, przyjdiesz po lekcjach do mego gabinetu...

Takie głosy, przerywane czasem niechętną pochwałą za nieprzeciętne zdolności, towarzyszyły stale dniom szkolnym tego szesnastoletniego rebelianta, który wszakże nie miał w sercu złośliwości.

Przepisał już kilkanaście kartek, po dwadzieścia wierszy każda, gdy klucz zazgrzytał w zamku. Z twarzą skamieniałą w wyraz najsurowszego potępienia, dziekan wkroczył do klasy. Adam wstał. Wargę miał spuchniętą, ślady zaschniętej krwi na twarzy i rękach, włosy rozwichrzone, wbrew wysiłkom przyglądzenia ich, spodnie rozdarte i spięte szpilką.

— Piękny widok, nie ma co! — Dziekan potrząsnął głową. — A w infirmerii leży w tej chwili, z okiem zamkniętym od opuchnięcia, z całym ciałem potłu czonym... — Adam był gotów skakać z radości — ...chłopiec o głębokiej kulturze i wrodzonej szlachetności, chłopiec wierny swym wychowawcom i najpiękniejszym tradycjom szkoły, który został podle, nikczemnie, zdra dziecko napadnięty przez nie ucywilizowanego plebejusza.

Krew uderzyła Adamowi do głowy i wypłynęła gorącym rumieńcem na policzki, ale tylko zacisnął wargi.

— Chodź ze mną do mojego gabinetu, gdzie spróbuję raz jeszcze pouczyć cię o zasadach zachowania gentlemiana środkami, które ci przypomną, że inni również mają władzę zadawania bólu.

Adam poszedł za nim posłusznie. Przygotował się już psychicznie na chłostę, która miała być ostatnia. Myślał o aluzji do pochodzenia jego ojca. Nie była to pierwsza aluzja tego rodzaju, którą mu rzucono w twarz. I nie tylko ze strony nauczycieli. Słyszał szepty chłopców na temat, że Hunter nie jest właściwie z ich sfery. Mało kto poważał się powiedzieć taką rzecz głośno. Paton nie był pierwszym, który przekonał się na własnej skórze o sile Adamowych pięści.

— Kładź się na tamto krzesło... Obnaż się... — Dziekan wypróbowywał prężność różnych lasek, ujmując każdą za dwa końce i lekko zginając.

„Chyba już żadna pogoń ze szkoły mnie tu nie doścignie” — myślał Adam i odgarnawszy roztargane, jasne włosy, dotknął ostrożnie palcami opuchniętej wargi. Od godziny dziesiątej poprzedniego wieczoru przeszedł dwadzieścia

mil. Mógł sobie pozwolić na bardzo zasłużony odpoczynek i zjeść chleb z serem i czekoladą, którą kupił w szkolnym sklepiku przed kolacją. Wprawna w chłostaniu ręka dziekana zdarła skórę z ciała Adama, toteż jego całonocny marsz — gdy już spuścił się z okna swego pokoju przy pomocy sznura, ściągniętego ogrodnikowi — był prawdziwą próbą wytrzymałości. „Dzieskan całkiem słusznie się chwalił, że potrafi zadawać ból” — myślał Adam.

Leżał na brzuchu — w jedynej możliwej pozycji — na wzgórzu, na miękkiej murawie i spoglądał w dół, na rozległe łąki, gdzie o siódmej rano owego sobotniego ranka kosiarze ostrzyli i klepali kosy. Znajdował się o niecałe dziesięć mil od domu, ale nie był to cel jego marszu. Słusznie przewidywał, że jego rodzice na razie jeszcze nie wiedzą nic o kłopotcie, którego ich pierworodny stał się przyczyną. W pobliskim żywopłocie ptak zanosił się od śpiewu, przejęty radością życia. Woń siana dochodziła aż do chłopca, który na chwilę zapomniał o wszystkim innym i rozkoszował się swobodą. Ale ta cudowna swoboda zwróciła jego myśl ku szkole, z której uciekł. Tam cały nacisk kładziono na obowiązek. Adam się zastanowił. On też uznawał potrzebę wypełniania obowiązku. Ale nauczyciele uważali, że obowiązek polega na tym, aby słuchać tylko ich głosu, a nigdy głosu własnego młodego serca. Myśli chłopca układały się w nieokreślone kształty, zwykłą w szesnastym roku mieszaninę pragnień i nadziei, wspomnień dzieciństwa i marzeń, wybiegających w dojrzałą przyszłość. W rozmowach ze swoim pradiadkiem, starym prawnikiem Debenhamem, wchłaniał — gdy miał zaledwie lat dwanaście — świadomość innego rodzaju obowiązku, nie tylko w służbie zazdrosnego Boga, królowej — Niemki, snobizmu klasowego i urzędników administracji kolonialnej.

Rozmyślania, którym znacznie pomagało gryzienie żdźbła trawy, przerwało nagle jakieś poruszenie w kieszeni Adama. Wsunął do kieszeni rękę i wyjął małego żółwia. W pierwszej chwili małej łepki schował się z powrotem pod skorupę: z wolna wysunął się znowu i czarne oczka rozejrzały się dookoła. Krótkie nóżki jęły się ukradkiem poruszać, głowa kręcić to w tę, to w tamtą stronę. Adam patrzył na niego uśmiechnięty i powrócił do swoich rozmyślań.

Gdzie miał się teraz udać? W głębi serca już zdecydował, kierunek jego ucieczki wskazywał to bez wątpliwości. Do domu? Nie. Matka okazałaby zapewne zrozumienie i sympatię. Ale ojciec? Sprawi mu drugie lanie i każe wracać do szkoły. Ojciec spodziewał się po nim wiele — ale jego nadzieje nie pokrywały się z nadziejami i ambicjami Adama. Ojciec chciał wykształcić syna na urzędnika administracji państwowej w kraju, a lepiej jeszcze w koloniach. Chłopiec skrzywił się na samą myśl o tym. Czuł z całą pewnością, że nie da się zamknąć w ramach prawomyślnej kasty urzędniczej, odizolowanej od życia społeczeństwa. Zbiły na kwaśne jabłko każdego, kto by po-

wiedział słowo przeciw ojcu; ale on sam nie chciał iść śladami ojca po tej drodze, którą teraz obrał.

Wyciągnął rękę i zawrócił zółwia, by nie zawędrował za daleko.

W Chilcote, gdyby był tak głupi, żeby tam pójść, musiałby spotkać się z pogardliwym snobizmem Eweliny. Ona chciała mieć brata prymusa. Adam wiedział doskonale, że nie kierowała nią wcale siostrzana sympatia, lecz tylko pragnienie korzystania z odblasków jego sławy. Ewelina paliła się do chłopców: kiedy Edward Paton przyszedł do dworu w Orchards podczas ostatnich wakacji, robiła do niego takie słodkie oczy, że głupio było patrzeć. Siostrzyczka! Powie z pewnością, że jego ucieczka ze szkoły zepsuje jej szanse zamążpójścia. On by odpowiedział, że każdy musi dla siebie piwo warzyć, ale ona by zawsze chciała, żeby wszyscy tylko jej służyli. Co do Alka — o niego nie trzeba się kłopotać. Dzieciak jeszcze, ale miły dzieciak, szczerzy i uczciwy, zabawny z tą swoją nienasyconą ciekawością przyczyn i powodów wszystkiego.

Nie, nie dom. Chociaż bywało tam dobrze — gdy szukał jamy lisa, zapamiętywał miejsca, gdzie znajdowały się ptasie gniazda, pomagał przy poszywaniu strzech, uczył się układania zbóż na drabiniaste wozy podczas zniw, pędził konie wieczorami do stajni, pomykał skrótami i ścieżkami tak, że pieszo przebiegał prędzej niż rodzice jadąc kabrioletem. I długie rozmowy ze starymi przyjaciółmi: poczciwym starym Tomaszem albo Stanleyem Appletonami, którzy w swój własny nieokrzesany sposób wyrażali podobne poglądy, jak jego pradziadek.

Wielu chłopców ze wsi lubił bardziej od kolegów szkolnych. To również nie podobało się ojcu. Nie mógł zapraszać ich do domu — nie byli synami baroneta...

Żółw zawędrował za daleko, więc Adam włożył go z powrotem do kieszeni.

...Ale ani baroneci, ani synowie baronetów, jak Edward Paton, nie opowiadali Adamowi takich nadzwyczajnych i wspaniałych historii, jak niektórzy wieśniacy w okolicach Chilcote, gdy zebrali się w swych odświętnych, niedzielnych ubraniach na pogawędkę. Początkowo, gdy Adam przyłączał się do nich, przepędzali go. Ale wykręcał się i przysłuchiwał, aż przywykli do niego i przekonali się, że mogą mu ufać. Przechwałki na temat tej czy innej dziewczyny nie interesowały chłopca. Natomiast z przejęciem słuchał opowiadania o pasterzu, który ponoć zdradził wieśniaków, zajmujących się kłusownictwem. Trzech skazano i zesłano na ciężkie roboty. Ich przyjaciele wysledzili pasterza, poszli za nim pewnej nocy i obdarli go żywcem ze skóry.

Albo inna opowieść z bardzo dawnych czasów, jeszcze zanim ogrodzono pastwiska gminne. Było wtedy wielu drobnych farmerów w okolicach Chilcote. Do wsi przybył nowy pastor, który bardzo upominał się o swoje dziesięciny — co dziesiąte jajko i owoc, co dziesiąte kurczę i prosię. Wieś była uboga, trudno

było im zdobyć się na płacenie tej dziesięciny. Wreszcie złożyli wspólnie drobną sumkę i opłacili pewnego wiejskiego osiłka, półdiotę. Następnej nocy znaleziono pastora z głową rozłupaną na dwoje ciosem łopaty. Ale półgłówek płótł niepotrzebnie i nie opuszczał wsi. Wieśniacy ciągnęli losy i ten, na którego wypadło, obietnicą napitku skusił półgłówkę do pewnej opuszczonej, na wriół rozwalonej stodoły i tam go uduśli. Pochowano go pod podłogą.

Adam wstrząsnął się na tę myśl. Odwrócił się od łąk i kosiarzy, spojrzął w drugą stronę. Widok dokazujących jagniąt kazał mu zapomnieć o strasznych opowieściach i uśmiechnąć się. Wydobył znowu złotwia. Dostał go podczas ostatnich wakacji i od tej pory nie rozstawał się z nim. Matka powiedziała, że jest już za duży na noszenie się z takim stworzonkiem, ale w szkole Adam nie mógłby schować żadnego większego zwierzaka. Matka. Kiedy ją znowu zobaczy? Wiedział, że jest taka właśnie, jaka być powinna. Instykt mu to mówił. Ujmowała się zawsze za każdym, komu się źle powodziło albo kto powstawał przeciw władzom. Ona zrozumie, gdy się dowie o jego ucieczce ze szkoły. Ona nie plotła wzniosłych słów o dobroczynności, jak żona pastora, która zawsze mówiła o miłosierdziu i żądała, by ją tytułowano jaśnie panią. Gdy matka komuś pomagała, nie patrzyła przy tym na nikogo z góry. Była jedną z tych, którym pomagała.

O jego ojcu i matce opowiadał mu pradziadek. Opowiedział mu najpierw o sobie: jak wówczas, gdy jego firma prawnicza była w trudnym położeniu finansowym, sprzedał właściwie córkę Sir Aleksandrowi. Jak tego żałował, jak poświęcił się sprawom społecznym, jak spotkał wnuczkę, Oliwię, ale nie dał się jej poznać. Szkoda, że mało kto z dorosłych jest do niego podobny. On rozumiał awanturniczość Adama, próbował skierować ją na tory, gdzie by mogła przekształcić się w zaletę. Opowiedział chłopcu wszystko o „rebelii głodnych żołądków”, o bohaterstwie i bezkompromisowości Filipa. Adam zapytał, dlaczego ojciec jego tak się zmienił. Stary Debenham odrzekł, że i on ma oczy otwarte, ale że chciałby, aby Adam pamiętał zawsze o szlachetnej i bohaterskiej roli, którą jego ojciec odegrał w rebelii — a może nadejdzie dzień, kiedy i Adam wystąpi w imię jakiejś sprawy.

Adam zastanawiał się, kiedy też nadejdzie taki dzień. Ale był głęboko przekonany, że wówczas poświęci się wybranej sprawie bez reszty. Pradziadek był bardzo, bardzo stary — najstarszy człowiek, jakiego Adam spotkał dotąd w życiu: Szkoda, że musiał umrzeć.

Chłopiec wstał, przeciągnął się, dotknął ręką złotwia w kieszeni i swobodnym krokiem poszedł w kierunku najbliższego gospodarstwa. Wydał ostatnią posiadaną monetę na zapłacenie za wielki kubek gorącego mleka i powędrował, żałując trochę nie przespanej nocy, po miękkiej murawie wzdłuż gościńca. Już nie ukrywał sam przed sobą celu swojej drogi.

„Staruszek nie zgorszy się moją ucieczką — upewniał sam siebie.” —

Zawsze mi mówił, abym pamiętał, do czego służą pięści. Nie pośle mnie z powrotem do szkoły. Jest zdania, że szkoły to nonsens. Ja chciałem się uczyć, ale szkoła... I nie odesłał mnie do Chilcote; będzie z satysfakcją spiskował przeciw ojcu. Dziwne, że dwaj ludzie, do których najbardziej się przywiązałem, obaj byli starzy i w dodatku tacy różni... Krew obu płynie w żyłach mojej matki — a jednak się nienawidzili. Obaj wspinali staruszkowie, ale jakże niepodobni do siebie!"

Rozdział czwarty

Dwór w Binwood mało się w gruncie rzeczy zmienił od owych czasów przed dwudziestu laty, kiedy Oliwia opuściła jego mury, by pod opieką swego dziadka oczekiwać wyjścia Filipa z więzienia. Kamienny, kwadratowy budynek postarzał się jakby, ale okiennice, drzwi i rynny malowano co roku, utrzymywano w wielkim porządku i otaczano staraniem. Pnie drzew dookoła domu zgrubiały jeszcze, zieleń stała się gęstsza, mchy sięgały wyżej. Ale wewnątrz panował nieład i zaniedbanie: widać było brak troskliwej ręki kobiecej w warstwie-kurzu na kominku, brakujących kółkach od firanek, w pokapanych woskiem lichtarzach. Meble, od dawna nie odnawiane, straciły połysk; nie zmieniane obicia podarły się i spłowiwały. Psy rozłyły się i rozleniwiły, pozbawione nieustannej pracy polowania i aportowania.

Około godziny jedenastej przed południem w sobotę — tego samego dnia, kiedy Adam wagarując leżał na łące i rozmyślał nad swoją przeszłością i przyszłością — jego dziadka, Sir Aleksandra Patersona, dwaj lokaje znosili po schodach na dół, przy akompaniamencie okrzyków bólu i soczystych wymyślań pana. Unieruchomionego podagra, przenoszono na fotel w jadalni, latem przystawiony do okna, zimą do kominka. Usadowiony wreszcie, obłożony poduszkami, z lekkim pledem narzuconym na obolałe nogi, Sir Aleksander wskazał palcem na jedną ze strzelb, które zawsze stały po wszystkich kątach pokoi.

— Przynies mi tę — rzekł rozkazującym tonem do Jenkinsa, lokaja. — Wyczyszcz ją.

— Ale jaśnie panie, przecież wczoraj... — zaczął Jenkins. Był to drobny człowieczek z wiecznie wystraszoną miną, której nabył w ciągu wielu lat służby u schorowanego, ale nadal despotycznego pana.

— Tak, czyściłem ją wczoraj — przerwał mu Sir Aleksander. — I czyściłem ją przedwczoraj i będę znowu czyścił jutro! Rób, co każę, i nie gadaj, tumanie jeden! Auuu! — Sir Aleksander poruszył w irytacji nogą i zaraz odpokutował tę nieostrożność.

Sam w pokoju, ów niegdyś zawołany jeździec, myśliwy, hulaka, kobieciarz,

światny również gospodarz i bynajmniej nie próżniak — zabrał się do czyszczenia lśniącej od czystości strzelby. Nadal pił sporo wbrew zaleceniom lekarza — zaleceniom wydawanym bardzo ostrożnie w obawie, by chory nie cisnął czymś ciężkim — co oczywiście pogarszało jego stan. O konnej jeździe przypominały mu jedynie opasłe psy. O podbojach miłosnych tylko marzył. Pracaował teraz wydając rozkazy; nie mógł już, jak niegdyś, osobiście doglądać całego wielkiego gospodarstwa. A z myślistwa pozostało mu jedynie czyszczenie strzelb.

Położył strzelbę na kolanach i zapatrzył się na gazon przed domem, na łąki i łany zbóż w oddali. Było ciepło. Woń kwiatów z klombów dolatywała do okna i łagodziła rozdrażnienie starego człowieka. Brzęczenie pszczoł usypiało. Zadrzemał i śnił niespokojnie, że znalazł się pośrodku stada zajęcy, które uganiały wokół niego, a on nabijał i strzelał, nabijał i strzelał, ale nigdy nie trafił.

Obudził go lokaj przynosząc lunch, na który złożył się krwawy rostbef z kapustą, zielonym groszkiem i kartoflami — wbrew wszelkim dietom, przepisywanym przez lekarza.

— Pokrój mi mięso — rozkazał lokajowi. — Robieś to już chyba dosyć często. Zawsze mam ci przypominać?

— Ale wczoraj jaśnie pan powiedział, żeby...

— Dziś nie jest wczoraj — warknął Sir Aleksander. — Mówię ci, co masz robić dzisiaj!

Po lunchu kazał sobie podać drugą strzelbę, oczyścił ją i znowu zadrzemał. Tym razem śniły mu się nieskończone ilości bażantów lecących nisko nad jego głową. I znowu pudłował za każdym razem, kiedy nacisnął cyngiel.

Obudził się w gniewie.

— Ja im pokażę! — powiedział na głos do siebie. — Pokażę im, czy nie potrafię strzelać tak celnie, jak zawsze!

Wychylił się i uderzył w gong, zawieszony na podorędziu.

— Idź do pokoju myśliwskiego — krzyknął do lokaja, który stanął w drzwiach — i przynieś mi skrzynkę amunicji!

Otwierając pudło z nabojami, Sir Aleksander rozkazał:

— Teraz weź kołatkę i stań pod tymi więzami. Hałasuj, ile tylko wlezie! Idź! Pośpiesz się!

Jenkins spojrział ze zdumieniem na pana, który z dnia na dzień wydawał mu się coraz bardziej narwany, i wybiegł, ale w progu zawrócił go donośny okrzyk:

— Podnieś! — wołał pan, pokazując na leżącą na podłodze strzelbę. — Zaczarowana czy co! Wyskoczyła mi z rąk.

Ostatnio ciągle mu wszystko z rąk wypadalo. Lokaj był przekonany, że Sir Aleksander upuszcza przedmioty tylko po to, by mu dokuczyć. Stary pan

trwożył się swoją niezdarnością, nie umiając zdać sobie sprawy z jej powodów. Gdyby mu lekarz powiedział, że ten objaw trzeba traktować jako ostrzeżenie, byłby nawymyślał biedakowi od zabobonnych idiotów.

Nareszcie lokaj dotarł pod więzy. Ledwie zahłasował kołatką, z koron starych, ogromnych drzew zerwała się istna chmura gawronów. Jednocześnie przemówiła strzelba Sir Aleksandra. Jeden ptak zakołysał się w locie, wlokąc skrzydło za sobą, wreszcie spadł ciężko na ziemię i jeszcze chwilę dygotał w ostatnim wysiłku opanowania podruzgotanego ciała. Krótka przerwa, którą wypełnił hałas kołatki, płosząc ciszę, a potem znowu huk wystrzału i drugi spadający gawron. Powtarzało się to, aż ze dwadzieścia gawronów leżało na trawie pod więzami.

Lokaj wciąż wymachiwał kołatką. Nie śmiał zaprzestać bez rozkazu.

— Hallo, Jenkins! Kto strzelał do gawronów? Dobra robota!

Lokaj okręcił się na pięcie na dźwięk głosu dobrze znanego, ale którego zupełnie się nie spodziewał.

Stała przed nim zakurzona i bardzo znużona postać w szarych spodniach i czarnej kurtce, które stanowiły obowiązujący w szkole mundur.

Zapominając o kołatce Jenkins otworzył szeroko usta ze zdumienia i zawołał:

— Panic Adaś! Ale jak?... Dlaczego?... Nie wiedziałem, że się spodziewamy przyjazdu panicza!

— Bo się nie spodziewaliście — odrzekł Adam i osunął się ostrożnie na trawnik w cieniu drzewa. — Ale co ma znaczyć ta cała masakra?

— To Sir Aleksander, paniczu. Nagle zachciało mu się strzelać z okna jadalni do ptaków. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie robił, paniczu.

— Pewno się nudzi.

— Biedny stary pan!

Adam ściągnął swoje zapinane z boku na guziki czarne buciki i potarł obolałe stopy.

— Trzydzieści mil od północy — powiedział. — Szło mi się dobrze przez pierwszych dwadzieścia. Ale te ostatnie dziesięć mil — po prostu kuśtyka łem. Liczyłem, że zdążę na obiad, ale musiałem tak często odpoczywać. Jak się miewa mój dziadek?

Adam wyciągnął zółwia z kieszeni i położywszy go na trawie, śledził powolne ruchy zwierzątka. Lokaj popatrzył na zółwia, a później przeniósł uważne, pytające spojrzenie na chłopca ze spuchniętą wargą.

— Nie wydaje mi się, aby ze zdrowiem była jakaś różnica — odrzekł. — Ale humor ma coraz gorszy. Całkiem nie wiem, czy to dobry znak, czy zły? Z pewnością dobrze mu zrobi, jak panicza zobaczy. Ale jakim sposobem panicz?...

— Na razie nie będziemy o tym mówić — przerwał mu Adam. — Muszę

pójść do dziadka. — Usiłował naciągnąć buciki. — A niech to! Stopy mi spuchły. No cóż, pójdę w skarpetkach.

Jenkins pomógł mu wstać. Adam schował żółtwa do kieszeni i kulejąc, na pokrytych pęcherzami stopach, szedł ku domowi.

— Dziwię się, że jaśnie pan nie wołał — rzekł lokaj. — Nie przyszło mi to poprzednio do głowy. Bo przecież musiał paniczka już zobaczyć.

Po raz pierwszy spojrzeli obaj w okno jadalni. Lufa strzelby sterczała nad parapetem, ale dziedzica na Binwood nie było widać.

Na chwilę przed przybyciem Adama pod drzewa Sir Aleksander oparł strzelbę o parapet okna.

— Dwadzieścia strzałów, dwadzieścia gawronów — powiedział głośno, z satysfakcją. — To ich nauczy, że chociaż moje przeklęte nogi szwankują, i cokolwiek tep dureń lekarz opowiada o mojej wątrobie, oczy mam równie dobre, jak zawsze, a rękę pewną. — Rozejrzał się gniewnie po pokoju, jakby spodziewał się zobaczyć tłum ludzi, kwestionujących celność jego strzałów. Zapomniał, że masakra gawronów — zapewne zresztą z korzyścią dla owoców w sadzie — była odpowiedzią tylko na jego własne zmyślenia.

Wziął pudło z amunicją z parapetu okna i zaczął w nim grzebać. Pudło wysunęło się z rąk i upadło na podłogę. Zawołał lokaj, zapomniawszy, że ten *stojąc* pod więzami, nie może go usłyszeć. Wychylił się poprzez poręcz fotela — nie sięgnął palcami pudła. Wychylił się bardziej. Jeszcze cał i przyciągnie pudło bliżej... Poręcz fotela była niska. Pod ciężarem wielkiego, na wpół bezwładnego ciała załamała się. Ojciec Oliwii osunął się ciężko na podłogę...

— Rad będzie zobaczyć paniczka — mówił Jenkins, pomagając chłopcu iść po żwirze podjazdu. Nie mogli już teraz widzieć okna jadalni.

— Miejmy nadzieję — mruknął Adam.

Ale Sir Aleksander nie widział ich nawet wtedy, gdy nie usłyszawszy odpowiedzi na pukanie, Adam wszedł do jadalni, a w ślad za nim Jenkins. Dziedzic leżał bezwładnie na zniszczonym dywanie, jedna z jego sparaliżowanych nóg zgnieciona ciężarem ciała, druga wykręcona dziwacznie za nogą fotela.

— Dziadku! — Adam rzucił się na kolana obok nieruchomej postaci.

Nie było odpowiedzi.

— Mój Boże! — wykrzyknął chłopiec. — Dlaczegoż nie przyszedłem choć trochę wcześniej.

O tej samej porze w Orchards rodzice jego dostali wiadomość o ucieczce syna ze szkoły.

Po długiej, gwałtownej, pełnej wzajemnych wyrzutów i oskarżeń rozmowie Hunterowie postanowili czekać jeszcze do następnego dnia. Może rankiem Adam się zjawi? Filip liczył jeszcze na to, chociaż Oliwia już się nie łudziła.

Trzeba było powiedzieć rodzeństwu Adama. Ich reakcja była charakterystyczna.

— Zawsze musi wyczyniać takie rzeczy, żeby się różnić od innych chłopców — zawołała Ewelina. — Dlaczego nie może się normalnie, porządnie uczyć? Edward Paton weźmie teraz nagrodę na koniec roku szkolnego. Cóż, on z pewnością więcej na nią zasługuje od mojego szanownego braciszka!

— Solidarność rodzinna nie jest twoją mocną stroną — zauważyła Oliwia, zapominając, że ona sama, gdy opuściła dom swego ojca, nie była tej cnoty najlepszym przykładem.

— Ciekaw jestem, jak się Adam wydostał z budynku szkolnego — zastanawiał się Alek. — Muszę go o to dokładnie wypytać.

Mając na myśli wyrko drewniane, na którym sypiał w chatce za swoich fernalskich czasów, Filip niegdyś powiedział Oliwii wyzywająco i z namiętym pożądaniem w oczach: „Najwygodniejsze jest to łóżko, na którym najbardziej chcesz spocząć”. Później Oliwia przytoczyła te słowa swemu ojcu, który nie mógł pojąć, dlaczego rzuciła komfort dworu w Binwood i wybrała drewniane wyrko dworskiego fernala. Małżeńskie łóżo w Orchardss było teraz miękkie i wygodne i Hunterowie zaznali w nim wiele wzajemnej rozkoszy. Ale tej nocy, po otrzymaniu wiadomości o ucieczce Adama, żadne łóżko nie mogło im dać snu ani wypoczynku. Bezsennie przewracali się po pościeli, oczekując wczesnego, na szczęście, świtu. Gdy pierwsze promienie słońca przyniosły nadzieję ulgi, przynajmniej w działaniu, Oliwia powiedziała do Filipa, który leżał z otwartymi oczyma:

— Wiesz, gdzie moim zdaniem on poszedł?

— Pewno do diabła — burknął Filip z goryczą.

— Był czas, kiedy uważałeś mojego ojca za coś w rodzaju złego ducha — Oliwia zmusiła znużoną twarz do uśmiechu.

Filip podniósł się i wsparł na łokciu.

— Myślisz, że poszedł do Binwood?

— No, bo gdzie indziej? Chyba że uciekł na morze. Ale wiesz, jak się polubili ci dwaj, Adaś i ojciec — jeszcze od czasu, kiedy ojciec mu śpiewał myśliwskie piosenki nad kołyską!

— Więc jedźmy tam — rzekł żywo Filip, chwytając się każdej nadziei, by wydostać się z nieznośnej beczynności.

— A jeśli zjawi się tutaj? — zapytała Oliwia.

Twarcz Filipa, rozjaśniona na chwilę, zgasła znowu. Na to była tylko jedna odpowiedź, ale ta oznaczała nadal beczynność dla niego. Westchnął i siadając na łóżku, spuścił na dół długie nogi.

— Więc jedź. Weź kabriolet. Alek cię zawiezie, on dobrze powozi.

— Jestem zdania, że warto popróbować. Ale ty będziesz się tu niepokoił, sam z Ewelina.

Uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech właśnie już niejedną raz przełamał jej opory.

— Obudź Molly — mówił Filip. — Zjedz śniadanie przed drogą. Zapakuj, co ci potrzeba. Ja obudzę Alka, nakarmię deresza i zapręgnę do kabrioletu.

Wkładał już spodnie. Oliwia prędko ściągnęła nocną koszulę i Filip, pomimo całego niepokoju, popatrzył na nią z zachwytem i aż się przestał ubierać.

— Ewelina będzie się irytować, że zostaje w domu — zauważyła Oliwia, szczęśliwa jak zawsze na widok zachwyty w oczach męża.

— Ja się nie irytuję, więc i ona będzie musiała siedzieć cicho. — Tak ostre słowa o ukochanej córce dowodziły napięcia jego nerwów.

— Nie trzeba jej budzić, dopóki nie wyjadę — łagodziała Oliwia.

W gruncie rzeczy Oliwia rada była, że pojedzie sama. Wprawdzie wyjazd bez Filipa nie miał dla niej żadnego uroku, ale to nie była przejażdżka dla przyjemności. Odwiedziny w Binwood całą rodziną, jak zwykle na Boże Narodzenie i na urodziny jej ojca, rzadko bywały udane. Sir Aleksander żywił dość szczególne pojęcie gościnności, która się u niego zawierała w obfitości jada i napitku, ale w zupełnym braku taktu. Nigdy nie owijał niczego w bawełnę, a na starość dokuczliwa podagra uczyniła go jeszcze złośliwszym. Bez ceremonii przypominał Filipowi jego wyprawy, jako fornała, po okolicy z ogierem rozplodowym, a Oliwii złamanie obowiązku posłuszeństwa. Jednocześnie z instynktowną chytrą starał się przywiązać do siebie serca wszystkich dzieci: Adama zachęcał do buntowniczości i ustalił z nim koleżeński, na stopie poufalej równości, stosunek; Ewelinę pociągał, rozdmuchując jej snobizm i podkreślając, że rozległe ziemie majątku w Binwood są podstawą pozycji w towarzystwie; Alkowi tłumaczył z dokładną cierpliwością mechanizm strzelb i wiatrówek, zastosowanie nowych narzędzi rolniczych, tajemnice zarządzania majątkiem.

„Instynkt często służy człowiekowi lepiej od rozumu i wykształcenia” — rozmyślała Oliwia. Nagle zaskoczyło ją zrozumienie, że przecież i ona kierowała się instynktem wbrew wszelkiemu rozumowi. „Byłam przeciwieństwem ojca pod tyloma względami — zastanawiała się — a jednak jestem bardzo do niego podobna”.

Chociaż wcześniej wstali, przygotowania do wyjazdu zajęły im czas blisko do ósmej. Oliwia wydawała Molly długie i szczegółowe polecenia, co i jak ma robić podczas jej nieobecności. Stara panna się obraziła i odrzekła, że już jej chyba można zaufać. Oliwia zirytowała się i przypomniała, że to jednak ona jest panią Orchards, a Molly odwarknęła, że nie ma najmniejszej chęci w tym z nią rywalizować.

Filip odkrył, że w jednym z kół kabrioletu obłuzowała się szprycha. Posłał na gwałt Alka konno do Harolda Cooka, by naprawił szkodę. Cook przy-

szedł, ale Filip unikał spotkania z nim i odwołał Oliwię od pakowania, by się z kołodziejem rozmówił.

Wreszcie wszystko było gotowe. Alek siedział w koźle wyprostowany, z lejcami w dłoni. Filip pomógł wsiąść Oliwii.

— Przywieź łobuza do domu, jeśli go znajdziesz w Binwood. Już ja się z nim tu rozprawię — brzmiały pożegnalne słowa Filipa.

Alek trzasnął z bicza, deresz ruszył. Oliwia wcale jeszcze nie była pewna, co zrobi, w razie gdyby Adam nie chciał wracać do domu — czego należało się spodziewać — zignorowała więc te słowa, a w zamian sama zawołała przez ramię:

— Jeśli zobaczysz w kościele Stanleya i Tomasza, powiedz im, że ja bardzo proszę, żeby nadal u nas pracowali!

Ewelina nie spała już i przyglądała się wyjazdowi matki z obrośniętymi pnączami okna swego pokoju. Młoda dziewczyna wcale nie miała ochoty jechać. Zostać tylko we dwoje z ojcem było dla niej wystarczającym zadośćuczynieniem nawet za odwiedziny w Binwood, chociaż lubiła bardzo dziadka, który niegdyś prowadził ją za rączkę po ogrodach i polach, a teraz, gdy już sam był unieruchomiony, umiał jednakże opowiadaniem podniecać jej pragnienie posiadania takiego majątku jak Binwood, pięciokrotnie większego od Orchards.

— Wiesz, Ewelino, nie pójde dziś do kościoła — powiedział Filip do córki, która jadła spóźnione śniadanie.

— Ja będę reprezentowała rodzinę, tatusiu. Wiem, dla kogo powinnam być uprzejma.

— Wciąż się zastanawiam, czy Adam będzie w... — zaczął Filip, ale Ewelina przerwała mu:

— Jeśli będzie, chyba się z nim porachujesz, tatusiu. Żeby tak rodzinę skompromitować!

Ślicznie ubrana, w sukience z odsłoniętymi ramionami i szerokiej spódnicy prawie do kostek, przyszła nieco później pocałować ojca przed wyjściem do kościoła. Jej włosy o gorąco kasztanowatym odcieniu spadały w długich lokach na ramiona, w rękę trzymała za wstążki kapelusik o kształcie budki.

— Odprowadzę cię do końca alei — rzekł Filip.

Gdy szli aleją w cieniu pięknych drzew, Ewelina spytała:

— Kiedy będziesz mógł dokupić ziemi, tatusiu? Tak bym chciała, żebyś dostał te pola, które leżą między nami a Patonami. Nawet wtedy nie będziemy mieć tyle ziemi, co oni, ale już różnica nie byłaby taka duża. Po tym kupimy jeszcze trochę po drugiej stronie — i już im dorównamy!

— Urodzaje w tym roku nie najgorsze — odpowiedział Filip. — Jeśli po goda nie spleta nam jakiegoś figla w ostatniej chwili, powinniśmy mieć niezłe żniwa. Może na jesieni...

— Kiedy Edward Paton był tu ostatni raz, mówił, że jego ojciec nosi się z myślą kupienia tego pola. Musiałbyś się pospieszyć — rzekła prowokacyjnie Ewelina.

— Możesz mi zaufać, że zrobię, co w mojej mocy. Ale nie będę ryzykował bankructwa.

— Wiem, tatusiu. Jesteś zawsze przezorny. Szkoda, że mamie nie zależy na posiadaniu ziemi tak, jak tobie i mnie. Edward Paton mówił...

— Ten młody człowiek coś dużo mówił do ciebie.

— On mnie bardzo... lubi, tatusiu. — I przycisnęła ramię ojca.

— Jesteś jeszcze taka młodziutka — zaprotestował słabo.

— Za parę miesięcy skończę piętnaście lat. Masę dziewcząt wychodzi za mąż w szesnastym roku życia.

— Daj spokój, nie mów jeszcze o takich sprawach. Cóż ja bym począł bez ciebie?

Zatrzymała się, podniosła ku niemu twarzyczkę do pocałunku i wesoło pobiegła w stronę wioski. Filip stał i patrzył, jak zwołniła trochę kroku, machając budką w rękę, i odwróciła się, by mu posłać całusa ręką. Widział w niej Oliwię z jej młodych lat, Oliwię, która też wiedziała, czego chce — i umiała to zdobyć. Ale Ewelina to przecież jeszcze dziecko. Co Sir James Paton będzie myślał o... No, czasu jeszcze dość. Dobra byłaby partia dla dziewczyny. Trzeba by się rzeczywiście postarać i kupić te pola. Właściwie, jest sporo drzew w lasku, które by można ściąć i sprzedać na drewno. Trzeba będzie pójść i dokładnie obejrzeć. Ale jeśli Adam tak nas kompromituje... nie ułatwi to sprawy Ewelinie...

Rozdział piąty

Sir Aleksander Paterson nie należał do ludzi, którzy by się poddawali bez walki, choćby i śmierci samej. Stwierdziwszy, że serce jeszcze bije, Adam z pomocą sług przeniósł dziadka na łóżko w sypialnym pokoju. Lokaj dosiadł konia i pogalopował po doktora do Wokinham — oddalonego o pół godziny drogi. Innego sługę wysłano w najbliższe sąsiedztwo, do brata chorego, generała Ralfa Patersona, ale ten już szedł właśnie do Binwood na podwieczorek.

Generał, którego surowy, zdyscyplinowany tryb życia pozwolił mu zachować czerstwość i zdrowie, opuścił przed paru laty służbę czynną i zamieszkał wówczas we dworze w Binwood. Sam będąc wstrzemięźliwych obyczajów, nie mógł pogodzić się z porywczym temperamentem Sir Aleksandra i zakupiwszy dom w sąsiedztwie, przeniósł się tam. Pozostał kawalerem. Byli tacy, którzy twierdzili, że generał niegdyś zakochał się od pierwszego spojrzenia

w młodziutkiej żonie Sir Aleksandra, gdy po raz pierwszy przyjechała do Binwood, a chociaż pospieszył bez zwłoki do Hiszpanii, wojsować z wojskami Napoleona, a Lady Ewelina zmarła dając życie córce — żadna kobieta nie zajęła w jego pamięci miejsca tej delikatnej, wdzięcznej postaci. Niegdyś jasne włosy generała zbielewały, ale trzymał się prosto, figurę miał szczupłą, a cerę zdrową — rezultat powściągnięcia apetytów. Mówił jeszcze bardziej zwięźle niż niegdyś.

— A ty, co tu robisz, młody człowieku? — spytał generał swego stryjecznego wnuka, baczny wzrokiem mierząc zakurzony mundur szkolny chłopaka, spuchniętą wargę i za duże pantofle ranne, wyciągnięte z jakiejś szafy we dworze. — Nie wiedziałem, że...

— Ach, stryju, proszę, proszę przyjsć do dziadka! Odzyskał przytomność i próbuje mówić!

— Idę, chłopcze. Mówił mi stangret. Kiepska to sprawa. Cóż, lata idą. Dobrze, że tu byłeś. Powiedz mi, co zaszło.

Gdy wstępowali razem po szerokich schodach — powoli, bo generał szedł sztywno — Adam pospiesznie wyjaśniał:

— Ja sam nie wiem, stryju. Kiedy wszedłem do jadalni, dziadek widocznie spadł na podłogę z fotela...

Sir Aleksander, z oczyma szeroko otwartymi, leżał na wznak na łóżku, na którym specjalna drewniana konstrukcja podtrzymywała prześcieradła i pledy, by nie ciążyły na obolałych nogach. Obrócił głowę i zmrużył oczy na widok brata i wnuka, jakby chciał przebić wzrokiem jakąś mgłę.

— Gdzie Oliwia? — zapytał.

— Na pewno wkrótce przyjedzie — odpowiedział generał. — Patrz, tu jest Adam.

Ale chory nie zainteresował się tym.

— Powiedz Oliwii, żeby do mnie przyszła — wymówił.

— Jak się czujesz? — pytał generał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Sir Aleksander zamknął oczy. Adam spojrzał pytająco na stryja.

— Nic tu po nas — odszepnął generał. — Niech doktor radzi.

Generał wyczuł zdenerwowanie chłopca. Zaprowadził go do wnęki okiennej i tu półgłosem rozmawiając, wyciągnął z Adama całą historię ucieczki. Wysłuchał spokojnie i tylko zapytał:

— Cóż teraz zamierzasz?

— Sam nie wiem. Myślałem, że dziadek mi pomoże. Zawsze obiecywał, że gdybym się znalazł w kłopotcie...

— Rad byłby zdrwić z twego ojca, a zamartwić matkę, co? — burknął na wpół do siebie stary żołnierz, unosząc w górę jedną krzaczastą, białą brew. On sam nie żywił sympatii do Filipa, którego, niegdyś po spaleniu stogów,

na jego rozkaz żołnierze aresztowali. Co do bratanicy —jak mógł człowiek, którego życie zeszło w służbie obowiązku i posłuszeństwa, rygoru i dyscypliny, zrozumieć szaleństwo dziewczyny z dobrej rodziny, która uciekła z domu i wyszła za mąż za fornała? Ale w tym chłopcu był materiał na niezłego człowieka, byle tylko pojął wartość dyscypliny. W każdym razie brat Aleksander kochał wnuka i zabierał go do Binwood na całe wakacje zawsze, od kiedy generał wrócił do Anglii.

— Co myślisz o wojsku? Wystaralbym ci się o stopień oficerski. Czy chcesz wrócić do domu?

— Do domu nie, to by znaczyło znowu szkołę — odpowiedział Adam. Błady był bardzo i zarazem jakby w jakimś napięciu. „Zdenerwowany — pomyślał generał — bo niepokoi się, co sobie stary żołnierz pomyśli o jego wybrykach. No cóż, chłopcy zawsze łobuzują. Ten smarkacz nie jest pierwszym, który uciekł ze szkoły po bójce i chłoscie. I dobrze by było wyrwać go z ojcowskiego domu. Tylko buntowniczymi pomysłami zarazi się od tych Hunterów i ich dziwnych przyjaciół". On sam, generał, nie zawsze się zgadzał z despotycznymi metodami traktowania robotników, które uprawiał jego brat. Ale z drugiej strony nie zaprzętał sobie głowy nowomodnymi pomysłami o Kubie, który chce być równy swemu panu, chce głosować i tak dalej — bzdury!

— Czy pozwolisz, stryju, że usiądę?

Ledwie wymówił te słowa, Adam potknął się, ciężko opadł na krzesło i tak siedział z głową schyloną aż na kolana. Sir Aleksander leżał bez ruchu i tylko dyszał głośno, chrapliwie.

Generał, mocno poruszony, pochylił się nad chłopcem. Adam wyprostował się — powoli, z wysiłkiem.

— Przepraszam, stryju. Ja chyba jestem głodny.

— Mój Boże! Kiedy ostatni raz jadłeś?

— Dawno. Nie miałem czasu.

— Możesz iść?

— Teraz może będę mógł.

— Więc idź do spiżarni. Każ tym leniom służącym, niech ci dadzą coś zjeść. Ja zostanę przy twoim dziadku.

Gdy Adam już kończył potężną porcję zimnej wołowiny, marynowanych pikli, chleba i sera, nadjechał doktor.

— Pęknięcie naczyńia krwionośnego w mózgu — orzekł. — Tym razem nie zagraża to jego życiu. Ale drugi taki atak... a już z pewnością trzeci... — rozrzucił szeroko swoje krótkie, grube ramiona. Czuł się pewniejszy siebie i bardziej arogancki, bo Sir Aleksander w obecnym swoim stanie nie mógł mu wymyślać.

— Co to za diagnoza! Dokładniej, człowieku! — burknął generał. — Ten drugi i trzeci atak — prędko to być może?

— Nie mogę przewidzieć. Nikt nie może przewidzieć. Sir Aleksander prowadzi taki tryb życia i tak lekceważy moje zalecenia, że wszystko się może przydarzyć. Drugi atak może być za dzień, za miesiąc, za rok.

— Ale jak pan myśli, doktorze? — zapytał Adam, przełamując swoją nieśmiałość. Wrócił właśnie ze spiżarni z nowymi siłami, z normalnymi rumieńcami na twarzy.

— Ja nie myślę — odrzekł krótko doktor. — Jak nie wiem, to nie mówię. Moglibyście się tego nauczyć, wy młodzi ludzie. Przepiszę mu kurację. Ktoś będzie musiał pilnować, aby pacjent stosował się do moich wskazań. Mogę tylko stworzyć warunki dla poprawy jego zdrowia. Reszta będzie zależała od was — i od niego.

Usiadł za stołem niski i gruby i zaczął pisać. Nagle przerwał, podniósł okragłą, siwiejącą już głowę i rzekł do Adama:

— Ale co ty robisz tutaj? Przecież to nie wakacje, co? I coś sobie zrobił z tą wargą?

Adam spojrział na stryja, jakby szukał u niego pomocy. Generał odwrócił się. Niech się chłopiec uczy pić piwo, którego sam sobie nawarzył.

— Ja... tak się złożyło, że przyszedłem odwiedzić mego dziadka. Zastałem go...

Doktor przechylił na bok głowę, popatrzył na chłopca uważnie, wzruszył ramionami i powrócił do pisania. Podszedł jeszcze raz do pacjenta.

— Śpi — rzekł. — Niech śpi. Gdy się obudzi, będzie może, podkreślam może, przytomniejszy.

Lokaj został, by czuwać przy łóżku chorego. Herbatę podano w jadalni, w której Adam zastał dziadka nieprzytomnego na podłodze.

— Trzeba wezwać twoją matkę — powiedział generał, spoglądając spod nawisłych brwi na chłopca, by sprawdzić jego reakcję.

Adam pomyślał, że o tej porze matka jego pewnie już dostała niepożądane wieści ze szkoły.

— Chyba tak -- powiedział bez przekonania.

— Jutro rano pošle człowieka po nią do Chilcote — oznajmił generał.

Wiedział doskonale, że powinien by pošłać kogoś jeszcze dziś. Ale prawdopodobnie, o ile można coś wywnioskować z gadaniny tego pompacyjnego konowała, Aleksander wydobrzeje na razie. A w ciągu kilku godzin można by podjąć jakąś decyzję w sprawie tego chłopca. Młody i głupi. Kto wie? Może się wszystko obrócić ku dobremu, jeśli się teraz ustakuje.

Adam odetchnął. Bał się, że generał pošle jego samego do Chilcote.

— No, co z wojskiem? Urządziłbym cię tam, powtarzam — rzekł generał, zabierając się do kanapek z pomidorem.

Adam pospiesznie podniósł do ust filiżankę herbaty, by zebrać odwagę.

— Chyba nie, stryju — powiedział nareszcie.

— Dlaczego nie? Niezłe życie. Zobaczysz kawał świata. Poznasz ludzi. Służysz ojczyźnie. Nie wiem, czy książki cię pociągają. Założyłbym się, że znam klasyków lepiej od ciebie. No?

— Bardzo jesteś dobry, stryju — odrzekł Adam. — Nie mam prawa oczekiwać, że zechcesz mi pomóc. Ale myślę, że nie chciałbym być oficerem.

— Dlaczego? Brak ci odwagi?

— Właśnie zbieram odwagę, by odmówić — odrzekł Adam, trąc dłonie, które wsunął między kolana, i patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie. — Nie chcę korzystać z przywilejów. Chcę jakoś na własną rękę się przebijać. Jeszcze nie wiem jak.

— Przywileje? Co masz na myśli?

— No, bo widzisz, stryju, bez twojej protekcji albo bez pieniędzy mego ojca nie zostałbym oficerem. A chcę być czymś za moje własne zasługi.

— Mój Boże! — wykrzyknął generał. — Już się zaraziłeś! Te nowomodne pomysły! Kiedy poznasz życie, mój chłopcze, zgodzisz się ze mną, że to zwariowane idee. Korzystaj z każdego przywileju, jak to nazywasz. Jeśli twój ojciec pracuje i zbija pieniądze, a ja jestem generałem po całym życiu służby, to dlaczego nie miałbyś z tego korzystać?

Adam pomyślał, co by powiedział stryju, gdyby przeczytał jego wypracowanie.

— Chciałbym spróbować żyć tak, jak moja matka — powiedział, krusząc ciasto na talerzyku. — Ona nie korzystała z żadnych przywilejów. Poszła tam, gdzie według niej było szczęście i prawda.

— Ba! Mówisz, jakbyś był jeszcze młodszy, niż jesteś. Oliwia od ojca albo od swego dziada, tego prawnika Debenhama, a teraz od tego chama, swego męża — przepraszam cię, mój chłopcze — od twego ojca dostaje zawsze tyle pieniędzy, ile jej potrzeba. A to dla kobiety największy przywilej, jak ty to nazywasz. Otwiera przed nią wszystkie drzwi.

— Mylisz się stryju, jeśli mi wolno powiedzieć. Przed matką otwierają się wszystkie drzwi nie z powodu pieniędzy, ale jej dobroci i sympatii, i zrozumienia dla ludzi wszystkich stanów.

— Bajki! Twoja matka powinna... ech, co tam argumentować. Zupełnie słusznie, że się za swoimi ujmujesz. Szanuję cię za to. Szkoda, że twoi są tacy, jacy są, to wszystko. Musisz wybaczyć staremu żołnierzowi szczerość.

— W porządku, stryju. Dziadek też mnie zawsze zachęcał do otwartości.

— Więc namyśl się jeszcze. Jutro trzeba będzie coś z tobą zrobić. Matka powinna tu być jutro przed wieczorem.

Chłopiec uśmiechnął się z desperacją w sercu.

— Mam niezły orzeszek do zgryzienia, nieprawdaż? Wiedziałem, że nie będę mógł długo tu zostać. Ale myślałem, że dziadek...

— A zamiast dziadka zastałeś starego stryja, który chciałby cię widzieć

z szeregiem wstążeczek orderowych na piersi i skrzyżowanymi buławami marszałkowskimi na naramiennikach.

Sir Aleksander obudził się w niedzielę rano pokrzepiony snem, na pozór w pełni władz umysłowych. Wymyślał schrypniętym głosem lokajowi, zirytowany, że nie może ryknąć na niego pełnymi płucami, jakby chciał.

Gdy Adam wszedł, powitał go słowami:

— Czego u diabła ja leżę w łóżku? Ten idiota Jenkins nie mówi do rzeczy. — Przerwał, spojrzał uważniej na swego gościa i dodał: — A co, u diabła, ty tutaj robisz? I skąd ta spuchnięta warga? Biłeś się?

Adam nie bardzo wiedział, jak sobie radzić z ciężko chorym człowiekiem, tym bardziej że Sir Aleksander na pewno nie będzie chciał przyznać, że jest chory.

— Doktor powiedział, że powinieneś poleżeć w łóżku, dziaduniu — rzekł wreszcie.

— Nigdy nie zwracałem uwagi na to, co mówi ten idiota. A kto go w ogóle wezwał? I dlaczego?

Chłopiec postanowił zignorować pytanie i poruszyć temat własnej osoby. Sir Aleksander zawsze mu okazywał zrozumienie. Adam domyślał się niejasno, że posługiwano się nim jako pewnego rodzaju narzędziem w tłącej się kłótni z jego rodzicami, ale tym się nie przejmował. Czuł, że może śmiało mu się zwierzyć, tym bardziej że stryja Ralfa miał już w pewnym sensie po swojej stronie. Opowiedział więc wszystko, prócz treści wypracowania.

— Syn swojej matki — mruknął Sir Aleksander, gdy wnuk skończył. Leżał chwilę spokojnie, oddychając ciężko. — Wiesz, że ze mną coś nie jest zupełnie w porządku. Czy ten idiota doktor dał mi jakieś lekarstwo? Nie pamiętam. Wszystkie jego lekarstwa to trucizny. Ale zastrzeliłem te gawrony, co? Dwadzieścia strzałów — dwadzieścia gawronów. Niech mi spróbuje kto powiedzieć, że już nie mogę celnie strzelać. To by dopiero zirytowało twojego ojca. On już pewnie wie o tobie. Ciekawym, co robi. No, my musimy coś zrobić, to pewna. Każ Jenkinsowi, żeby przestał hałasować tą przeklętą kołatką. Gawrony mogą sobie z powrotem usiąść na gniazdach.

Sir Aleksander mówił i mówił, chaotycznie, od rzeczy, mieszając sprawy i tematy.

— Dziaduniu chciałby pewnie odpocząć — powiedział Adam, bojąc się, że może zaszkodził choremu swoim opowiadaniem.

— Taki sam tuman z ciebie, jak z doktora i Jenkinsa. Odpocząć, odpocząć. Nic nie robić. Za co ty mnie masz? Co się stało z pudłem z nabojami? Właśnie miałem dosięgnąć go palcami. Co ty chcesz teraz robić? Opatrzyłeś sobie tę wargę?

— Chciałem właśnie dziadunia się poradzić, co mam robić... Ale pewnie dziadunio nie powinien...

Przerwało mu chrząknięcie. Usta Sir Aleksandra otwarły się. Zasnął.

Generał Paterson wysłał własnego stangreta do Chilcote wczesnym rankiem. Posłaniec ze dworu doniósł mu, że Sir Aleksander czuje się lepiej. Generał poszedł więc do kościoła, gdzie zwykle w zastępstwie brata czytywał listy apostołskie po nabożeństwie. Cokolwiek by się działo, obowiązki trzeba wypełniać.

Pompatyczny, okrągły doktor przyjechał, orzekł, że Sir Aleksander jest w o tyle dobrej kondycji, o ile można oczekiwać, i polecił go nie budzić.

Adam czuwał przy łóżku dziadka, siedział, wstawał, chodził tam i z powrotem po sypialni. Stał właśnie przy oknie, gdy raptem usłyszał:

— Tak będzie najlepiej. Zostaniesz tutaj i będziesz za mnie zarządzał majątkiem. Będę ci mówił dzień po dniu, co masz robić.

Sir Aleksander obudził się i prowadził dalej rozmowę, którą mu sen przerwał.

— Gdzie jest ten idiota doktor? Jak go zobaczę, zrobię mu solidną awanturę. Ktoś musi mnie znieść na dół. Kiedy ja już... później, dostaniesz majątek na własność. No, co o tym sądzisz? Zapisałem go w testamencie... komu innemu, ale mogę to zmienić. Przynieś mi tę strzelbę, co tam stoi w kącie, i szmaty, i tłuszcz. Chcę ją wyczyścić. I powiedz temu durniowi .lenkinsowi, żeby był w pogotowiu z kołatką. Miałem dobrą zabawę z tym strzelaniem. Nie wiem, czemu nie wpadłem na ten pomysł wcześniej. No, co o tym sądzisz?

Adam przestraszył się. Zupełnie szczerze nie chciał pogarszać stanu zdrowia dziadka. Ale jeśliby teraz, okazał słabość, dałby się wplątać w coś, na co z pewnością nie miał ochoty. Młodość, nawet wrażliwa i czuła młodość, jest bezwzględna w dążeniu do zaspokojenia własnych pragnień. Może i dobrze, że tak jest, inaczej młodość nigdy by nie osiągnęła tych pragnień. Adam pociągnął za taśmę dzwonka, by przywołać Jenkinsa.

— Nie sądzę, abym chciał tego, dziadunio, chociaż bardzo ci jestem wdzięczny za twoją dobroć. Chcę być wolny, chcę poznać życie i stawić mu czoła. Gdybym miał majątek i musiał się nim zajmować, nie byłbym wolny.

— Syn swojej matki — powtórzył Sir Aleksander. — Muszę sprowadzić innego lekarza. Ten dureń nic nie wart. Może Guy Forster przyśle mi kogoś z Londynu. Szkoda, że twoja matka nie wyszła za Guya. Rozsądny człowiek. Ale przypuszczam, "że nie był prawdziwym mężczyzną, jakiego Oliwia potrzebowała. — Były to jedyne, okrężne i pośrednie słowa uznania dla Filipa, jakie Sir Aleksander kiedykolwiek wymówił. Może zdradzały one myśli, tłumione zwykle poczuciem przynależności klasowej, starego dziedzica. Na chwilę zamknął oczy i Adam pomyślał, że zdradzał znowu. Jenkins wszedł, a chory otworzył oczy i kazał mu przynieść strzelbę i szmaty do czyszczenia.

I znów zaczął mówić: — Nie będziesz nigdy wolny, jeśli będziesz musiał zarabiać na życie. Kto musi zarabiać na życie, nie może być wolny. Musi dostosowywać się do wymagań tego, od którego jego codzienny chleb zależy, musi dostosowywać nawet swoje poglądy. Gdzie jest ta strzelba?

Jenkins wszedł i położył strzelbę, szmaty oraz tłuszcz na stole przy łóżku. Sir Aleksander zignorował zarówno lokaja, jak i strzelbę.

— Przypuszczam, że chciałbyś ode mnie sporą sumkę pieniędzy. Wtedy byś puścił się w świat. Ale...

Adam nie słuchał schrypniętego głosu. Usłyszał co innego: turkot kół na żwirze podjazdu. Dzwonek u drzwi frontowych zadźwięczał donośnie, połączony bardzo energicznie. Głos Oliwii w wielkiej sieni:

— Spotkałam stangreta od generała. Powiedział mi, że ojciec zachorował. Czy Adam tu jest?

Głos Jenkinsa:

— Sir Aleksander leży w swojej sypialni, proszę jaśnie pani. A panicz Adam...

Spieszne kroki po schodach. Oliwia nie czekała, by Jenkins dokończył. W sypialni Sir Aleksander także usłyszał głos córki. Adam stał jak sparaliżowany, wpatrując się w drzwi.

— Do tej szafy, chłopcze, prędko! — Chory był przytomniejszy, niżby się mogło zdawać.

Adam znikł w wielkiej szafie. Oliwia wpadła do pokoju, podbiegła do ojca, uklękła przy łóżku, zarzuciła go pytaniami o zdrowie.

— Daj spokój, dziewczyno. Jestem zdrow. Skoro już przyjechałaś, mogę powiedzieć Jenkinsovi, by mi pomógł się ubrać. A w ogóle dlaczego tu przyjechałaś? Ach, tak, miałem wyczyścić strzelbę. Idę strzelać gawrony po obiedzie. Nie wiedziałaś, co? Mam teraz zwyczaj strzelać z okna. Dwadzieścia strzałów, dwadzieścia gawronów. Czy ten cham, twój mąż, jest z tobą? I gdzie moja Ewelina? To dziewczyna, która mi do serca przypadła. Rozsądna.

— Czy Adam tu jest, ojczu?

— Głupi chłopak — brzmiała odpowiedź.

Drzwi szafy otwierały się pomału. Oliwia siedziała teraz na krześle przy łóżku, troskliwie pochylona ku choremu. Głowa Adama ukazała się zza drzwi szafy. Chory przeraził Oliwię. Wyczytniał dziwne grymasy, ale nie do niej, tylko jakby do czegoś poza nią. Obejrzała się. Nic tam nie było. Zamknięta stara szafa. Halucynacje! Ojciec musi być bardziej chory, niż się wydaje.

— Teraz musisz odpocząć, ojczu. Nie będę cię męczyła pytaniami.

Sir Aleksander zamknął oczy, oddychał ciężko. Oliwia na palcach wyszła z sypialni.

Adam opuścił swoją kryjówkę. Sir Aleksander otworzył oczy i mrugnął do wnuka.

— Stary głupiec ze mnie, ale jeszcze potrafię ich ogłupić — powiedział. Spróbował podnieść strzelbę ze stołu. — A co z tą strzelbą? Dziesięć razy cięższa, niż być powinna. Ten dureń Jenkins musiał z nią coś zrobić? Przecie nie mogą taką bronią strzelać! Co teraz? Chcesz zobaczyć matkę?

Adam westchnął.

— Lepiej nie, dziaduniu. Choć nikt na świecie nie może jej dorównać.

Drzwi sypialni otworzyły się, Oliwia wbiegła. Adafli cofnął się o krok z przestrachem na twarzy. Objęła go serdecznie.

— Dzięki Bogu, że jesteś tutaj — i zdrów.

Gdy trójka Hunterów zjadła już lunch w towarzystwie generała, a Alek zaspokoił swoją ciekawość i dowiedział się dokładnie, jak Adam uciekł i jakim sposobem zdobył rozbitą wargę, Oliwia zabrała swego pierworodnego na spacer.

— Czy chcesz mnie zabrać do domu, mamó? — pytał Adam.

— Tak sobie życzy twój ojciec.

— To znaczy, że będę musiał wracać do szkoły.

— Powinieneś skończyć nauki. Ojciec chce, żebyś później wstąpił do Oksfordu. Wiesz o tym. Ojciec ma słuszość twierdząc, że to jest najodpowiedniejsze przygotowanie do życia. Jesteś zdolny. Powinieneś uważać się za szczęśliwego, że masz tę sposobność.

Przechodzili przez podwórze gospodarskie koło stogów. Inaczej tam teraz wyglądało niż przed laty, kiedy Oliwia, wracająca z Brighton trafiła na pożar stogów i znalazła bezbronego Filipa wśród żołnierzy jej stryja. Pamiętała doskonale miejsce, gdzie matka Filipa, Agnieszka, otrzymała śmiertelny cios kopytem konia jednego z żołnierzy. Oliwia pomyślała, że powinna właściwie nienawidzić dowódcy żołnierzy — Ralfa Patersona. Ale wiedziała, stryj jej tylko spełniał obowiązek, tak jak ten obowiązek nauczono go pojmować i wykonywać. Agnieszka miałaby dziś parę słów do powiedzenia na temat towarzyskich ambicji Filipa i jego odsunięcia się od dawnych przyjaciół i dawnych spraw. Jego matka była prototypem prawdziwej bojowniczką, która nie ustępowała — aż do śmierci. A życie jej młodszego syna leżało na sumieniu Sir Aleksandra. Dziedzic Binwood, rozgniewany nieprzejednaną postawą Filipa, wyrzucił całą rodzinę z domu — na zimno i deszcz. Chorowity chłopak przemókł, przeziębził się i już nie wstał z tej choroby.

— Może Oksford nie jest właściwym przygotowaniem — mówił obok niej głos Adama — do życia takiego, o jakim ja myślę.

— Wykształcenie zawsze jest potrzebne w naszym świecie, Adasiu.

— Jeżeli przez „nasz świat” rozumiesz świat ojca, a właściwie świat, do

którego ojciec chciałby się dostać, mamusiu, to nie licz na mnie. To świat Edwarda Patona.

Szli ogrodzonym polem. Serce Oliwii zabiło mocniej. Tu właśnie w zakątku przy ogrodzeniu stała niegdyś chatka, którą Filip własnoręcznie sobie zbudował i zamieszkał tam, mając nadzieję, że gniew dziedzica odwróci się od jego rodziców, jeśli on, główna tego gniewu przyczyna, nie będzie już mieszkał pod rodzicielskim dachem. Do tej chatki przyszła Oliwia. I tam... Jej ojciec kazał zburzyć chatkę, zrównać z ziemią wtedy, gdy wyeksmitował Hunterów — po to, by nie mieli już żadnego dachu nad głową. A zaraz dalej był folwark Reginalda Scotta. Nie żył już. Cóż, jeśli wierzyć obietnicom Pisma Świętego, powinno mu być dobrze teraz. Zasługiwał na niebo za to, że udzielił gościny bezdomnym Hunterom.

Określanie Adama „świat ojca” dźwięczało jej w uszach, oczekiwało odpowiedzi. Jaki był świat Filipa? Podpalone stogi, uboga chatka, folwark Reginalda Scotta. To był świat Filipa — i jej świat także, z wyboru. Ale dzisiaj Filip nie uważał tego za swój świat. A przecież źle się też czuł, gdy przyjeżdżał do dworu w Binwood.

Oliwia często zastanawiała się, czy potrafi połączyć obecne swoje położenie — komfort, coraz bliższy zbytkownemu luksusowi — ze światem walki, do którego, jak się jej zdawało, uciekła w ową noc podpalania stogów, gdy oznajmiła wszystkim o swej miłości do aresztowanego Filipa Huntera.

Milczenie matki nie niepokoiło Adama. Czym mniej będzie mówić, tym lepsze jego szanse. Nie był wcale pewny własnych zamierzeń, chociaż stryj Ralf bezwiednie podsunął mu myśl — ziarno, które miało zakiełkować. Teraz chciał odsunąć jak najdalej chwilę powzięcia decyzji przez matkę. Gdy raz coś postanowi, nie zmieni już zdania. A więc przeciągać, opóźniać, ile się tylko da! Dać trochę czasu dziadkowi, byle tylko lepiej się czuł, by z matką pogadał. Ale Oliwia, gdy się wreszcie odezwała, zadała właśnie to pytanie, którego chciał uniknąć.

— Przypuśćmy, że nie zabrałabym ciebie do domu, tylko przypuśćmy, co byś wówczas z sobą zrobił?

— Dziadek mi zaproponował, żebym został w Binwood i uczył się gospodarować na majątku, który, jak napomknął, zostawi mnie.

— Nie chcę myśleć o tym, że „zostawi majątek” właśnie teraz... To sugeruje, że jego stan jest poważny. Ale ja ufam, że jeszcze się wygrzebie z tej choroby.

— Naprawdę, mamu, sądzisz, że dziadek wróci do zdrowia?

— Owszem, nie tracę nadziei.

— Czy dałaś znać ojcu...

— Nie. Wracam jutro, to mu sama powiem. Ale co z propozycją dziadka?

— To nie dla mnie, mamu. Wiesz przecież.

— Ale to mogłoby ułagodzić twojego ojca... — Oliwia rozpaczliwie chwyciła się każdego sposobu, jak tonący żdźbła trawy. Jej własna wola walki osłabła pod wpływem miłości do Filipa, który odszedł od dawnych ideałów. A teraz z miłości do syna, by ocalić go od kary i upokorzenia, wycofywała się z następnej pozycji. Dawno temu powiedziała swemu ojcu, że nie chce odziedziczyć Binwood. Filip zgadzał się z nią wówczas. Dziś, gdyby tylko mógł dorwać się do majątku, zagarnąłby go jak swój. Może by nie mieszkał tutaj, ale zaangażowałby energicznego rządcę i ciągnął zyski. Temu mogła zapobiec. A jednak namawiała syna, w którym chciała widzieć przyszłego bojownika o sprawę upośledzonych i uciśnionych, do przekreślenia swojej decyzją wszystkich tych nadziei. Gdyby przyjął propozycję starego dziedzica, byłoby go później równie trudno odzyskać dla sprawy, jak Filipa.

Jej obawy okazały się bezpodstawne. Ale gdy znikła jedna obawa, zaraz obudziła się druga. Bo Adam nie zwrócił szczególnej uwagi na jej poparcie propozycji dziadka. Mówił dalej.

— Stryj Ralf zaproponował, że dostanie dla mnie stopień oficerski.

Oliwia uśmiechnęła się z goryczą. A więc każdy próbował odciągnąć od niej syna! Ale gorzki uśmiech znikł, gdy pomyślała o gniewnej pasji Filipa na widok syna, o pasji dziekana, pasji dyrektora szkoły — a gniew ich wszystkich miał się skupić i wyładować na jej ukochanym pierworodnym Adamie.

— To też propozycja, która by zaspokoila twego ojca.

— Widzisz, mamó, na tym właśnie polega kłopot. Co odpowiada ojcu, to akurat nie odpowiada mnie.

— Słuchaj, synu, piętrzysz coraz więcej trudności przed sobą i przede mną. Jak ja mogę wrócić do ojca, nie zabrawszy ciebie i nie będąc w stanie wytłumaczyć mu, co z tobą będzie dalej? Musisz być rozsądny, Adasiu. Ja doprawdy chcę całym sercem ci dopomóc. Ale musisz pamiętać, że ja kocham twojego ojca i poczuwam się do obowiązku wobec niego.

Adam drgnął. Znowu! Ten obowiązek! Jego rodzona matka, o radykalnych poglądach — nazywano teraz demokratami takich, jak ona, którzy żądali udziału w rządzeniu dla każdego — mówiła o obowiązku. Adam się złościł. Dobrze, niech będzie obowiązek, ale nie wobec człowieka, który się zmienia, jak zmienił się jego ojciec. Niech będzie obowiązek w stosunku do jakiejś pięknej idei, której by się mógł poświęcić.

Okólną drogą wracali do dworu.

— Jeśli twój dziadek będzie się dosyć dobrze czuł teraz, pomówię z nim o tobie — powiedziała Oliwia. — Nie miej zbyt wielkich nadziei... Złamałeś przepisy, sam wiesz. Musisz za to ponieść karę. Nie mogę sprzeciwić się twemu ojcu. Gdyby tylko było jakieś wyjście...

Ujęła jego twarz w obie ręce i spojrzała nań z bliska z uśmiechem, choć Izy czyła się w głębi jej oczu.

Nie odpowiedział na jej uśmiech. Twarz mu zmierzchła, zacięła się w uporze. W jego wzroku nie było wrażliwej tkliwości, do której był zdolny, wiedziała o tym. Pamiętała ten wyraz uporu na jego twarzy, gdy kiedyś Filip zbił go po awanturze z jabłkami. Łagodnie, ale stanowczo odsunął jej ręce.

Oliwia kazała sobie podać kolację na górze, w sypialni Sir Aleksandra. Niewiele wskórała. Chory mówił dużo, ale od rzeczy, mieszał Adama z Filipem i strzelaniem do gawronów, z doktorem, ze wzmiankami o dawno odrzuconym wielbiciele Oliwii, Forsterze, z generałem i lokajem Jenkinsem.

Tymczasem Adam jadł wieczerzę z młodszym bratem. Generał wrócił do swego domu. Alek tłumaczył bratu, dlaczego on, gdy się zdecydował uciec ze szkoły, nie przyszedłby do Binwood, chociaż kocha dziadka. Adam próbował okazywać zainteresowanie, ale nie mógł się opanować.

— Och, przestań, smarkaczu, i daj człowiekowi pomyśleć spokojnie.

Alek chciał się obrazić, ale spojrzawszy uważniej na twarz brata, zmienił zdanie. Nie uszło też jego uwagi, że Adam schował ukradkiem chleb ze stołu do kieszeni i domyślił się, co to ma znaczyć.

Adam poszedł na górę do swego pokoju, odszukał żółtawia, który wlaź pod łóżko i włożył stworzonko do kieszeni. Zbiegł z wielkim tupotem ze schodów, bardzo głośno wszedł do bawialni, pustej zwykle o tej porze, i trzasnął za sobą drzwiami. Następnie na palcach podszedł do otwartego okna i usiadł okrakiem na parapecie. Zapadł już zmierzch. Chłopiec zeskoczył od razu poza rabaty kwiatowe pod ścianą i schylony wpół przebiegł za róg domu, gdzie nie można go już było dostrzec z okien pokoju dziadka. Podróżowanie bez bagażu miało swoje zalety. W kępie krzewów przystanął i wyciągnął żółtawia z kieszeni.

— Wyskakiwanie przez okno jest widocznie moją nową profesją — po wiedział do stworzonka bez uśmiechu. — Ale dla ciebie to już ostatnie okno. Ty będziesz wolny. Co ja ze sobą pocznę, jeszcze nie wiem. Ale pod pewnym względem też będę wolny. Jako prosty żołnierz zrzucę z siebie ciężary, które mnie dziś dręczą. Poznam drugą połowę świata. Jak się z kimś zaprzyjaźnię, nie będą myśleli, że robię to dla pieniędzy albo tytułu jego ojca. I nikt nie będzie moim przyjacielem dlatego, że mój ojciec jest właścicielem ziemskim. Nikt nie będzie o tym wiedział. Żal mi matki. Ale ona ma swój obowiązek, który pewno złamie w końcu jej piękny charakter. Żal mi dziadka. Ale mama mówi, że wróci do zdrowia. No, wędruj swobodnie, mój kochany! Dziękuję ci za towarzystwo. Tyś nigdy mi nie narzucał obowiązku. Ja sam z własnej woli wziąłem na siebie odpowiedzialność troszczenia się o ciebie. No, a teraz w drogę!

Adam szedł szybko w kierunku Londynu, nogi miał wypoczęte, nie dolegały mu. Tak młodość idzie na poszukiwanie własnej drogi życia, nie bardzo oglądając się za siebie.

W godzinę później Oliwia weszła do bawialni. W kącie siedział Alek, sam.

— Powinieneś być w łóżku już od dawna — upomniała go matka. — Idź teraz. A gdzie Adaś?

— Poszedł do swego pokoju po kolacji — odrzekł chłopiec. Odchrząknął. Nie umiał kłamać. — Powiedział, że jest zmęczony i wcześniej się położy. Ja właśnie zostałem, żeby ci to powiedzieć. — W nagłym przyplywie czułości i poczucia winy ukrył twarz na piersiach matki. — Dobranoc, mamó. Idę spać.

Oderwał się od matki i popędził na górę.

Oliwia patrzyła za nim z podniesionymi brwiami. Potem powoli poszła w górę po schodach. Zastukała do drzwi pokoju Adama. Gdy odpowiedziało jej milczenie, pokiwała tylko głową. Zajrzawszy do pokoju, zamknęła cicho drzwi za sobą. Jeszcze chwilę stała z ręką na klamce.

— Może tak będzie najlepiej — powiedziała do siebie. Wargi jej zadrżały. Oczy załśniły. Zaciśnęła mocno usta i wyzywająco podniosła głowę do góry. Poszła korytarzem do swego pokoju, jakby szła na egzekucję; zamknęła za sobą drzwi na klucz i wtedy dopiero, rzuciwszy się na łóżko, wybuchnęła płaczem, tłumiąc łkania w poduszce.

— Mój pierwszy... najukochańszy...

Optymistyczne przewidywania Oliwii co do stanu zdrowia Sir Aleksandra nie sprawdziły się. Spał dość spokojnie przez kilka godzin. Nagle, jak opowiadał później Jenkins, zaczął oddychać ciężko, chrapliwie, jak wtedy, gdy miał pierwszy atak. I raptem w gardle jego coś zarzęziło, krzyknął krótko, odetchnął i zamilkł zupełnie. Jenkins ze świecą w ręku stał przy jego łóżku. Przysunął lusterko do ust swego pana. Pozostało czyste. Jenkins wypadł na korytarz i zaczął łomotać do drzwi pokoju Oliwii.

Gdy odczytano testament, okazało się, że Sir Aleksander Paterson zapisał dwór i majątek Binwood — wnuczce Ewelinie.

Rozdział szósty

Oliwia spędziła noc bezsenne, przewracając się na łóżku. Filip, który swego czasu niejedną noc smacznie przespał pod stogiem siana, po całym dniu spędzonym na pastwiskach na doglądaniu mycia owiec przed stryżą, zapadł w twardy sen. Wreszcie koło szóstej rano Oliwia nie mogła dłużej znieść swej troski w milczeniu. Obudziwszy Filipa wstrząsającą wiadomością, dodała:

— To już drugi miesiąc.

— Skąd wiesz?

— Mój drogi, jestem matką. Prowadzę jej kalendarz tak samo, jak własny, tylko że jej tego nie mówię.

— Ewelina! Czy to możliwe?

— Z samowolnymi młodymi kobietami wszystko jest możliwe. Chyba wiesz! — I Oliwia obróciła na poduszce głowę, by spojrzeniem przypomnieć mu o ich własnym przedmałżeńskim sekrecie. — Ja miałam szczęście — dodała.

— To było co innego — odparł, uważając, jak zwykle rodzice, że ich własna młodość nie może być porównywana z młodością następnego pokolenia. — Ona ma ledwie szesnaście lat!

— Dosyc, jak się okazuje — odrzekła Oliwia.

— Kto, jak przypuszczasz?... I co my zrobimy?

— A ty, jak przypuszczasz — kto?

— Edward Paton? Ależ to syn baroneta!

Oliwia uśmiechnęła się.

— Ja też byłam córką baroneta.

— Zostawiałaś jej za dużo swobody.

— Może i ja miałam za dużo swobody — ale nie żałujemy tego, prawda? Filip uściśnął jej rękę.

— Moja mała Ewelina — rzekł ze ściągniętą brwią. — Jak byle dziewczka...

Oliwia uniosła brwi. Czy i ją uważał za byle dziewczkę przed laty?

Filip rozmyślał, że w owym czasie wziął dziewczynę, która dziś była jego żoną, tak jak się bierze brankę z nieprzyjacielskiego obozu: dopiero później zdał sobie sprawę, że to, co czuł do niej, różniło się zasadniczo od uczuć dla innych, bardzo licznych dziewcząt w jego życiu.

— Co ona mówi? — zapytał Filip. Zdawał sobie sprawę, że to głupie pytanie. Zakłopotał się na myśl o rozpaczliwej ukochanej córki.

— Ewelina jeszcze nie wie, że ja wiem. Ale znając ją i jej ambicję, nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że Ewelina jest bardzo z siebie zadowolona.

— Zadowolona z siebie?... Sądziś, że ona chciała?...

— Zobaczmy. Ewelina pnie się w górę. Syn baroneta bardzo by jej odpowiadał. Uprzedzałam cię o tym już dawniej.

— Ale w jaki sposób...

— Może nie było innego.

— Oliwio! Jak możesz! To nasza córka.

— Moja córka. Jabłko niedaleko pada od jabłoni. Ja chciałam zdobyć i przytrzymać ciebie. Nie myślałam o dziecku. Ale po tym pierwszym razie w twojej chatce myślałeś o mnie inaczej, nieprawdaż?

— To było co innego — powtórzył Filip.

— Chciałabym myśleć logicznie, nie po kobiecemu. Nie potępię jej za to, za co nie potępałam — i do dziś dnia nie zmieniłam zdania — siebie.

— Jesteś wielkoduszna, droga Oliwio. A w tym Ewelina nie jest twoją córką.

— Nie. Ale jest wnuczką mojego ojca.

Filip westchnął i leżał cicho, rozmyślając. To była katastrofa! A jego żona, jak się wydawało, brała to bardzo lekko. Nie wiedział, że gdy on spał, Oliwia przez całą noc rozważała i roztrząsała sytuację.

— Co my zrobimy? — zapytał.

— Niech urodzi to dziecko. Poślemy ją do pensjonatu dla dorastających panienek we Francji na parę lat. Ja będę wychowywała dziecko. Może czas rozwiąże trudności.

— A jeśli ona celowo...

— Ewelina chce wyjść za niego za męża. Ale czy on zechce?

— Pójdę rozmówić się z Sir Jamesem. On nie dopuści do skandalu.

— I chciałbyś, aby Ewelina wyszła za męża za człowieka, który jej nie kocha i ożeni się z nią tylko dlatego, że ty i Sir James chcecie uniknąć skandalu?

— Nie powiedziałem, że ja...

— Mój Filipie kochany, choćbyś nie powiedział, miałeś to na myśli.

— Ale może on ją kocha?

— Jeśli będziesz forsował to małżeństwo, nikt właściwie nie będzie wiedział, czy on naprawdę ją kocha. A po ślubie to już za późno.

— Jest dziedzicem baronii... — Filip pozwolił wymknąć się słowom.

— To jeszcze nie decyduje, czy będzie dobrym mężem.

— Wiele udanych małżeństw... Jeśli tak postąpimy, jak ty chcesz, padniemy pastwą okropnych plotek!

— Plotek nie unikniemy i tak.

— Najpierw Adam... Teraz to...

Oliwia drgnęła. Nic nie było wiadomo o Adamie od chwili, gdy wymknął się z dworu Binwood w noc śmierci Sir Aleksandra przed dwoma laty. Wszystko zrobiono, co było w ludzkiej mocy, by go odnaleźć. Tylko zmarszczki, które pojawiły się teraz na czole Oliwii i pomiędzy oczyma, nowe wygięcie ku dołowi kąćków jej ust — świadczyły o jej milczącym cierpieniu. Nadal przekonywała siebie, że tak było najlepiej, że inaczej, prędzej czy później, wybuchłaby jakaś straszna kłótnia między ojcem a synem. Ale nie wiedzieć nawet, czy jej ukochany Adaś żyje... I tęskniła rozpaczliwie za nim, za tą naturą, która tak dziwnie łączyła porywczą lekkomyślność z poszukiwaniem sensu życia.

Początkowo Filip gniewał się na nią, że nic wzięła chłopaka pod klucz, gdy go tylko odnalazła. Wściekłość Filipa była tym większa, ponieważ Adam

wybrał na ofiarę swych silnych pięści właśnie syna Sir Jamesa Patona. Baronet od owej pory odnosił się do Filipa z wyszukanyim chłodem. Marzenie, którego ziarno zasiała w jego sercu Ewelina owego ranka, kiedy Oliwia pojechała na poszukiwanie Adama, stało się zupełnie nierealne. Filip wyprowadził się z małżeńskiej sypialni. Ale stopniowo gniew jego zanikał, zagubiony w nawale codziennych prac gospodarczych, trosk, dążeń i osiągnięć. Edward Paton, już w oficerskiej szkole artyleryjskiej, znowu zaczął bywać w Orchards. I pewnego wieczoru Oliwia wchodząc do swej sypialni, zastała czekającego na nią Filipa, tak zakochanego, jak w ich noc poślubną.

Ale Adam? Co by powiedział Ewelinie? Patonowi? Może i z tego względu lepiej było, że się gdzieś zapodział... ale gdzie? Wspomniała jego słowa, w których mówił o „świecie Edwarda Patona” i nazywał ten świat celem ambicji ojcowskich.

Nie zdradziła swoich myśli. Ani Filip nic powiedział, co mu na sercu leżało — nieunikniona rozmowa z Eweliną. Miał zwykły u Anglika wstręt do scen.

— I to minie — powiedziała Oliwia, nawiązując do jego słów o kolejnych katastrofach.

Filip pochwycił wzruszenie w jej głosie.

— Nie chcesz stracić Eweliny także...

Rzeczywiście lękała się tego, chociaż wiedziała, że Filip nie mniej od niej tęskniłby za córką, gdyby ją trzeba było wysłać do Francji.

— Jeśli to będzie dla jej dobra... — rzekła.

— Jego tytuł i pieniądze, i jej majątek, Binwood — rozmyślał w głos Filip.

— Sprzedasz ją za tytuł? — prowokowała Oliwia. Ale

tym razem Filip miał ostatnie słowo:

— Jeśli twój domysł jest słuszny, to Ewelina sama chce się sprzedać.

W ciągu następnego dnia, ilekroć Oliwia dostrzegała sposobność rozmówienia się z córką, Filip znajdował wymówkę. Musi pójść dojrzeć ustawiania stogów... musi rozmówić się z pasterzem owiec... musi posłać deresza do podkucia... musi... Nie mógł zdobyć się na stawienie czoła płaczom i kociej wściekłości, połączonej z kocim przymilaniem się — czego oczekiwał od swej rudowłosej córy. Dzieckiem była w jego oczach do tej pory. Ale teraz gdy ten młody człowiek — jeśli to był ten młody człowiek, a Filip miał nadzieję, że jeśli już tak musi być, to lepszy ten niż inny — teraz, gdy ten młody człowiek jego córkę... Filip nie mógł ubrać w słowa swoich myśli... teraz nie można już było uważać jej za dziecko. Przyszła mu na myśl dawniej często powracająca wizja — Oliwia, córka dziedzica ze dworu, tak samo rudowłosa, naga na jego drewnianym wyrku, w poświęcie księżycowej, padającej przez

drzwi jego chaty w Binwood. Niech diabli porwą młodego Patona! Jego własna córka, córka Filipa Huntera, na łasce jego pożądań...

— A co byś chciał? — zapytał sam siebie, wchodząc do domu wieczorem po sprawdzeniu zapasów paszy w spichlerzu. Chciałbyś, żeby Ewelina usychała w staropanieństwie jak cnotliwa Molly? Aby nigdy dotknięcie męskiego ciała nie wzburzyło jej gorącej krwi, nie zapłodniło jej nowym życiem? Oczywiście, że nie. Ale po ślubie. Cóż to za różnica? Tych parę wymruczanych słów, podpis w księdze. Różnica? Ach, różnica polegała na tym, co powiedzą Lane'owie i Hammondowie — i Sir James. Po tych wymruczanych słowach — same czułości i zachwyty, i błogosławieństwa, „urocza młoda para”, i „kiedy będziemy się spodziewać dzieciątka?” Ale bez tych wymruczanych słów — szept, odwrócone głowy, przechodzenie na drugą stronę ulicy, dumne, wzgardliwe miny. A rezultat ten sam — „kiedy będziemy się spodziewać dzieciątka?” Więc musi być ślub. Zwłaszcza jeśli Ewelina tak bardzo tego pragnie... Jego mała Ewelina. Minał ją na korytarzu wychodząc z łazienki. Wsunęła rękę w jego dłoń. Mądrała! Czyżby Edward tak się bał swego ojca, że nie mógł się zdobyć na oświadczyzny? A Ewelina za wszelką cenę... Nie ma innego wyjścia. Patonowie może i patrzą z góry na Hunterów, ale nie mogą przecież potraktować córki dworu Orchards jak byle prostej dziewczki.

Szepnęła Oliwii do ucha, gdy razem wchodzili do jadalni, że rozmówią się z Eweliną po kolacji. Filip obserwował córkę, jak z apetytem jadła, wesoło gawędziła o drobnych codziennych sprawach gospodarczych i wydarzeniach we wsi i wyglądała uroczo, niewinnie, dziewczęco. Pudrowała się może za bardzo, ale cerę miała jasną, czystą. Gdyby nie wiedział... a może to wszystko jest pomyłką? Ku swemu zdziwieniu nie odczuł ulgi na tę myśl. Nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko w podświadomości zapragnął małżeństwa córki z synem Sir Jamesa Patona, baroneta, który zdobywał sobie piękną fortunę na hodowli koni wyścigowych i na kolejach żelaznych. Te ostatnie połączyły najważniejsze ośrodki przemysłowe i sięgały do coraz dalszych zakątków kraju. Już i nadmorskie lotniska stały się dostępne dla każdego, kto mógł sobie pozwolić na koszt biletu.

Ale rozmowę z Eweliną znowu trzeba było odłożyć. Pod koniec kolacji przyszedł Robert Hawthorne. Stary oberżysta miał okazję zakupienia kilkunastu beczulek szczególnie dobrego piwa. Ile by życzył sobie Filip? Poproszono go do bawialni, poczęstowano winem i ciastem, potoczyła się pogawędka o cenach na płody rolne, o wiadomościach, znoszonych mu przez gości w oberży — kupców zbożowych, handlarzy bydła...

Młody Alek skorzystał ze sposobności i wymknął się z domu. W zagajniku na uboczu wzgórza, którego grzbiet stanowił zachodnią granicę posiadłości ojcowskich, niedawno powiększonych, chłopiec spostrzegł tego ranka drzewo

o malowniczo powykręcanych konarach. Chciał je narysować. Lubił rysować dziwne okazy natury — szkice jego były drobne i bardzo dokładne, raczej naukowe niż artystyczne. Usadowił się na ściętym pniu, z którego pozgarniał zeschnięte liście i trawę. Alek również przedstawiał mieszaninę pozornie sprzecznych cech charakteru, chociaż nie przypominał starszego brata; łączył poważne zainteresowania naukowe z na wpół jeszcze dzieciennym udawaniem, że jest jakimś historycznym lub powieściowym bohaterem. Wyobraźnię jego podniecało rozczytywanie się w książkach Waltera Scotta, Aleksandra Dumasa i Fenimore'a Coopera.

Posłyszał kroki na wzgórzu. Ktoś nadchodził od strony pól należących do Patona. Któż się mógł wybierać do zagajnika? I po co? Miejsce to było dość ukryte, osłonięte od okien dworu Orchards przez otaczające drzewa. Rozległo się ciche gwizdnięcie, na które cienki głos odpowiedział cicho, ukradkiem: „Tuu-u!” Szelest i trzaskanie gałęzi. Kroki zbliżały się do siebie z dwóch stron granicznego wzgórza.

Alek w tym czasie pożerał właśnie powieści Fenimore'a Coopera. Wobec czego przypadł do ziemi za drzewem w najlepszym indiańskim stylu. Nogi jego można było dostrzec tylko podchodząc z tyłu. A głosy dochodziły z przodu, z drugiej strony drzewa.

Edward Paton... Ewelina. Podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję. Całowali się, para błaznów. Edward rozrósł się i zmęźniał ostatnio. Podkreślając, że nic nie ma do czynienia z gospodarką, stroił się jak fireyk, gdy był w rodzicielskim domu. Teraz miał na sobie spodnie w kratkę i długą marynarkę o kroju zwanym „jaskółką”. Nosił włosy półdługie, bo taki był ostatni krzyk mody. krótko przycięte wąsy i delikatną zapowiedź bokobrodów, które nie chciały się jeszcze połączyć z wąsami. Na ziemi przy nim leżał kapelusz o szerokim rondzie, opuszczonym na dół z przodu i z tyłu. Obejmował Ewelinę, potem odsunął ją na długość ramienia od siebie i spojrzał na nią. Nawet brat musiał przyznać, że wygląda prześlicznie: czerwone promienie zachodzącego słońca padały poprzez liście drzew na jej kasztanowate włosy, smukła postać przeżyła się i wyciągała ku kochankowi; wielkie, zielonawe oczy błyszcząły pod ciemnymi rzęsami.

— No i? — zapytał Edward.

Alek wiedział, że powinien odejść, ale nie mógł teraz wymknąć się nie zauważony, choćby był autentycznym Indianinem. Zapadał zmrok. Jeśli zaczeka piętnaście minut, może potrafi się wyśliznąć pod osłoną ciemności. Edward był chyba dwa razy większy od niego. Adam mógł się z nim bić, ale Adam był jego rówieśnikiem.

Oczy Eweliny badawczo patrzyły w twarz Edwarda. Dostrzegła twardy, surowy, uparty wyraz. Chwilowa czułość pocałunków już znikła. Opuściła głowę i oparła na jego ramieniu. Edward cofnął się nagłym ruchem.

— Uwóżaj! — zawołał, otrzepując wyłogi zakietu. — Puder! Zobaczą w domu! — Jeszcze coś mówił. Alek nie dosłyszał słów.

Łzy popłynęły po twarzy Eweliny. Alek nie byłby teraz odszedł, nawet gdyby to mógł bezpiecznie zrobić. Przecież ostatecznie to była jego siostra. A Edward zachowuje się jak brutal. O czym ona mówi i to głosem przerywanym płaczem?

— Już teraz — mówiła, zanosząc się od łkania — nie mam żadnych wątpliwości. To jest fakt i musimy się z tym pogodzić, mój Edwardzie najdroższy!

Kochanek odwrócił się od niej i gniewnie kopnął korzeń wystający z ziemi.

— W ładną kabałę mnie wpakowałeś!

Łzy Eweliny wyschły, jakby ktoś kurek od wody zakręcił. Wyprostowała się i cały gorący temperament jej matki zapłonął w tych ognistych włosach i zielonych oczach.

— Ja cię wpakowałam?

Alek słuchał pilnie, nie tracąc słowa. Ewelina mówiła z pasją i wcale nie cicho. A teraz Edward.

— Wy, Hunterowie, zawsze walczyście nieuczciwie... twój brat... uderzył mnie poniżej pasa... — Słów Edwarda Alek nie słyszał tak dobrze, ale dość, by zrozumieć sens. Edward przerwał sobie, a potem dodał z pasją, jakby chciał sam siebie przekonać: — Tak zrobił! A teraz ty...

Ukryty za drzewem chłopiec zacisnął pięści. Jak ten wystrojony lalusz śmie mówić, że Adam nieuczciwie walczył? Jeśli ktoś nieuczciwie walczył, to tym kimś był z pewnością Edward. A teraz jeszcze dręczy Ewelinę. Czemu ona mu nie da w zęby i nie pobiegnie do domu? Alek odgadł, co znaczyła ta „ładna kabała”. Dla jego praktycznego umysłu sprawa nie wydawała się szczególnie ważna. Zdarzało się to przecież dziewczętom nieraz. Rodzice czasem się przejmują, ale w każdym razie można liczyć na mamę. Na mamę można zawsze liczyć. Czasem się złości, ale gdy się uspokoi — a najlepszą taktyką było cicho przeczekać burzę — zawsze pomoże.

— Ja ciebie w kabałę wpakowałam? — mówiła Ewelina, a furia zmieniła jej głos, który aż dygotał jak u koloraturowej śpiewaczki. — A ty z tym nie miałeś nic wspólnego, co?

— No... ja... ty... — Edward jękał się, przerwał i znowu kopnął korzeń. Mówił tak cicho, że Alek nie mógł nic dosłyszeć.

Z Eweliny nie lada numer. Ale na swój sposób kocha Edwarda. Alek wiedział o tym. Zawsze to siostra. Nie była bohaterką z romantycznej powieści, nie potrafiła kochać żadnego człowieka miłością absolutnie bezinteresowną, pełną oddania i poświęcenia. Ale kochała Edwarda jako przystojnego młodzieńca, z dobrej rodziny, zamożnego. Z pewnością wyobrażała go sobie jako pana na Binwood — z tym że naprawdę ona wszystkim będzie rządziła. A jak się sprytnie bierze do rzeczy! Alek zapomniał, że nie powinien podłu-

chiwać. Jego analityczny umysł poznał się doskonale na taktyce siostry. Dużo lepsza metoda niż uderzenie w twarz. I bardziej interesująca dla widza.

Łzy Eweliny nie odniosły pożądanego skutku. Jej gniew zmieszał Edwarda, ale też nie przekonał go. Jak dobry wódz, szybko zmieniający taktykę w zależności od potrzeb zmieniającej się sytuacji, zastosowała nową metodę. Przekształciła się w słabą niewiastę, z uwielbieniem wpatrzoną w swoje bóstwo. Jej wielkie oczy błęgały bez słów, całe jej smukłe ciało przytulało się do niego, ledwie powstrzymując się, by znowu nie ulec namiętności.

— Przecież mnie kochasz?

Zwrócił się do niej, przez chwilę spoglądał jej prosto w oczy, co u niego rzadko się zdarzało. Zazwyczaj unikał wzroku ludzi.

— Na Boga — tak!

Było to prawdą. Alek wyczuł szczerość w jego okrzyku. Nadal serdecznie nie cierpiał tego człowieka, który zarzucał nieuczciwość jego bratu. Gdyby tak Adam to usłyszał! Sprawy tego ananasa znowu. Ale Edward nie powiedziałby tego nigdy w obecności Adama. Za to on, Alek, słyszał. Może by mógł jednak zamiast Adama... tylko szkoda, że jest jeszcze taki mały. Ale może by się znalazły sposoby... Ostrożnie przeszukał kieszenie. Tak, miał dużą, jedwabną chustkę z czarną obwódką. I swój składany nóż. I kawałek mocnego sznurka...

— Więc pobierzemy się? — pytała pieściwie, gruchająco Ewelina.

— Będę miał kłopoty z moim ojcem.

— Czy nie jestem dość dobra? — Ewelina przypominała mruczącą kotkę.

Edward uległ znowu jej urokom. Objął ją gorąco.

— Dla mnie — aż za dobra!

Całowali się namiętnie, wtuleni w siebie, aż Alek odwrócił wzrok w zmieszaniu. Czy i on będzie kiedyś chciał tak całować jakąś dziewczynę? Nie wydawało mu się to możliwe. A przecież niektórzy chłopcy czternastoletni...

— A co do twego ojca — to przecież, gdy wyjdę za mąż, dostanę w posagu Binwood, jeszcze zanim będę pełnoletnia. To piękny majątek.

Było już prawie ciemno. Ale oczy Alka przyzwyczały się do stopniowo zapadającego zmroku. Dwie sylwetki, zarysowane na tle bladego nieba, przytuliły się do siebie i szeptały. Alek nie mógł dosłyszeć słów. Wreszcie zakochani odstąpili od siebie, trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy.

— Już ja to jakoś załatwię — powiedział głośno Edward.

„Może jednak okaże się mężczyzną” — rozmyślał Alek. Edward mówił dalej:

— Przykro mi, że powiedziałem o tym, że wy, Hunterowie, nie walczyście uczciwie. Nie chciałem tego powiedzieć o tobie. Ale o Adamie to prawda!

Drań! Nie mógł strawić swojej przegranej. Szkoda, że Adama tu nie ma, ten by mu dopiero dał lekcję. Ale on, Alek...

Kochankowie uściskali się raz jeszcze i rozeszli się w przeciwnie strony, a ciemności pochłoneły ich po kilku krokach.

Alek pobiegł lekko i szybko przez pola, przeskakując rowy, przesadzając ogrodzenia, przeciskając się przez żywopłoty.

Edward szedł aleją o kilkaset jardów od stajen, w których ojciec jego trzymał kilkanaście rasowych koni wyścigowych. Wysokie krzewy osłaniały aleję, na której panowały zupełne ciemności. Rozmyślał, że Ewelina nie pochodzi może z najlepszej rodziny, ale za to jest cudowna, rozkoszna, urocza! Na Boga! I jaka namiętna! Przypominał sobie, jak wspięli się na rozłożyste drzewo i usiedli oboje w rozwidleniu konarów, obejmując się i całując. Później on zsunął się pierwszy. Powiedziała, że zjeździe za nim, ale okazało się, że nie mogła. Więc wspiął się z powrotem na drzewo i zniósł ją na rękach. Była przestraszona, drżała, tuliła się do niego. I nagle, obejmując go wciąż mocno, rzuciła się na ziemię, pociągając go za sobą niezwykle mocnym uściskiem. I reszta zdarzyła się, zanim w ogóle Edward zdyszany, rozkosznie wyczerpany, odzyskał trzeźwość i rozsądek... i wciąż jej usta lgnęły do jego warg. Skoczył na równe nogi, odwrócił się i poprawiał ubranie na sobie. „Boże! Cóżemyś zrobili?” „To, czegośmy oboje pragnęli” — odpowiedziała w rozmarzeniu. „Nie będziesz mnie nienawidziła?” — zapytał. „Nienawidziłabym ciebie, gdybyś umiał mi się oprzeć” — odrzekła.

Z czarnych zarośli, na pozór znikąd, wyskoczyła jakaś postać, lekka, lecz spotęgowana rozmachem i wylądowała na ramionach Edwarda. Upadł ciężko na ziemię. Silne ręce chwyciły go za uszy, przycisnęły jego twarz do żwiru alei. W głowie mu zaszumiało, nie mógł się podnieść. Ale gdy wykręcił głowę, by spojrzeć na nieznanego przeciwnika, dostrzegł tylko twarz, zasłoniętą chustką. Dostał pięścią w głowę, mocował się, próbował zrzucić z siebie przeciwnika. Ukłucie chłodnej stali w kark uspokoiło go. W usta wepchnięto mu knebel. Ramiona wykręcono boleśnie do tyłu. Znowu próbował się zerwać. Znowu uspokoiło go ostre ukłucie stali w kark.

Leżał spokojnie. Twarz go piekła, bo skórę miał startą na żwirze. Próbował myśleć spokojnie i logicznie. Knebel utrudniał oddychanie. Z policzka ściekały krople krwi. Przeguby rąk miał mocno związane. Jego napastnik, siedzący okrakiem na nim, obrócił się, by mu związać nogi. Edward znowu spróbował się wyrwać, ale uczył ukłucie ostrza noża — jak ten bandyta trzymał nóż, w zębach? — w najczulsze miejsce, które było dostępne siedzącemu na nim okrakiem i wiążącemu nogi napastnikowi. Przeklęty bandyta! Zabierze mu teraz pewnie sakiewkę. Co prawda, niewiele miał przy sobie skarbów, miniaturę Eweliny i dwie złote gwinee. Nogi związane mu tak mocno, że gdyby nie knebel, krzyknąłby z bólu. Napastnik wstał. Edward nie mógł poruszać rękami ani nogą. Wykręcił głowę, ale nie mógł dostrzec twarzy tamtego. Trzasnęły gałęzie, zaszeleściło w krzakach. Co, u diabła! Nie ruszано jego

pieniędzy. Edward został sam, by oczekiwać uwolnienia z rąk ewentualnego przechodnia, zdążającego do stajen jego ojca.

Wracając do domu, Alek rozmyślał:

„Nigdy się nie domyśli, kto go związał. Całe szczęście. Wcale nie chcę psuć szyków Ewelinie. Głupia geś, ale jeśli się na niego zawzięła, niech go sobie ma...”

Resztę powrotnej drogi poświęcił na układanie sobie przekonywającego wytłumaczenia tak późnego powrotu. Okazało się to niepotrzebne. Robert Hawthorne siedział jeszcze z rodzicami w bawialni. Alek cicho przemknął się schodami na górę.

Ewelina nie była całkiem pewna swego lubego. Czy aby nie stchórzy, gdy sam stanie twarzą w twarz z ojcem? „Trochę plotek we wsi by nie zaszkodziło. Sir James boi się cienia skandalu” — rozmyślała Ewelina tegoż wieczoru w swym łóżku, na wpół już drzemiąc, na wpół śniąc o gorących uściskach Edwarda. A i ojcu, który przecież niedługo się dowie, dobrze to robi.

Następnego dnia Oliwia posłała córkę do sklepu we wsi. Ewelina, wracając ze sprawunkami, obrała nieco okrężną drogę, która przyprowadziła ją przed chatę braci Appletonów. Elsie, żona Tomasza, na pewno będzie w domu. Ewelina, zbliżywszy się, nagle osłabła, zaczęła się potykać.

— Na wypadek, gdyby, wyglądała przez okno — mruknęła do siebie. — A na pewno wygląda. Stara plotkara!

Oparła się o niską furtkę, postawiła na ziemi koszyki, przeciągnęła wierzchem dłoni po czole.

— Czy coś nie w porządku, panienko?

— Nic doprawdy, pani Appleton. Trochę mi słabo. — Jej przerywany głos zabrzmiał bardzo mdlejąco.

— Proszę wejść i usiąść na chwilę, panienko. Zrobię herbaty. Nie, nie, ja wniosę te koszyki.

We frontowym pokoju Appletonów, przyzwoicie umeblowanym, ale równie nieporządnym jak i gospodyni — Ewelina osunęła się na wpół bezwładnie na fotel, ale zaraz podniosła głowę ze słabym uśmiechem, który, miała nadzieję, zostanie określony jako „dzielny uśmiech na tej wybladłej twarzyczce”!

— Bardzo panience współczuję. Słabo? Całkiem to do panienki niepodobne. Ale to przejdzie, całkiem na pewno. A jeśli z powodu tej omdłości panienka zaszła w moje progi, zaszczyt to dla mnie i honor. Matka panienki często tu zagląda, ale panienka i jej ojciec omijają nas od dawna. Całkiem na pewno, Orchards to coraz większy i bogatszy majątek, a panienka teraz i własny majątek odziedziczyła...

Ewelina nie czuła się urażona ukrytym w słowach Appletonowej zarzutem, że jest snobką. Uważała to raczej za komplement. Ale udawała jeszcze bardziej słabą, żeby uniknąć rozmowy na temat ojca i jego odsuwania się od dawnych przyjaciół. Petycja w sprawie żywności w domach dla ubogich i inne poczynania Appletonów sprawiły, że Filip odmawiał coraz wyraźniej swego udziału w pracy społecznej. Ewelina zgadzała się całym sercem ze stanowiskiem ojca. Matka, oczywiście, popierała tych awanturników o tyle, o ile mogła, bez narażania się na gniew męża.

Elsie Appleton. w brudnym fartuchu, krzywo zawiązanym na obfitych kształtach, przyniosła usmolony imbryk z kuchni i naleła wrzątku do czajnika z odbitym dzióbkiem. Gdy nalewała herbatę do filiżanek, płyn przysnął na już i tak zaplamiony obrus.

— Mówi się trudno — rzekła spokojnie. — Nie zaprzęłam sobie głowy drobnostkami. Proszę wypić herbatę, a zaraz panience zrobi się lepiej. — Odgarnęła jasne włosy z czoła i spojrzała badawczo na młodego gościa.

Nie wychodząc z roli, Ewelina mdlejącym ruchem wzięła filiżankę i łyknęła odrobinę.

— Doprawdy, już mi jest lepiej!

— Całkiem nie rozumiem, skąd panience na to przyszło. — W głosie Elsie odezwała się nuta pewnej podejrzliwości. — Zawszeni sądziła, że panienka taka jest zdrowa i silna jak chłopak. — Appletonowie nie mieli dzieci, ale o wszelkich objawach ciąży Elsie wiedziała równie dobrze, jakby ich sama wiele razy doświadczała. Pierwsza dostrzegła, gdy któraś z wiejskich dziewcząt była w tym stanie. Czyżby ta zadzierająca nosa panna Ewelina?...

Młoda dziewczyna odwróciła głowę, udając zaambarasowanie. Z satysfakcją rozdmuchiwała podejrzenia, które dostrzegła w spojrzeniu i głosie Elsie.

— Bardzo dużo... uczyłam się ostatnio — powiedziała tonem, który miał wskazywać, że mijała się z prawdą. — Pani Appletonowa wie przecież, jak ojciec przymusza nas wszystkich do nauki...

— Im. I pewien młody kadet jest znowu w domu, jak widziałam. On jakoś często dostaje urlopy ze szkoły oficerskiej.

Powieki Eweliny opadły. Czarujący rumieniec zalał jej policzki. „Milczenie będzie teraz — pomyślała — najlepszą taktyką”.

— Dziwiłam się czasem, jeśli mi wolno powiedzieć, waszej przyjaźni — ciągnęła Elsie — po tym zatargu młodego Patona z bratem panienki.

— Mój brat bywa taki... nieopanowany — Ewelina instynktownie bronila kochanka.

— I ja tak zawsze mówię. Ale mój Tomasz i jego brat — zna ich panienka, jacy oni są! — powiadają, że on kubek w kubek taki, jak przed dwudziestu laty Filip Hunter. To były czasy! — I wytarła nos fartuchem.

Ewelina tylko westchnęła.

— Bardzo pani dziękuję... Doprawdy nie wiem, jak bym doszła do domu bez tej herbaty. Ale teraz już mi zupełnie dobrze. Pójdę, bo mama czeka;

— Może ja pójdę i zaniosę ten koszyk panience?

— Nie, doprawdy nie. Nic mi nie jest.

Gdy chata Appletonów znikła za zakrętem, Ewelina puściła się szybkim, energicznym krokiem, wymachując z zadowolenia ciężkim koszykiem. Ta flądra Elsie Appleton! Można było polegać na niej, że nie potrafi utrzymać języka za zębami, nawet gdyby chciała. „No — myślała Ewelina — teraz spaliłam mosty za sobą: Elsie domyśla się wszystkiego i plotki wprędce dojdą uszu Sir Jamesa. Tego wieczoru najpóźniej trzeba będzie pomówić z rodzicami. Najpierw z ojcem oczywiście. Jego owinę sobie wokół małego palca”.

Tego dnia wieczorem Elsie podała bób pieczony z wędzonym boczkiem. Jedli przy dużym stole, służącym do wszystkich celów w tym domu. Na prawo od drzwi, które prowadziły wprost na wykładaną kamieniami ścieżkę ogrodu, stała wysoka, drewniana komoda, zrobiona przez Stanleya i ofiarowana w prezencie ślubnym bratu. Zawierała teraz zbieraninę różnych obtłuczonych talerzy i filiżanek bez uszek. We wnęce za szerokim kominkiem mieściła się półka z kilkoma książkami, które Stanley, chociaż nie umiał pisać, prze-sylabizował z dużym nakładem trudu, ślęcząc nad literami przy świetle wielkiej lampy naftowej. Ławka z surowego drzewa pod oknem, kilka stołków, parę wyplatanych krzeseł przed kominkiem — stanowiły resztę umeblowania. Stary kominek, z ciosanych kamieni i wielkich belek dębowych, był bardzo piękny, ale pożerał ogromne ilości opału, więc w środek wstawiono tani żelazny ruszt, mały piecyk z boku i łańcuch do zawieszania imbryka nad ogniem. Wybity papierem parawan przed drzwiami chronił od przeciągów i ożywiał wnętrze jedyną kolorową plamą, gdyż zawieszono na nim kalendarz ścienny — taki, jakie zaczęli od niedawna roznosić domokrażni przekupnie — z ogromną ilustracją przedstawiającą rybaka w łodzi wśród fal i jego małą córkę, siedzącą z dużą miską zupy na kolanach i łyżką w ręku. Czy zupa była zimna, a jeśli nie, jakim sposobem mogła być zagrzana, tego ilustracja nie wyjaśniała.

— Powiadają, że jego buzia ślicznie wygląda — mówił Tomasz. — Wtarto mu ją porządnie w żwir. Nic poważnego. Żwir piękności szkodzi... ale do wesela się zagoi.

— Ale kto?... — zaczęła Elsie, krząc chleb.

— Nikt nie wie. Ani dlaczego — odpowiedział Stanley. — Nic mu nie zabrano. Według mego zdania, ktoś miał urazę do niego. Ujeżdżacz koni

go znalazł. Powiada, że gdy mu tylko knebel z ust wyjął, naklął tak, jak nawet ujeżdżacz rzadko kiedy słyszy.

— Nie widział, kto?... — pytała Elsie.

— Tylko zamaskowana twarz. Nie zauważył też ubrania. Ten, co go napadł, siedział mu na plecach

— Coś mi się wydaje, że ten młodzik ściągnął na siebie niejedną kłopot — rzekła Elsie. Popatrzyła na dwóch mężczyzn, żeby ocenić wrażenie swoich słów. Jako stary praktyk w plotkowaniu, lubiła wytwarzać nastrój napięcia i podniecać ciekawość.

— Jak się ma bogatego ojczulka, kłopoty łatwiej znieść — odrzekł Tomasz. — A o jakim kłopotcie ty mówisz, moja siara?

— Ja wiem, co wiem — odrzekła wymijająco Elsie. — I wcale nic jestem pewna, czy wy, stare chłopcy, powinniście o tym Wiedzieć.

— Pewno plotki — mruknął Stanley. — Ja tam nie chcę wcale tego słuchać. — Uważał się za specja od psychologii kobiecej.

Ale Elsie dobrze wiedziała, że ciekawość wcale nie jest cechą wyłącznie kobiecą.

— A proszę, proszę! — zawołała. — Kto nie chce. wcale nie potrzebuje wiedzieć!

Jej małżonek chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Miał pełne usta gorącego bobu. Przelknął pośpiesznie, zadławił się i trzeba go było energicznie trzepnąć po plecach.

— Powiedz już lepiej — wykrztusił. — Może by to pomogło odnaleźć tego bandytę, który...

— Już dwa lala, jak nie ma Adama Huntera — rzekła Elsie zagadkowo. — Bo gdyby tu był i wiedział to, co ja wiem, byłabym pewna, że to on zbil młodego Patona.

— A cóż to wszystko ma wspólnego z Hunterami? — zapytał Tomasz podniesionym głosem.

— Och, daj jej spokój i chodźmy już — powiedział Stanley, wstając od stołu i sięgając po fajkę. — Musimy pójść do Harolda Cooka, Idziesz, Tom? — Mrugnął porozumiewawczo do brata za plecami Elsie.

Tomasz, który nie był żadnym taktikiem, miał wysoką opinię o mądrości starszego brata. Dopił więc herbaty i wstał. Dwaj bracia podeszli do drzwi i wychodząc do ogrodu zostawili je otwarte, by dać Elsie możliwość przywołania ich z powrotem w skrusze. Ale jedynym dźwiękiem, jaki dolatywał z kuchni, był brzęk talerzy i filiżanek, zbieranych do mycia.

— Nie poskutkowało — westchnął Tomasz.

Stanley w milczeniu pykał z fajeczki.

Gdy już skręcili za róg domu, Elsie wyjrzała.

— Chodź na minutkę, Tom — powiedziała pojednawczym tonem.

— Nie idź jeszcze — doradzał Stanley szeptem. — Niech ona przyjdzie do ciebie!

Ale ciekawość Tomasza przeważała. Pobiegnął do żony.

— No? Co to jest?

Elsie wsparła ręce na biodrach i spojrzała na niego z ukosa, z zalotnością, która nigdy nie podbiła jego serce.

— Będziesz miły dziś w nocy? — zapytała mrużąc oczy.

— Oczywiście. Jak tylko zechcesz.

— To nie pij za dużo piwa.

— Obiecuję — zawołał niecierpliwie. Ale przyczyną jego niecierpliwości nie były wcale jej przekwitłe wdzięki.

— W takim razie... — wygięła się kusząco: nigdy ten ruch podniecał mężczyzn, ale dziś, gdy zwały tłuszczu na niej dygotały, raczej odstręczał. — Nic dziwiłabym się, gdyby ten nadęty Filip Hunter został dziadkiem nieco przedwcześnie — powiedziała od niechcienia. — Ta mała wydra, Ewelina, była tu dziś rano. Wymiotowała tak, że cały stół mi w bawialni pobrudziła! A jeśli ty nie wiesz, kogo ona spotyka w lasach i na wzgórzach, to ja wiem. Bużkę mu zamalowali, jak powiadasz.

— Piekło i szatani! Co za historia! Nie zwodzisz mnie aby?

— Mnie nie nabiorą! Jeśli ta dziewczyna się nie okoci za sześć lub siedem miesięcy, możesz sobie przycisnąć w stogu tę małą Lily Browning, na którą tak się zawsze gapisz. Oto dowód, jaka jestem pewna tego, co mówię. A teraz już idź.

— Ale... czy sądzisz, że to Filip... zbił młodego Patona?

— Nic podobnego nie sądzę. Robert Hawthorne mówił mi, że był u Hunterów wczoraj po kolacji aż prawie do północy.

Tomasz wyszedł do ogrodu. Przy furtce szeptał chwilę ze Stanleyem. Potem wrócił truchcikiem do Elsie, która zmywała naczynia.

— Trzymaj język za zębami, żono. Żebyś nikomu nie ośmieliła się ani pisać!

— A ty powiedz Stanleyowi, żeby się schował ze swoimi radami. Ja ich nie potrzebuję.

— Jak mnie nie usłuchasz, to ja... to ja...

Trzepnęła go mokrą ścierką po twarzy.

— Pamiętaj o tym, co obiecałeś! Idź już raz i nie siedź za długo.

Nigdy nie znaleziono napastnika Edwarda Patona. Tylko idąc do Harolda Cooka, Stanley powiedział do brata:'

— Jeśli to prawda, to Harold powinien napisać do Adama.

Rozdział siódmy

Dwór, zwany Paton Hall, wybudowano na planie dokładnie prostokątnym. Długą fasadę, wychodzącą na taras i pięknie utrzymane trawniki, ozdabiały cztery kolumny, po dwie z każdej strony frontowego wejścia. Linię dachu przerywała dziwaczna, nieproporcjonalna wieżyczka w kształcie staroświeckiego hełmu z XVII w., na której z przodu widniał wielki zegar. Co prawda, ani Paton Hall, ani ta narośl na jego dachu nie miały nic wspólnego z Kawalerami i Okrągłymi Głowami z angielskiej wojny domowej. Dwór wybudowano w połowie XVIII wieku, a z początkiem XIX wieku jego drugi dziedziczny właściciel zmarł, pozostawiając dość ekscentryczną wdowę, która tę zdumiewającą wieżyczkę z zegarem kazała dobudować dla uczczenia pamięci zmarłego męża, ponoć nie posiadającego żadnego poczucia czasu. Gdy około roku 1830 wdowa też zmarła, przeżywszy swe jedyne dziecko, dwór wystawiono na sprzedaż. Długo nie trafiał się kupiec. Wieżyczka ośmieszala dwór, chociaż okoliczni mieszkańcy już się przyzwyczaili do jej widoku, nawet z dumą ją pokazywali, a niektórzy pamiętali, że wdowa miała dobre serce przy wszystkich swoich dziwactwach i hojnie wspomagała ubogich, a leczyła chorych. Dla nich, przywykłych do dziwactw wdowy, nie było niespodzianką, że w testamencie swoim przekleła tego z późniejszych właścicieli dworu, który by poważzył się zburzyć wieżyczkę — jakby tajemnic radowała się zeszcpeceniem architektury budynku. Wieżyczka i kłątwa — każdy z ewentualnych nabywców śmiał się serdecznie z kłątwy, ale porzucał projekt kupna — łącznie sprawiły, że dwór stał pusty prawie dziesięć lat, a majątkiem zarządzał administrator w imieniu dalekich spadkobierców. Pod koniec tego okresu cenę posiadłości obniżono do sumy niewiele wyższej od tej, którą w pięć lat później Filip miał zapłacić za Orchards, biorąc przy tym mniej ziemi.

Ta właśnie cena skusiła Sir Jamesa Patona, baroneta, człowieka, którego celem była maksymalna akumulacja przy minimalnych nakładach. Na północy Anglii zdobył fortunę i otrzymał tytuł w zamian za poważną pomoc finansową, jakiej udzielił partii politycznej, która właśnie dochodziła do władzy. Ale też tam, na północy Anglii, zbyt wiele wiedziano o jego metodach zdobycia fortuny, o wyzyskiwaniu robotników, o tym, jak za pół darmo kupił od pewnego biedaka patent na wynalazek, który potroił jego zyski. A tę zdumiewająco niską cenę wytargował zwyczajnym szantażem, grożąc wynalazcy, że opowie żonie o jego romansie z pewną młynarką.

Toteż Sir James uznał za wskazane po otrzymaniu tytułu sprzedać dobrze prosperującą fabrykę i przenieść się na południe Anglii. Gdy jego brat, który był współnikiem firmy prawniczej w Londynie, opowiedział mu o sławetnym dworze z wieżyczką, Paton zdecydował się na kupno od razu, na niewidzia-

nego. I nawet mu nie przyszło do głowy naradzić się z żoną albo też zaproponować, aby obejrzała swój przyszły dom. Lady Paton po dłuższym współżyciu z małżonkiem wiedziała, że nawet w tych rzadkich wypadkach, kiedy miała o czymś własne zdanie, nie warto go było wyrażać. Sir James tylko prychnął wzgardliwie, posłyszawszy o przekleństwie nieboszczki wdowy; ale jakoś w ciągu czterech lat zamieszkiwania we dworze, któremu nadał własne nazwisko, nie miał nigdy czasu — jak twierdził — wydać dyspozycji w sprawie zaburzenia wieżyczki z zegarem i przywrócenia budynkowi jego oryginalnej, pięknej linii architektonicznej.

Paton zaangażował rządcę o pierwszorzędnych kwalifikacjach rolniczych i o przeszłości pachnącej kryminałem, dzięki której zadawała się niskim wynagrodzeniem; a Sir James słusznie polegał na własnej bystrości, która pozwalała mu zapobiec ewentualnym szwindelkom rządcy z bydłem lub paszami. W tym samym czasie były fabrykant zabrał się do inwestowania swoich kapitałów w dwóch nowych przedsięwzięciach: kupował systematycznie akcje kolei żelaznych, aż osiągnął pakiet tak poważny, iż mógł zająć stanowisko w radzie nadzorczej jednej z największych akcyjnych spółek kolejowych, oraz dobudował przy budynkach gospodarczych obszerne stajnie, które wkrótce zappełnił rasowymi końmi. Stadnina- wyścigowa okazała się istotnie doskonałym interesem, i to zarówno z punktu widzenia ekonomicznego, jak i towarzyskiego. Ludzie dostawali tytuły parów czasem za to tylko, iż byli znani jako hodowcy koni wyścigowych pełnej krwi.

Może jakieś szept o tym, co na Północy wiedziano o Sir Jamesie, dolatywały, niby powiew wiatru, do wsi Chilcote. Ale były to tylko niepewne plotki, których woleli nie słuchać ludzie, żyjący z pracy przy dworze i mieszkający w chatkach, należących do dworu. Bywały co prawda takie zawołane plotkary, jak Elsie Appleton, ale co mówiono dziś, zapominano czym prędzej jutro. Szlachta w okolicznych mająteczkach spoglądała na jedyne tutaj baroneta i nowego dziedzica z zainteresowaniem, ale pieniądze, którymi dysponował, imponowały im tak, że nie pytali zbyt dokładnie, skąd pochodziły.

W salonie w Paton Hall zgromadzono kilkanaście sztuk pięknych mebli, nie stworzywszy jednak wnętrza ani wykwintnego, ani przytulnego. Lady Paton nie miała prawa wtrącać się do takich finansowych spraw, jak kupowanie mebli. Sir James szczylił się wycuciem w nabywaniu takich przedmiotów, których wartość z czasem jeszcze wzrastała. Unikał ciężkiego, przeladowanego stylu, zwanego później wiktoriańskim; bał się też bardziej nowoczesnego zamiłowania do drzewa różanego i hebanu z inkrustacjami z miedzi, bo twierdził, że moda na to się nie utrzyma. Skupował dobre, choć często rażąco niedobre meble osiemnastowieczne, a zwłaszcza dzieła rąk znanych mistrzów meblarstwa, jak Chippendale i Sheraton.

Dwa wielkie lustra w złożonych i rzeźbionych ramach wisiały na przeciw-

ległych ścianach. Pod jednym stała inkrustowana różnokolorowym drzewem komoda. Pod drugim — konsola rzeźbiona w pseudochińskie wzory. Pośrodku salonu, przed wielkim marmurowym kominkiem, zastawionym niezliczonymi, cennymi bibelotami, stała na ośmiu nogach kanapa długości blisko trzech jardów, obita srebrnym adamaszkim. Towarzyszyły kanapie liczne fotele i krzesła, piękne antyki, ale każdy z innej parafii: francuskie, złocone, o wyścielanych poręczach i haftowanym siedzeniu; mahoniowe Chippendale'e; inne krzesła mahoniowe z rzeźbionym, wysokim, gotyckim oparciem, wyglądające, jakby niegdyś służyły biskupowi, zdumiewające krzesła pochodzenia weneckiego z poręczami w kształcie delfinów, nogami inkrustowanymi hebanem i złoconymi, a oparciem i siedzeniem w formie dwóch wielkich muszli; i jeszcze inne weneckie dziwo, malowane i rzeźbione na kształt łabędzia, któremu się siadało na grzbiecie. Pod oknem stała kozeta mahoniowa, obita niebieskim jedwabiem. Tę kolekcję krzeseł i kanapek dopełniała zbieranina rozmaitych stoliczków różnego pochodzenia i stylu — zastawionych urnami, wazami, lichtarzami — i okrągła, obracająca się etażerka na książki z pięcioma kondygnacjami półek, zmniejszających się ku górze.

Trzeba było całej energii i przedsiębiorczości Eweliny, by wstrząsnąć Sir Jamesem o tyle, że zdecydował się zaprosić — Hunterów — rodziców — do tego salonu, który nie tyle przypominał muzeum, ile antykwariat. Oliwia nie dbała o to, czy ostatecznie Edward ożeni się z Eweliną, czy nie; prócz tego wiedziała, że dobrze wygląda w czarnej krynolinie, obszywanej starym złotem, wydekoltowanej, ściśniętej w pasie, o bufiastych rękawach; toteż czuła się swobodnie i z satysfakcją zamierzała obserwować Sir Jamesa i jego wyblakłą małżonkę w trudnej sytuacji. Filip bardzo pragnął lego małżeństwa córki i realizacji jej ambicji towarzyskich, ale w pełnym poczuciu własnego niskiego pochodzenia, które mogłoby stanowić przeszkodę, był zły i skrepowany.

Dla Sir Jamesa konwersacja istniała tylko wtedy, gdy chodziło o dobitnie jakiegoś interesu. Na darmo słów nie tracił. Powiedział Edwardowi, że nie zamierzał nigdy wybierać mu żony, ale ufał, że będzie miał coś do powiedzenia w sprawie wyboru jego teścia; następnie spokojnie rozważył ekonomiczną stronę sytuacji wytworzonej przez lekkomyślność młodej pary i dostrzegł nie najgorsze możliwości. Doszedł do przekonania, że jeśli Edward musiał okazać się durniem, to już lepiej tak niż z prostą dziewczyną, którą by musiał grubo opłacić. Ostatecznie, Ewelina Hunter jest ładna, dziedziczy pokaźny majątek i przynajmniej po matce pochodzi z dobrego domu. Za młoda, oczywiście, ale jak się okazuje, pod pewnymi względami najzupełniej dojrzała. Lady Paton, jak zwykle, zgadzała się z mężem.

Sir James, podsunąwszy Oliwii mahoniowy Chippendale, a Filipowi —

z pewną złośliwością — delikatne weneckie dziwadło w kształcie dwóch muszli, które było dla niego za niskie, tak że jego kolana w popielatych spodniach podchodziły mu pod samą brodę — przystąpił od razu do rzeczy.

— Proponuję, żebyśmy nie bawili się w żadne argumenty i żale — rzekł bezceremonialnie. — Co się stało, to się nie odstanie. Kwestia polega tylko na tym, kiedy ma być ślub i jaki.

Stał przed kominkiem, niski, barczysty, o głowie łysiejącej od góry; ciężką szczękę okalały szpakowate bokobrody, a na długiej górnej wardze Czernił się wąs. Jego rozcięty surdut odsłaniał jasnopopielatą kamizelkę; rogi białego halsztuka sterczały sztywno i nie pozwalały mu swobodnie obracać (głową. Grubym palcem potarł mięsisty nos i czekał.

— Wianuszek z kwiatu pomarańczy, biały welon, biskup do udzielenia ślubu, dwieście osób zaproszonych gości — zaproponowała Oliwia, celowo impertynencka w odpowiedzi na bezceremonialną szorstkość Sir Jamesa.

— Na wasz koszt — przypomniał Sir James, ale patrzył na Filipa. — I wątpię, czy w waszym domu...

— W sali londyńskiego hotelu i w londyńskim kościele — poprawiła go Oliwia.

— Muszę przyznać — wtrącił Filip — że moja żona i ja nie jesteśmy całkiem zgodni w tej sprawie. Niektóre, że tak powiem, okoliczności tego mariażu nie usprawiedliwiają...

— Wesele to wesele — odparł Sir James. — Dla mnie tu nie ma żadnych okoliczności. Myślę jedynie o przyszłości młodej pary. Pozycja mego syna, szarża oficerska i, hm, perspektywy odziedziczenia po mnie fortuny — bo za mego życia nic nie dostanie — w połączeniu z majątkiem pańskiej córki, zapewnią im należyłą pozycję towarzyską. Takie modne wesele jest dla nich zupełnie zbędne. Czek na sumę, która by pokryła koszty, jako ślubny prezent więcej się im przyda.

— Z pewnością — odezwał się niespodziewanie nieśmiały głosik od strony krzesła w formie łabędzia. Lady Paton zawsze w tym krześle siadała, uważając, iż ono najlepszą tworzy ramę dla jej delikatnej urody jak drezdeńskiej figuryнки — niegdyś ładnej, dziś wyblakłej, spłowiałej.

— Ja brałem cichy ślub — ciągnął Sir James, ignorując fakt, że przy tej ceremonii była obecna i panna młoda.

— My też — powiedział Filip, nie zastanowiwszy się; i przygryzł wargi, bo Sir James popatrzył na niego szyderczo i pogardliwie.

— Co odpowiadało nam, niekoniecznie będzie odpowiadać naszej młodej parze. — Oliwia sama zamierzała ustąpić, ale przedtem chciała jeszcze zadać parę celnych ciosów. — Wiem, że Ewelina chciałyby...

— Edward chce tego, czego ja sobie życzę — oznajmił surowo Sir James.

— Więc pan życzył sobie, by Edward pokochał Ewelinę? — Psozny chochlik

jakiś nakłonił Oliwię do tego zapytania. Na szczęście cienki głosik Lady Paton, jakoś bardziej przenikliwy niż zwykle, jakby się sama dziwiła, że ośmiela się wtrącić do rozmowy, zagłuszył Oliwię:

-* Wszystko jedno, jaki ma być ślub, byle nie odwlekać!

Ta bezsprzecznie słuszne słowa odwróciły uwagę Sir Jamesa od niepoprawnej Oliwii i pozwoliły mu przejść do następnego punktu.

— Ja proponuję nasz kościół parafialny. Rodzina i przyjaciele.

OliWa wiedziała, że teraz dopiero zacznie się prawdziwa batalia i tu nie miała zamiaru ustąpić i wywieszać białej chorągwi ani przed Sir Jamesem, ani przed nikim innym. Jej propozycja wesela w Londynie była tylko posunięciem taktycznym.

Filip zgadzał się, aczkolwiek niechętnie, z Sir Jamesem. Te okoliczności, które baronet chciał zignorować... Filip nie widział wielkiej potrzeby dawania młodemu czeku na znaczną sumę. Młodzi będą lepiej stali finansowo od niego i Oliwii. Ale gdyby wyprawił im wielkie weselisko — mogłoby to od razu ustalić ich i jego własną pozycję towarzyską. Filip z przyjemnością wydałby córkę za mąż w modnym londyńskim kościele, w obliczu śmietanki towarzystwa, którą mogliby zaprosić jej teść, generał Paterson i inni krewni Oliwii. A później przyjmowałby jako ojciec panny młodej lorda takiego to i lady taką to. Ale te okoliczności... Nie znając „wielkiego świata”, Filip wyobrażał sobie, że przedślubne grzeszki trafiają się wyłącznie prostym dziewczynom. Nie zdawał sobie sprawy, że za pieniądze wielu kłopotom można zaradzić, wiele rzeczy zamaskować. Bał się, co ci lordowie i damy, których miał witać jak równych, powiedzą, gdy w sześć miesięcy po ślubie... Nie wiedział, jak mało na to zwrócić uwagi, pod warunkiem, że młodzi Patonowie zechcą wydawać huczne przyjęcia i prowadzić dom otwarty. Filip zdecydował, że trzeba po cichu urządzić ślub, po cichu i chrzciny, a dopiero później myśleć o wprowadzeniu młodych w życie towarzyskie.

Zgodę Lady Gertrudy z góry przesądzone. Nie do pomyślenia było, aby jeszcze raz odezwała się w ciągu tego samego dnia.

— A więc jak się zdaje, jestem przegłosowana — rzekła Oliwia. — Jako dobra demokratka, ustępuję wobec większości.

Sir James skrzywił się na słowo „demokratka”, chociaż sam miał kandydować w przyszłych wyborach. Wiedział doskonale, że nie tyle wola większości, ile pieniądze i stanowisko wprowadzą go do Westminsteru.

— Prześlę wam listę krewnych Edwarda, których należałoby zaprosić — oznajmił Sir James, siadając nareszcie na francuskim, złożonym krześle. — Pastor naszej parafii udzieli im ślubu oczywiście.

— Wcale nie oczywiście — odparła ostro Oliwia, która już miała dość dyktatorskiego tonu Sir Jamesa. — Ślub im da kuzyn mego ojca, wielbny Archibald Black.

— Nie znam. Gdzie on ma parafię?

— We wschodniej dzielnicy Londynu.

— Co? Wśród tej hołoty? To nie może być odpowiedni pastor.

— Ta hołota, jak ją pan nazywa — Oliwia mówiła coraz ostrzejszym tonem — również potrzebuje duchowej i materialnej opieki, a zdaniem, ojca Archibalda, materialnej najbardziej!

Filip bardzo lubił wielebnego Archibalda Blacka, który niegdyś 'przez wiele lat był pastorem w Binwood, z niechęcią spełniając zarządzenia Sir Aleksandra Patersona. Ale podczas „rewolty głodnych żołądków” niespodziewanie odzyskał cywilną odwagę i pierwszy obniżył dziesięcinę swoim parafianom pod warunkiem, by podnieśli dniówki robotnikom rolnym. Podpisał też petycję, ułożoną przez Filipa i jego grupę działaczy. Po tym zajściu objął parafię wśród najuboższych mieszkańców Londynu i znalazł szczęście w tej pracy. Filip daleko już odszedł od dawnych idei i dawnych współtowarzyszy, ale nie zapomniał głębokiej przyjaźni i szacunku, jakie w jego sercu obudziła świetlana postać starego pastora, który Schylek swego życia poświęcił pracy wśród ubogich.

— Tak, ojciec Archibald — powiedział teraz z odbiciem dawnej energii.

Sir James uniósł w górę jedną grubą brew.

— Jak chcecie — ustąpił i szybko mówił dalej: — Zaprosicie paru okolicznych ziemian, jak przypuszczam. Lane'owie i Hammondowie. Tylko nie ten pijak Harris.

— Nie dbam o to, czy to ziemianie — rzekła z naciskiem Oliwia. — Zapraszamy przyjaciół. Mamy więzy przyjaźni, łączące nas z ludźmi od dawna.

— Tak słyszałem! — rzekł znacząco Sir James.

— Wszyscy mamy... — szepnęła trochę od rzeczy Lady Paton, a mąż rzucił na nią gniewne spojrzenie.

— Appletonowie, Harold Cook kołodziej, Robert Hawthorne, Percy Green kowal... — Oliwia wyliczała szybko.

— To wesele mojego syna, nie tylko waszej córki — zaprotestował Sir James. — Nie zgadzam się na zapraszanie tej hołoty!

Jeszcze w domu Filip sprzeczał się z Oliwią na ten temat. Teraz był raczej po jej stronie. Było do przewidzenia, że Sir James będzie oponował. Ale jak on. Filip, ma żyć w tej wiosce, jeśli na wesele jedynej córki zaprosi Lane'ów i Hammondów, a nie zaprosi tych dawnych przyjaciół i współtowarzyszy?

— A ja nie zgadzam się na nazywanie moich przyjaciół hołotą! — rzekł.

— Mój drogi Hunterze, to jest niedorzeczne... — zaczął Sir James, wstając znowu i podchodząc do kominka, w którym parę płonących polan rozpraszało przenikliwe jesienne zimno na odległość kilku jardów zaledwie.

Przerwało mu wejście pokojówki — w czarnej sukience, koronkowym białym fartuszkowi i czepeczku na głowie — która wniosła na wielkiej srebrnej

tacy chińskie filiżaneczki i czajnik z herbatą. Druga pokojówka wniosła potrójny postument, na którym ułożono chleb z masłem, kanapki z pomidorami i ogórkami oraz drobne ciasteczka. Lady Paton westchnęła z ulgą, że nareszcie może zająć się czymś bez ciągłych protestów męża. Bez protestów — ale nie bez pouczeń.

— Za mocna herbata — powiedział Sir James, gdy żona zaczęła nalewać herbatę do filiżaneczek. — Dodaj wody do czajnika. — Usłyszała potulnie.

Pokojówki podawały serwetki i talerzyki, obnosiły chleb z masłem i kanapki.

— Możecie odejść — rzekł Sir James z rozkazującym ruchem ręki. Usiadł znowu i wziął w swoje grube palce spodeczek z filiżanką parującej herbaty.

— Chciałabym sprawę postawić jasno — powiedziała Oliwia, zerkając spod oka na Filipa, który nie bardzo zręcznie sobie radził z herbatą w jednej ręce, a talerzykiem w drugiej, skurczony w niewygodnym krześle. — Albo nasi przyjaciele i ich rodziny zostaną zaproszeni na wesele, albo też mnie nie będzie.

— A może nie przyjdą? — rzekł Sir James z leciutkim drganiem kącików ust, co u niego oznaczało uśmiech.

Oliwia była pewna wygranej. Nie dbała o to, co ktokolwiek powie, jeśliby matki nie było na weselu. Natomiast Sir James nie zaryzykowałby narażenia się na plotki. Sir James bał się plotek. Oliwia zjadła ze smakiem kanapkę i powiedziała:

— Chciałabym, żeby przyszli. Co więcej, jestem właściwie pewna, że przyjdą.

— Słyszałem już, że z pani niebezpieczna kobieta, pani Hunter! — rzekł z odcieniem irytacji Sir James.

— Być może — odpowiedziała słodko Oliwia i obdarzyła go uroczym uśmiechem.

Sir James nigdy nie kapitulował. Gdy wiedział, że jest pokonany, wycofywał się na z góry upatrzone pozycje i zaczynał atak z innej strony.

— A póki pamiętam, drogi Hunterze! — powiedział teraz. — Ponieważ będziemy w pewnym sensie, że tak powiem, spowinowaceni, oczekuję od ciebie poparcia mojej kandydatury do parlamentu w nadchodzących wyborach. Był czas, kiedy może byś nie popierał takiego konserwatysty, jak ja, ale... hm... dziś co innego. — Gładził swój nos grubym palcem. — A teraz jeszcze sprawa remontów chałup, dzierżawionych przez najemników. Słyszałem, żeś odmówił podpisania tej ich petycji. Bardzo słusznie, oczywiście, bardzo słusznie. Ale sani zaczęłaś roboty remontowe chat twoich najemników. Ja sprzeciwiam się temu z zasady, pryncypialnie, że tak powiem, i spodziewam się po tobie, że...

Z pewnością nie spodziewał się tego, co zaszło w następnej chwili.

Lady Paton podała Filipowi paterę z ciastkami. Z pełną filiżanką herbaty w ręce i talerzykiem balansującym na kolanie, Filip pochylił się ku niej: talerzyk zsunął się na ziemię. Spróbował go przytrzymać i stracił równowagę. Sir Jamesowi przerwał dyskurs głośny trzask kruchego weneckiego krzeselka. Filiżanka i spodeczek poleciały w powietrze. Lady Paton pisnęła skrzekliwie: „Och, moja suknia!” Filip wylądował ciężko na podłodze, siedząc nadal w krześle, którego obie tylne nogi uległy katastrofie. Okropnie zmieszany, wymyślając sobie w duchu, iż jest tak niezgrabny jak bracia Appletonowie w bawialce Oliwii, Filip podniósł się i otrząpywał okruszki chleba i resztki pomidorów ze swych jasnopielatych spodni, mrużąc przy tym jakieś przeproszenia. Lady Paton stała oszołomiona, bezradna, z rękoma uniesionymi w przestraszu w górę, z plamami herbaty na całej srebrzystej krynolinie.

Sir James siedział solidnie w swoim francuskim złoconym krześle i wyglądał jak surowy nauczyciel w obecności niezdarnego ucznia. Co za sens rozmawiać poważnie z człowiekiem, który nie potrafi nawet wypić przyzwoicie filiżanki herbaty w salonie? Oliwia klęczała przed Lady Paton, ścierając chusteczką plamy z jej krynoliny i pochylając nisko głowę, by ukryć gorący rumieniec — nie wstydu za Filipa, lecz głębokiego współczucia, gdyż zdawała sobie sprawę, co biedak musi czuć w tej chwili.

Rozdział ósmy

W Orchards nie zatrudniano służby domowej. Ten fakt, drobny na pozór, bardzo obniżał pozycję towarzyską Hunterów w oczach Patonów, Lane'ów i Hammondów. Filipa nie opuścił jeszcze zdrowy rozsądek w tym względzie.

— Jest was, kobiet, trzy w domu — powiedział do Eweliny, gdy prosiła ojca, by najął jedną lub dwie pokojówki. — Ja się nie wstydzę kopać i orać dla was; nie widzę powodu, dla którego ty miałabyś się wstydzić gotować, prac i sprzątać dla mnie. Gdyby było za dużo roboty dla was — a, to co innego. Ale dajecie sobie radę doskonale. Więc po co wyrzucać pieniądze?

Tak więc Oliwia, Molly i Ewelina podzieliły między siebie domowe zajęcia. Dzieci wychowano na zasadzie samodzielności — same słały sobie łóżka, sprzątały swoje pokoje, czyściły obuwie.

Następnego dnia po wizycie Hunterów w Paton Hall Oliwia i Molly — obie w pełni kobiecej urody, choć tak do siebie niepodobne — zmywały i wycierały naczynia po obiedzie. Ewelina parzyła bańki od mleka w mleczarni, w innej stronie domu. Filip pojechał do Binwood, aby zaprosić generała na wesele i dyskretnie wspomnieć o przyczynie pośpiechu. Przed wyjazdem Filip dostał list, który wprawił go w pasję — od żołnierza Nr 665241, Adama Debenhama. Było to przybrane nazwisko chłopca, który przed dwoma

przeszło lata uciekł przez okno ze szkoły, a potem znowu z binwoodzkiego dworu, odchodząc w ten sposób z życia rodziców.

— Postanowiliśmy nie mówić Ewelinie aż do chwili, kiedy wróci z podróży poślubnej po Italii — mówiła Oliwia, przepłukując talerz w zimnej wodzie. — I aż do tej pory nie wspominam o tym we wsi. Ja osobiście nie paliłam się do tego mariażu Ewelinki, ale skoro już tak musi być, istotnie nie ma sensu drażnić Patonów akurat teraz. Po weselu i po powrocie młodych mogą sobie kręcić głowami i cmokać, ile zechcą!

— Oczywiście — zgodziła się Molly, wymachując ścierką. — Nie pochwalam sposobu, w jaki Ewelina złapała sobie męża, ale teraz nic ma sensu psuć jej szans.

— Uważaj, byś nie popsuła tych szans plotkowaniem — upominała Oliwia.

— Ja? Też miałasz pomysły! — Molly była obrażona. Ale zaraz spuściła z tonu, bo chciała się jeszcze dowiedzieć szczegółów. — Co Adam pisze o życiu w wojsku?

— To nie jest ważne. Adam zawsze był powściągliwy, w każdym razie w stosunku do ojca i do mnie. Jak się zdaje, woli jechać do Indii...

— Podróże, przygody — przerwała Molly, ale Oliwia mówiła dalej:

— ...raczej, niżby go wysłano na Krym. Nie dziwię mu się. Pisze też, że dużo słyszał o Indiach w szkole. Wielu byłych wychowanków objęło posady w Indiach...

— Szkoda, że Adam nie jedzie objąć posady, tylko...

Oliwia zignorowała szyderstwo. „Kiedy te dzieciaki były małe — rozmyślała — strasznie dużo roboty było z nimi i wciąż marzyłam, jak to łatwa będzie, kiedy podrosną... A teraz podrosły i co? Jeden z trójki uciekł z domu i wstąpił do wojska, a drugą trzeba było wydać za mąż jak najprędzej, żeby dziewczyna biel welonu i wianek z kwiatów pomarańczy nie raziły śmiesznością”.

— Czy Adam przez całe te dwa lata był w wojsku? — dopytywała się jeszcze Molly.

Oliwia pozwoliła sobie na gorzki uśmiech.

— Ależ nie! Zdobywał to, co nazwał „doświadczeniem”. Trzeba ci było słyszeć, co Filip miał do powiedzenia o tym „doświadczeniu”.

— Biedny Filip — rzekła Molly.

— Dlaczego „biedny Filip”?

— Te jego dzieci...

— To są moje dzieci także, pozwolę sobie przypomnieć!

— Oczywiście. Dlaczego jesteś taka drażliwa?

— Przepraszam cię. Rzeczywiście, zrobiłam się drażliwa i nierozsądna. Czy możesz sobie to wyobrazić, Molly? Przeszło dwa lata temu uciekł ode mnie. Noce rozpaczy i wyrzutów sumienia, i samooskarżeń, i cierpienia. Dwa lata takich nocy! A teraz wreszcie list — ale nadal nie ma nadziei, bym go

zobaczyła. Pojechał o tysiące mil stąd! Mogą go tam trzymać przez dziesięć lat. — Słowa zamarzy na jej ustach, jakby zgubiły się w nawale nowych, wywołanych nimi myśli.

Molly zgorzkniała w staropanieństwie, ale miała dobre serce.

— Oliwio, moja kochana! Rozumiem cię doskonale. Tak się bezmyślnie odezwałam... O jakich to doświadczeniach pisał Adam?

— Parę miesięcy pracował jako doker, parę jako kelner, później znowu jakiś czas był reporterem w prowincjonalnej gazecie.

— Mój Boże! Uciec z dobrej szkoły, wyrzec się planów wyższych studiów i dalszych perspektyw — po to! A czemuż to zmieniał zajęcia tak często?

— Wciąż jakieś zatargi. Wiesz, Molly, ja czasem myślę, że mój Adaś ma za wiele szlachetności, by sobie radzić na tym świecie.

— Gdzie on tę swoją szlachetność chowa? Pod korcem? — burknęła Molly z nawrotem zgryźliwości. — Z jego postępków sądząc, nie widzę tego... I skąd właściwie...

Powstrzymała się. Wiedziała doskonale, że niejeden by powiedział: skąd niby szlachetność? Pomyśl tylko o pochodzeniu jego ojca! Molly zdawała sobie sprawę, że Oliwii nigdy by to nie przyszło nawet do głowy. Natomiast Molly była w pełni świadoma, że jest dziś zupełnie inną osobą, niż była kiedyś.

Pochylona nad szerokim kamiennym zlewem, Oliwia zignorowała zgryźliwość szwagierki. Miała tego dnia dosyć własnych kłopotów i nie zwracała uwagi na samotną gorycz starej panny.

— Stracił pracę dokera — mówiła — ponieważ nie chciał brać udziału w systematycznym podkradaniu ładunków. Tamci bali się, że Adam doniesie na nich — nie znali go tak, jak ja go znam... Bili go co dzień przez trzy dni z rzędu, więc po prostu musiał rzucić pracę.

— A tutaj kradł jabłka z sadów i bawił się kłusownictwem — przypomniała Molly.

Oliwia zachnęła się gniewnie.

Szwagierki starały się tolerować nawzajem, ale nieustannie wysuwały pazurki.

— No dobrze, a jak było z posadą kelnera? — zapytała znowu Molly, rozwieszając ręczniki do wysuszenia.

— Oberkelner okradał właściciela restauracji. Adam schował ten fakt do kieszeni, wyszedł i nie wrócił więcej.

— Właściwie nie jestem pewna, czy nie powinien był właśnie tak postąpić — zastanawiała się Molly. Nie mogła się zmusić do przyznania odwagi cywilnej chłopcu, który tyle przyczyniał trosk jej ukochanemu bratu. — A co było z reporterką?

— Trochę inaczej. Miał napisać artykułik, wychwalający jakiegoś tamtejszego krezusa, który się przyjaźnił z właścicielem gazety. Krezus kandydo-

wał do parlamentu i potrzebna była pomoc prasy. Adam powiedział, że powszechnie wiadomo o nieuczciwych praktykach krezusa, więc nie napisze takiego artykułu. To był koniec z posadą reportera.

— W ten sposób nigdy do niczego nie dojdzie — zauważyła Molly. — Jeśli mnie zapytasz o zdanie, to ci powiem, że twój Adam powinien się nauczyć postępować jak inni ludzie.

— Jeżeli cię zapytam — warknęła Oliwia i opamiętawszy się ciągnęła dalej — jedna rzecz wydawała mi się dziwna w tym liście. Mianowicie Adam wie o tym, co się u nas dzieje, od kiedy on... Wie, że Filip ziemi dokupywał, że Edward poszedł do oficerskiej szkoły artyleryjskiej...

— A o Ewelinie? — zapytała z przejęciem Molly.

— Chyba jeszcze nie było czasu, żeby o tym się dowiedział. Według mnie, Adam koresponduje z kimś z Chilcote.

— Może Alek?... — podpowiedziała Molly, ale Oliwia ofuknęła ją:

— Jakże Alek mógłby dostawać listy bez naszej wiedzy?

Obie zabrały się do ustawiania naczyń w kuchennym kredensie.

— Dlaczego Adam napisał do ciebie teraz, po tak długim czasie? — pytała znowu Molly.

— Jedzie do Indii. Nie wiadomo, co się może tam zdarzyć, powiada. To zbyt okropne, żeby nawet pomyśleć! Uważa, że na wszelki wypadek powinniśmy wiedzieć. Biedaczysko!

— Biedaczysko? Jak sobie pościele, tak się wyśpi. Bo właściwie dlaczego uciekał?

Oliwia już nie odpowiedziała. Zatrzasnęła drzwiczki kredensu połykając łyżę. Nie mogła odpowiedzieć po prostu, że Adam uciekł, bo bał się ojca. To by nie było lojalne. I beznadziejnym przedsięwzięciem byłoby tłumaczyć Molly — która patrzyła na chłopca oczyma Filipa, a w dodatku nie grzeszyła inteligencją — co miała na myśli mówiąc, że Adam jest zbyt szlachetny, by radzić sobie na tym świecie. Różnił się bardzo od ojca, od siostry. Chłopak z ideałami, które, choć nieskrystalizowane jeszcze, już budziły się i zrywały więzy, co je dusiły.

Odniosły srebro stołowe do wybitej filcem szuflady w kredensie w jadalni. Oliwia podniosła głowę znad szuflady i dorzuciła jeszcze jedną informację, która mogła się wydawać nie na temat, a w istocie była odpowiedzią na ostatnie pytanie:

— Adam pisze, że nie przyjął awansu. Nie chce odpowiedzialności, która by kępowała jego swobodę postępowania w każdej okoliczności tak, jak uważa za stosowne.

Czoło Molly zmarszczyło się, gdy próbowała to zrozumieć. I Oliwia zamyśliła się. Przypomniała sobie, jak Adam czytał po raz pierwszy *Hamleta*, pewno niezupełnie jeszcze rozumiejąc słowa barda. Wszedłszy do jego po-

koju, zastała go pochylonego nad zeszytem, do którego wpisywał następujące wiersze:

Rzetelny bądź sam względem siebie,
A jako po dniu noc z porządku idzie.
Tak za tym pójdzie, że i względem drugich
Będziesz rzetelnym.

Wiedziała, że wybrał sobie te słowa jako maksymę życiową. Tak, stracił już trzykrotnie pracę w imię tej zasady — ale na razie tylko pracę. Co będzie, gdy jego rzetelność względem siebie zostanie naruszona przez autorytet tak potężnego monolitu, jak jego obecna władza zwierzchnia? Żaden autorytet go nie przestraszał.

Na ognistym karym wierzchowcu, który był jego ostatnim nabytkiem i przedmiotem dumy, Filip dojeżdżał już do Binwood. Myśli jego, tak ostatnio zaprzątnięte sprawami ukochanej córki, krążyły teraz wokół najstarszego syna i listu od niego. Jak ten chłopiec się zawiązał, żeby mu robić na złość, sprzeciwiać się wszelkim życzeniom ojca! Doker! Kelner! Reporterzyna! Prosty żołnierz! Niczym przywoitym się nie zajął. A tyle pieniędzy poszło na jego edukację! Inaczej wyobrażał sobie karierę tego syna, który miał zdolności, trzeba mu to było przyznać. Uniwersytet, dyplom magistra sztuk wyzwolonych, później może praktyka adwokacka i wysokie stanowisko w służbie państwowej w kraju lub w koloniach. Zupełnie realne, nawet prawdopodobne. A z Edwardem Patonem jako szwagrem — Filip nie zastanawiał się, jak Adam odniósłby się do Edwarda, gdyby wiedział o okolicznościach ślubu Eweliny — można by liczyć na poparcie wpływowego Sir Jamesa. Oliwia zepsuła chłopaka. Poblązała jego dzikim wybrykom, które doprowadziły do takich rezultatów!

Edward w szkole oficerskiej, w artylerii, na pewnej drodze do pięknej kariery wojskowej... a Adam — prostym żołnierzem! Co powie Ewelina? A Sir James? Co za diabeł wstąpił w tego chłopca! Upór i głupota. Filip nie był w stanie przeanalizować własnego postępowania. Nie wiedział, że syn bał się nie chłosty, ale więzów, które by mu ręka ojcowska nałożyła.

Do wojska zaciągano się na całe życie. Wydostać się z tej służby można było tylko przez ciężkie okaleczenie, przez wydalenie hańbiące albo przez wykup. Może generał Paterson... Filip nie wspomniał Oliwii o swoim zamiarze rozmowy z generałem na temat syna. Adam jeszcze napyta sobie biedy, bo w wojsku takim hałaburdom, jak on, bez ceremonii wlepiają po pięćdziesiąt

razów w gołe plecy. Filip poruszył ramionami, jakby sam poczuł dotkliwy ból przecinanej skóry.

Dzięki Bogu, że go przynajmniej nie wysłali na Krym. Ci nowi korespondenci wojenni rozpisywali się w gazetach o strasliwym losie żołnierzy na tym froncie. No, w każdym razie nie dotyczyło to osobiście Adama. Choć i w Indiach nie było bezpiecznie, bynajmniej! Kraj ten był jakby wielkim polem ćwiczebnym dla brytyjskich wojsk; zawsze toczyły się tam walki z któryś z tubylczych plemion. Zbielałe kości, porozrzucane na pustynnych wyżynach i drewniane krzyże w górskich wąwozach świadczyły o nieustannej wojnie.

Filip podjeżdżał do binwoodzkiego dworu. Chciał zobaczyć się z administratorem, który zarządzał majątkiem jeszcze za życia Sir Aleksandra, a ponieważ dobrze się wywiązywał ze swych obowiązków, pozostawiono go nadal, by gospodarzył w imieniu wyznaczonych testamentem opiekunów. Wjechał na dziedziniec otoczony budynkami gospodarczymi. Jak przed dwoma laty Oliwia, tak i on spojrział odruchowo w tę stronę, gdzie niegdyś jego matka zginęła z rąk żołnierzy generała Patersona — wówczas pułkownika Patersona. Nic się tu nie zmieniło i Filip doznał jakby wstrząsu, wspominając tę tragiczną chwilę. Wydało mu się, że opada z niego płaszcz konwencjonalizmu, aspiracji towarzyskich, snobizmu. Wrócił w dawne dni pełnego, męskiego życia, poczuł na sobie zachwycone spojrzenie matki, która poszła za nim walczyć o ludzką godność.

Tu padła. Sam bezbronny, Filip odciągnął od niej gołymi rękoma mordercę-żołnierza. Jego matkę zabili żołnierze Patersona. A Paterson zaklął się, że Filipa wtrąci do więzienia, co rzeczywiście się stało. W owej chwili właśnie Oliwia publicznie wyznała swą miłość do niego. General Paterson nazwał ją szaloną. Matka, Oliwia, generał Paterson... generał Paterson... generał Paterson... I oto on, syn Agnieszki Hunter, jedzie do generała Patersona. prosić go o pomoc? Nigdy! Dobrze, że nie wspomniał Oliwii o swoim zamiarze.

A jednak losy dziwnie się spłotyły. Wnuk Agnieszki Hunter, syn Oliwii i Filipa — został żołnierzem.

Kiedy śłączenie nad książkami za bardzo go już zmęczyło, Alek wstawał od stołu, oszołomiony jeszcze nadmiarem wchłanianych wiadomości z dziejów starożytnych, średniowiecza, podstawowej chemii i matematyki, rzucał ostatnie spojrzenie na swoje notatki, czasem dopisywał parę słów i szedł do bawialni. Tam zasiadał do wielkiego fortepianu firmy Broadwood — był to jeden z pierwszych modeli, który łączył w konstrukcji metal z drzewem — i odświeżał zmęczony umysł muzyką Mozarta, romantycznego, niedawno zmarłego Polaka Chopina i średniowiecznych pieśni religijnych.

Siedział więc przy fortepianie tego wieczoru, gdy Filip pojechał do Binwood.

Oliwia, przyciągnięta muzyką jak magnesem, weszła do bawialni, a Alek grając bez nut, spoglądał na nią z uśmiechem. Serce Oliwii wrywało się ku niemu; pomyślała, jak pięknie wyglądał: długie, ciemne włosy nosił zaczesane do tyłu, twarz miał pociągłą, bladą, oczy były czujne i bystre nawet w chwili rozmarzenia, wyłożony kołnierz koszuli odsłaniał białą szyję, długie palce zdawały się pięścić klawisze. Grał subtelnie, choć techniki nie miał najlepszej, przepajając melodię raczej własnym nastrojem niż wypełniając zamierzenia kompozytora. Jak wielostronnie był utalentowany! Adam uczył się dobrze, był zdolny i bystry, ale ten drugi syn wydawał się genialny — chociaż skromny i praktycznie trzeźwy. Ten drugi syn z pewnością zaspokoił ambicje ojca, który pragnął widzieć swych synów zdobywających wiedzę i zaszczyty — tak jak Ewelina zaspokoila jego towarzyskie aspiracje.

Do bawialni weszła Ewelina i usiadła obok matki. Promieniała radością, jedyna z całej rodziny, która uważała „nieprawidłowość”, związaną ze swoim małżeństwem, za rzecz konieczną i wobec tego nie martwiła się tym wcale. Oliwia godziła się z „nieprawidłowością”, ale byłaby wolała cichy ślub, bez wesela. Filip godził się na wesele, a przymykał oczy na „nieprawidłowość”. Ewelina uważała „nieprawidłowość” i wesele za nierozłączną całość, jak większość dziewcząt w jej czasach uważałaby za nierozłączną całość wesele, a później konsumpcję małżeństwa. Stosunkowo bogata, Ewelina w siedemnastym roku życia robiła doskonałą partię. Żadna heroina romansów, w których Ewelina się rozczytywała, nie mogła osiągnąć więcej. Wiedziała, że Edward kochał ją po swojemu. I chociaż to nie on był postacią dominującą, to nie on ją porwał, a raczej odwrotnie, trzeba go było najpierw uwodzić, podniecając jego zmysłowe pożądanie, a później zręcznym szantażem do małżeństwa przymusić — dla Eweliny było to źródłem satysfakcji z osiągniętego celu.

Jakby czytając w jej myślach, Oliwia odezwała się, gdy Alek przestał grać na chwilę i zabrał się do szukania jakichś nut.

— Myślisz, że Edward będzie dobrym mężem dla ciebie, kochanie?

— Już ja tego dopilnuję — odparła Ewelina z uśmiechem, który nadał jej pięknym rysom nieprzyjemną ostrość.

Zaterkotał dzwonek u frontowych drzwi. Alek przerwał poszukiwania z gestem niezadowolenia. W chwilę później Molly wpuściła do bawialni szczupłego mężczyznę, lat około trzydziestu, o chorowitym wyglądzie, wypukłych, przenikliwych oczach i wysokim białym czole.

— Pan Bowers! Jak to miło, że pan się do nas wybrał! — witała gościa Oliwia, idąc ku niemu lekkimi krokami, podając rękę — piękną, długą, która wyraźnie zdradzała, po kim rękę pianisty odziedziczył Alek.

Gość schylił się w nieco staromodnym ukłonie przed Oliwią, po czym spojrzął na Ewelinę.

— Przyszedłem gratulować.

— Pewno pan słyszał już różne plotki — rzekła prowokacyjnie Ewelina.

— Ja nie zwracam uwagi na plotki, droga panno Ewelino. Dowiedziałem się, że pani wybiera się za mąż i to niebawem.

— A plotki wyjaśniają, czemu to musi być tak niebawem — upierała się Ewelina.

Oliwie, choć również nie chciała ukrywać niczego, raziła ta bezwstydną, zadowoloną z siebie arogancją. Wiedziała, że stawianie czoła plotkom było skazą na szczęściu Eweliny, która szukała obrony w ataku.

— Moja córka tak obawia się plotek, że je uprzedza — powiedziała.

— Taka bezwzględna szczerłość nie przystoi piękności — takiej piękności! — odrzekł malarz.

Tego ranka we wsi Ewelina już się zorientowała, jak ludzie ustosunkowują się do plotek o niej. Żony okolicznych ziemian rozplywały się w zachwytach i powinszowaniach. Czyż nie miała zostać synową Sir Jamesa Pat ona, bogatego i ponoć ustosunkowanego? Natomiast niejeden wieśniak patrzył w drugą stronę, gdy Ewelina nadchodziła. Co prawda ich własne córki i synowie miewali podobne, jak się mówiło, kłopoty, ale ta dziewczyna i rodzice młodych zdawali się chępliwie sytuacją, która mogła być złym przykładem. Powinni przynajmniej okazać trochę skromności i wstydu.

— Czy skończył już pan swój obraz, panie Bowers? — wtrącił się do rozmowy Alek. Jego nie interesowały sprawy mariażu. Jedna para więcej czy mniej! Miał nadzieję, że jeśli jego kolej nadejdzie — na razie nie mógł sobie tego wyobrazić — potrafi lepiej się urządzać. Ale to cudze sprawy. Alka interesowało co innego. I czy mógłby zobaczyć ten obraz?

— Niestety, nie skończyłem go — odrzekł malarz. Osiedlił się w okolicy przed paru miesiącami i pociągnęła go — jako artystę raczej niż mężczyznę — uroda matki i córki. Bywał więc często w Orchards. — Ale powziąłem teraz inny projekt.

Oliwia usiadła na kanapie, układając fałdy krynoliny, wskazała artyście miejsce koło siebie.

— Proszę nam o tym opowiedzieć, panie Bowers. Pan wie, jak nas to interesuje?

— Chciałbym namalować portret tej młodej damy — powiedział malarz z ukłonem w stronę Eweliny.

— Zanim nie będzie zbyt gruba — burknęła Ewelina.

— Proszę mi pozwolić powiedzieć sobie, młoda damo, że dla mnie, malarza, nie ma piękniejszej postaci od kobiety w zaawansowanej ciąży — życie w pełni rozkwitu i życie utajone.

— W sprawach sztuki takie rozmowy są pewno dopuszczalne — powiedziała Oliwia z łagodną wymówką. — Ale o ile wiem, w londyńskim salonie temat ten byłby wykluczony.

— Londyńskie salony, droga pani, są duszne i oderwane od życia. Dlatego właśnie opuściłem Londyn, chociaż moja małżonka nie towarzyszy mi, i osiedliłem się tutaj, gdzie ludzie są w zgodzie z naturą...

— To ja — Ewelina nadal chciała koncentrować uwagę na sobie.

— ...gdzie są prości i otwarci — Bowers ciągnął dalej, ignorując słowa Eweliny — gdzie, choć może nie każdy charakter jest szlachetny i bez skazy, większość jest przynajmniej sobą, nie udaje, nie pozuje. Są tym, czym są.

— Czy odwiedził pan okoliczne domy ziemiańskie? — zapytała Oliwia.

— To nie miejsce dla artysty, który chce twórczo pracować, nawet gdyby tam był mile przyjmowanym gościem. Artysta należy do cyganerii, a ci, którzy mają i hodują konie, pamiętają dobrze, że Thackeray określił cyganerię jako takich samych złodziei koni, jak i cyganie, tyle tylko, że trochę bardziej wykształconych. Ale powiedzmy, że artystę przyjęto by w ziemiańskim dworze. Nie znalazłby tam niczego, nawet żadnego gestu naturalnego. Naturalności, szczerości, prawdy trzeba szukać nie wśród tych, którzy walczą o pozycję, fortunę i władzę, lecz wśród tych, którzy walczą o codzienny chleb.

— W takim razie niech pan lepiej jej nie maluje — zauważył rzeczowym tonem Alek. — Ona myśli tylko o pozycji, fortunie i władzy.

— Namaluję pannę Ewelinę tak, jak ją widzę — odparł Bowers, a Ewelina była zbyt zarozumiała, aby dosłyszeć nutę przekory w jego głosie.

— Zaryzykuję, o ile papa zapłaci — powiedziała.

Słońce kładło się już za horyzont. O tym właśnie czasie Filip na karym wierzchowcu wjeżdżał na teren własnych włości. Nie zastał generała Pa-tersona, który wyjechał do Londynu. Filip zostawił w jego domu list, z krótkim zawiadomieniem o dacie ślubu Eweliny, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Wstrzymał konia. Na widok tego, co pomału zdobył własną pracą i zapobiegliwością, zapomniał o chwili wzruszenia na dziedzińcu w Binwood. Nowa powłoka, którą się tak starannie otaczał, była już twardsza, niż sam przypuszczał. Zaczął myśleć o tym, co ma powiedzieć Oliwii i Ewelinie. Teraz trzeba się zabrać do przygotowań do wesela. Wszystkie wysiłki... Cóż, dla niego Ewelina była dobrą i kochającą córką. Nie tak, jak ten najstarszy syn... Echo tej chwili prawdy, którą przeżył na dziedzińcu Binwood, kazało mu postanowić, że trzeba zostawić chłopaka tam, gdzie jest. Jak sobie posłał, tak niech się wyśpi... „Najwygodniejsze łóżko jest to, w którym najbardziej chce się spocząć” — przypomniał sobie. No, ale jeśli to nie łóżko, tylko twarda prycza?

Wszedłszy do bawialni, zastał Oliwię i Ewelinę słuchające dyskursu Bowersa o francuskim malarstwie, o Delacroix i Ingresie, o romantyzmie jako wyrazie dążenia do wolności, poezji i liryzmu...

— Gdy tak słucham pana, żal mi, że nie mogłam zostać malarką — powiedziała Oliwia z odcieniem jakby tęsknoty w głosie.

Ten temat nie interesował Filipa zupełnie. Czytywał książki z dziedziny ekonomicznej, nawet filozoficznej — ale nie pociągały go sztuki piękne, nie rozumiał ich, ani nie widział ich potrzeby w życiu. Może tylko lubił grę Alka, kojącą, jak chłodna fala w upalny dzień. Przerwał rozmowę dość bezceremonialnie:

— A co pożytecznego zrobiliście w dniu dzisiejszym?

Bowers wycofał się z ukłonami, mówiąc, że pan domu na pewno jest zmęczony i prócz tego chce pomówić z rodziną o rodzinnych sprawach.

— W twoim majątku wszystko idzie doskonale, moje dziecko — rzekł Filip, gdy zostali sami. — Pierwszorzędny człowiek ten administrator. Binwood przynosi piękny dochód w jego rękę. A co więcej, utrzymuje wszystko w doskonałym stanie.

— Za duże sumy wypłaca za dniówki, według mnie — odrzekła Ewelina. — Kiedy ja tam zamieszkać, zajmę się osobiście pewnymi zmianami.

Filip się wzdrygnął. On sam nadal wypłacał dniówki powyżej przeciętnych.

Oliwia uniosła lekko jedną brew i spojrzała na męża. Powtórzyła znowu:

— Wnuczka mego ojca... nieodrodna!

— Który niewiele miał pociechy z tego, że chciał pokierować życiem swojej córki — przypomniała Ewelina.

— Jego córka przynajmniej chciała iść naprzód, nie wstecz — odparła Oliwia słodko i złośliwie.

„Życie Adama — myślał Filip — zatoczyło pół kręgu: został żołnierzem. Ewelina już zawróciła o pełne 360 stopni, aż do miejsca, które kazało jej stanąć u boku zmarłego dziadka”.

WYGNANIE

Rozdział dziewiąty

— Zatoka Biskajska. Założę się, że znowu będę, psiakrew, wątrobę wypluwał. — John Hutchinson, leżąc w swoim hamaku pod pokładem, powie dział to ze wstrętem. — Dlaczego ja w ogóle zaciągnąłem się do tego zakichanego wojska?

Pytanie było czysto retoryczne, ale wywołało dyskusję.

— Ja się zaciągnąłem, bo dziewczyna za mną latała i żyć mi nie dawała — rzekł Frank Ashby. Jego hamak był zawieszony tak blisko Hutchinsona, że się prawie dotykali biodrami. Dwieście hamaków wisiało tak jeden przy drugim. — Skrzywdziłem ją, jak to się mówi — ciągnął Ashby. — Ale ja się nie dam związać płaczem i bachorem.

— Powinieneś być wcześniej o konsekwencjach pomyśleć — odezwał się posepnie Harry Grant, którego hamak znajdował się po drugiej stronie Ashby'ego. Grant pilnie czytywał Biblię i wciąż, narzekał na to, że musi wysłuchiwać bezbożnych przekleństw towarzyszy.

— Nikt nie myśli o konsekwencjach, dopóki nie jest za późno — burknął Ashby. — Nawet żonaci, chociaż tyle gadają o świątobliwym obowiązku płodzenia dzieci. A my nie możemy być wszyscy takimi zakichanymi mnichami, jak ty. Gdybyśmy byli, świat by się prędko skończył. A czemuś ty się zaciągnął, co?

Grant nie odpowiedział, ale Will Hook, drobny, o chytrych oczkach, którego hamak jeszcze dalej za Grantem wisiał, rzekł skrzekliwym głosem:

— Mój stary, u którego praktykowałem, krawiec, zagroził mi, że mnie wyda policji, jeżeli się nie zaciągnę. Bo mówił, że mu zwędziłem sukno.

— Ale dlaczego do wojska? — zapytał Adam. Jego hamak, po drugiej stronie Hutchinsona, był ostatni w samym rogu pomieszczenia. Głową opierał się o bok okrętu, tak że mógł słyszeć wyraźnie lekkie uderzenia fal. Wzdłuż jego hamaka znajdowała się ściana, dzieląca ich pomieszczenie od sąsiedniego. Pod kocem spał przytulony do niego kot okrętowy.

- Bo tylko do wojska przyjmują bez pytań — odparł Hook.

— Ja chciałem zobaczyć świat — oznajmił Bert Carpenter z dalszego hamaka.

— A pewno zobaczysz świat, ale tamten — zakpił Ashby.

— Bądźcie gotowi! Życie wstrzemięźliwie i bogobojnje — upomniął uroczyście Grant.

Carpenter odpowiedział mu ordynarnym przekleństwem. Był on znacznie starszy od pozostałych, trudnił się żołnierką od wielu lat i znał wszelkie sposoby wykrecania się od niemiłych obowiązków; niemniej jednak stale miał zatargi ze zwierzchnikami.

Prócz Granta, ta grupa żołnierzy zaprzyjaźniła się ze sobą, jeśli to można tak nazwać. Nie otwierali duszy nawzajem przed sobą, ale trzymali się razem. Kiedy się nudzili, zwierali się czasem z jakichś przeżyć lub pragnień; ale po największej części mało kogo obchodziły sprawy drugiego. Święci nie wstępowali do wojska. Ci żołnierze zaciągali się zwykle z powodu, który woleli zachować w tajemnicy. Czasami tylko bywało, że wokół żołnierza unosiła się — niby zapach skunksa — jakaś odstręczająca aura, która sprawiała, że towarzysze zaczynali podejrzewać go o coś niezwykłego, o coś więcej niż zwykłą kradzież albo uwiedzenie, albo bójkę po pijanemu, fatalnie zakończoną, albo żonę-megierę, albo ojca z kijem. Takiego podejrzanego towarzysze zwykli dręczyć i rozpytywać, aż wyznał, co miał na sumieniu. Dopóki nie wywleczono na światło dzienne jego winy, pozostali mieli uczucie niepewności. Człowiek z gruntu zły, o zbrodniczych instynktach, mógł być niebezpieczeństwem dla wszystkich.

Żadna zaprzyjaźniona grupa kompanów na statku nie chciała dopuścić do swego grona Granta. Gdy zawieszano hamaki, Granta wypychano z każdego kąta, w którym próbował się ulokować. Wmieszał się w to sierżant i ze zdumiewającym bogactwem przekleństw kazał Adamowi i jego przyjaciółom, którzy rozlokowali się tak, iż pozostawili sobie odrobinę wolnej przestrzeni — ścieśnić się i zrobić miejsce dla „tego pelzającego Jezuska”.

— Po zgaszeniu świateł nie wolno rozmawiać — przypomniał urzędowym głosem Grant.

— Zamknij się, ty bożenarodzeniowy indyku nie dopieczony — rzekł Hook. — Odmawiaj swoje pacierze. A przy okazji muszę ci przypomnieć, żeś nam wcale nie powiedział, dlaczego się zaciągnąłeś.

Rozmawiano ciszej. Adam mógł się przysłuchiwać, jeśli chciał, i mógł też pozwolić szeptom płynąć ponad głową, nie słuchając ich wcale.

On też nie wyjaśnił, jak niektórzy z jego nowych kompanów, dlaczego został żołnierzem. Próbował sam sobie odpowiedzieć na to pytanie. Pewno nie zdawał sobie sprawy, że generał Ralf Paterson poddał mu tę myśl. Właściwie gdy urwała się praca w redakcji, poszedł do biura werbunkowego nie

zastanawiając się bardzo. Swojej babki nigdy nie znał: nałożenie takiego samego munduru, jaki nosił człowiek, który ją zabił, nie miało dla niego znaczenia. Ale jakim sposobem on, który powiedział swej matce, dziadkowi i innym, że chce wolności, dopasował się i to dość dobrze, jak na razie, do surowej dyscypliny wojskowej? On, którego drażniło słowo obowiązek, powtarzane przez nauczycieli i wychowawców? Większość ludzi powiedziałaby, że w wojsku będzie miał mniej wolności, a więcej obowiązku niż gdziekolwiek indziej.

Ale mówiąc o wolności, Adam nie miał na myśli życia bez żadnych reguł. Chciał uwolnienia od władzy cudzych emocji, społecznych zobowiązań, wyższości świata uprzywilejowanego, nierówności klasowej. Co do obowiązku — „rzetelnym bądź sam względem siebie”... To mu wystarczyło — na razie, póki nie znajdzie idei, która obudzi w nim poczucie obowiązku. W wojsku, o tyle, o ile Adama to dotyczyło, obowiązek polegał po prostu na spełnianiu rozkazów. Tej reguły musisz przestrzegać — jak długo możesz. Adam do tej pory nie miał trudności: uważano go za dobrego żołnierza. Znalazł w wojsku jakąś przesublimowaną niezależność, obserwując na wpeł tylko świadomie ten przekrój ludzkości, jaki stanowiła armia i żyjąc dokładnie takim samym życiem, jak jego koledzy bez grosza przy duszy.

Przeważną część dnia przepędzał na czyszczeniu strzelby, bieleniu spodni, szorowaniu mosiężnych guzików, czernieniu obuwia i wreszcie na musztrze, kiedy to po szerokim placu pędzał go sierżant, obdarzony talentem do gruboskórnych dowcipów. Sprawiały mu satysfakcję jego własny wygląd i zręczność: wyróżniał się wśród swoich kolegów, nie tracąc jednak ich przyjaźni. W przepelnionych koszarach — gdzie na jednego żołnierza wypadało o połowę mniej przestrzeni miejsca niż w więzieniu na jednego przestępcę — sypiąc na trzypiętrowych łózkach, myjąc się rano w zaledwie splukanym naczyniu nocnym, Adam nigdy nie tracił dobrego humoru i regularnym karmieniem obłaskawiał sobie jakąś mysz lub szczura. A teraz pieszczotliwie drapał w głowę wroga rodu gryzoni — okrętowego kota.

Adam zaczął dochodzić do przekonania, że takie życie mu odpowiada. Wszystko wokół było proste i nieskomplikowane, nie stawiano mu nieprzewidzianych żądań. Przypomnił sobie, jak generał Paterson mówił o jego zwariowanych pomysłach. Może i były zwariowane, ale mu odpowiadały. Życie w wojsku było monotonne, ale teraz właśnie monotonia została przerwana.

Nie zdawał sobie sprawy, że jeszcze nic właściwie nie wiedział o wojsku ani o ukrytych sprężynach, które tu decydowały. Nadal widział swój kraj jako źródło prawa i ładu, przyzwoitego, uczciwego postępowania. Tylko instynktownie cofał się przed przyjęciem idei, bardzo rozpowszechnianej w gazetach — że im większą część świata Wielka Brytania zagarnie pod

swoją władzę, tym dla świata będzie lepiej. Adamowi czasem przychodziło do głowy, że świat może inaczej sądzić o tym. Ale jeszcze nie wiedział, jak zręcznie antyhumanizm ukrywa się pod płaszczkiem patriotyzmu praktykowanego z imieniem Boga na ustach. Jeszcze nie wydano mu rozkazu, który miał pogwałcić godność człowieka...

Okręt niósł go do dziwnego kraju, kraju słońca i brunatnych ludzi. Myśl ta budziła przyjemne podniecenie.

Obijał się systematycznie o przepierzenie, to znowu o hamak sąsiada, Hutchinsona, młodzika o dziewczęcym wyglądzie, jasnych włosach, ciemnych oczach i gładkiej cerze.

— Czemuś ty się zaciągnął, Debenham? — zapytał Carpenter.

— Bo mi się nudziło — odparł Adam. — Sierzanci bywają lepsi od innych szefów, z których każdy myśli tylko, by jak najwięcej forsy wyciągnąć.

I ponieważ wiedziano już, że zwykł mówić prawdę, nie pytano go więcej.

— A ty, Hutchinson? Ty zacząłeś się rozpytywać.

— Przecież ja wam powiedziałem.

— A prawda! Zapomniałem o tym kupcu, któremu się tak spodobałeś. Żle na świecie takiemu gładyszowi, co? No, teraz mniej więcej wszyscyśmy się wygadali. Oprócz ciebie. Grant. Wyładuj się! Coś przeszkrobał — uwiodłeś chórzystkę?

Znowu Adam stuknął O przepierzenie, a zaraz potem o sąsiada.

— Coś zaczyna kołysać — powiedział do Hutchinsona.

— Zatoka Biskajska. Mówiłem ci, że tak będzie — odparł Hutchinson.

Hamaki rozhulały się, jakby były huśtawkami, w miarę jak okręt kołysał się na coraz burzliwszym morzu.

— Wolałbym być na pokładzie, niż zamknięty tutaj jak szczur w pułapce — mruknął Hook.

— To jeszcze drobiazg! Zobaczycie! — zapowiadał znacząco Carpenter z wyżyn swego doświadczenia.

Z pokładu dolatywały odgłosy hałasów, bieganiny, podniesionymi głosami wydawanych rozkazów. Żołnierze na dole czuli się jak uwięzieni. Okręt przechylał się tak, że ściany przybierały pozycję prawie poziomą, a sufit prawie pionową. Adam przywarł do swego hamaka. Na wpół bał się, a na wpół miał nadzieję, że stanie się coś niezwykłego, że okręt się rozbije — ale oczywiście tak, aby wszyscy mogli się wyratować — a on, Adam, będzie miał podniecającą przygodę do opisania w liście do Orchards. Zaczawszy raz pisać do domu, pisał teraz co dzień po kilka wierszy. Zanim dopłyną do Freetown, będzie miał do wysłania cały stos karteczek, zapisanych na kolanie albo w niewygodnej pozycji w hamaku. Może z domu ktoś napisze do niego. Zakomunikował im, jak mają adresować. Nie będzie potrzeby w przyszłości polegać tylko na pocziwym starym Haroldzie Cooku. Adam ufał, że Harold

dotrzymał obietnicy i nie powiedział nikomu, nawet matce, że jej syn dostawał wiadomości z domu wtedy, gdy ona nie wiedziała nic o synu. Chłopiec nie chciał, aby matka miała sekrety przed ojcem, nie chciał przyczynić się do dalszego rozdźwięku między rodzicami.

W dalszej części pomieszczenia ktoś wymiotował. Ktoś zaczął krzyczeć. Ktoś tracąc głowę wrzeszczał, żeby go wypuścić na pokład — drzwi pomieszczenia żołnierzy pod pokładem sierżant zamykał na klucz każdej nocy. Adam zmagął się z ogarniającym go uczuciem bezradności w obliczu katastrofy. Co się stanie, jeśli okręt zatonie? Żadnej szansy ratunku dla zamkniętych żołnierzy. Może jednak wezwaliby ich na pokład, gdyby groziło zatonięcie?

Obok rozległ się trzask i łomot. To zerwał się hamak Granta, wyrzucając lokatora na deski podłogi.

— To dlatego, że nie chcesz nam opowiedzieć o swojej chórzystce — krzyknął Carpenter. Ale tylko dwaj najbliżsi sąsiedzi usłyszeli go w ogólnym zgłębku.

Kilka dalszych hamaków, źle przywiązanych, poleciało. Wzmagały się krzyki i jęki wymiotujących.

Adam próbował się opanować, myśleć o czym innym. Słowa Carpentera o chórzystce przypominały mu dziewczynę, która mu się podobała. Była może o rok starsza od Eweliny. Ale naturalna, pełna wdzięku i słodczy. W świecie, w którym każdy dzień był dla Adama bitwą, pociągnęła go istota tak łagodna i słodka, jak Doreen. Przypominała mu, że istnieje wygodne i pogodne życie domowe, które mężczyźni sobie niekiedy stwarzają. Bawił się myślą, że może i on by takie życie polubił? Doreen zaczęła się stawać bardziej wymagająca. Kiedy się pobiorą? Jej matka powiedziała, że to nie wypada, aby siadywali sami w bawialce, jeśli nie są zaręczeni. Zajście w redakcji przyszło w samą porę. Może i ta sprawa wpłynęła na jego decyzję zaciągnięcia się do wojska? Adam nie przyznawał tego sam przed sobą. Doreen nie miała praw do niego. Nie obiecywał jej nic, ich pieczyoty ograniczały się do pocałunków i nieśmiałej ręki na staniczku, obejmującej kształt szczupłutkiej piersi. Adam nie chciał się wiązać koniecznością zarabiania na chleb dla drugich. To było bardzo odległe od jego pojęcia wolności. Musi przynajmniej wpierw znaleźć swoją ideę, swoją sprawę, której będzie służył. A potem dziewczynę, która będzie myślała i czuła tak jak on. Wracał myślami do rozmów z dziadkiem, którego nazwiskiem teraz się posługiwał!

Nikt nie spał tej nocy w pomieszczeniach żołnierskich na okręcie. Gdy nadszedł rano, więcej niż połowa hamaków leżała na podłodze. W chaosie nie można było zawiesić ich z powrotem. Deski podłogi śliskie były od wymiotów i moczu, wylanego z poprzewracanych kublów. Wielu żołnierzy było potłuczonych i pokaleczonych. Adam jakoś wytrzymał w hamaku, a jego hamak wytrzymał na miejscu. Kot spał spokojnie w ciągu całej tej okropnej nocy.

W najbliższym sąsiedztwie spadły tylko hamaki Granta i Willa Hooka.

Sierżant rozwarł z trzaskiem drzwi.

— Co się tu dzieje? Co wy wyprawiacie? Hulanki jakieś? Niedozwolone? Będę musiał niejednego tu z was zaraportować panom oficerom. Gdzie macie butelki? Kto dostarczył trunków?

— To nie czas na dowcipkowanie, sierżancie! — powiedział Carpenter.

— Na początku wlepię ci karę za niesubordynację — zagroził sierżant.

— Mnie nic nie można wlepić. Ja znam regulamin — odparł Carpenter.

— Ta burza, sierżancie! — jęknął ktoś.

— Burza? Co za burza? Ja tam nie słyszałem żadnej burzy! Powinniście spać, chłopcy, po to jest noc! A teraz do roboty! Nie marudzić! Sprzątać całą podłogę. Będzie trochę roboty, będzie! Debenham, bierz ścierkę i zmywaj. A nie zlizuj, bo jeszcze ci zaszkodzi na ten twój wytorny głosik...

Sierżant Fred Smith lubił, gdy go nazywano „Tygrysem”. Był to mężczyzna średniego wzrostu, o kruczoczarnych włosach i wąsach wojowniczo sterczących, i o krwiożerczym spojrzeniu czarnych oczu. Znał tylko jednego boga — dyscyplinę. Ale jego podkomendni wprędce się przekonywali, że ryk tego tygrysa — istotnie przerażający — w gruncie rzeczy nie był taki straszny. A właściwie był straszny, ale na ryku się kończyło. Chociaż umarłby raczej, niż się przyznał do tego, Tygrys robił wszystko, co było w jego mocy — prócz rozluźnienia choćby na moment korbów dyscypliny — aby ulżyć niełatwej doli żołnierzy i zdobywać od oficerów każde możliwe ułatwienie. Nie narzucał nikomu surowszej dyscypliny od tej, której sam się poddawał. Żołnierze zaklinali się, że sierżant Smith nawet śpi w pozycji na baczność,

Gdy w godzinę później żołnierze — wyjąwszy paru, którzy poszli na izbę chorych — odbywali ćwiczenia gimnastyczne na pokładzie pod rozkazami oficera instruktowego, Adam rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem jakichś śladów uszkodzeń okrętu, które by mógł opisać w swoim liście. Wszystko wyglądało absolutnie normalnie. Okręt torował sobie drogę po gniewnym morzu pod czarnym niebem. Wiatr był ostry.

— Okropna burza była w nocy. — Adam zaczął jednego z marynarzy po skończonych ćwiczeniach.

— Burza? — odrzekł marynarz z trochę sztucznie brzmiącym lekceważeniem. — Nie zauważyłem żadnej burzy. Zwykły na Biskajskiej szkwał, nawet lżejszy niż zazwyczaj, powiedziałbym. Jeszczeście się z morzem nie oswoili, wy, lądowe szczyry!

Adam przyłączył się do swoich towarzyszy. Carpenter trzymał Granta oburącz za koszulę na piersiach i nalegał:

— Musisz powiedzieć, dlaczego się zaciągnąłeś. Mnie się twoja gęba nie podoba. Źle mi pachniesz! No, wypłuj już raz, co masz na wątrobie!

Grant szarpał się i wrywał.

— To m-m-moja rzecz — mówił, jękając się ze strachu.

Ocalił go wszędobylski głos sierżanta Tygrysa-Smitha.

— Hej, tam! Co tu się dzieje? Zebranie karmiących matek? Nie wiecie, że tu nie wolno stać? Zjeżdżać pod pokład, a już! Zabrać się do czyszczenia strzelb. Całe były pokryte pajęczyną, gdy je ostatnio widziałem.

Carpenter puścił Granta z ostrzeżeniem:

— Nie wykręć się sianem! Już ty się nie bój, ja to z ciebie wydobędę!

— Powiedźże im jakąkolwiek bajkę i skończ z tym — poradził mu Adam, gdy schodzili w dół.

Mężczyzna, idący obok niego zacisnął pięści i patrzył wprost przed siebie z fanatycznym błyskiem w oczach.

— Muszę pokutować — rzekł. — Wszyscyśmy grzesznicy i musimy pokutować. Ale ja najbardziej. Przysiągłem Bogu, że odpokutuję: żadnych kłamstw, ani kradzieży, ani pijaństwa, ani kobiet. I modlitwa, modlitwa, modlitwa...

— Psiakrew, ale cię wzięło! — mruknął Adam.

W połowie XIX wieku węgiel był okropnie brudnym paliwem. Okręty transportowe nie szczyły się lśniącem bielą wyglądem dawniejszych żaglowców. Nieustannie buchające kłęby dymu wyrzucały sadze szybciej, niż marynarze byli w stanie je uprzątnąć z pokładów, schodni i relingów. Nawet oficerowie przypominali kominiarzy. Ale sierżant Tygrys Smith nie uwzględniał takiego drobiazgu jak sadza. Sam zawsze wyglądał tak, jakby za chwilę miał brać udział w paradzie i żądał tego samego od swoich podkomendnych. W rzeczywistości żołnierze nie mieli nic innego do roboty, jak czyścić nieustannie spodnie, buty, broń, pasy, ładownice, i chociaż oczywiście narzekali, zgadzali się z tym jednakże. Uparte naleganie sierżanta, aby nawet najlżejszej smużki nie było na mundurach i ekwipunku, przyczyniało się do utrzymywania dyscypliny w nie sprzyjających warunkach.

Transportowiec zdążył wytrwale na południe, aż wreszcie zawinął do portu Freetown, gdzie żołnierzy zawezwano do ładowania węgla. Upał panował przytłaczający, wilgotne powietrze wysysało wszystkie siły. Przez cały dzień ciężkiej pracy żołnierze oblewali się potem, a nocą w zatłoczonym pomieszczeniu pod pokładem byli bliscy uduszenia. Obowiązkowe racje soli budziły pragnienie. Nic zimnego do picia nie było. Woda i piwo były jednakowo ciepławe i wstrętne. Z obawy przed chorobami i dezercją nie puszczono żołnierzy na ląd w tym pięknym porcie, uroczo położonym, ale dla zdrowia tak szkodliwym, iż zwano go „grobem białego człowieka”. W takich okolicznościach oficer, dowodzący plutonem, w którym znajdował się Adam, uznał za stosowne spędzić żołnierzy pod pokład i tam wygłosić — przy po-

mocy ordynansa, który stał obok z wielkim ręcznikiem i od czasu do czasu ocierał nim pot z karku i ramion oficera — pogadankę o... obowiązku.

Pojęcie obowiązku miał oficer dość konwencjonalne. Nie powiedział Adamowi niczego nowego. Ale pobudził go do myślenia. Wciąż mówiono o obowiązku — rodzice, nauczyciele, pracodawcy, zwierzchnicy w wojsku. I każdemu z nich najwyraźniej chodziło o to, aby wbijać do głowy takie pojęcie obowiązku, które by sprawiało, że nikt nie przyczynia kłopotu. Czy na tym polega pojęcie obowiązku? — zastanawiał się Adam. Czuł, że to powinno być inaczej, chociaż sam nie miał żadnej alternatywy, oprócz — „sam względem siebie rzetelnym bądź”. Postanowił wciąż jeszcze odkładać własny osąd, czekać może na jakiś krytyczny moment, kiedy obowiązek przyjmie inną formę w jego oczach, kiedy zmanifestuje się jako konieczna decyzja wyboru jednej z dwóch dróg — z których ta słuszną w jego oczach mogłaby nawet się wydawać błędna w oczach innych ludzi.

Kiedy oczom żołnierzy, zebranych na pokładzie, ukazała się Góra Stołowa, nad zatoką, jak wyniosła ściana, poznaczona głębokimi wąwozami — wszyscy byli już znużeni do ostatnich granic podróży i z tęsknotą wspominali okres ćwiczeń w koszarach w Anglii. Humory też były nie najlepsze, każdy chodził zły i rozdrażniony. Nawet Adam zdawał sobie sprawę z tego, że jest w nerwowym napięciu, które musi znaleźć sobie jakieś ujście. Bójki między żołnierzami wybuchały co chwila i tłok w pomieszczeniu nieco się zmniejszył, gdyż kilku najbardziej agresywnych, między innymi Berta Carpentera, przeniesiono do zaimprovizowanych cel.

Sierżant Smith nie miał innego wyboru: musiał Carpentera, koszarowego prawnika, jak go nazywano, podać do karnego raportu, gdy zastał go w korytarzu przed kubrykiem okładającego pięściami Granta, którego Frank Ashby przytrzymywał. Tygrys zjawił się jeszcze w porę, by przeszkodzić wyznaniu przez Granta sekretu, którego strzegł z takim uporem, że to jeszcze wzmagало determinację jego towarzyszy. Adam, John Hutchinson i Will Hook uczynili sobie zabawę z dokuczania Grantowi, sugerując wszelkie możliwe i niemożliwe — prócz prawdziwego — powody, dla których „pełzający Jezusek” mógł się zaciągnąć. W odpowiedzi słyszeli tylko wykrety albo cytaty z Pisma Świętego. Więc Carpenter dobrał sobie na współnika Franka Ashby i zabrał się do radykalniejszej metody, ale i jemu nie powiodło się na razie.

Okręt transportowy rzucił kotwicę w Zatoce Stołowej. Ludzi, którym pozwolono zejść na ląd, szalupa przewiozła do nabrzeży. Adam i John Hutchinson spacerowali razem po zalanych słońcem ulicach nieznanego miasta, zabudowanego ciężkimi kamienicami przez dawnych kolonistów holenderskich i ze zdumieniem przypatrywali się przechodniom, wśród których byli Murzyni Bantu i Buszmeni, Hotentoci i Koranna, Anglicy i Holendrzy, Ma-

lajowie i Hindusi, wreszcie kobiety i mężczyźni o mieszanej atrykańsko--europejskiej krwi. W każdym ogrodzie płonęły kwiaty takim bogactwem barw, jakiego Adam sobie nie wyobrażał. Na krańcach miasta powietrze ciężkie było od woni kwiatów pól i puszczy.

Hutchinson nie był rozmownym kompanem, ale gdy szli przez las sławnych srebrnych drzew o kształtach podobnych do sosen, a liściach do wierzby, całkowicie pokrytych srebrzystym puchem, rzekł:

— Czy to nie ładne? Tak bym chciał, żeby moja siostra to zobaczyła!

Powiew zaszumił w srebrzystych liściach, a Adam odrzekł:

— Te liście mienią się jak blaszki srebra!

— Gadasz jak wierszokleta — zakpił Hutchinson, ale z odcieniem zazdrości w głosie. — Chciałbym właściwie sam tak mówić. Czasem sobie myślę, że ty musiałeś zaznać więcej szkół od nas wszystkich.

Adam zignorował zaproszenie do zwierzeń.

Chcieli już wracać na okręt, więc Adam zatrzymał wysokiego, ciężkiego przechodnia o ogorzalej twarzy, pytając o drogę do portu. Ale ten odpowiedział mu w nieznanym języku. Adam zasalutował i odszedł.

— Myślałem, że tu wszyscy mówią po angielsku — zauważył Hutchinson.

— Tak się złożyło, że Holendrzy byli tu wcześniej od nas — odparł Adam, sięgając pamięcią do szkolnych czasów. — I francuscy hugonoci także.

— Ale przecież, jeśli my tu rządzymy, wszyscy powinni mówić po angielsku — upierał się Hutchinson.

— Nie widzę powodu, czemu by nie mieli mówić i po chińsku, jeśli mają na to ochotę — odparł Adam.

Już w pobliżu portu podszedł do nich Murzyn Bantu o chudej, wymizerowanej twarzy.

— Głodny — powiedział łamaną angielszczyzną. — Pieniądzy albo chleba!

— A wynoś się! — burknął Hutchinson.

Adam powstrzymał go i przeszukał kieszenie. Miał przy sobie całego bogactwa tylko jednego szylinga. Dotknął go. Murzyn śledził ruchy jego ręki błyszczącymi oczyma. Adam pomyślał, że Murzyn jest pewno po prostu zawodowym żebrakiem. Zamierzał kupić coś na mieście i zabrać na okręt dla Carpentera, którego dzisiaj właśnie mieli wypuścić z aresztu.

— Żałuję bardzo, nie — powiedział i ruszył dalej białą, lśniąca w słońcu drogą.

Murzyn pobiegł za żołnierzami i wyprzedził ich.

— Mam siostrę — powiedział. — Chodźcie ze mną. Ona bardzo dobra — mówił przekonywająco, wyczyniając przy tym nieprzyzwoite gesty rękoma i biodrami.

Adam nie miał jeszcze nigdy kobiety. Przestraszył się. Prędko wyjął szylinga z kieszeni i dał Murzynowi.

Chodźmy! — zawołał do kolegi i puścił się biegiem. Hutchinson go dogonił.

— Głupcze! — zawołał. — Toż by to mogła być pyszna zabawa!

Tętniąca w żyłach krew i wizja nagiej czarnej dziewczyny powiedziały Adamowi także, że to mogła być pyszna zabawa. Ale wiedział też, że gdyby znalazł się przed czarną dziewczyną, uciekłyby ze wstydu. Lepiej uciec przed bratem niż przed siostrą.

Dwaj towarzysze wrócili na okręt wcześniej od innych żołnierzy. Na pokładzie panowały pustki, marynarze byli na łądzie albo ukryli się przed palącym słońcem. Wkrótce nadeszli Harry Grant i Will Hook, ten z chytrymi oczyma.

— Słuchaj, Grant — zaczął Adam — jak Carpentera wypuszczą z kozy, powiedź mu wreszcie, co on chce wiedzieć. Tobie to oszczędzi kłopotu, a my będziemy mogli mieć wreszcie trochę spokoju.

Grant poczerwieniał i odwrócił się.

— Czego wy się mnie tak czepiacie? — burknął. — A ty sam też niewiele powiedziałaś, gdy ciebie pytali!

— W każdym razie wystarczyło im to, co powiedziałem — odparł Adam. — A jeśli chcesz wiedzieć więcej... no, straciłem kilka razy pracę i nie miałem co z sobą począć.

— Nie masz domu?

— Mam, ale źle żyję z ojcem.

— Pewnoś pracę stracił za kradzieże. Powinieneś modlić się i pokutować.

Adam poczuł, że go ogarnia gniew.

— Powtórz to, a dam ci w szczękę — rzekł przez zaciśnięte zęby.

Grant stał nadal tyłem do niego odwrócony, ale rzekł wyraźnie:

— Kradłeś, może nie?

Adam chwycił Granta za pobielany skórzany pas i szarpnął. Głowa „pełzającego Jezusa” podskoczyła do góry i pięść Adama dosięgła go pod brodę. Padł na znak na deski pokładu. Adam schylił się nad nim.

— Powiedz mi, dlaczego się zaciągnąłeś?

Grant leżał tak, jak upadł, i tylko sobie pocierał podbródek. Nie mówił nic.

— Mówże, bo ci dam drugi raz! — warknął Adam. Wzbierała w nim nieopanowana wściekłość. On też czuł, że Grant musi mieć coś strasznego, ohydneho na sumieniu, coś znacznie gorszego od zwykłych wykroczeń, które skłaniały mężczyzn do wojaczki. Musi się dowiedzieć, musi wydobyć wyznanie z tego fałszywego pobożnisia... „żadnych kłamstw, ani kradzieży, ani pijaństwa, ani kobiet!”

— Odstap — odezwał się Hutchinson. — Jak go kopnę, gdzie zaboli...

— Nie — burknął Adam i odsunął swego gładkoliczego towarzysza.

Grant przetoczył się na bok i skulił, ochraniając wrażliwe części ciała.

Adam skoczył na niego, siadł okrakiem i tłukł jego głową o pokład. Tamten jęknął:

— Dość! Puść mnie! Powiem już, powiem! Ale nie wydaj mnie przed Carpenterem. Przysięgnij, że nie wydasz!

Wokół nich zebrała się grupa żołnierzy i paru marynarzy, pokrzykiwali i zachęcali Adama, który rozluźnił morderczy uścisk, ale nadal siedział okrakiem na swojej ofierze.

— Nic z tego — rzekł Adam. — Chcesz ze mnie swojego protektora uczynić. Nie ma tak dobrze! Wypluwaj swoje brudy!

Palcami objął szyję Granta, z wolna uciskając coraz mocniej tchawicę. Tamten rzucał się bezskutecznie. Adam był dwa razy silniejszy. Naciskał mocniej i mocniej.

— Powiem — zacharczał Grant.

— No, więc!

— Daj mi się odwrócić.

Adam uniósł się na nogach, nadal przytrzymując Granta, i pozwolił mu się przewrócić na plecy.

— Spiesz się! Tygrys zaraz tu przyjdzie. I mów prawdę, pamiętaj!

Grant spoglądał w przerażeniu po otaczających go twarzach. Ich nieubłagany, zacięty wyraz powiedział mu, że nie ma żadnej nadziei. Próbował zasłonić się rękoma, właśnie w chwili, gdy dwóch nowych żołnierzy przyłączyło się do grupy. W napięciu chwili nikt ich nie spostrzegł. W oczach Granta pojawił się taki sam fanatyczny błysk jak wtedy, gdy mówił o pokutowaniu.

— Zabiłem moją matkę... siekierą! — wykrztusił i zapłakał.

Przyglądający się tej scenie chwycili oddech, jak w przestrachu. O takim wyznaniu nikomu się nawet nie śniło. Adama sparaliżowało na chwilę. Oczyma wyobraźni ujrzał przed sobą postać Oliwii. Oszołomiony puścił Granta. Zupełnie nie wiedział, co ma teraz zrobić. Powtarzał trochę bez związku, żeby zyskać na czasie:

— Twoją matkę!? Chryste Panie! Twoją matkę? Dlaczego?

— Dla jej pieniędzy.

— Dość tego! — Był to głos Carpentera. Frank Ashby przyprowadził go na pokład po wypuszczeniu z aresztu. — Wyrzucić go za burtę! Prędko, zanim ktoś nadejdzie.

— Ja nie umiem pływać! — wrzasnął Grant.

— Tym lepiej! — krzyknął Adam jak obłąkany. — Twoja matka też nie umiała bronić się przed siekierą!

Chwycił Granta za ramiona. Carpenter złapał go za nogi.

— Oszczędźcie mnie! Łaski! Zmiłowania! Przysięgłem Bogu, że odpokutuję! Jeszcze nie miałem czasu! Pójdę do piekła!

Rozbujane ciało poleciało za burtę. Któryś z żołnierzy krzyknął:

— Wszyscy tam pójdziemy pewno. Ale ty pójdiesz mokry, ty matkobójco! Grant wpadł do wody z głośnym pluskiem, jeszcze krzycząc: „Pokuta!”

Adam poczuł nagle, że zbiera mu się na wymioty. Zrozumienie tego, co uczynił wspólnie z Carpenterem, oprzytomniło go. Gniew na Granta zmienił się we wstręt do samego siebie. Nie zdjąwszy nawet butów ani pasa, skoczył przez burłę i mocnymi uderzeniami rąk popłynął w kierunku miejsca, gdzie Grant zniknął pod powierzchnią.

Chociaż Adam był dobrym pływakiem, musiał jednak wyteńczyć wszystkie siły, by utrzymać na powierzchni siebie i swój nieprzytomny ciężar. Nie był w stanie zbliżyć się do okrętu. Z trudem zmagał się z falami, gdy dostrzegł małą łódź, spuszczoną z okrętu. Sierżant Smith zabrał bezwładne ciało Granta od Adama, a potem chwycił za kołnierz munduru tonącego już ratownika i wciągnął go przez burłę do łodzi.

Adam wyrzucił z siebie litrami wodę morską, a przy okazji również peklowaną wołowinę z obiadu. Słyszał, jak Tygrys mówił do mordercy, pojękującego na dnie łodzi i toczącego pianę z ust.

— A więc nie chciałeś schodzić na ląd, co? Ty pełzający Jezusku! Bałeś się, że popadniesz w grzech, co? A zamiast tego zostałeś na pokładzie i upiłeś się. — Sierżant zwrócił się do Adama. — A ty sobie nie wyobrażaj, żeś bohater. Dureń jesteś, ot co! Niechby się lepiej utopił. I tak z niego nigdy żołnierza nie będzie.

Adam o tyle przyszedł do siebie, że zorientował się, jaką bajeczkę Carpenter, Hutchinson i inni powiedzieli sierżantowi. Tego wieczora Grant leżał w oddzielnej kabine, przeznaczonej na izbę chorych i w malignie wzywał matkę.

Następnego ranka sierżant Smith wprowadził Adama do kabiny oficerskiej. Siedzieli tam: dowódca ich plutonu, dowódca batalionu — pułkownik, najstarszy rangą oficer na pokładzie, i kapitan okrętu. Pochwały posypały się na głowę młodzika.

— Sierżant Smith nas poinformował...

— Rycerski postępek...

— Dumny jestem z takiego żołnierza w moim batalionie...

— Zanotowałem twoje nazwisko, młody człowieku, w dzienniku okrętowym z honorową wzmianką...

— Mieliśmy trudności ze znalezieniem odpowiedniej formy wynagrodzenia...

Przez cały ten czas Adam stał w pozycji na baczność, wyprostowany i sztywny, ale wewnątrz wiał się ze wstydu, wiedząc dobrze, jak mało na te pochwały zasługiwał. A nie mógł wyznać całej prawdy. Skompromitowałby Carpentera i innych; musiałby zdradzić straszny i strasznie wydarty sekret Granta.

Głosy tylko na wpół dochodziły do jego świadomości, jak w delirium.

— Przemysleliśmy dokładnie...

— Sposób zapewnienia większych wygód...

I w rezultacie tego przemyslenia decyzja, z której byli tak zadowoleni:

— Żołnierze, usługujący nam w jadalni... mieszkają w kabinie... trochę się ściśnie i będzie jeszcze jedno miejsce... lepsze odżywianie... jako dowód naszego uznania... obejmiesz obowiązki ordynansa przydzielonego do obsługi jadalni... od zaraz.

Teraz Adam z trudem wstrzymywał śmiech. Ordynans! Była to ostatnia rzecz, której chciał. Ale nie był w możności odmówić. „Odpowiednia forma wynagrodzenia” była rozkazem.

— Szeregowiec Debenham! W praaawo... — Sierżant Smith rozpoczął wykrzykiwanie rozkazu takim samym głosem, jak na otwartym polu podczas parady. Ściany kabiny aż się zatrzęsły, odrzucając echem głos.

— Chwileczkę, sierzancie — przerwał dowódca batalionu.

Pułkownik wstał ciężko od stołu.

— Chciałbym uścisnąć twoją rękę, Debenham...

— 1 ja... — to kapitan okrętu.

— I ja... — dowódca plutonu. I

wreszcie:

— Szeregowiec Debenham! W praaawo... zwrot. Naaapród marsz! Sierżant Smith wymaszerował za bohaterem, mianowanym kelnerem, na korytarz, po schodni i na pokład.

— Stać! — wrzasnął w końcu.

Podszedł do Adama. Twarz miał surową, wywoskowane wąsy sterczały sztywno.

— To cię powinno nauczyć, byś na przyszłość nie mieszał się do spraw samobójców, którzy się chcą utopić. Gdyby nie to, że Granta dziś rano odeślano do szpitala i wobec tego zostanie na lądzie, wziąłbym cię do szorowania podłóg zamiast do noszenia półmisków. Teraz zabierz swoje manatki i zgłoś się do służbowego pokoju przy kubryku.

Tej nocy, leżąc na twardych deskach koi, o wiele mniej wygodnej od hamaka, do którego się już przyzwyczaił, z dwoma towarzyszami, którymi pogardzał, gdyż podlizywali się oficerom, Adam powiedział sobie, że został dostatecznie ukarany. Tylko kot okrętowy przyszedł tu za nim na pociechę. Adam myślał, że nigdy chyba nie otrząśnie się z tej strasznej nowej świadomości, że jest zdolny do wybuchu nieopanowanej furii, która kazała mu dusić i zabijać, kiedy ten nieszczęśnik Grant zarzucił mu złodziejstwo. Czy ten brak opanowania, ta chęć zadania gwałtu były może odsłonięciem jego istotnego charakteru? A jeśli tak, to co się stanie z piękną maksymą — „rzetelnym bądź sam względem siebie”?

Rozdział dziesiąty

Na kolanie żołnierza spoczywała karta papieru. Zaczął pisać list do Orchards przed kilku tygodniami, ale z oblężonego miasta nie można było wysłać korespondencji. Teraz list wyglądał już jak cały tom. Poprzednie kartki Adam porozkładał dookoła razem z listami, które otrzymał z domu, jeszcze zanim Lucknow zostało odcięte od świata. Odczytywał wrywkami dawne swoje zapiski i dodawał do listu różne komentarze.

W kącie wozowni jego oswojony ichneumon pożerał z chrzęstem szczura — szorstkie, brązowoszare futerko, pyszczek i piersi rude, krótkie łapki, sztywny ogonek. Adam wciąż na nowo ze zdumieniem obserwował to małe stworzonko. Ichneumon siadał tak wdzięcznie na tylnych łapkach jak wiewiórka, prosząc go o przysmaki, odkładane ze skąpych żołnierskich racji żywnościowych, i tak łagodnie układał się u jego stóp, a jednocześnie potrafił z okrucieństwem i odwagą atakować nie tylko szczury, ale i najgroźniejsze z jadowitych żmij.

Minęły blisko trzy lata. od kiedy okręt transportowy zostawił w Kalkucie swój zmęczony ludzki ładunek. Dyżentaria zabrała wielu, ale John Hutchinson, Will Hook, Bert Carpenter i Adam wytrwali jakoś razem w plutonie sierżanta Tygrysa Smitha w ciągu wszystkich marszów i kontrmarszów, pobytów w różnych garnizonach, ekspedycji przeciw wrogim plemionom i okresów ćwiczeń.

Cały Bengal, od Kalkuty po Delhi, płonął buntem. Od pierwszej większej rebelii przeciw Brytyjczykom w Meerucie, na północo-wschód od Delhi, która wybuchła dnia 10 maja 1857 roku, i od skoncentrowania się elementów buntowniczych pod wodzą Mogola, przez pięć miesięcy wzdłuż i wszerz prowincji rozgrywały się sceny okropne i tragiczne.

Trzej przyjaciele Adama drzemali na słomie w wozowni, należącej do zabudowań rezydencji brytyjskiej w Lucknow. Strzelby leżały w pogotowiu w wyciętych wąskich otworach w murze nad ich głowami. Wozownia stanowiła część linii obronnej — poszczególnych domów mieszkalnych, budynków biur, szop i stodół — której przez 87 dni broniło około tysiąca Brytyjczyków z siedmiuset Sepojami przeciw wojskom buntowników w liczbie sześćdziesięciu tysięcy. Ale Anglicy cierpieli więcej od chorób, niedożywiania i upału niż od ognia nieprzyjacielskiego. Ich dowódcą był generał Inglis. W zabudowaniach naprzeciw linii obronnej buntownicy także trzymali strzelby w pogotowiu i od czasu do czasu dawali ognia, chyba tylko na postrach.

Na odsiecz oblężonemu garnizonowi w Lucknow wysłano wojsko pod dowództwem generałów Henryka Havelocka i Jamesa Outrama. Oblężeni wiedzieli, że siły te są już zaledwie o parę mil. Oczekiwali zbawczego ataku z re-

zagnacją — wszyscy byli pomęczeni do ostatecznych granic i w stanie zupełnego zubożenia, chociaż była dopiero godzina ósma rano i upał jeszcze nie dokuczał. Buntownicy nieustannie przypuszczali ataki na linię obronną, ale pod nieudolnym dowództwem, nieskoordynowani, bez ufności we własne siły. Od wielu lat, ćwiczeni przez brytyjskich oficerów, Sepojowie uważali brytyjską dyscyplinę i dowództwo jako siłę nieomal mistyczną, niezwykłą.

Jednakże napięcie wśród obłożonych wzrastało. Każdy musiał stać na straży po cztery godziny co noc. Wszyscy nie dosypiali. Rozwinał się w nich dodatkowy instynkt, dzięki któremu, pozbawieni nadziei i rozpaczy zarazem, nie myśleli ani o przyszłości, ani o przeszłości i tylko wykonywali to, co było do zrobienia w danej chwili. Nawet nadzieja bliskiej odsieczy już nie mogła ich wyrwać z apatii. Z czwórki, ukrytej w wozowni, jeden tylko Adam czuł, rozbudzony własnymi myślami.

Przeraźliwy wrzask rozdarł powietrze: Carpenter zerwał się z przekleństwem, a Adam jednym skokiem znalazł się w drzwiach. Na wydeptanym placu przed wozownią rzucał się z wrzaskiem paw, krwawiąc mocno, zraniony przypadkowym strzałem buntowników. Bez chwili zastanowienia Adam wybiegł na otwartą przestrzeń. Posypała się na niego istna ulewa kul. Sierżant Smith z sąsiedniego budynku ryknął:

— Ty zasmarkany samobójco! Natychmiast wracać pod osłonę! Przecież go nie zjesz na surowo.

Adam był już z powrotem w wozowni, bezpieczny i cały: badał ptaka, którego krzyki rozlegały się coraz donośniej. Dostał w skrzydło. Adam uznał, że gdyby go obandażować, wyżyje.

— Skręć mu ten wrzeszczący łeb i daj nam spać — warknął Will Hook.

— Jeśli nie skończysz z tymi wrzaskami, to ja zaoszczędzę czarnym bękartom trudu zastrzelenia ciebie — zapowiedział Carpenter.

O ciszy zadecydował ichneumon. Przysunął się zrećnie i utkwiał hipnotyczne spojrzenie w biednym pawiu. Ten umilkł i leżał bez ruchu.

— Nie waż go się ruszyć — ostrzegwał ichneumona Adam. — Moi przyjaciele są twoimi przyjaciółmi, a ten biedaczysko będzie teraz moim przyjacielem.

— Oto naraził swoje życie dla... ptaka! — zakpił Hutchinson z komicznym patosem.

— Zamknij się i idź spać — rzekł Adam.

Zabandażowawszy pawia, powrócił do swoich wspomnień, rozważań, do czytania i pisania.

Z paczki listów, które otrzymał z Chilcote w ciągu swego pobytu w Indiach, lubił wyciągać kartki na los szczęścia. Ten sposób najwyżej wywoływał przed oczyma jego wyobraźni obraz rodzinnego domu. To, czego nie mógł znieść

jako młodzik, znikło teraz za mgłą oddalenia i trudno mu było czasami stłumić tęsknotę.

Ojciec nie pisał do niego nigdy oczywiście. Adam wiedział, że Filip Hunter posiadał na tyle silnej woli, iż raz wykreśliwszy syna ze swego życia, nie zmienił stanowiska. Z listów Oliwii i Alka dowiedział się, że ojciec jest członkiem rady lokalnego samorządu. Harold Cook napisał mu, że bracia Appletonowie nie wrócili do pracy w Orchards, chociaż ze względu na Oliwię byli na weselu Eweliny. Adam umiał czytać między wierszami. Orientował się doskonale, chociaż nikt mu o tym wyraźnie nie napisał, że ojciec, od kiedy miał bogatą córkę i utytułowanego zięcia, odchodził coraz dalej od tych, którzy kiedyś byli mu najbliższymi towarzyszami. Pracą fizyczną nie zajmował się już żadną: nawet ukochane konie oddał pod opiekę wynajętego stangreta.

Oliwia w listach wspominała o Filipie zawsze z wielką, może trochę przesadną lojalnością, ale Adam wyczuwał napięcie między rodzicami. Raz napisała: „w sypialni twego ojca” — co znaczyło, że mieli teraz widocznie oddzielne pokoje. Filip rozkoszował się „bywaniem w towarzystwie”, które go nareszcie przyjmowało; Oliwię to irytowało tylko. Adam był po stronie matki, ale byłby wolał, żeby nie było żadnych „stron”. Marzył, żeby jemu właśnie dane było cudem jakimś pojednać rodziców; wiedział, że jego zachowanie nie miało przyczynić się do rozdzielenia tak szczęśliwego do tej pory małżeństwa.

Może Alek zaspokoi ambicje ojca. Uczył się w szkole bardzo dobrze, brał nagrody za naukę i za osiągnięcia sportowe. Tylko nie miał żadnych przyjaciół, jak się zdaje. Tak, Alek miał naturę kota. Szedł własną drogą, według własnych pojęć, wystarczyły mu książki, a gdy się ścigał, to nie dlatego, by pokonać współzawodników, tylko dlatego, że postanowił osiągnąć wyznaczony sobie samemu cel...

— Prześpij się trochę — powiedział sennie Carpenter do Adama. Stary żołnierz, który niegdyś tyle przysparzał kłopotów, w ciągu tych trudnych miesięcy oblężenia okazał się prawdziwą opoką siły, oparciem dla grupki towarzyszy, a nawet dla całego plutonu. — Gdy przyjdzie atak, będziesz zipał jak kurczę!

— Nie chce mi się spać — odrzekł Adam.

— Ta głupia pisanina — burczał Carpenter.

— Nikomu nie szkodzi — powiedział Adam z uśmiechem. — A kiedy się na dworze zabawa zacznie, będę przy tobie, nie bój się!

— Dla nas nie ma żadnej zabawy. Tu walki nie będzie — chyba żeby pokonali odsiecz. A gdyby to się stało, dzikusy poszaleją z radości i wykończą nas, nim się obejrzymy.

— Tym więcej mam powodów, by skończyć list — odrzekł Adam. — Może go jakoś wyślą.

— Akurat! — burknął Carpenter. — I nawet się im na nic nie przyda, bo czarnuchy papieru do celów toaletowych nie używają.

Adam parsknął krótkim śmiechem i pochylił się nad kartkami.

„Ten bunt, w każdym razie w prowincji Oudh — odczytywał własne pismo — nie ogranicza się tylko do żołnierzy. Wszędzie chłopci i inni mieszkańcy popierają bunt. Książęta widzą w tym sposobność pozbycia się Brytyjczyków. Jest to również ruch o charakterze wstecznym. Ludności nie spodobały się maszyny, które zaczynają tu instalować. Przywykli do ręcznych krosien, do kądzieli, do wozów zaprzężonych w bawoły i do posłańca biegnącego pieszo. Wiedzą, że my będziemy narzucać mechanizację. Nie widzą w maszynach niczego dobrego. Sądzą, że maszyny posłużą tylko do tego, by ich jeszcze dokładniej obdzierać ze skóry. To znaczy, że ludzie ci walczą z postępem. Ale w pewnym sensie można zrozumieć ich punkt widzenia. Zraziliśmy też głęboko wszystkie kasty lekceważeniem ich kultury i wierzeń. Musicie wiedzieć, że większość Sepojów to ludzie należący do wysokiej kasty, i wszystko, co podważa ich praktyki i wierzenia religijne, budzi w nich bunt. Czytaliście pewno, że bunt wybuchł, gdy Sepojowie dowiedzieli się, że naboje, których zakończenia powinni odrywać zębami przed naładowaniem strzelby, są smarowane tłuszczem świętej krowy albo pogardzanej, niejadalnej świni. Ci ludzie — wspaniali żołnierze — poczuli się zhańbieni, skażeni. Była to iskierka, która zażęgła bunt...”

Bystra inteligencja Adama pojęła już, że jego rodacy nie po to dzierżyli Indie, by je cywilizować, jak głosili misjonarze. Anglicy podbili Indie w XVIII wieku mieczem po to, by grabić, by mieć źródła taniego surowca i rynki zbytu dla brytyjskiej manufaktury. I mieczem władali.

Adam wiedział — wszyscy wiedzieli — o „chappatis”. Pisał o tym do rodziców i teraz odczytywał swój nie wysłany jeszcze list.

„Właśnie wtedy, kiedy tliło się wszędzie niezadowolenie, stróż wioskowy szedł do sąsiedniej wsi i roznosił zwykłe, domowe placuszki, zwane chappatis. Mówił przy tym: Na północ, południe, na wschód i na zachód! I upominał, aby każdy, kto otrzymał placuszek, upiekł cztery i posłał je przez stróża wioskowego do następnej miejscowości. Nie każdy z wieśniaków, którzy otrzymali chappatis, wiedział, o co właściwie chodzi. Nie zawsze i stróż wiedział. Ale pamiętali, że od pradawnych czasów, gdy groziło jakieś niebezpieczeństwo, wojna, zamieszki, powszechne nieszczęścia, pojawiły się tak roznoszone chappatis — i nikt nie wiedział, kto dał początek temu szerzącemu się z nadzwyczajną szybkością sygnałowi. Musiała istnieć jakaś tajna grupa, która tę akcję rozpoczęła...”

Adam przewrócił kilka kartek.

„Oczywiście — czytał znowu dalej — ci biedacy w ogóle nie mają pojęcia, jak organizować ten cały bunt, żeby miał szanse zwycięstwa. Najpierw ogła-

szają wodzem rebelii zdzieciniałego starca, tytularnego Mogola i osadzają go na tronie w Delhi, które zdobyli. Miało to oznaczać, że dążą do restauracji dawnego imperium mahometańskiego. Zraziło to jednak wielu księżąt hinduskich i jest też wyjaśnieniem, dlaczego tyłu Sepojów nic przyłączyło się do buntu, lecz stanęło po naszej stronie, zwłaszcza Sikhowie z Pendżabu, którzy za panowania mahometańskiego cierpieli prześladowania. Pokonamy w końcu buntowników. Nie są dobrze zorganizowani ani zjednoczeni, nie mają dobrych wodzów. Odbiliśmy już Delhi i w naszym ręku jest Cawnpore. W Delhi nasi oficerowie pozabijali synów Mogola, aby nie przysparzali kłopotów dynastycznych. Buntownicy dokonali kilku wstrętnych rzezi, ale nie mają na to monopolu. Ja sam widziałem, jak nasi ludzie okropnie mścili się na wziętych do niewoli krajowcach. Nigdy nie przykładałem do tego ręki. Nie wiem, co bym począł, gdyby mi wydano rozkaz..."

Strzały! Kule zagruchotały o grube mury wozowni. Widocznie ktoś zaryzykował wychylenie się na pole obstrzału buntowników. Czasami bywało to konieczne, chociaż na przykład amunicję roznoszono zawsze pod osłoną ciemności. Rozległy się szybkie kroki i do wnętrza wpadł wysoki, ciemnoskóry Sikh w turbanie, o ciemnej twarzy z wielkimi wąsami. Grzechot kul ustał. Ichneumon wyjrzał ciekawie ze swej kryjówki za legowiskiem Adama. Sikh stanął wyprostowany na baczność przed leżącym Carpenterem, najstarszym żołnierzem w budynku.

— Rozkaz sierżanta Smitha — zameldował. — Być w pogotowiu bojowym od godziny dziesiątej. Wojska odsieczy mają o tej porze rozpocząć atak.

Paw próbował rozpostrzeć ogon, nie udało mu się to. więc wrzasnął przenikliwie.

Stary żołnierz usiadł, ziewnął i podrapał się pod pachami.

— Powiedz sierżantowi z pozdrowieniami ode mnie — nie zapomnij o po zdrowieniach, czarnuchu, bo to dowodzi mojego dobrego wychowania — powiedz, że ja dziś nie przyjmuję żadnych rozkazów. Ja odpoczywam. Twój przekłęci rodacy po tamtej stronie tak piekielnie hałasowali, że oka w nocy nie zmrużyłem. Sen jest potrzebny na piękność i bez mojego snu piękności nie przyjmuję żadnych rozkazów.

Wysoki Hindus stał bez ruchu. Słowa rozumiał, ale ich sensu, jeśli w ogóle jakiś sens miały, nie mógł pojąć.

— Więc zabieraj się, czarnuchu — zakończył Carpenter. — Otrzymałeś rozkaz ode mnie. I uważaj, jak idziesz!

— Rozkaz sierżanta Smitha — rozpoczął znowu Sikh. — Pogotowie bojowe od godziny...

— Powiedz sierżantowi, że będziemy gotowi — wmieszał się Adam. — Otrzymaliśmy jego rozkaz.

Sikh zwrócił się do Adama, potem znowu w niepewności do starszego żoł-

nierza. Carpenter kiwnął głową. Sikh podszedł do drzwi i wymknął się, biegnąc tuż przy murze. Kule zagrzechotały znowu.

— Biedaczysko — mruknął Carpenter. — Ciekawym, czy się przedostanie z powrotem.

— To nie śmiech, tak być wystawionym na ogień własnych rodaków — zauważył Hutchinson.

— Podobno buntownicy kastrują Sikhów i Sepojów, gdy wpadną im w ręce — dodał Hook ziewając.

— Hej, chłopcy! — zawołał Carpenter, zrywając się na nogi. — Wyczyście te wasze pukawki. Musimy być gotowi, kiedy się zabawa zacznie. Debenham, rusz się! — Tracił łokciem Adama.

— Mam strzelbę już wyczyszczoną — odparł Adam. — Jeszcze godzina przed nami. I zjadłem całą moją dzisiejszą rację żywnościową. Nic teraz nie dostaniemy aż do nocy.

— Zawsze każdego wyprzedzasz, nawet w jedzeniu — burknął Carpenter na w pół z podziwem w głosie.

— Nawet nie zauważyłem, kiedy to zjadłem — mruknął Adam.

Powrócił do swoich listów. Zbierał je, składał, chował. Ale nie wszystkie.

Swój własny, sążnisty, na kilkadziesiąt kartek list zatrzymał przy sobie i list od Eweliny, napisany jej cienkim, trochę sztucznym charakterem pisma — jedyny, jaki od niej dostał, wkrótce po ślubie. Odczytując zapiski zaczął się zastanawiać, jakie jest właściwie jego własne stanowisko wobec buntu? Uśmiechnął się niewesoło. Jakąż w ogóle miał szansę, by zająć jakiegokolwiek stanowisko osobiście? Brał udział w wyprawach przeciw góralom i odczuwał wówczas jakiś niepokój, jakby wyrzuty sumienia. Ale cóż mógł począć? Czy gdyby zaprotestował, ocaliłby tym życie choćby jednemu z górali? Albo czy ocaliłby jedną wioskę od spalenia. A przecież nie był już w cywilu, nie mógł jak dawniej, rzucić posady i poszukać innej. A jednak... przepłynąć tysiące mil po to, by pozbawiać życia i palić domostwa krajowców, którzy chcieli tylko być pozostawieni w spokoju, sami sobie. Czy ogień i miecz były istotnie najlepszymi narzędziami cywilizacji „A jeśli ja tak nie sądzę — rozmyślał Adam — czy nie powinienem tego powiedzieć? Ale kimże jestem, bym uważał siebie za sumienie narodu?”

Bunt był dla niego właściwie walką o życie. Gdyby buntownicy zdobyli Lucknow, wycięliby w pień wszystkich Anglików, tak jak wycięli w pień cały garnizon w Cawnpore. Jego obowiązek jest prosty. Walczyć w obronie życia swojego i swoich towarzyszy. „Rzetelnym bądź sam względem siebie...” Ale jeśli mierzy do krajowca, z którym w pewnym sensie sympatyzuje — czy jest wtedy rzetelnym względem siebie?

Trzeba będzie kiedyś odpowiedzieć sobie na te wszystkie pytania. Ale nie

dzisiaj. Na dzisiaj wystarczy, jeśli generałowie Havelock i Outram odniosą zwycięstwo.

Adam odłożył własny list i zaczął czytać list od Eweliny. Oliwia zawiadomiła go — zwięźle i sucho — o ślubie siostry, a później o tym, że miał już siostrzenicę — Wiktorię. Nie podała daty przyjścia dziecka na świat, ale Adam znał szczegóły z listów Harolda Cooka. Gdyby Adam był w domu, nigdy by Ewelina nie poślubiła Edwarda Patona — zadusiłby wpiery łajdaka własnymi rękoma. Ale co się stało, to się nie odstanie. Odczytywał list od Eweliny:

„...ten niemożliwy malarzyna. Nie wiem, co mam począć z portretem. Zrobił ze mnie złośliwą, chciwą intrygantkę. Rysy twarzy i postaci są moje — ale oczy, ale wyraz! Wyglądam, jak bym była czterdziestoletnią czarownicą. Alek — ty wiesz, jak on zawsze mówi obojętnie i rzeczowo — powiedział, że Bowers musiał przewidywać przyszłość. Miła to uwaga ze strony brata! Edward sądzi, że...”

Edward! Oficer! Dzięki Bogu, że służy w artylerii. Nie ma obawy, by Adam mógł się znaleźć pod jego rozkazami. Całe szczęście! Różnice klasowe z życia cywilnego powtarzały się dokładnie w wojsku: oficer równał się dziedzicowi; podoficer był odpowiednikiem rządcy albo gajowego, albo starszego oborowego, zależnie od stopnia; szeregowiec równał się robotnikowi, wykonywał rozkazy, był traktowany jak niewolnik i tylko salutował „lepszym od siebie”. Sprawa stosunków między szwagrami, z których jeden był oficerem, a drugi szeregowcem, nastęrczałaby niemałe trudności.

Znowu strzelanina. Bardziej odległa, ale to już nie pojedyncze strzelby przemówiły. Salwy, lekkie armaty. A tu żaden strzał nie stuknął o mur budynku ani o plac przed nimi. Strzelanina wzmagała się, odleglejsza, w innej stronie. Adam spojrział na Carpenlera.

— Tak, zaczęło się — rzekł stary żołnierz.

Adam schował ostatnie listy, zawiesił na obu ramionach podwójny plecak, chwycił strzelbę i pobiegł do drzwi.

— Czekajcie! — powstrzymywał Carpenter.

— Po co się tak śpieszyć? — pytał Ashby. — Żeby najbliższą noc spędzić w piekle!

— Może spędzimy ją wygodniej niż dotąd — powiedział optymistycznie Hutchinson.

Pobudka! Głos trąbki zabrzmiał w rozpalonym powietrzu, zdając się drzeć w upale. Bez słowa Carpenter skoczył do jednego z wąskich otworów w murze i wysunął przezeń strzelbę. Tamci trzej poszli za jego przykładem. Strzelali do każdej głowy, która się pokazała po stronie buntowników; strzelali nawet w kierunku każdego poruszenia. Wycofywali strzelby i naładowywali je powtórnie.

— Nie strzelać na oślep! — ostrzegwał Carpenter.

Na początku każdej akcji Adam zawsze z trudem opanowywał niejakie podniecenie, które było bardzo blisko spokrewnione ze strachem. Tym bardziej więc podziwiał spokój starego weterana. „Szkoda, że taki z niego niespokojny duch w normalnym życiu koszarowym — myślał Adam — byłby z niego świetny podoficer”.

Strzelanina rozszerzała się i przybierała na sile, gdzieś poza obrębem miasta. Adam i jego towarzysze nie mogli niczego dojrzeć przez szczeliny w murze. Wiedzieli, że toczy się bitwa z wojskiem, które przyszło im na odsiecz; ale trudno było odgadnąć, kto zwycięży.

— Psiakrew, to straszne! — wykrzyknął Hook. — Siedzieć tutaj beczynnienie, kiedy tam...!

— Czemu nie dają rozkazu, byśmy szli do bitwy? — pytał Hutchinson.

— A jeśli odsiecz się nie uda? — odpowiedział mu pytaniem Adam. — Co wtedy? Potną nas na kawałki.

— Myśmy już odrobili swoje — rzekł Carpenter. — Teraz niech się ta hałastra Havelocka trochę pomęczy.

Grzechot kul wzrastał *crescendo*, a akompaniowały mu basem odgłosy strzałów armatnich. Wewnątrz linii obronnej rezydencji brytyjskiej rozlegały się kroki — posłańcy biegali tam i z powrotem — ale ani jeden strzał od strony buntowników im nie zagroził. Zamiast biegać, posłańcy zaczęli chodzić normalnym krokiem.

— Coś mi się wydaje, że Havelock zadał pieprzu tym czarnuchom — powiedział Carpenter. — Nie molestują nas z tej strony. Ale to tylko świadczy o tym, że te czarnuchy nie znajdują się na rzemiośle wojennym.

Do budynku wszedł sierżant Smith. Ichneumon wysunął się z kąta i podejrzliwie okrążał białe spodnie. Paw leżał nieruchomo, tylko raz wrzasnął. Ichneumon skoczył ku ptakowi groźnie.

— Trzymaj lepiej w karchach swoją menażerię, Debenham — rzekł sierżant. — Bo inaczej wezmę sobie parę sztuk twych ulubieńców na kolację. — Spojrzał surowo na Hooka, który pomrukiwał coś, z czego jedynie dwa słowa można było usłyszeć:

— Menażeria... z tygrysem...

Adam przywołał do siebie ichneumona. Paw leżał spokojnie.

— Słuchajcie, chłopcy — przemówił sierżant. — Przygotujcie się, by godnie powitać odsiecz, która tu nadciąga.

— Co? Przeklęta parada w tych warunkach? — burknął Hook.

Długie, nużące, głodne dni oblężenia przynajmniej zaoszczędziły im musztr i drylu koszarowego.

— Czy nie sądzicie, że zasłużyli sobie na uroczyste powitanie z waszej strony? — zapytał sierżant. — Bo mnie się wydaje, że oni ocalili wasze brudne

szyje od stryczka, przynajmniej na pewien czas. W końcu na pewno kat was w swoje ręce dostanie. — Wywoskowane wąsy jeżyły się groźnie jak sierść na grzbiecie ichneumona. — A teraz ruszajcie się, a żywo, bo bebechy powypruwam!

Hook z udawaną nerwowością wyciągnął strzelbę ze szczeliny.

— A zostaw tam tego swojego zakichanego brudasa, który ci wstyd przynosi — rozkazał Smith. — Jeszcze ci może być potrzebna.

— Jak z bitwą, sierżancie? — zapytał Adam.

— Wartownicy na wieży powiadają, że generał Havelock rozciął buntowników jak nóż masło — odrzekł sierżant. — Wycelował połowe armatki wprost w szeregi czarnuchów i po prostu przestrzelał sobie drogę przez nich.

— Nie mają dowódców — Carpenter ponownie zabrał się do wyjaśniania, dlaczego, jego zdaniem, o tyle liczniejsze wojska buntowników, na dobitkę składające się głównie z dobrze wyćwiczonych Sepojów, nie mogły sobie poradzić z garstką Brytyjczyków. — Gdyby mieli dowódców, toby roznieśli całą odsiecz w puch, wdeptaliby ją w ziemię, zanimby w ogóle wiedzieli, że zwyciężają.

— Są wyćwiczeni w posłuchu, nie w rozkazywaniu — dorzucił Adam.

Sierżant Smith mówił dalej:

— Generał Havelock pierzbija się więc przez pierścień oblegających nas buntowników. Generał Outram zaatakował ich z innej strony, by uczynić dywersję. Ta zbuntowana hołota w ogóle już nie wie, czy ich biją, w nos, czy w tyłek.

— To Havelock...

— Generał Havelock musi mieć znaczne siły.

— Ledwie dwakroć tyle, co my — odrzekł Smith.

— To co teraz będzie? To znaczy, że teraz ta odsiecz razem z nami... — zaczął Hutchinson, ale sierżant nie dał mu dokończyć, nagle zły i groźny.

— To znaczy, że teraz macie się wyczyścić, brudasy, do porządku doprowadzić! Czy wy sobie wyobrażacie, że ja nie mam nic innego do roboty, jak tu stać i odpowiadać na wasze głupie pytania, wy, stado plotkujących przekupek? Ty, Carpenter, dopilnuj, byście przyzwoicie wyglądali. Jeśli nie będziecie za pół godziny w takim stanie, jak gwardia w dzień urodzin królowej, to wam brzuchy porozpruwam!

Sierżant Smith wykonał w tył zwrot przepisowo, jak na paradzie, i energicznie, lewą nogą zaczynając, wymaszerował z budynku. Paw pożegnał go krótkim wrzaśnięciem.

— Co za wojenna machina z niego — powiedział Hook, gdy sierżant nie mógł go już słyszeć, — W jego żyłach musi płynąć pasta do butów zamiast krwi.

— Najlepszy sierżant w armii — wystąpił w jego obronie Carpenter.

— I ty to mówisz? — zdumiał się Hook. — Przecież gdyby nie nasz Tygrys, nie miałbyś ani połowy karnych prac i aresztów, które miałeś!

— Nigdy mnie nie wsadził bez przyczyny — upierał się Carpenter. — A teraz, chłopczy, zrobić, co nam Tygrys kazał!

Czterej mężczyźni spojrzeli bezradnie na łachmany swoich mundurów, które mieli jakimś cudem doprowadzić do przyzwoitego wyglądu.

Jednakże nie było parady powitalnej. Generałowie: Havelock i Outram, przebili się do oblężonych, ale buntowników tylko na krótko odepchnęli, a wcale ich nie pokonali. W obawie, że nieliczny garnizon w Lucknow nie wytrzyma oblężenia, Havelock pozostawił tabory, ciężką artylerię i większą część swoich wojsk i tylko z kilku wybranymi kompaniami pośpieszył na odsiecz.

Przybywszy do Lucknow, śpieszące z odsieczą kompanie stanęły w obliczu przeważających sił przeciwników. Pod nieustraszoną dowództwem młodego oficera artylerii, świeżo przybyłego z kraju, artylerzyści przyciągnęli lekkie działka polowe tuż przed głębokie szeregi Sepojów. Anglicy w ogóle nie zwracali uwagi na nieustający ogień nieprzyjaciela, rzeczywiście nieregularny i niecelny. Zdecydowany atak tych mas ludzkich na artylerzystów musiałby ich po prostu zalać. Ale Sepojowie byli przyzwyczajeni do czekania rozkazu. A rozkaz zaatakowania nie nadszedł. Stali więc, gdzie im kazano, i strzelali, aż działa zaczęły wyrwać istne ulice w ich szeregach; wreszcie załamali się i uciekli.

Ludzie Havelocka weszli za linię obronną, otaczającą rezydencję brytyjską. Sami ciągnęli działka polowe. Oblężeni, o wychudłych, poznaczonych chorobą twarzach, stali i patrzyli. Strzały buntowników nie molestowały nikogo, ale oblężeni z przyzwyczajenia trzymali się przezornie drzwi, słupów, stosów kamieni, jakiegokolwiek osłony. Wkraczający — przeważnie posiłki świeżo przysłane z Anglii — ryzykowali śmiało i nie kryli się wcale.

Adam przypatrywał się wkraczaniu lekkiej artylerii. Na ich czele maszerował dumnie wyprostowany młody oficer, elegancki jak na paradzie. Postać jego wydała się Adamowi jakby znajoma. Właśnie wtedy Hutchinson szturchnął go w bok.

— Popatrz na tę małą purchawkę! Stary jak świat, czas by mu było do grobu się położyć. A jak sztywno siedzi na koniu!

— Zamknij się tam! Wezmę cię do karniaka za niesubordynację! — Gdy sierżant Smith szeptał, całe Lucknow mogło go usłyszeć. — To sam generał Havelock.

Adam spojrzął jeszcze na artylerię, młody oficer już przeszedł. Adam dostrzegł tylko jego wyprostowane plecy, znajomy chód, dumny i arogancki...

Towarzysze z budynku spojrzeli po sobie i westchnęli. Podniecenie minęło. I ich sytuacja niewiele się zmieniła. Buntownicy uciekli wprawdzie przed armatami, ale nie pokonano ich ani nawet nie rozproszono. Chowali teraz swoich zabitych, zbierali rannych i ponownie otaczali rezydencję brytyjską. Z drugiej strony posiłki znacznie wzmocniły garnizon. Zapasy żywności, skąpo wydawane, powinny były wystarczyć. Większa ilość żołnierza pozwoliła na rozszerzenie zasięgu linii obronnej i pozwalała obrońcom zażyć więcej wypoczynku. Ale trzeba było znowu czekać. Część wojska, którą Havelock zostawił za sobą, też nie mogła przystąpić do frontalnego ataku, póki sama nie otrzymała posiłków.

— Więc pewno poczekamy przez następnych osiemdziesiąt siedem dni — powiedział Hutchinson.

— A na koniec stryczek — odburknął Hook, dotykając swej żylastej szyi palcami.

— I to by było lepsze, niż żeby cię zadusił własnymi rękoma jakiś olbrzymi wielbiciel Kali — rzekł Carpenter.

— Na miejsca! — huknął głos Tygrysa. — Wracać na swoje miejsca!

Słońce schodziło już nisko nad horyzont. Korzystając z każdej możliwej osłony, czterej przyjaciele powoli odeszli. Buntownicy jeszcze nie ustawili swoich strzelców na czatach.

— Tam im taki Tygrys potrzebny — zauważył Carpenter. — Strzelaliby już od godziny.

— Liżą swoje rany — tłumaczył Hutchinson.

Wszyscy czterej zatrzymali się przy na wpół zrujnowanych murach w pobliżu ich baraku. Bez słowa, z przyzwyczajenia, zaczęli przechodzić przez plac pojedynczo, nie razem. Pierwszy Carpenter. Potem Hook. Potem Hutchinson.

„Stanowczo coś było znajomego w tym oficerze artylerii — myślał Adam, patrząc za znikającym Hutchinsonem. Ruszył i on z kolei. — O Boże! Artylerii! Oczywiście!”

Strzały z pozycji buntowników buchnęły całą salwą. Kule rykoszetem odskakiwały od twardej, suchej nawierzchni placu. Wydawało się, jakby buntownicy posłyszeli Carpentera, krytykującego ich lenistwo.

Adam, z ręką uniesioną do twarzy, padł na ziemię.

Co się stało? Zdawał sobie sprawę z nieznośnego bólu w lewym oku, a właściwie za okiem. Czyżby Edward Paton jednak go znokautował?... Przecież Adam zostawił go leżącego na ziemi między krzakami...

— Spokojnie... — przez mgłę dotarł do niego głos, który wydawał się jakby znajomy. Na nową salwę strzałów z tamtej strony odpowiedziały teraz wzmocnione siły oblężonych.

Adam poczuł, że ktoś go podnosi i przerzuca sobie przez plecy. Może to dziekan przyszedł... Próbował spojrzeć na odzież tego, kto go niósł. Ale oczy mu zaklejał jakiś lepki płyn.

Złożono go na słomie w baraku. Przy nim był Carpenter. Zza rąk starego żołnierza wychylał się pyszczyk ichneumona.

— To było wspaniałe, ach, panie poruczniku, wspaniałe... — mówił Carpenter, który nachylał się nad leżącym i ścierał mu krew z twarzy, niemożliwej do rozpoznania pod tą czerwoną maską. — Widziałem, wszystko widziałem...

Adam zamrugał i udało mu się otworzyć prawe oko. Lewe było zaklejone beznadziejnie.

— Miałeś szczęście w tym nieszczęściu, mój chłopcze — mówił Carpenter, wciąż ocierając twarz Adama. — To chyba tylko powierzchowna rana. Może kość jest drażnięta, ale oko, według mnie, będzie w porządku.

Adam nie słyszał go. On i wytworny młody oficer artylerii, który wyniósł go na plecach z pola obstrzału z narażeniem własnego życia, patrzyli sobie teraz w oczy. Zwykły szeregowiec, jeden z rzeszy niewolników, i oficer z rządzącej kasty. A przecież byli kolegami szkolnymi.

Po krótkiej chwili Edward Paton postąpił o krok i wyciągnął rękę do swego szwagra.

— Nie miałem pojęcia, że to ty, Hunter... hm... Adamie...

Adam odwrócił głowę. Krew znowu spływała mu po twarzy. Oko pulsowało i nieznośnie bolało. „Rzetelnym bądź sam względem siebie...” Ten człowiek uratował mu życie. Ale w szkole jego kłamstwo złamało życie Adama. I on uwiódł jego siostrę.

— Puśćmy w niepamięć to, co było niegdyś... — mówił pochyłony nad nim oficer, a towarzysze Adama spoglądali na siebie w zdumieniu.

Czemu oficer nazywał Debenhama Hunterem? Jakim sposobem mogli się znać? Zwykły żołnierz, z pewnością uciekający przed wymiarem sprawiedliwości albo innym jakimś kłopotem, i oficer? Co ma być puszczone w niepamięć?

— Nic nie pójdzie w niepamięć... — wymruczał Adam, odwracając swoje jedno oko od wciąż wyciągniętej ku niemu ręki.

Strzelanina zabrzmiała znowu. Sierżant Smith wpadł do baraku, stuknął obcasami we wspaniałym „na baczność”, zaszalutował z taką energią, aż mu ręka zadrżała. Za nim stało dwóch pielęgniarzy z noszami. Paw, jakby chciał przypomnieć, że to jego pierwszego wyratowano w podobny sposób, wrzasnął przenikliwie. Nic lubił intruzów. Ichneumon nie zwracał uwagi na przybyłych. Lizał z przejęciem włosy Adama.

— Za pozwoleniem, panie poruczniku! — zameldował służbiście sierżant Smith. — Przyszliśmy zabrać rannego do punktu opatrunkowego.

— Zabierajcie go, sierżancie — odrzekł Paton, odchodząc od Adama z zaciśniętymi wargami.

—, Rycerski postępek, panie poruczniku, jeśli mi wolno to powiedzieć — mówił sierżant Smith, nadal stojąc na baczność. — Z satysfakcją zobacze chwalebłą wzmiankę o tym, panie poruczniku.

Posługacze szpitali podnieśli Adama z legowiska na słomie.

Nic już nie mówiąc, Edward Paton wyszedł z baraku, zaledwie ruchem ręki odpowiedziałwszy salutującemu sierżantowi. Posługacze z noszami i sierżant wypadli biegiem z baraku, by osłonić idącego oficera. Ichneumon pomykał posuwistymi ruchami przy noszach.

Kule zaterkotały. Ale Edward szedł spokojnie, obojętnie, nawet z pewną chępliwością i arogancją. Zdawało się, że miał niezawodny czar przeciw kulom... Kiedyś zaprzysiągł sobie, że zemści się na bracie Eweliny. A teraz uratował mu życie... No cóż, może jeszcze nadejdzie czas... Dzięki Bogu, Ewelina gardziła swoim bratem tak samo, jak on.

Adam na noszach stracił przytomność.

Rozdział jedenasty

— Dostał, na co zasłużył — rzekł sierżant Smith i wychylił kufel piwa.

— To najlepszy sposób na takich, jak on — dorzucił starszy sierżant. — Sądy wydał bardzo pobłażliwy wyrok. Ja liczyłem, że dostanie pięć lat.

— On jest jakiś inny od wszystkich — rozmyślał w głos Tygrys.

— Dlatego inny, że zły żołnierz i koniec — odpowiedział tamten.

— Nie. On był dobrym żołnierzem aż do tego zajścia — upierał się Smith. — Tylko za dużo czytał, za dużo myślał, wciąż coś pisał, listy czy notatki jakieś.

— No, właśnie! Żołnierz nie powinien myśleć. Dobrze się stało, żeśmy siego pozbyli.

— Nie. Nasz pluton ucierpi na tym...

— Nie ma plutonów dobrych albo złych, są tylko źli albo dobrzy sierżanci — przerwał mu surowo starszy sierżant.

— Czy mój pluton jest najlepszy w kompanii, czy nie jest? — zapytał agresywnym tonem Tygrys.

— No, no, przecież nic nie mówię — łagodził starszy sierżant.

— Zrobiłem, co do mnie należało — Smith znowu powrócił do swoich głośnych rozmyślań. — Aresztowałem go i złożyłem doniesienie. Ale to pierwszy raz mi się zdarzyło, że bez żadnej chęci składałem doniesienie, o którym wiedziałem, że musi się skończyć sądem polowym. — Sierżant Smith od dawna identyfikował siebie z autorytetem władzy, której służył.

W Lucknow kasyno podoficerskie mieściło się teraz w obszernym i wy-

godnym budynku. W ostatnim etapie oblężenia generał Outram — który objął naczelne dowództwo po śmierci generała Havelocka — bronił się przeciw stu dwudziestu tysiącom buntowników, wśród których było dwadzieścia tysięcy wyćwiczonych Sepojów, sam mając do dyspozycji cztery tysiące żołnierzy brytyjskich i tysiąc Hindusów. W marcu 1858 roku poważniejsze siły brytyjskie nareszcie rozprężyły oblegających, biorąc wielu do niewoli i rozprasząc pozostałych.

Ta bitwa położyła ostatecznie kres rebelii. Przystąpiono do „oczyszczania” kraju, dławiąc najdrobniejsze ogniska buntu i karząc bez litości. Od tej pory ludność Indii — zwyciężona głównie z powodu własnych błędów, nieskoordynowania poszczególnych prowincji i braku energicznego, jednolitego dowództwa — mogła tylko w głębi serca hodować nienawiść do najeźdźców. Naród stał się na pewien okres czasem narodem niewolników, pozbawionym swego historycznego dziedzictwa.

Niezbyt jasno, niezbyt świadomie, Adam pojmował jednak to wszystko. Miał nadzieję, że może wielkoduszność i miłosierdzie zwycięzców złagodzą gorycz zwyciężonych. Tymczasem widział ze zgrozą, jak jego rodacy swoim zachowaniem jeszcze pogłębiali nienawiść i rozgoryczenie ludności.

Na kilka godzin przed rozmową obu sierżantów w kantine podoficerskiej, Adama z rękoma skutymi kajdankami wyprowadzono z zaimprovizowanego więzienia wojskowego na jaskrawe światło słoneczne. Lewa powieka opadała mu trochę na oko, co nadawało mu na wpół senny wyraz i miało tak już pozostać na zawsze. Za nim kroczył paw, wlokąc po ziemi opadające skrzydło. Adam spojrzał z nie zmniejszonym zachwytem na sylwetki pałaców i grobowców dawnych władców prowincji Oudh, ludzi, których potomków intrygami, przekupstwem i siłą Brytyjczycy sprowadzili do roli marionetek.

Przy budynku, używanym jako sąd wojskowy, na obszernym placu, stała szubienica. Na długiej belce poprzecznej wisiało kilka ciał, resztki kilkuset powieszonych poprzedniego dnia.

Sąd wojskowy działał szybko. Przedwczoraj przestępstwo, wczoraj dowódca batalionu oddał sprawę Adama pod sąd, dziś rozprawa. Niewiele czasu na przygotowanie obrony, choćby nawet ktoś miał ten zamiar. Sierżant Smith wydał rozkaz Adamowi Debenhamowi. Adam Debenham odmówił wypełnienia rozkazu. W obliczu prawa wojskowego nie było żadnej obrony wobec takiego oskarżenia. Adam wiedział o tym. Wystąpił przeciw prawu, bo cała jego istota zbuntowała się przeciw temu, co mu rozkazano zrobić. Chciał „rzetelnym być sam względem siebie” i musi odcierpieć karę. Teraz pragnął tylko jak najszybciej skończyć z formalnościami. W wojsku nie można odmówić wykonania rozkazu. A ten właśnie rozkaz... Oficer, którego przydzielono mu w charakterze obrońcy, doradził mu wczoraj przyznać się do

winy. Obiecał, że będzie gorąco prosił o łagodny wymiar kary. Ale w Lucknow po zdjęciu obłężenia atmosfera nie sprzyjała łasce i miłosierdziu.

W drzwiach budynku sądu stał sierżant Smith. Patrzył prosto przed siebie, jakby w ogóle nie widział Adama. Paw wrzasnął. Adam odwrócił się i ujrzał, jak dwóch żołnierzy zabierało szamocącego się ptaka.

Wewnątrz budynku zdjęto mu kajdanki z rąk i zamknięto go w małej izdebce o wysokich, wąskich oknach. Strażnik chodził po korytarzu, drugi stał pod oknem, chociaż było ono tak wąskie, że człowiek w żadnym razie nic mógł się tamtędy przecisnąć.

Tymczasem na dziedzińcu odcięto wiszące ciała z szubienicy i wrzucono je na wóz, by wywieźć za miasto. Nowych dwunastu buntowników przyprowadzono, ustawiono na lekkiej platformie na kółkach. Pozakładano im pętle na szyje, odepchnięto platformę... Na przedmieściach Lucknow artylerzyści Patona rozstrzeliwali przywódców rebelii na oczach setek krajowców, których przypędzano, żeby byli świadkami... Były wypadki, że zbuntowanych Sepojów nadziewano na bagnet i pieczono żywcem na wolnym ogniu... Wymyślanie nowych, coraz okrutniejszych form śmierci stało się ulubionym sportem zarówno oficerów, jak i żołnierzy, którzy osiągnęli w ten sposób specyficzny rodzaj równości — w nieludzkim okrucieństwie.

Energiczne, ostre kroki zadźwięczały na kamiennej posadzce korytarza przed izdebką, w której siedział Adam rozmyślając. Może jednak lepiej by było, gdyby poślubił Doreen? Osiadł w domowym życiu? Robił z dnia na dzień, co trzeba? Bez żadnych problemów? Bez wyznań wobec własnych zasad? Ale czyż życie nie jest zawsze pełne problemów, trudności, walk?

Rozkaz, rzucony strażnikowi. Zgrzyt klucza, obracanego w zamku. Sierżant Smith wmaszerował: mundur nieskazitelny, wąsy zjeżone, oczy groźne.

— Szeregowiec Debenham, baaaczność! Naprzód marsz! — Ściany izdebki zatrzęsły się od hałasu tego wyszczekanego rozkazu.

Adam wymaszerował na korytarz. Jeden ze strażników zajął miejsce przy nim, drugi za nim.

— Lewa... prawa! Lewa... prawa! Lewa! — wykrzykiwał w ostrym tempie sierżant. — Lewa! W praaawo zwrot!

Podwójne drzwi rozwarły się z trzaskiem do wewnątrz, by wpuścić trzech żołnierzy i sierżanta. Znaleźli się u wejścia do obszernej sali, gdzie na lewo, na podwyższeniu pod ścianą, siedzieli za stołem trzej oficerowie: major, kapitan i porucznik; za nimi jeszcze sześciu młodszych oficerów, którzy mieli się przysłuchiwać, aby wkrótce, bez żadnego prawniczego wykształcenia prócz znajomości regulaminu wojskowego, wydawać wyroki na innych żołnierzy. Publiczności oczywiście żadnej. Tylko jeszcze paru żołnierzy w charakterze straży i woźnych.

— W lewo zwrot... w prawo zwrot, stać! — Smith wyszcze kiwał swoje rozkazy. — Baczość!

Więzień i jego eskorta stali na baczość w obliczu sądu.

Porucznik, siedzący po lewej ręce majora, był mężczyzną może trzydziestoletnim, ciemnowłosym, o prostej wojskowej postawie i długich nogach. Kapitan był niski, korpulentny, liczył już chyba pięćdziesiątkę i nosił monokl w oku. Major, przewodniczący sądu, był cokolwiek młodszy. Pochylony nad stołem, baczenie obserwował więźnia, pochylając ku niemu łysawą, długą głowę, przenikliwe oczy i długie wąsy. Spoglądał na Adama z mieszaniną niesmaku i pogardy. Gdy zwrócił się do porucznika, twarz mu się od razu zmieniła i przyjemny uśmiech rozjaśnił rysy. Wydawało się, jakby miał dwie różne natury — jedną okazywał ludziom swojej sfery, drugą hołocie.

— Przywołać oficera, wyznaczonego do obrony — powiedział obojętnie przewodniczący do żołnierza przy drzwiach.

Adam i jego eskorta stali nadal sztywno na baczość.

Wszedł młody, trochę zdenerwowany oficer; zsalutował przed sądem i usiadł za stołem na prawo od Adama, a pod kątem prostym do stołu sędziów.

„Dużo on tam pomoże — myślał Adam. — Boi się o własną karierę. Ale spotykałem gorszych oficerów od niego”.

— Więzień! Stać na baczość! Patrzyć przed siebie! — Głos sierżanta Smitha stłumiony, ale niemniej jednak szczekający, wstrząsnął ciszą sądowej sali.

— Przywołać oficera oskarżającego — rzekł przewodniczący.

Przez salę, pomiędzy Adamem i stołem sędziów, przeszedł energicznym, z lekka aroganckim krokiem, dumnie wyprostowany, z cieniem szyderczego uśmiechu na ustach — mąż Eweliny. Adam nie zdołał całkowicie opanować odruchu zdumienia. Z wysiłkiem zacisnął wargi. Edward salutował sędziów z elegancką nonszalancją.

— Dzielny oficer artylerii podejmuje się nowej roli — powiedział z pełnym uznania uśmiechem przewodniczący. Miał na myśli często dyskutowany w gronie oficerów wspaniały atak artylerii, który przeciął drogę do oblężonych w rezydencji brytyjskiej w Eucknow przed pięciu już miesiącami. Przybywszy z ostatnią grupą wojsk odsieczy, major nie słyszał nic o tym, że Edward Paton uratował życie człowiekowi, stojącemu w tej chwili przed sądem.

— Rozkazano mi, panie majorze — odrzekł Edward. — Ja wykonuję moje rozkazy!

Wszyscy sędziowie uśmiechnęli się, chociaż te słowa przed rozpoczęciem przewodu sądowego przesądzały właściwie sprawę.

„A więc nie wspomniał nikomu o naszym powinowactwie — pomyślał Adam. — Oczywiście, on by to miał wyznać! Tym lepiej.

Był jednak wstrząśnięty. Jego oficjalnym oskarżycielem miał być mąż

rodzonej siostry! Pojawienie się Patona w Lucknow już było fatalne. Uratowanie życia Adamowi — jeszcze gorsze. Od owej chwili warunki oblężenia i przepaść dzieląca żołnierza od oficera sprawiły, że mogli się nawzajem unikać. Odwiedzając izbę chorych, gdzie Adam leżał przez dwa tygodnie, Carpenter i inni koledzy wypytywali go, skąd znał tego oficera — co zdradziła scena, jaka się rozegrała, gdy Edward wniósł Adama do baraku. Niezupełnie zaspokoila ich odpowiedź Adama, że spotkał porucznika Patona przed wstąpieniem do wojska. A teraz znalazł się tutaj, w wyznaczonej mu roli oskarżyciela! Adam wiedział, że każdy officer mógł otrzymać polecenie wystąpienia w charakterze prokuratora. Wiedział również, że jeśli officer jest w dobrych stosunkach ze zwierzchnikami, może zarówno uniknąć takiej misji albo też o nią poprosić, zależnie od własnych chęci.

Ale było jednak coś, czego Adam nie wiedział. Adiutant początkowo wyznaczył Patona na obrońcę oskarżonego. Paton przyszedł wówczas do niego i tłumaczył, że już parokrotnie występował jako obrońca, ale nigdy nie był oskarżycielem z urzędu. Czy adiutant nie zechciałby dać mu tej szansy uzupełnienia praktycznych wiadomości? Młody Paton był czymś w rodzaju bohatera. Prosił o drobnostkę. Adiutant chętnie ją spełnił, dziwiąc się przez chwilę, dlaczego taka radość, zupełnie niewspółmierna do załatwionej prośby, zabłysła w oku Patona, gdy mu dziękował i salutował.

Adam nie chciał przepuszczać nic złego, ale jakiś nieprzyjemny posmak miał w ustach. Zresztą, osoba oskarżającego nie miała wielkiego znaczenia — przypomniał sobie. Choćby i sam archanioł Gabriel oskarżał, i tak rezultat jest wiadomy z góry. Tyle tylko, że godziny w sądzie będą jeszcze gorsze, niż przypuszczał.

— Przyniesicie krzesła dla więźnia i eskorty — polecił przewodniczący.

Postawiono według rozkazu krzesła za trzema żołnierzami, którzy nadal stali sztywno na baczność. Adamowi trudno było się opanować: chwiał się nieco i miał tylko nadzieję, że nie zemdleje.

Porucznik po lewej ręce przewodniczącego zaczął odczytywać akt oskarżenia „...w czasie służby odmówił wypełnienia rozkazu, wydanego prawomocnie przez sierżanta Fryderyka Smitha Nr 332906. Regulamin służby wojskowej...”

Przewodniczący sądu zapytał Adama:

— Nr 665241, szeregowiec Debenham Adam. Czy rozumiecie treść oskarżenia, które wam odczytano?

— Tak jest, panie majorze.

— Przyznajecie się do winy czy nie?

— Przyznaję się, panie majorze.

— Rozumiecie, że jeśli przyznaliście się do winy, ten sąd nie będzie miał innego wyboru, tylko przyjąć wasze zeznanie i wydać wyrok zgodny z regulaminem? — Major powtarzał wyuczone na pamięć słowa, które miały być

pomocą dla więźnia. Ale jego oczy wyrażały wstręt. —

Rozumiem, panie majorze.

— Dobrze. Siadajcie. Oskarżyciel wojskowy zechce nam pokrótce przedstawić okoliczności tej sprawy.

— Panie majorze, wobec tego, że oskarżony przyznał się do winy, nie będę rozwodzić się długo nad argumentami. Ograniczę się do faktów i w ten sposób zaoszczędzę dalszej straty czasu na żołnierza, który, jeśli mi wolno wyrazić moje zdanie, nie jest wart zaufania jej Królewskiej Mości ani też munduru, który w tej chwili nosi. — Głos jego był zimny, spokojny, sposób mówienia bardzo wytworny. Nie okazywał żadnej nerwowości, gdy odgrywał wybraną przez siebie rolę w tej nagonce na brata żony, człowieka, którego się wstydził, którego chciał widzieć jak najprędzej wywiezionego — żywym czy martwym — poza granicę Lucknow, gdyż tylko to mogło usunąć straszne dla Edwarda niebezpieczeństwo ujawnienia ich powinowactwa.

— Dnia 25 marca roku 1858... — mówił Edward. Przedstawił przebieg wydarzenia jasno i zwięźle. Okoliczności były same w sobie potępiające, nie potrzebowały „podbarwiania”. Dziekan klas nowoczesnych byłby dumny ze swego wychowanka, gdyby mógł go teraz usłyszeć.

Słowa jego żywo przywiodły Adamowi na pamięć zdarzenie, które w celi przeżywał wielokrotnie, pytając siebie, czy kierowała nim tylko tępa, uparta głupota? I zawsze dochodził do przekonania, że gdyby postąpił inaczej, nie mógłby nigdy później znieść własnego towarzystwa...

Sierżant Smith musztrował swój pluton dnia 25 marca — jak zazwyczaj. Odbierał paradę młody oficer, który również przeprowadzał inspekcję — zwykłą, stan munduru, broni, butów, włosów. Sierżant stanął następnie w pozycji na baczność przed oficerem, który przechadzał się, machając lekko packą na muchy. Krótkiej rozmowy między nimi żołnierze nie słyszeli, prócz kilkakrotnie powtórzonych przez sierżanta odpowiedzi: „Tak jest, panie poruczniku!” „Wedle rozkazu, panie poruczniku!” „Rozumiem, panie poruczniku!” Oficer podszedł bliżej żołnierzy, stojących cały czas na baczność.

— Dziś na nas przyszła kolej: wyjeżdżamy na karną ekspedycję — po wiedział, pochylając się lekko na zgiętym kolanie według jeździeckiej mody. — Oczyszczymy okolicę. Ci złośliwi tubylcy nie pamiętają o żadnej wdzięczności za wszystko, cośmy dla nich zrobili. Zbuntowawszy się przeciw Jej Królewskiej Mości, ponoszą odpowiedzialność za rzeź angielskich kobiet i dzieci, za masakry i śmierć we wszystkich północnych prowincjach Indii. Nawet dziś strzelają do nas jeszcze zza jakichś krzaków przy drodze. Trzeba im dać lekcję. Trzeba ich pouczyć, że gdzie brytyjski radza postawi stopę, tam już zostanie. Jedynym sposobem wytłumaczenia im tego jest wycinanie zbuntowanych, palenie wsi, które sprzyjały...

Adam przestał słuchać. Wiedział, co nastąpi. Od zdjęcia oblężenia

Luncknow dzień po dniu wysyłało żołnierzy oddziałami do wsi, gdzie wieszali i rozstrzeliwali mężczyzn, po czym palili wsie razem z kobietami, starcami i dziećmi. Adam przypomniał sobie, jak niegdyś, gdy Harry Grant nazwał go złodziejem, zapragnął ranić, kaleczyć, zabijać. Teraz chciał tylko uniknąć zabijania, kaleczenia i mordowania.

Oficer skończył przemówienie i poszedł w kierunku kasyna. Sierżant Tygrys Smith szczechnął:

— Są pytania?

— Carpenter zaraz się zgłosił:

— Czy ten porucznik pójdzie z nami?

— Zawsze zadajesz głupie pytania. Oczywiście, że pójdzie z nami. Powie dział mi sam, że to będzie dużo lepsza zabawa od polowania na małpy. — Sierżant przerwał. Nie było innych pytań.

Oficer wyszedł znowu na dziedziniec ze szpicrutą w rękę zamiast paki na muchy.

Adam już powziął postanowienie. „Całe szczęście — myślał — że nie przyjąłem awansu. Byłoby jeszcze gorzej...”

— Pluton... baaaczność! — szczechnął Smith. — W prawo zwrot! Naprzód marsz!

Żołnierze ruszyli z lewej nogi. Adam nie drgnął. Hutchinson obok szturchnął go łokciem i poszedł naprzód. Carpenter za nim popchnął go, omal nie upadł.

— A co z tobą, Debenham? — wrzasnął sierżant Smith. — Nogi ci dziś rano opadają, nie tylko powieka?

Carpenter obszedł go dookoła. Pluton oddalił się już o kilka kroków. Adam stał w pozycji na baczność, z bronią na ramieniu, sam.

— Pluton! Stać! — Głos Tygrysa trząśł się z pasji.

— A ruszcie tego człowieka, sierżancie — powiedział oficer. — On chyba jeszcze śpi!

Smith podszedł blisko do Adama.

— Szeregowiec Debenham! Naprzód marsz!

Adam stał sztywno.

— Chryste! Człowieku, czyś chory?!

— Nie, panie sierżancie.

— Więc po raz ostatni ci mówię... naprzód marsz!

Adam patrzył prosto przed siebie.

— Co ty, odmawiasz wypełnienia rozkazu?

— Tak jest, panie sierżancie.

Głos był spokojny, ale zabrzmiał wyzwaniem.

Oficer szedł ku nim przez dziedziniec, ze szpicrutą na ramieniu, miękki rzemień opadał na plecach. Sierżant Smith obejrzał się na swój pluton.

— Patrzenie przed siebie, zakichana bando...!

...Edward Paton dochodził do końca swego sprawozdania.

— Więzień przyznał się do winy — rzekł. — Wysoki Sąd zna teraz przebieg wydarzenia. Pozostawiam decyzji przewodniczącego i członków Wysokiego Sądu sposób, w jaki należy zadbać o utrzymanie dyscypliny. Chcę zwrócić uwagę na fakt, że ten przypadek zasługuje na potraktowanie ze szczególną surowością...

Formalnościom musi się stać zadość. Zeznanie złożył sierżant Smith — krótkimi, ostrymi wykrzyknikami, jakby strzelał. Jego groźne oczy patrzyły prosto przed siebie.

— Więzień należy do waszego plutonu, sierżancie? — zapytał obrońca.

— Tak jest, panie poruczniku.

Oficer obok przewodniczącego protokołował z pośpiechem.

— Od jak dawna?

— Od samego początku, od kiedy opuścił obóz ćwiczebny przed czterema laty, panie poruczniku.

— I czy waszym zdaniem był zdyscyplinowany?...

— Wysoki Sądzie, protestuję przeciwko pytaniu obrońcy.

— Uchylam pytanie obrońcy — oznajmił przewodniczący. — Świadcstwo o charakterze oskarżonego będzie omawiane później.

Kapitan obok przewodniczącego kołysał na palcu monokl na długiej, czarnej wstążeczce z mory.

Dowódca plutonu składał zeznania głosem obojętnym, niedbale, z paczką na muchy w rękę. Obrońca powiedział, że zarezerwuje swoje uwagi do chwili, kiedy sąd będzie już zastanawiał się nad wyrokiem.

— Oskarżony przyznał się do winy — rzekł przewodniczący. — Przyjęliśmy to do wiadomości. Uznamy go za winnego. — Zwrócił się do Adama. — Czy oskarżony ma coś do powiedzenia?

— Więzień... baaaczność! — krzyknął niespodziewanie Smith.

Adam stanął w pozycji na baczność.

— Słyszałem rozkaz, sierżanta Smitha, panie majorze — zaczął. — Nie usłuchałem go. Widzi pan major, nie mogłem. Moim zdaniem te prześladowania tubylców są nierozsądne i nieludzkie, panie majorze.

Sędziowie wymienili spojrzenia. Kapitan wetknął monokl w oko. Obserwatorzy szeptali między sobą. Z tą powieką na wpół opadającą na jedno oko oskarżony wyglądał dziwnie. Ale głos jego zabrzmiał kulturalnie. Słowa dobierał starannie. To nie był zwykły żołnierz, przyparty do muru, obrzucający wzajemnymi oskarżeniami wszystkich dookoła.

— Nierozsądne dlatego — ciągnął Adam — ponieważ podsycają nie nawiść krajowców w stosunku do nas. Nieludzkie dlatego, panie majorze, ponieważ gdybym wypełnił ten rozkaz, czułbym się zrównany ze stadem psów, poszczutych na zapędzone do ogrodzenia zające. Nie mógłbym własny-

mi rękoma powiesić nawet winnego człowieka ani spalić wsi; cóż dopiero, gdy mam wieszać ludzi, o których indywidualnej winie nic nie wiem albo palić wsie, zamieszkałe przez ludzi, którzy może nic złego nie popełnili...

Przez myśl Adama przemknęło wspomnienie, jak niegdyś, w chwili wściekłej pasji, wrzucił Granta do morza. Jak jedna chwila gniewu może przekreślić najdroższe człowiekowi zasady!

— Jesteś żołnierzem i twoim obowiązkiem jest robić, co ci każą — przerwał mu ostro przewodniczący. — A co ci każą robić, dotyczy twoich zwierzchników, oficerów i podoficerów!

— Jestem również człowiekiem, panie majorze — odparł Adam — i mam wobec siebie i innych obowiązek postępować tak, jak według mnie człowiek postępować powinien... — I myślał: „Nie powinienem wrzucać do morza swego kolegi. No, cóż, to było blisko cztery lata temu. Może dziś dojrzałem”.

— Dość tego! — Przewodniczący przerwał wywody Adama. — To wszystko nie ma nic wspólnego z oskarżeniem. Przyznałeś, że jesteś winien świadomego uchylenia się od wypełnienia prawomocnie wydanego rozkazu...

— Tak jest, panie majorze.

— Czy obrońca ma coś do przytoczenia, jakieś okoliczności łagodzące?

— Panie przewodniczący — powiedział ów trochę zdenerwowany, drobny człowieczek. — Muszę podkreślić, że przestępstwo, które popełnił i do którego się przyznaje oskarżony, nie było popełnione w obliczu nieprzyjaciela.

— Wcale nie jestem tego pewien — rzekł kapitan, wypuszczając monokl z oka.

Brwi Adama ściągnęły się nieco. Odmowa wypełnienia rozkazu w obliczu nieprzyjaciela — to była sprawa gardłowa. W obecnym nastroju ci oficerowie mogli łatwo skazać go na rozstrzelanie. Ale jego obrońca odezwał się znowu:

— Ja tylko zwracam uwagę Wysokiego Sądu na fakt, że w akcie oskarżenia nie ma słów „w obliczu nieprzyjaciela”. I z całym respektem pozwolę sobie przypomnieć Wysokiemu Sądowi, że ma sądzić na podstawie aktu oskarżenia i nie ma prawa tego aktu zmieniać.

— Kto sformułował akt oskarżenia? — zapytał przewodniczący.

— Sierżant Smith, panie majorze — odrzekł obrońca.

Kapitan włożył monokl z powrotem i sapnął pogardliwie.

Ten mały oficer, mój obrońca, więcej jest wart, niż przypuszczałem — pomyślał Adam.

Obrońca mówił o czterech latach nienagannej służby Adama w wojsku. Potem wspomniał o ranie w oko, niedawno odniesionej, która mogła czasowo naruszyć jego psychiczną równowagę.

Na wzmiankę o tej ranie Edward Paton spuścił wzrok i zaczął przekładać jakieś papiery na swoim stole.

Wezwano do złożenia zeznań sierżanta Smitha.

— To jeden z najlepszych żołnierzy, jakich miałem pod moimi rozkazami, panie majorze... Nigdy nie przyczynił mi żadnych kłopotów... Można było na nim polegać... Walczył odważnie w wielu potyczkach. Spodziewałem się awansu dla niego, mógłby już dojść do mojej szarży...

— Więc jak tłumaczycie jego obecny postęp? — zapytał przewodniczący z twarzą surową i oficjalnie sztywną.

— Aberacja, panie majorze. Gdybym mu ten sam rozkaz wydał innego dnia, prawdopodobnie by go usłuchał. Ja znam żołnierzy, panie majorze.

— Ja też ich znam, jak sądzę, sierżancie!

— Oczywiście, panie majorze. Za przeproszeniem, panie majorze. Carpenter też nalegał, żeby mu pozwolono zeznawać w obronie przyja ciela. Ale jego wielomówność niczego nie wskórała.

— Nie można na niego zwracać uwagi, panie majorze, za przeproszeniem. Doskonały kolega, panie majorze. Tylko trochę narwany. Najlepiej by było wysłać go z powrotem do Anglii, moim zdaniem, panie majorze!

— Nikt się was o zdanie nie pyta — odrzekł zimno przewodniczący. — Dostyc tego. Wyprowadzić wszystkich, sierżancie.

Dwaj oficerowie, obrońca i oskarżyciel, wyszli razem.

— Więzień i eskorta! Baaaczność! W lewo zwrot! Naprzód marsz!

— To nam dużo czasu nie zajmie — rzekł przewodniczący, gdy znalazł się sam z dwoma członkami sądu i obserwatorami. — Dwadzieścia razy dyscypliny, dwa lata ciężkich robót i hańbiące wydalenie z wojska.

— A ja bym go potraktował jak buntownika! — rzekł agresywnie kapitan, wkręcając mocniej monokl w oko.

— I ja też — dodał porucznik, który protokołował. — Ale czy władze zwierzchnie potwierdziłyby taki wyrok?

— Nawet gdyby potwierdziły, co jest wątpliwe, narobiłoby to dużo szumu w kraju — ostrzegł przewodniczący.

— Podać, że zginął w akcji — poradził cynicznie kapitan.

— Mamy tu gdzieś korespondenta wojennego — przypomniał przewodniczący.

— A jest! I co to za plaga! — poskarżył się kapitan. — Palcem ruszyć nie można, żeby się nie kłopotać, co też sobie pomyśli każdy czytelnik byle szmatławej gazety w Londynie! A co oni tam w kraju mogą wiedzieć o warunkach, w jakich my tu musimy pracować?

— Więc się zgadzamy! — rzekł jowialnie przewodniczący. — Skończmy z tym. W gardle mi zasycha, gdy pomyślę, że whisky and soda czeka na mnie od godziny!

Po chłoście, która nie wydarła z jego ust ani jednego jęku, Adam spędził dwa dni w izbie chorych, leżąc na brzuchu. Następnego tydzień przesiedział

w zaimprovizowanej celi, bez żadnego zajęcia prócz rozmyślań nad tym, co uczynił i jaka jest tego cena. Ze zdziwieniem przekonał się, że nie czuje niewiści ani żalu do nikogo, prócz może kapitana z monoklem, który chciał uczynić z niego, Adama, tchórza, dezertującego w obliczu nieprzyjaciela. Sierżant Smith, przewodniczący sądu, muskularny jegomość, który go chłostał z przejściem i celną precyzją, nawet Edward — oni wszyscy robili tylko to, co prostym lub okrężnym rozumowaniem, zależnie od stopnia własnej inteligencji, uważali za swój obowiązek wobec królowej, kraju, zwierzchników czy wobec osobistego interesu. Gdyby postąpili inaczej, sami wszczęliby rebelię, i to poważniejszego rodzaju od buntu krajowców. I on, Adam, też postąpił tak, jak mu to nakazywał obowiązek: odmówił wydania własnego sumienia w niewolę.

Konwój, otoczony żołnierzami, wyruszył wreszcie do Delhi. Adama wsadzono do pustego wozu prowiantowego wraz z dwoma uzbrojonymi kapralami. O dwie mile za Lucknow na gościńcu pojawił się jakby znikąd siezani Smith. Podszedł energicznym krokiem do wozu i przez dłuższą chwilę maszerował razem z konwojem, spoglądając groźnie na Adama. Nagle wsunął rękę do swego plecaka i wyjąwszy stamtąd coś, przerzucił to przez bok wozu do środka. Ichneumon spadł na łapki i podbiegł do Adama z cienkim piskiem radości. Kaprale odsunęli się i podziwiali krajobraz.

— Nie udało się. Nie mogłem sobie poradzić z pawiem — rzekł Tygrys.

Wóz potoczył się dalej po kamienistych wybojach traktu. Słońce paliło nieznośnie obolałe plecy Adama. Jeden z kaprali wyjął fajkę i poczęstował Adama tytoniem.

— Co za głupiec! — zakończył rozmowę starszy sierżant w kantynie pod oficerskiej wieczorem tego dnia. — Takie szalone porywy bohaterstwa nic zmieniają niczego i nikogo.

Istotnie, prześladowania nieszczęsnych krajowców trwały dalej. I chyba nawet Adam się nie zmienił. Obrona niepodległości jego sumienia kosztowała go już utratę trzech posad w życiu cywilnym. Ale wówczas za każdym razem był to nie przemyślany, odruchowy gest. Odmowa wykonania rozkazu sierżanta, odmowa udziału w brutalnym terrorze była decyzją powziętą ze świadomą humanitarną intencją i z pełnym zrozumieniem wszystkich konsekwencji. Być może Adam nie zmienił się, ale zyskał postawę moralną i świadomość, które miały kierować jego przyszłym życiem.

W wojskowym obozie karnym harował osiemnaście godzin dziennie pod rozkazami podoficerów, wyspecjalizowanych w brutalności. Nigdy nie szedł, zawsze musiał biec. Pracował ciężiej, dostawał mniej żywności, cierpiał bardziej od jakiegokolwiek zbrodniarza w cywilnym więzieniu, skazanego za mord, gwałt lub rabunek. Ale chłosta w Lucknow i dwa lata brutalnej opresji w Delhi dały mu pełną władzę nad sobą.

Rozdział dwunasty

Filip gwałtownym ruchem wstał od stołu.

— Pamiętaj, że mamy być u Lane'ów o czwartej — rzucił przez ramię do Oliwii. — Powóz podjedzie o wpół do czwartej. Żeby nie musiał czekać!

Utył bardzo, szczęka rysowała się twardą linią, brwi miał zawsze namarszczone, głos rozkazujący. Ale wciąż jeszcze spotykał się z opozycją. Oboje, on i Oliwia, przekraczali teraz często i świadomie granice, które przekształcały drobne sprzeczki w bolesne, raniące kłótnie.

Oliwia spojrzała w okno i skrzywiła wargi — które i u niej zaczynały się układać w twardą, gorzką linię — na widok mżącego deszczu.

— Nie chce mi się wcale jechać — oznajmiła.

— Za późno, żeby się wycyfować — odrzekł Filip, nabijając fajkę. Stał przed kominkiem, plecami do ognia, rozpalonego jeszcze w ten zimny i mokry dzień majowy.

— Nigdy nie miałam ochoty jechać do nich — odparła. — Nudzę się śmiertelnie, słuchając tej mizdrzącej się Pameli Lane. Ona tylko powtarza: „Och, masz zupełną rację, Fil!” I: „Och, prawda, że jesteś po mojej stronie, Fil!?” A po jakiej właściwie ona jest stronie? Po stronie wszystkiego, co przestarzałe, reakcyjne, bezsensowne! Ona uważa, że dzisiejsi robotnicy fabryczni powinni być tak traktowani, jak przed trzydziestu laty traktowano twego ojca i matkę!

Filip zapalał fajkę drzazgą, rozżarzoną w ogniu na kominku, odwrócony plecami do Oliwii, która nie widziała, jak uniósł brwi i cień uśmiechu przeleciał mu po twarzy. Może już tylko to trzymało ich razem — pomyślał — że Oliwia była o niego zazdrosna. I odpowiedział odruchowo, wcale nie zdając sobie sprawy, że daje świadectwo istnieniu odwrotnej strony tego samego medalu:

— Lepsza jest mizdrząca się i bezsensowna, jak powiadasz. Pamela, od niektórych na wpół rewolucjonistów, których ty tak wysoko cenisz. Może spodziewasz się dziś jego wizyty, co? Czy skończył wreszcie twój portret? Pewno znowu będzie skandalem dla całej rodziny. Podkreśliłem, jak mam nadzieję, zupełnie jasno, że nie zapłacę za ten kicz.

— Nikt ciebie o to nie prosił — wzruszyła ramionami Oliwia. — I chciałabym ci przypomnieć, że ja niegdyś wysłałam za mąż za na wpół rewolucjonistę.

Teraz ona z kolei odczuwała pewną satysfakcję. A więc jednak irytował go fakt, że miała wielbiciela innego jeszcze, prócz Appletonów i Harolda Cooka!

Nie oczekiwała właśnie dzisiaj Geoffreya Bowersa, chociaż mogła się zawsze spodziewać jego wizyty. Nawet do malowania jej portretu przychodził bez uprzedzenia. Twierdził, że woli, gdy Oliwia pozuje mu bez specjalnych

przygotowań. Ale Oliwia orientowała się doskonale — i sprawiało jej to przyjemność — że Bowers zwykle przychodził pod nieobecność Filipa. Oczywiście nie było w tym nic złego, zdaniem Oliwii, że lubili swobodnie i bez przeszkód porozmawiać o nowych problemach przemysłowych, o czartyzmie, o reformie szkolnictwa. A przecie taka rozmowa nie była możliwa, jeśli Filip siedział i mierzył ich gniewnym wzrokiem. Nie przyznawała się nawet sama przed sobą, że w obecności Filipa nie byłoby również możliwe to głodne spojrzenie ani impulsywne uściśnienie ręki, którymi Bowers przypominał jej, że w czterdziestym ósmym roku życia wciąż jeszcze była kobietą godną pożądania.

Elegancka pokojówka — w czarnej sukience, białym fartuszką, koronkowym czepeczku — przyszła sprzątnąć ze stołu. Okoliczności przekreśliły dawne zastrzeżenia Filipa co do zatrudnienia służby domowej. Ewelina większą część roku spędzała w Binwood, dokąd zabrała Molly' jako zarządzającą domem i jednocześnie damę do towarzystwa. Oliwia nie mogła poradzić sobie sama z podejmowaniem gości w Orchards na łaką skalę, jakiej teraz życzył sobie Filip. Była więc i kucharka, i służący do czyszczenia butów i srebra, przynoszenia drzewa, palenia w kominkach.

Zadźwięczał dzwonek od frontu i pokojówka pośpieszyła do drzwi. Wróciła z listem. Oliwia wzięła od niej grubo wypchaną kopertę.

— Filipie! To od Adasia! Nareszcie!

Ale Filip ostentacyjnie poszedł ku drzwiom.

— O wpół do czwartej — powiedział tylko.

Oliwia nie słyszała go. Rozerwała kopertę i chciwie rzuciła się do czytania stosu drobno zapisanych kart, które Adam pisał i przechowywał w wozowni rezydencji w Lucknow. Przewracała cienkie kartki jedna za drugą. Gdy przeczytała prawie połowę, przed domem zatętniły kopyta konia w kałużach podjazdu. Nie podniosła głowy. W parę minut później, zrzuciwszy już podróżny płaszcz i wysokie buty, wszedł Alek, wysoki i przystojny, ale jak dawniej błądy, o delikatnym wyglądzie. Przyjechał na koniec tygodnia konno z Oxfordu, gdzie po świetnie zdanych egzaminach wstępnych przyjęto go, pomimo bardzo jeszcze młodego wieku, na wydział jednej z tych nowoczesnych nauk. Pocałował matkę w wysoko upięte włosy, których ognistą barwę przytłumiła już z lekka siwizna.

Bez słowa podała mu te kartki, które już sama przeczytała. Nagle podniosła głowę, opuszczając na kolana rękę z listem.

— Adam straszne rzeczy musiał przeżywać, Alku.

— Rebelianci też pewno teraz niełatwe chwile przeżywają — odrzekł Alek, nie podnosząc oczu znad stroniczki, którą czytał.

— Myślisz tak jak ja, nie tak jak ojciec, prawda?

— Moje poglądy są moje własne. — Alek nie chciał się przyznać do ule-

gania czyimś wpływom. Tę jego rzeczową suchą obojętność pogłębiał jeszcze wzrastający rozdźwięk między rodzicami.

— Czemu jesteś zawsze taki chłodny, synu?

— Ja nie jestem chłodny, jeśli chodzi o uczucia. Ale chciałbym reakcje emocjonalne oddzielać od intelektualnych.

— Utrudniasz sobie życie.

— Mam nadzieję, że nie będę się szczególnie troszczył o moje własne życie, raczej o życie innych ludzi.

Oliwia westchnęła. Ewelina była zawsze przeciwko niej. Alek — obojętny w swej bezstronności. Gdyby tylko Adam był w domu!

— Nie mogę jechać do Lane'ów! Nie mogę i nie pojedę! — zawołała Oliwia, oddając Alkowi ostatnie kartki listu. — Nie będę w stanie słuchać tej bezsensownej paplaniny z listem Adama bezustannie przed oczyma. Przecież rebelia już stłumiona, chyba teraz Adaś przyjedzie do kraju?! Nie zerwie po raz drugi kontaktu z nami. Już ja go dopilnuję.

— Czy będziesz w domu na obiedzie, mamo? — spytał Alek.

— Będę w domu cały czas — odparła.

— Ja popracuję u siebie w pokoju — oznajmił Alek wychodząc.

Oliwia, patrząc na zamknięte za nim drzwi, powiedziała do siebie:

— Nie jesteśmy już rodziną. Po prostu czasem spotykającymi się jednostkami. Tylko Filip z Ewelina... Adasiu, mój synu, ty i ja... Kiedy, kiedy?

Dwadzieścia minut po trzeciej Filip stał w wielkiej sieni, wytworny ziemianin w każdym calu. W tajniki modnego stroju męskiego wprowadzała go Ewelina. Spodnie prążkowane wąskie, kamizelka jasna, perłowoniebieska, dość długa i z rewersami, surdut długi, lekko wcięty i od pasa rozchodzący się do tyłu, czarny krawat zawiązany na sztywnym, białym kołnierzyku tak wysokim, że dotykał bokobrodów. Pokojówka pomogła mu nałożyć płaszcz z krótką pelerynką.

— Powiedz pani, że czekam — rzekł do pokojówki, usłyszawszy turkot powozu przed domem.

Pokojówka wróciła natychmiast, zgrabnie zbiegając ze schodów.

— Pani prosi, żeby pan pojechał sam. Panią głowa boli.

Filip energicznymi krokami ruszył ku schodom.

— Hallo, ojcze, myślałem, że wyjechałeś! — odezwał się głos Alka u szczytu schodów.

Filip zatrzymał się jak wryty. Czekał na niego na dole. Nie mógł powiedzieć, że szczególnie kocha swego młodszego syna. Chłopiec był tak zaprzątnięty swoimi studiami, że trudno było znaleźć z nim wspólny język. Ale Filip wiązał z osobą Alka wielkie nadzieje. Ten przynajmniej wszedł na drogę, której ojciec pragnął dla niego. Uniwersytet, stopień naukowy, może — powiadają, że jest genialnie zdolny — kariera naukowa. Filip żywił ogromny

respekt dla takich rzeczy, jak wykształcenie, którego za młodych lat nie miał możliwości zdobyć i którego nie mógł teraz kupić za cały swój majątek. Wyższe wykształcenie otwiera wszystkie drzwi w dzisiejszych czasach. „Pan Filip Hunter, ojciec profesora...” Ale myśli jego splątały mu figla. „Ojciec... prostego żołnierza”. Było to echo goryczy, obudzonej listem, którego nie przeczytał.

— Jak twoje studia, synu?

— Dość dobrze.

— Widziałeś matkę? Czekam na nią. Nie lubię czekać.

— Więc nie czekaj, ojczu. Matka jest trochę zdenerwowana. Adaś...

Alek przystanął na trzecim stopniu od dołu. Z pozorną niedbałością zajmował wyciągniętym ramieniem przestrzeń aż do poręczy schodów. Filip nie mógł wejść na górę, nie odsunąwszy go. Pokojówka czekała z cylindrem, rękawiczkami i parasolem.

Przed domem znowu zaturkotał pojazd.

— Zobacz, kto przyjechał — rozkazał Filip pokojówce.

— Tak, proszę pana.

W otwartych drzwiach stanęła Ewelina. Wbiegła szybko, zarumieniona, urocza. Macierzyństwo przyśpieszyło pełny rozkwit jej urody.

Filip pocałował córkę, która na razie zignorowała obecność Alka.

— Czy wyjeżdżasz, tatusiu?

— Obowiązki towarzyskie, moja droga. Matka źle się czuje. Przyjechałaś w samą porę. Będziesz mi towarzyszyć do Lane'ów.

— Tatusiu, nie możesz jechać. Dostałam list od Edwarda.

— Rad jestem, ale później mi o tym opowiesz. To tylko na małą godzinę...

— Nie, tatusiu. To straszne nowiny. Och, hallo, Alek. Nie zauważyłam ciebie.

Rozwiązała wstążki budki — dużej, przybranej piórami — i rzuciła ją wraz z salopką pokojówce. Chwyliła ojca za ramię, pociągnęła do bawialni. Alek wzruszył ramionami i powędrował na górę.

W dziesięć minut później Oliwia weszła do bawialni. Na tureckim dywanie, przed kanapą, na której siedzieli jej mąż i córka, białą z pół tuzina kartek listu. Płaszcz Filipa leżał na poręczy krzesła. Ewelina podniosła gniewny wzrok na matkę i mówiła dalej do Filipa, nie witając jej wcale.

— ...każdy spodziewał się, że Edward dostanie medal. Ale pułkownik skreślił rekomendację. Powiedział, że Edward bardziej by zasłużył na medal, gdyby zostawił go leżącego na drodze. Kule rebeliantów oszczędziłyby im dużo kłopotu.

Filip, gdy Ewelina wetknęła mu list w rękę, zażądał, żeby opowiedziała jego treść.

— Witam cię, moja droga — rzekła lodowato Oliwia, powstrzymując chęć

zrobienia awantury córce za jej lekceważącą nieuprzejmość. — Czy mogę wiedzieć, o co tutaj...

— To jest też twoja wina — rzekł Filip. — Gdybyś mu nie pozwoliła uciec z Binwood, nie doszłoby do tego!

— Chętnie wierzę, że wszystko jest z mojej winy — rzekła ironicznie Oliwia. — Ale chciałabym wiedzieć, za jakie kłopoty teraz mam być odpowiedzialna.

— Nie udawaj, że nie wiesz — warknął Filip. — Przecież dostałaś list.

— Istotnie. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego wy oboje jesteście tak tym przejęci. To chyba nie zbrodnia napisać list. A przecież nie możecie obciążać mnie albo Adama winą za bunt w Indiach i obłężenie Lucknow.

— Ależ Adam jest w więzieniu! — wybuchnęła Ewelina; były to pierwsze słowa, jakie powiedziała do matki.

Twarz Oliwii zmieniła się. Przerazenie wykrzywiło jej rysy.

— W więzieniu? W liście nic o tym...

— Pewno, że nie — przerwała Ewelina. — Musiał wysłać list zaraz po zdjęciu obłężenia. A to wszystko zdarzyło się w kilka dni później. Teraz nie napisze drugiego listu tak prędko!

— Co za hańba dla nas! O tym nigdy ludzie nie zapomną... — Filip chodził tam i z powrotem po bawialni, z rękoma założonymi z tyłu pod surdudem. Szarpnął z irytacją za dzwonek.

Oliwia zbierała porzucane kartki listu Edwarda, dławiąc w sobie łyzy goryczy i gniewu. A więc jej mąż i córka myślą o tej strasznej wiadomości tylko o tyle, o ile to ich kompromituje! A o tym, co odczuwa matka, jak musi cierpieć syn?

— Pomyśl tylko o Edwardzie! — mówiła Ewelina. — On oczywiście nie ujawnił, że go cokolwiek łączy z Adamem. Tatusiu, może nikt nie będzie w ogóle wiedział?...

Pokojówka weszła.

— Jaśnie pani dzwoniła?

— Ja dzwoniłem — rzekł Filip. — Przynies przybory do pisania i papier.

— Tak jest, proszę pana.

— Siądź i napisz list do pani Lane — zwrócił się Filip do żony. — Znajdź jakąś, jakkolwiek wymówkę. Lepiej już wcale nie jechać, niż się spóźnić.

Ewelina wyrwała list od Edwarda z rąk matki.

— Może się zdarzyć, że mąż w liście do żony pisze rzeczy, które nie są przeznaczone dla nikogo innego!

Tak zdruzgotana straszną wiadomością była Oliwia, tak oszołomiona tym, że wiedziała okropnie dużo i zarazem bardzo mało, tak świadoma rozdźwięku w rodzinie, że przyjęła impertynencję Eweliny bez protestu. Miała się później za to irytować na samą siebie. Ale w tej chwili wszystko

było nieważne, prócz tej jednej przerażającej, niewytłumaczalnej wieści. Adam w więzieniu...

Gdy w pół godziny później znowu zadźwięczał dzwonek u frontowych drzwi, Alek był już również w bawialni i znał całą historię, przedstawioną przez Edwarda — oczywiście z jego własnego punktu widzenia. Rozmowa — w czasie której przeważnie wszyscy mówili naraz, a już co najmniej dwoje — potoczyła się charakterystycznym torem. Oliwia, zwykle ostatnio w defensywie, wyzywająco podkreślała, że jest dumna z syna i porównywała postępek, za który go skazano, z kampanią, którą niegdyś organizował i za którą dostał się do więzienia jego ojciec. Filip i Ewelina martwili się ewentualnością towarzyskiego ostracyzmu w razie, gdyby hańbiąca afera Adama wyszła na jaw. Alek stanął w obronie brata: nie tyle w obronie jego postępków, ile w obronie jego prawa do wyrażania swoich przekonań. Jeśli Adam uważa, że musiał tak postąpić — to w porządku; nie mógłby w takim razie postąpić inaczej, nic tracąc najcenniejszego, co człowiek posiada — szacunku dla samego siebie.

— Pan Geoffrey Bowers — zaanonsowała pokojówka.

Nikt, nawet Oliwia, nie był w tej chwili w stanie przyjąć tego gościa. Zapanowała chwila przykrew ciszy. Artysta — nieco cięższy niż dawniej, ale poza tym nie zmieniony upływem lat — stał zmieszany w drzwiach.

— Zdaje mi się, że przeszkodziłem — powiedział.

Oliwia oprzytomniała i zaczęła mówić:

— Familijna dyskusja! Ale ciebie, Geoffreju, zawsze... Filip przerwał jej.

— Obawiam się, że istotnie przyszedł pan w najbardziej nieodpowiedniej chwili, panie Bowers — rzekł szorstko.

— Bardzo mi przykro, panie Hunter. Z pewnością nie będę narzucał mojej niepożądanego obecności.

Odwrócił się, ale Oliwia, zacerwieniona z gniewu i tym piękniejsza w tych kolorach, szybko przebiegła przez bawialnię.

— Proszę cię, zostań, Geoffreju! — Ten człowiek przynajmniej zrozumie, dlaczego ona nie wstydziła się, lecz właśnie była dumna z syna, który cierpiał za swoje przekonania. — Mój mąż jest tylko zdenerwowany. To... zdarza się czasem w rodzinie. Naprawdę wcale nie życzy sobie, abyś poszedł.

Geoffrey Bowers spojrział niepewnie na Filipa, po czym rzekł pochylając się do Oliwii:

— Jesteś bardzo uprzejma, droga Oliwio. I zawsze tak gościnna. Ale nie chcę sprawiać kłopotu...

— Jeśli to jest prawda, zechce pan nas opuścić — wtrącił Filip. Stał przed kominkiem, plecami do ognia. — Pan i owszem sprawia kłopot swoim śmiesznym asystowaniem...

— Filipie! — Głos Oliwii zabrzmiał urażoną godnością kobiecą.

— Najwyższy czas, żeby o tym powiedzieć w obecności wszystkich stron zainteresowanych.

— W każdym razie dzieci nie są stroną zainteresowaną... — zaczęła ostro Oliwia.

- Dzieci? — powtórzyła szyderczo Ewelina. — Jestem matką, nie dzieckiem!

— Moi drodzy przyjaciele — łagodził Bowers. — Rozumiem, że coś zaszło, co zburzyło chwilowo spokój i harmonię rodzinną. Ale nie chciałbym być przyczyną... — Jednakże spojrzął znowu na Oliwię, na wpół pytająco, z wyrazem, który jasno świadczył, że chętnie będzie tą przyczyną.

— Jeśli Geoffrey wyjdzie, Filipie... — Oliwia zwróciła się, blada teraz, do męża.

Alek, jedyny spokojny i opanowany z wszystkich obecnych, podszedł szybko do Bowersa.

— Proszę, panie Bowers, zechciej pan zająć do mego pokoju. Przywiozłem dziś z Oxfordu książkę, która z pewnością pana zainteresuje! Rozkazującym ruchem — który zdawał się odtrącać kłótnię rodzicielską jako niegodną cywilizowanych ludzi — Alek wyprowadził artystę z bawialni. Filip wytrząsał popiół z fajki. Oliwia przez chwilę tylko patrzyła.

— Co za scena! — rzekła pogardliwie Ewelina. — Mogłabyś przynajmniej trzymać go w szafie, mamó!

— Jak ty tego bogatego paniczyka Brome'a, zastępcę Edwarda, co? — odparła Oliwia, zbyt mało panując w tej chwili nad sobą, by pamiętać o macierzyńskiej godności.

— Wszystko można, byle z dyskrecją, mamó — ciągnęła Ewelina. — O to chodzi — dyskrecja!

— Za dużo tu wokół jest dyskrecji — Oliwia błysnęła gniewnie oczyma. — A dyskrecja łatwo się przeradza w hipokryzję. Adam cierpi dlatego, że wołał swoje zasady od dyskrecji!

— W czym, jak mi się zdaje — wtrącił Filip — nie idzie śladami swojej matki. Chyba że kochanek teraz urasta do rozmiarów zasad!?

— Filipie... jak śmiesz? — wybuchnęła Oliwia. W tej chwili pożałowała, że fizycznie tylko ten jeden mężczyzna jej odpowiadał. Choć powiadają, że gdy kobieta dojdzie jej wieku...

— Właściwie... jak ty śmiesz?

Rude włosy i gorący temperament Oliwii naraziły ją na błędne taktycznie posunięcie.

— Ty nie tylko opuściłeś moje łóżko, ale także wykluczyłeś mnie ze swojego życia, wyznaczysz mi jedynie rolę żony-marionetki, którą można wyciągać na przyjęcia i towarzyskie obowiązki!

— Nie opuściłem twego łóżka po to, by pójść do innej kobiety. Może będziemy kontynuować tę konwersację sami.

— Nigdy nie będziemy kontynuować tej konwersacji ani żadnej innej! — odpowiedziała z nowym wybuchem pasji Oliwia. — Od tej chwili przestaję próbować. Idź swoją drogą. Nie będę jej kwestionować ani się nią interesować. Ani też jej dzielić. I mam nadzieję dla twojego dobra, że pan Lane okaże się równie wyrozumiały, jak ja. Oby mu lekkie jego rogi były!

— A ja ciebie ostrzegam, że mnie żadne rogi nie będą lekkie. I jeśli jeszcze raz zobaczą tego człowieka w tym domu, wyrzucę go własnoręcznie!

Oliwia opuściła bawialnię, na przelotną chwilę odczuwając satysfakcję, że Filip potrafił się zbuntować przeciwko czemukolwiek. Miał jeszcze jakąś iskrę w sobie.

— Biedny tatusiu... — zaczęła Ewelina.

— Czy zostajesz na noc? — przerwał jej Filip.

— Miałam zamiar zostać do poniedziałku, żebyśmy mogli wszyscy razem pojechać do Londynu. Ale w tej sytuacji chyba nie zostanę.

— Pamela Lane jedzie do Londynu już jutro.

— Eryk Brome kupi nam bilety do teatrów. Musimy kogoś zaprosić zamiast mamy. Guy Forster nie może zostać bez partnerki.

— Ten starzejący się dandys! — burknął z niesmakiem Filip. — Powiedz iii, Ewelino, czy twoja matka byłaby szczęśliwa, gdyby wyszła za mąż za liego?

— Romans to jedna rzecz, tatusiu, a małżeństwo druga — odpowiedziała mu córka, stara doświadczeniem, jeśli nie latami.

— Przynajmniej nie spotka się z Forsterem — rozmyślał na głos Filip, jakby córki nie było wcale w pokoju.

Ewelina pocałowała go i wyszła.

— Ale za to zostanie tu z Bowersem! — dokończył już sam.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

POWRÓT

Rozdział trzynasty

Wielebny Archibald Black był już trochę przygluchy. Nie dosłyszał mocnego stukania do frontowych drzwi probostwa, z których dawno spęzła farba. Nie dosłyszał kroków pani Hodderowej wzdłuż korytarza, z którego ścian odpadały płaty papieru wiśniowego koloru, odsłaniając brudnożółtą barwę poprzedniej tapety. Pani Hodderowa była zawsze schludna, jeszcze przystojna, o ciemnych włosach, nie tkniętych siwizną, i macierzyńskim spojrzeniu szarych oczu. Stary pastor nigdy nie mógł pojąć, dlaczego właściwie pani Hodderowa nie odeszła. Skromne zasługi, jakie jej wypłacał, nie starczały chyba nawet na jej zawsze świeże fartuchy i czepeczki. Nie wiedział, że pani Hodderowa co miesiąc szła na pocztę, by odebrać dodatkową gażę, przesyłaną jej regularnie przez Oliwię, córkę Sir Aleksandra Patersona, cioteczno go brata pastora. Wielebny Archibald Black wiedział tylko — i codziennie myślał o tym z wdzięcznością — że pani Hodderowa służyła mu wiernie, dbała o niego i stale próbowała chronić go przed własną determinacją odpokutowania za to, co nazywał „swymi grzesznymi latami w Binwood”. Stary pastor nie usłyszał też przyciszonej rozmowy w przedpokoju, w rezultacie której gość namówił panią Hodderowa, aby go wpuściła bez zaanonsowania.

Adam cicho otworzył drzwi; równie cicho zamknął je za sobą; oparł się o nie i tak stał. Przed kominkiem, na którym parę anemicznych płomyków przebijają się z trudem przez węglowy miał, siedział stary pastor. Zgarbiony był już bardzo i trzymał blisko przed oczyma, uzbrojonymi w okulary, dużą książkę, wspartą jednym rogiem o poręcz fotela. Sztywnym i cienkim jak patyk palcem przesuwiał po wyrazach tuż przed końcem swego wydatnego, rzymskiego nosa. Migotliwe światło gazowe zmęczyłoby oczy młodsze od jego.

Piękny mahoń foteli i kanapy w gabinecie oparł się zniszczeniu, choć porysowany i zmatowiały. Ale obicia na siedzeniach i oparciach podarły się: po amatorsku, niezdarnie połatanie znowu się podarły, aż wreszcie pozostały tak z otwartymi rozdarciami, z których wylaziło włosie; dawniej czerwona, dziś spłowiała skóra obicia opadała jak policzki starej kobiety. Dywan.

niegdyś bardzo piękny, wytarty był do nitki, a pod nogami biurka nawet poszarpany w dziury. Tylko parę istotnie dobrych obrazów nie odczuło zgubnego działania czasu.

Stary, wypłowiały, wytarty jak jego dywan i pokój, wielebny Archibald Black wychudł nieprawdopodobnie, a jego niegdyś wypukłe żyły, teraz ledwie widoczne, znaczyły siady jakby rzek i ich dopływów na mapie jego żółkłej skóry. Miał wszelkie prawo wyglądać staro. Za tych czasów, kiedy był pastorem w Binwood, jego kuzyn i patron, Sir Aleksander, wysługiwał się nim i rządził po tyrańsku. Już wówczas pastor wyglądał staro, chociaż miał dopiero czterdziestkę, a od tej pory minęło trzydzieści lat. Trzydzieści lat, poświęconych pełnej wyrzeczeń służbie. Przewrócił kartkę grubej książki, ale wzroku nie podniósł. Adam rad, że się schronił przed złośliwą listopadową mgłą, żółtą i gęstą, która ścisnęła mu gardło lodowatymi palcami, wspierał się o framugę drzwi za sobą i stał spokojnie, rozmyślając.

Wielebny Archibald Black, kuzyn jego dziada, musi być już bardzo starym człowiekiem. Może zawdzięcza swą długowieczność wstrzeźliwemu życiu, jakie pędził od czasu opuszczenia Binwood, nie przyjmując pomocy od Oliwii, zawsze odmawiając sobie wszystkiego na rzecz parafian — obdarzających swego pasterza wielkim szacunkiem i przywiązaniem, ale nie srebrem na tacy, gdyż jego parafia leżała w jednej z najbiedniejszych dzielnic londyńskiego East Endu. Może Bóg nareszcie popożłował tym ciężko doświadczonym ludziom i powstrzymując rękę nie zabierał im tego jedyne go opiekuna, który troszczył się o nich, pomagał im i toczył za nich walki z urzędnikami domów dla ubogich i innymi, rzekomymi filantropami, szpiegującymi tę biedotę, roztrząsającymi ich osobiste niedole, wywlekającymi na światło dzienne ich wstyd i hańbę, decydującymi za nich: jedyne go opiekuna, który się dla nich poświęcił całkowicie i bez reszty i sam wciąż, nie dojadł, bo co dzień prawie spotykał jakiegoś nieszczęśnika w jeszcze większej biedzie niż on sam. Pani Hoddero-wa nieraz opowiadała, że gdy Oliwii udało się za jej pośrednictwem przysłać jakiś pożywny przysmak albo odrobinę pieniędzy dla starego pastora, on zaraz znajdował kogoś, komu, jak mówił, bardziej to było potrzebne niż jemu.

Adam pokiwał głową i podchodząc do pastora, rzekł głośno:

— Dobry wieczór, wuju Archibaldzie!

Stary człowiek podniósł głowę i otoczył ucho dłonią. Przez chwilę spoglądał krótkowzrocznymi oczyma na Adama. I nagle zsunał książkę na podłogę, wspierając się rękoma o poręczę fotela podniósł się i zawołał żywo:

— Mój drogi chłopcze! Mój drogi chłopcze! Oto szczęśliwy dzień dla twego starego wuja. Chodźże, chodź tu bliżej! Jakież rad jestem, że ciebie widzę!

Adam łagodnym ruchem pomógł mu usiąść z powrotem.

— Nie wstawaj, wuju. Czy mogę tu usiąść? — Usadowił się na podmuro-

waniu kominka po tej stronie pastora, z której, jak pamiętał, staruszek lepiej słyszał.

— Twoja matka nie dała mi znać...

— Ona nie wie, wuju.

— Co? Nie wie, że wróciłeś z Indii? Mój chłopcze, to jest okrutne. Ona żyje tylko oczekiwaniem dnia, kiedy cię znowu zobaczy.

— Pewno by tego pożałowała, wuju. Już dosyć przyczyniłem kłopotów rodzinie. Chciałem tylko ciebie odwiedzić, wuju, i liczę na twoją dyskrecję.

Pastor spojrział uważnie na młodego człowieka. Starzec znał ludzi, było to jego zawodem. Jeśli Adam przyszedł go odwiedzić, to bez wątplenia chciał również nawiązać kontakt z rodzicami, tylko nie mógł znaleźć jakiegoś nie-krepującego sposobu. Może nie należało zbyt poważnie brać jego prośby o dyskrecję.

Adam ufał, że stary pastor potraktuje go spokojnie i rzeczowo. Nie omylił się.

— Byłeś w wielu miejscach, wiele widziałeś, mój chłopcze, od czasu, kiedy spotkaliśmy się ostatni raz.

— Tak, wuju, byłem w wielu miejscach, włącznie z więzieniem. — Adam chciał od razu rzucić ciężar tego wyznania z piersi.

Wielebny Archibald Black siedział spokojnie, z nie zmienionym wyrazem życzliwego zainteresowania na wyschłej twarzy. Wiedział dobrze, gdy Adam wyjeżdżał do Indii jako żołnierz, że ten sposób poznawania świata nie należy do najłatwiejszych. W jego parafii wyraz więzienie był na porządku dziennym. Stary pastor wcale nie uważał, że każdy więzień musi być koniecznie przestępcą. Byli oczywiście wśród nich tacy, którzy kradli, popełniali nadużycia, rabunki i gwałty — niejako z zawodu. Ale większość więźniów to były ofiary nędzy, głodu, ucisku lub namiętności. Pastor umiał rozróżnić ofiarę okoliczności od prawdziwego przestępcy niemal od pierwszego wejrzenia. Nie potrzebował wysłuchiwać ich opowieści. Zresztą, zwykle znał je i tak. Pomimo podeszłego wieku, codziennie obchodził część swojej rozległej parafii, przysiadając na odpoczynek w tej czy innej kuchni. Śledził, jak pojedyncze meble znikają ze znajomego wnętrza; jak później może powrócą na jakiś czas, ale wszędzie częściej panowała nędza niż stosunkowy nawet dostatek. Gdy ojciec rodziny tracił posadę, zwykle na dobytek zabierał się do picia, by zapomnieć o gromadzących się troskach...

— Powinieneś być wcześniej przyjść do mnie — rzekł stary pastor. — Może byłbym mógł ci pomóc...

— Nie chciałem przychodzić — odparł Adam — dopóki potrzebowałem pomocy.

— Nie wyglądasz na to, żeby ci się świetnie powodziło — zauważył pastor. — Pewien jesteś, że nie potrzebujesz pomocy?

— Przeważnie mam pracę, a to wszystko, czego człowiek pracy może ocze kiwać.

Pastor patrzył uważnie. Młody mężczyzna ubrany był w grube, robotnicze, ale czyste ubranie. Kurtka i spodnie były z innego materiału. Nosił szalik zamiast kołnierzyka i krawata. Buty miał ciężkie, za duże na niego, jakby je kupił już używane. Szpeciła go opadająca powieka. A jednak była w jego postaci jakaś szlachetność. Wyróżniłbyś go w tłumie. Jemu mógłbyś powierzyć z całym zaufaniem sekret — nawet więcej niż sekret.

— Jaką pracę?

— W porcie. Miałem już trochę doświadczenia w tej pracy — hm, po opuszczeniu szkoły. Chciałem dostać się do redakcji jakiejś gazety londyńskiej. Ale zadawali za wiele pytań, a ze mnie kiepski łgarz. Nie przypadł im do gustu jegomość sromotnie wyrzucony z wojska.

— Może na prowincji?

— Londyn jest ośrodkiem wielu spraw. Interesują mnie problemy ludzi pracy — i walka o poprawę naszych warunków bytu, kampania o prawo głosu. Wołę właściwie być dokerem niż reporterem. Teraz jestem naprawdę jednym z nich.

— A oni... przyjmują ciebie, jakbyś do nich należał?

— Z moją przeszłością — oczywiście. Mój przyjaciel z wojska, Bert Carpenter, dał mi adres swoich rodziców, niedaleko stąd. Napisał im o mnie wszystko...

— Czy Frank Carpenter? Sklepik tytoniowy? Nie przychodzą do kościoła, ale znam ich sklepik.

— Tak, to ci. Dobrzy byli dla mnie. Pomogli mi dostać pracę. Zaproponowali, żebym mieszkał u nich. Nie przyjąłem. Mieszkam w facjatce na strychu, ale czuję się niezależny. Wuju, opowiedz mi o sobie. Zastanawiałem się, czemu nie wycofasz się z czynnej pracy i nie zamieszkaż w przyjemniejszej dzielnicy Londynu. Chociaż wiem, że dzień twojego odejścia byłby strasznym dniem dla twojej parafii.

— Dla mnie nie ma przyjemniejszej dzielnicy od tej, mój chłopcze. Twoja matka proponowała mi finansową pomoc. Ale cóż bym ja robił? Jestem pastorem i muszę mieć parafię. Aż do chwili, gdy Bogu spodoba się zabrać mnie z tego świata. I tak już On bardzo był dobry, że tyle mi czasu zostawił. A te „przyjemniejsze dzielnice Londynu” — to są siedliska hipokryzji, mój chłopcze. Ludzie, którzy je zamieszkują, często mówią o Bogu, ale bardzo rzadko myślą o stworzonym przez Boga — człowieku.

— Wierzę — odparł z przekonaniem Adam. — Moi szefowie tam mieszkają, jak sądzę. I nie widzę oznak, ażeby o nas myśleli. Pewno im wygodniej nie myśleć.

— Czy to gorycz przez ciebie przemawia? — zapytał stary pastor. — Porusz trochę ogień pogrzebaczem, mój chłopcze. Marny węgiel. — Nie wyjaśnił, że jedyny dobry węgiel ze swojej piwnicy oddał pewnej biednej rodzinie, zostawiając dla siebie tylko miał. Na szczęście pani Hodderowa zatrzymała w tajemnicy mały skarbczyk węgla, bo znała już obyczaje pastora.

— A ty, wuju, nie odczuwasz goryczy? Sam powiedziałeś, że oni za nic mają stworzonego przez Boga człowieka!

— Owszem, powiedziałem to, ale staram się nie dopuszczać goryczy do serca i nie myśleć źle o nikim.

— Czy nie sądzisz, wuju, że nędza, rozpaczliwa, bezsilna nędza, ubogie nory za mieszkania, brud i choroby jako otoczenie, nigdy ani tyka świeżego powietrza w płucach, połowa dzieci urodzonych w slumsach przeznaczonych na śmierć w ciągu paru miesięcy — czy sądzisz, że Bóg tego chciał? — Nie było wątpliwości co do goryczy w głosie Adama.

— Niezbadana jest wola Boga, mój chłopcze.

— A jeśli to wszystko dzieje się z woli Boga, to według mnie jest aż nadto łatwe do zbadania!

— Jesteś bardzo pewny swoich przekonań teraz, Adasiu. To pewno rezultat twoich życiowych doświadczeń. Chciałbym mieć tyle pewności, co ty. Ja tylko wiem, że byłem grzesznikiem i że nadal jestem nędznym grzesznikiem. Gdybym nim nie był, nie siedziałbym teraz tutaj z tobą, Adasiu, w warunkach bardzo komfortowych w pojęciu większości moich parafian, chociaż, oczywiście, nie w pojęciu twojej matki.

— Nie będę spędzał bezsensownych nocy, martwiąc się o twoje grzechy, wuju — odrzekł Adam z uśmiechem i ciągnął dalej, poważniejąc. — Pewno i ja mam pełno grzechów na sumieniu. Ale ja nie jestem świętym jak ty, wuju. Myślę o nikczemności ludzkiej — tego rodzaju nikczemności, która mówi: „Ponieważ mam pieniądze i ziemię, i domy, i fabryki — a ty nie masz nic, więc mam prawo pozbawić cię godności człowieka”. Mogę znieść widok biedy, wuju. Ale nie mogę znieść, gdy ludzie zmuszeni są do tego, by czołgać się i ponizać, i żebrać. Zaczęło się to jeszcze w Indiach...

Kiedy Adam mówił, stary pastor dźwignął się z fotela i sięgnął po fajkę z długim cybuchem, która leżała na kominku. Trochę trzęsącymi się palcami nabił ją tytoniem z glinianego słoiczka i podniósł do ust. Powstrzymał się niespodziewanie: spojrzął na fajkę, stał chwilę: zgarbiona, chuda postać, która jednak miała w sobie niezwykle zasoby siły. Szarpnął nerwowo palcami za nogawkę spodni. Ku zdumieniu Adama, odłożył napełnioną fajkę z powrotem na kominek i usiadł z opanowaną stanowczością ruchów. W tym momencie Adam zrozumiał, jak ten starzec siłą woli mógł zmusić biedny, wychudzony szkielet swojego ciała do nieustannej pracy. Jego łagodność i miłosierdzie wnosiły nadzieję i pociechę do tyłu biednych domów.

- Myślisz, wuju, że ta fajka przyda się komuś innemu? — zapytał Adam.

- Właściwie mnie tytoń szkodzi.

- A choćby i nie szkodził... — zaczął Adam.

— Miałeś mówić o Indiach — przerwał mu stary pastor, zapadając w głąb fotela. — Chciałbym dowiedzieć się o twoim pobycie w Indiach i za co poszedłeś do więzienia.

— Dobrze. Ale jeszcze przedtem chcę coś powiedzieć. Nie dopuszczaj goryczy do serca, wuju powiada. Tak, jestem pełen goryczy, bo są ludzie, mniejszość, którzy zmuszają nas, większość właśnie do czołgania się, ponizania i żebrania. Nie chcą nawet, byśmy mogli mieć udział w wybieraniu posłów do parlamentu. Nic chcą nam dać nawet ułamka władzy. Chcą nas mieć zawsze w pozycji czołgającej się i żebrzącej. Gdyby nam dali prawo głosowania, bylibyśmy w jednym punkcie zrównani z nimi. I na Boga! Mogłoby się zdarzyć, że poczulibyśmy się w ogóle równi. I zaczęlibyśmy może zachowywać się jak równi. To musi być dla nich straszna perspektywa.

— Nie musisz być między tymi, którzy nic mają prawa do głosowania, mój chłopcze.

— A ty, wuju, nie musisz być z tymi, którzy mieszkają w najędźniejszych norach najędźniejszej dzielnicy Londynu, i nie musisz głodować, i odmawiać sobie wszystkiego, by utrzymać przy życiu tego czy innego zasmarkanego oberwańca.

Wielebny Archibald Black pokiwał głową.

— Pamiętam, jak twój ojciec zwykł mówić... rozprawiać... — zaczął... — Śmieszne czy nie? — przerwał sam sobie. — Nie widziałem ciebie... ileż to lat? W każdym razie od bardzo dawna... i tu siedzimy rozmawiając, jakbyśmy mieli ten zwyczaj w każdą niedzielę po południu. Pilnuj godziny, mój chłopcze, ja mam nabożeństwo o szóstej.

— Możemy tak rozmawiać zawdzięczając tobie, wuju. Traktujesz każdego według jego zasług, które umiesz rozpoznać i ocenić. Szanujesz godność człowieka. Dlatego ludzie ciebie kochają. Dobroczynność niewiele ma wspólnego z godnością, ale ty potrafiłeś dawać jałmużnę respektując ludzką godność. Czują to i mówią o tym twoi parafianie. Mówią, że gdy dajesz, umiesz ich przekonać, że cnota i zasługa leżą po ich stronie...

— Mają dobre, zacne serca. Dlatego tak mówią. — Odrzekł stary pastor. — Ale opowiedz, mi o tych Indiach i o więzieniu, i...

Z całą prostotą Adam zaczął mówić. Opowiadał już swoje dzieje poprzednio. Znajomość jego historii, opowiedzianej w prosty i szczerzy sposób, zyskała mu dostęp do koleżeństwa wśród dokerów. W porcie inaczej było niż w wojsku. Dokerzy chcieli wiedzieć dokładnie wszystko o każdym, kto przyłączał się do ich grona. Bywało, że wkręcali się między nich szpiedzy, którzy donosili o ich wysiłkach zorganizowania swoich szeregów. Opowieść

Adama sprawiła, że go przyjęli jako należącego do nich. Opowieść i jego spokojna pewność siebie. Nie była to zarozumiałość. Ani też sztuczna poza. przybrana po to, by imponować. Czuło się, że jest prawdziwa. Adam sam to czuł. Bywają ludzie, którzy zyskują zaufanie we własne siły, gdy zdobędą majątek, osiągną cel swoich ambicji albo powodzenie u kobiet. Z Adamem było inaczej. Jego wiara we własne siły miała swe źródło w jednym wydarzeniu na zalanym słońcem placu przed koszarami w Indiach i w tego zdarzenia następstwach. Teraz wiedział, że będzie mógł zawsze wybrać swoją właściwą drogę w każdym konflikcie moralnym. Drogę tę dojrzy i pójdzie nią, choćby była najtrudniejsza i zawsze pozostanie prawdziwym mężczyzną — może nawet więcej wartym niż w chwili, gdy na tę drogę wkraczał. Najgorsza brutalność wojskowego obozu karnego nie zmusiła go, by się czołgał, poniżał i żebrał. Wyszedł z obozu z nienaruszoną godnością człowieka. I wiedział, że teraz nawet „oni” nigdy nie potrafią mu tej godności zrabować. „Rzetelnym bądź sam względem siebie”...

Gdy skończył opowiadać o swoim pobycie w więzieniu wojskowym, dodał jeszcze:

— Myślałem o tym, żeby zostać w Indiach, postarać się może o zajęcie nauczyciela gdzieś na prowincji. Ale nie miałem po temu sposobności. Zaokrętowano mnie jeszcze jako żołnierza i więźnia i wysadzono w kraju. To zresztą może i lepiej. Nie tylko w Indiach niektórzy z naszych rodaków próbują zmusić innych ludzi do czołgania się, poniżania i żebrania. A ja bym był pewno bardzo kiepskim nauczycielem. Dokerem nie jestem najgorszym. Nabrałem więcej sił od tego czasu, kiedy po raz pierwszy w Liverpoolu próbowałem tego zawodu, a ponieważ i lat mam więcej, to i chytrości nabrałem. Wiem, jak sił oszczędzać.

Szczerzy, ujmujący uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Ale to nie ładunki cię w tej pracy interesują, co? — zapytał stary pastor.

— Nie ładunki, wuju — ludzie.

— Twoi rodzice powinni być dumni z ciebie. Ale trochę wątpię, czy twój ojciec...

Adam roześmiał się gorzko.

— Ojciec by raczej przeszedł na drugą stronę ulicy, niżby miał się spotkać ze mną. A z matką też miałbym kłopot, bo chciałyby mi zaraz pomagać. Nie ma dla nich miejsca w moim życiu — przynajmniej na razie. Bardzo mi przykro, ale... — i rozłożył ręce.

— Dziwne — zastanawiał się pastor. — Twoja siostra powróciła do tej sfery, w której urodziła się twoja matka. A ty powróciłeś do takich warunków życia, w jakich urodził się twój ojciec.

U drzwi frontowych zadzwieczał energicznie szarpnięty dzwonek.

— Goście do wuja. Ja już muszę się pożegnać. — Adam wstał spieszenie,

a pastor dopiero teraz zauważył, jak silnie i muskularnie młodzieniec wyglądał.

— A która to godzina?

— Piąta dochodzi.

— Szkoda. Moglibyśmy sobie jeszcze pogawędzić. Ale przyjdiesz znowu mnie odwiedzić, mój chłopcze?

— Następnej niedzieli, jeżeli nie przeszkodzę. Pani

Hodderowa otworzyła drzwi.

— Panna Agnieszka przyszła.

— Ach, panna Agnieszka, panna Agnieszka! Niechżeż tu wejdzie, niech wejdzie! Zaczekaj, mój drogi Adasiu. To jest moja mała Florencja Nightingale.

Do pokoju weszła młoda dziewczyna, a za nią mały wśliznął się kundel. Dziewczyna wyciągnęła obie ręce do pastora, podnosząc ku niemu żywym ruchem głowę, z której zrzuciła na ramiona kaptur pelerynki.

— Moja droga Agnieszko, tak się cieszę, że przyszłaś — mówił pastor, i zdawało się, że mu ubywa lat na jej widok. Stał wyprostowany, ściskając jej ręce i zapomniał nawet o wieloletnim nawyku nerwowego szarpnięcia ręką nogawki spodni. — Zawsze jestem rad, gdy ciebie widzę, wiesz o tym, moja droga! Ale spójrz, jakiego mam dziś gościa: to wnuk mego kuzyna, Adam Hunter.

Orzechowe oczy Agnieszki Naylor objęły Adama szybkim spojrzeniem, jeszcze zanim podała czoło do pocałunku staremu pastorowi, który następnie ujął jej rękę i włożył w dłoń Adama, jakby przy ceremonii zaślubin. Adam pomyślał, że łatwo zrozumieć serdeczną radość pastora na widok tej zwiewnej postaci. Nie była za niska, a jej kształty, pod obcisłym staniczkiem sukni z krynoliną — nie nowej, ale starannie wykrochmalonej i wyprasowanej — rysowały się pełną linią. Robiła wrażenie „zwiewnej postaci” z powodu żywości, lekkości, delikatności.

— To imię mojej babki: Agnieszka! — rzekł niespodziewanie dla samego siebie Adam.

— Żony pana kuzyna? — pytała Agnieszka starego pastora, który pomagał jej zdjąć pelerynkę z kapturkiem.

— Nie. — Adam odpowiedział za wuja. — Matki mego ojca. Jestem spokrewniony z wielbnym pastorem przez moją matkę.

— Bojowe imię! — rzekł pastor. — Agnieszka Hunter była bojowniczką, jakich mało się spotyka. A ten mały tłumoczek energii... Pomyślałbyś, że wygląda delikatnie...

— A o co walczyła moja imienniczka? — przerwała Agnieszka.

— Moi drodzy, siadajcie. Jeszcze czas na małą pogawędkę — zapraszał stary pastor. A gdy pani Hodderowa wchodziła z tacą, na której ustawiła herbatę i grzanki, pastor z kolei odpowiedział na pytanie, zadane Adamowi.

— Przede wszystkim, moja droga, Agnieszka Hunter walczyła o chleb. O chleb, o lepsze warunki bytu dla swojej rodziny, dla ludzi jej pokroju, aż... — Przerwał, wyschła twarz mu się zmieniła wzruszeniem. — Aż ci, przeciw którym walczyła, zabili ją. — Załamał ręce na wspomnienie tej strasznej chwili, kiedy to on sam, Archibald Black, stał tylko z boku, czyli, jak sam to teraz określał, siedział na dwóch stołkach, nie opowiadając się po żadnej stronie: ani właścicieli ziemskich i żołnierzy, ani wieśniaków.

— Och! — wykrzyknęła Agnieszka, chwytając oddech. — Kiedy to było?

— „Rewolta głodnych żołądków” — odrzekł Adam. — Czy ta nazwa mówi coś pani?

— Mówi... i ta śmierć... wiele. Umrzeć w walce o sprawę piękną i umiowaną — to musi być szczęśliwa śmierć. Żał mi tylko żołnierzy, ginących w walce z ludźmi, których nie nienawidzę, za sprawy, które ich nie obchodzą — i które są najczęściej niewarte, by walczyć o nie.

Adam spjrzał na nią pytająco. Czy może wiedziała, że był żołnierzem? I że żołnierze właśnie zabili jego babkę?

Pastor wziął grzanek z półmiska, podanego mu przez Agnieszkę.

— Co? Masło? Tyle razy mówiłem pani Hodderowej...

— Ale widzi ojciec, ja nie lubię grzanek bez masła, więc przyniosłam odrobinę i powiedziałam, żeby posmarowała grzanki... — powiedziała z uśmiechem Agnieszka, podnosząc ku starymu pastorowi twarz ruchem, który wydał się Adamowi czarujący w swym nieco łobuzerskim wyzwaniu. W migotliwym świetle gazowym zauważył już, że jej uśmiech, tak wesoły pozornie, krył w sobie gorzką znajomość życia.

Pastor potrząsnął głową.

— Rozrzutność, zbytki... — mówił, ale jadł z widoczną przyjemnością.

Nalewając herbatę, Agnieszka ukradkiem obserwowała profil Adama, zapatrzonego w skąpy ogień na kominku. Zsunął kawałek grzanki z talerzyka i dał psu, siedzącemu przy jego nodze. Jasnopłowe włosy i błękitne oczy zapowiadały męską urodę, ale przeczyły jej opadająca powieka i szeroki nos. Ta opadająca dziwnie powieka sugerowała jakąś przygodę, jakieś niezwykle dzieje. Pastor Black pochodził z zamożnej ziemiańskiej rodziny. A ten jego wnuk stryjeczny czy cioteczny wyglądał na biednego jak mysz kościelna. Ciekawe, dlaczego? A jednak nie wydawał się wcale człowiekiem, którego by należało żałować. Była w nim szlachetność i jakby hardość, i robił wrażenie, że zdawał sobie sprawę z motywów własnego postępowania, a często i postępowania drugich. Interesujący człowiek. Agnieszka nie była obojętna w stosunku do mężczyzn. Ale jak na razie nie natrafiła na nikogo, kto by w niej obudził to jedyne, prawdziwe zainteresowanie. Przykłęka teraz przed kominkiem, wygrzebała z mialu parę kawałków węgla i zręcznymi ruchami pogrzebacza zdołała wzniecić żywszy ogień.

— Widzisz? — zwrócił się pastor do Adama. — Ona potrafi pobudzić do życia nawet umierający płomień.

Z tymi złocistymi włosami, gładko zaczesanymi, leciutko zadartym noskiem, żywym, inteligentnym spojrzeniem, długimi, wrażliwymi palcami — wydało się Adamowi, że potrafiłaby wrócić życie martwemu mężczyźnie, nie tylko umierającym płomieniom.

— Wydaje mi się, że walka nie jest obca również, i panu — powiedziała do niego Agnieszka.

Pastor oszczędził mu odpowiedzi wtrącając:

— Agnieszka jest bojowniczką i zawsze szuka pokrewnych duchów.

— By przeciw nim walczyć? — zapytał Adam ze swym szczerym, ujmującym uśmiechem.

— By walczyć wspólnie — odparła. — Nieprzyjaciół szukać nie trzeba, sami się znajdują.

— Skąd tu się wziął ten pies? — zainteresował się pastor, dostrzegłszy nareszcie kundla, nie grzeszącego pięknnością, białobrunatnego, ale o spojrzeniu inteligentnym i wiernym.

— To moja suczka — wyznał Adam. — Zostawiłem ją w przedpokoju. Weszła razem z panną Naylor.

— Ja bardzo przepraszam, ale chciałabym omówić parę spraw z wielbnym ojcem — powiedziała Agnieszka.

— Może ja już lepiej pójdę... — zaczął Adam wstając.

— Ależ proszę zostać. Nie jest żadną tajemnicą nędza tej dzielnicy. — I zaczęła opowiadać pastorowi o jakiejś chorej biedaczce, którą pielęgnowała. Adam zrozumiał wówczas wzmiankę starego pastora o Florencji Nightingale — młodej kobiecie szlacheckiego urodzenia, która wraz z grupą pielęgniarek pojechała na Krym, gdzie podówczas toczyła się wojna angielsko--rosyjska i zrewolucjonizowała opiekę nad chorymi i rannymi żołnierzami angielskimi. Ale Agnieszka nie przypominała pielęgniarki — zawodowej pielęgniarki. Oprócz filantropijnych dam, pielęgniarki wyglądały zwykle dość poczwarnie, jak niemodne stare panny. Agnieszka — panna Naylor, poprawił się w myśli — bynajmniej nie wyglądała na poczwarę.

— Przepraszam, że się wtrącam, ale już jest za kwadrans szósta, wuju — rzekł po dłuższym rozkoszowaniu się obserwacją dziewczyny i bezowocnym zgadywaniu jej pochodzenia, obecnego życia i przyszłości. Zauważył bardzo prędko, że nie nosiła na palcach żadnego pierścionka ani obrączki.

— Tak, tak. Muszę iść. Agnieszko, moja droga, dajesz sobie doskonale radę, jak zawsze. Prawdziwa z niej święta, wiesz, Adasiu! — Pastor mówił z ożywieniem.

— Święta? I to z ust pastora, który zna całą moją przeszłość! — Przy tych słowach Agnieszka zerknęła z ukosa na Adama, by przekonać się, jakie

wrażenie wywrą jej słowa. Ale nie dostrzegła szczególnej reakcji, chociaż bez wątpienia był zaciekawiony.

— Właśnie triumf nad przeszłością czyni z ludzi świętych — rzekł stary pastor wstając.

— Ty, wuju, zatriumfowałaś w pełni nad przeszłością, która ciebie niegdyś dręczyła — wtrącił Adam.

— A gdybyście widzieli mnie z moimi chorymi, przekonalibyście się, jak mało mam świętości — rzekła Agnieszka. — Ale to jedyny sposób. Muszę niekiedy być twarda. Inaczej by mnie wykorzystywali: a tu nie chodzi o mnie, ale o to, że przeskadzaliby mi w zajmowaniu się innymi, którym jestem również potrzebna.

— Czy pójdziecie ze mną do kościoła? — zapytał pastor.

— Ja pójde — rzekła prędko Agnieszka i spojrzała na Adama.

Chodzenie do kościoła nie leżało w programie zajęć Adama od czasów, gdy skończyły się jego szkolne dni i przymusowe nabożeństwa. Ale bez chwili namysłu odrzekł:

— Ja też. Może panna Naylor mi pozwoli...

— Chodźmy już, bo wielbny ojciec się spóźni — zawołała żywo dziewczyna.

Mgła rzędła już, gdy szli ze zniszczonego budynku probostwa do kościoła po drugiej stronie ulicy — ponurego, ale solidnie wyglądającego budynku z cegły. Adam przykazał kundlowi czekać w przedsionku. Usiadłszy w jednej z bliższych ławek obok Agnieszki — panny Naylor — Adam pomyślał, że młodzieńczość, która wróciła siły staremu pastorowi na widok jego uroczej Florencji Nightingale, opuściła go znowu. Poruszał się powoli i wspierał na pulpicie nie dla pozy, ale ponieważ naprawdę oparcia potrzebował.

Ściany kościoła pozbawione były jakichkolwiek ozdób. Krucyfiks nad ołtarzem, wyżej obrazy, przedstawiające Matkę Boską ze Św. Józefem i apostołów Piotra i Jana. Nic więcej. W ławkach siedzieli mężczyźni i kobiety, odziani bardzo ubogo, nieledwie w łachmanach. Adam pomyślał, że niewiadomo, ilu z nich czci mistycznego Boga, a ilu tę starczą postać, stojącą już nad grobem, która dawała im nie tyle hojne wsparcia, ile ciepło współczującego serca. Ręce czyniły odpowiednie gesty w stronę tacy, gdy nadeszła chwila zbiórki, ale Adam obliczył, że te wszystkie miedziaki nie dały w sumie nawet jednego funta szterlinga. Agnieszka słuchała nabożeństwa z takim samym roztargnieniem, jak i jej sąsiad. I ona przyszła po to, by zrobić przyjemność szanowanemu człowiekowi, razem z którym pracowała nie tyle w winnicy Bożej, ile w piekle ubogich.

Młodzi czekali po skończonym nabożeństwie na pastora w otwartych drzwiach kościoła. Przyszedł powoli, wspierając się często na lasce, oddychając w zimnym, wieczornym powietrzu chrapliwie jak astmatyk.

— Do domu Agnieszki nie jest daleko. Odprowadzisz ją, mój chłopcze?

— Jeśli mi tylko pozwoli.

Przyrzekłszy odwiedzić niebawem pastora, młodzi się pożegnali. Starzec stał i patrzył za nimi z serdecznym uśmiechem na pomarszczonej twarzy, kiwając głową, może ze zmęczenia, a może z zadowolenia. Kundel biegł wesoło przed młodą parą, poszczekując i przystając przy wygodnych narożnikach domów.

Adam sam nie wiedział, jak to się stało, że opowiedział swoje przygody w Indiach po raz drugi tego dnia. A gdy skończył, z radością poczuł szczupłą rękę, wsuniętą pod jego ramię, która to ręka wcale nie protestowała, jeśli ją czasem goręcej przyciskał.

— A czy teraz jest pan zadowolony? — zapytała Agnieszka. — Niektórzy ludzie powiedzieliby, że niewiele pan zyskał w zamian za to, co stracił.

— W pewnym sensie tak — odparł w zamyśleniu. — Żyję teraz tak, jak chciałem, prócz tego, że jestem bardzo samotny. Pragnąłem znaleźć ideę, która by mnie porwała. Nie mogę powiedzieć, żebym znalazł. Ale mam sprawy, które obchodzą mnie bardzo żywo, panno Naylor.

— Tutaj wszystkie sprawy sprowadzają się do jednej, Adasiu — odrzekła mówiąc mu po imieniu spokojnie, bez zalotności ani wyjaśnień. — Do sprawy nędzy.

— Ty niesiesz ulgę nędzy. Ja chciałbym nędzę zakończyć, wykreślić ją z życia raz na zawsze... Agnieszko — powiedział, idąc za jej przykładem, ale wymawiając jej imię z nieśmiałym wahaniem.

— Ja też bym chciała, żeby nędzy w ogóle nie było. Ale to jest długa droga. Trzeba nieść ulgę i teraz.

— Jeśli mowa o długiej drodze, to słyszałem, że ty mieszkasz bardzo blisko kościoła.

— I owszem. Mieszkam blisko. Ale to nie powód chyba, żebyśmy się nie mogli przejść, prawda? — Spojrzała na niego z łobuzerskim uśmiechem. — Nie gniewasz się?

— Nie będę się gniewał, jeśli jest jeszcze dość daleko, byś ty mi zdążyła opowiedzieć o sobie. Nie możesz się utrzymywać z bezpłatnego pielęgnowania nędzarzy. Jak sobie radzisz?

— Tak się składa, że jestem grzeszną kobietą — odrzekła bez ogródek. — Żyję z grzechu. Zgorszyłeś się?

Istotnie Adam był nieco zaskoczony. Ale odrzekł wymijająco:

— Wojsko i więzienie odczyły mnie gorszyć się czymkolwiek.

— Ostrożny jesteś — uśmiechnęła się do niego znowu.

Szli więc dalej nędznymi ulicami, kierowani jej ręką, wsuniętą w jego dłoń. Towarzyszyły im szeregi obdrapanych kamienic, często bez szyb w oknach, często podpartych belkami, jakby groziły zawaleniem na głowy niebaczących

przechodniów. Wiele okien pozostawało ciemnych. W innych, pozbawionych firanek, świeciła czasem samotna świeczka, wetknięta w butelkę. Spotkali raz i drugi jakiegoś pijanego nieszczęśnika, który zatoczył się ku nim. Agnieszka nie drgnęła, nie cofnęła się, nie chwyciła swego towarzysza za ramię. Z jakiegoś okna dobiegł ich pijacki, ochryple krzyk kobiety, przerywając ciszę niedzielnego wieczoru. Mgła znikła, ale nadal panowało wilgotne, przejmujące zimno. Raz i drugi minęli wychylający się ku nim z mroku niski budynek — ustępy publiczne. Adam stale musiał uważać, prowadząc Agnieszkę tak, by wymijać sterty śmieci i kałuże pomyj na ulicy.

— Jestem sierotą — opowiadała dziewczyna. — Nie potrzebuję wchodzić w szczegóły dzieciństwa, spędzonego w sierocińcu, prawda? Wyniosłam stamtąd tylko jedno: silne postanowienie odpłacenia się pięknym za nadobne tym bogaczom, którzy każą głodzić sieroty, chłostać je regularnie, każą im pracować tak, że wieczorem padają z umęczenia, a jednocześnie pouczają, że Bóg wyznaczył im to właśnie stanowisko w społeczeństwie i spodziewa się, iż w pokorze będą wypełniać swoje obowiązki i Jego rozkazy. Wreszcie posłano mnie do pracy w charakterze służącej w domu pewnego zamożnego fabrykanta, który panicznie bał się swej żony. Pewnej nocy, gdy miałam jeszcze ledwie piętnaście lat, a starsza pokojowa, z którą dzieliłam pokój, wyjechała — przyszedł do mnie. Nie byłam pierwszą służącą, którą on uwiódł lub zgwałcił. A ja, wychowana w sierocińcu i żyjąca wśród służby domowej, nie byłam naiwna i wiedziałam, czego on ode mnie chce. Bardzo dobrze, powiedziałam sobie, oto jest moja sposobność. Krzyczeć gwałtu? I zostać odprawioną z kwitkiem? To nie ja. Wkrótce wiedziałam, że będę miała dziecko. Nie zataiłam tego przed nim. Nie zataiłam też, że dobrze wiem, jak on się boi żony i jej rodziny. Nie zataiłam, że zamierzam jego żonie o wszystkim powiedzieć. Ofiarował mi jakąś drobną sumkę, żebym odeszła. Roześmiałam mu się w oczy. Powiedział, że ze mnie istna diablica — taka młoda, a już taka wyrachowana. Może i byłam. Ta bezustanna nabożność, wieczna gadanina o Bogu wśród życia iście piekielnego, mogła może ze mnie zrobić diablicę. W każdym bądź razie, postraszywszy go porządnie, wydostałam od niego taką sumę, że zainwestowawszy ją według wskazówek wielbego ojca Archibalda, mam dość na skromne, ale niezależne życie wraz z dzieckiem. Moja Julietka ma teraz siedem lat. Jakiś czas spędziłam w szpitalu ucząc się pielęgnować chorych. Teraz żyjąc, jak ci powiedziałam, z grzechu, mogę poświęcać mój czas opiece nad chorymi parafianami ojca Archibalda. I to cała historia. I jesteśmy przed moim domem. Mam tu pokój z Julietką. Nasza gospodyni opiekuje się czasem małą. Jak widzisz, kościół jest na tej samej ulicy, trochę dalej.

Stali przed szarym, niewielkim domem, wciśniętym między dwie duże kamienice.

- Oprowadziłaś mnie chyba po całym East Endzie.
- Żałujesz?
- Tylko tego, że było tak krótko.
- Jutro jest nowy dzień.
- Jaką porę tego jutrzejszego dnia zarezerwujesz dla mnie?
- Nie wstydzisz się Agnieszki Naylor, niezamężnej matki i szantażystki, jak ci sama wznała?
- Tylko się cieszę, że jesteś ze mną szczerą.
- Doświadczenie mnie nauczyło, że szczerść to najlepsza droga. Ukrywanie jest trudne. I potem się głupio wygląda. Próbowałam ukryć prawdę przed twoim wujem, ale się nie udało. Wtedy mi poradził: „Lepiej stracić od razu kogoś, kto się będzie tobą gorszył, niż później”. Prawdą jest, że do którychkolwiek drzwi w tej dzielnicy zapukałbyś i zawołał: „Uciekajcie! wszystko wykryte!” — każdy uciekłby jak królik. Nawet świątobliwy ojciec Archibald jest przestępcą, bo nieraz dopomaga w ukryciu się komuś, kto jest z prawem w kolizji.
- Wracając do spraw osobistych. Jaką porę?...
- A ty jaką wolisz porę?
- Tę, kiedy nie dźwigam skrzyń i worków albo nie przerzucam węgla.
- Przed kościołem o siódmej godzinie?
- Podała mu obie ręce, zdjawszy wełniane rękawiczki, i spojrzała mu z uśmiechem w oczy. Pochylił twarz ku jej ustom. Położyła mu wzbraniającą rękę na piersi.
- Nie tak prędko. Wysłuchawszy mojej historii, myślisz może, że" mnie łatwo będziesz miał. Otóż coś ci powiem. Nigdy mnie żaden mężczyzna nie pocałował. Ojca Julietki chcę zapomnieć. Następny mężczyzna w moim życiu musi być tym, którego zabiorę ze sobą na wieczność.
- Tak właśnie pragnąłbym, żebyś myślała o mnie — rzekł Adam.
- I Agnieszka wiedziała, że mówił to, co czuł, w tej chwili przynajmniej.
- Uścisnęła jego rękę.
- Do jutra! — I już jej nie było.

Rozdział czternasty

- Hej, wy tam, nie leniuchować! Macie skończyć tę robotę, bo inaczej złamanego szeląga nie dostaniecie! — krzyknął ochrypłym głosem nadzorca.
- A kto tu leniuchuje? — zapytał John Barlow. — Pleców rozprostować nie można, żebyś zaraz swojej niewyparzonej gęby nie rozwierał!
- Nadzorca był mężczyzną o ponurej twarzy, śniadej cerze i wąskich, świńskich oczkach. Dokerzy nie lubili go. Nie było żadnych wątpliwości, po czyjej

on był stronie. John Barlow, muskularny olbrzym o czerwonej, ogorzałej twarzy i czarnej brodzie, wołał dalej:

— Adam, chodź no tu! Podsadź mi ten worek na lewe ramię! Tak! Teraz dawaj drugi worek.

— Zwariowałeś, John? — upomniał go Adam. — Jeden worek starczy dla najmocniejszego.

— Ale nie wystarczy naszemu zakichanemu nadzorcy. Dawaj drugi worek, a szybciej, bo nie będę tu stał godzinę jak koń pociagowy.

Adam podsadził drugi worek na prawe ramię kolegi. John Barlow pomaszerował po schodni.

Wyładowywali cukier — czysty ładunek. Adam przypuszczał, że zabierano go z południowych archipelagów tymi samymi rabunkowymi metodami, co i herbatę z Indii. No, to był czysty ładunek, ale odzież Adama nosiła ślady wielu ładunków bardzo brudzących.

Adam zarzucił sobie worek na plecy i poszedł schodnią za Jimem Birkettem, szczupłym, jasnowłosym młodzieńcem, który robił wrażenie słabeusza, a miał nadzwyczajną siłę w przedramionach i bicepsach. Za nimi — Bill Rogers, niski, o potężnych ramionach i barkach jak górnik. Na nabrzeżu czekał, aż przyjdą, rudowłosy Pat O'Sullivan.

Adam i John Barlow zebrali grupę jakichś dwudziestu dokerów. Pracowali zawsze razem, próbowali stworzyć załazek organizacji, pomagali sobie nawzajem. Dokerzy znani byli z anarchizmu w stosunkach z kolegami i ze wszystkimi w ogóle. Za mało było pracy, za dużo rąk do pracy, więc dzień po dniu rozpychano się i rozbijano, byle tylko dostać zajęcie przy rozładunku lub załadunku jakiegoś statku. Większość, zanim rozpoczęła pracę, była już wyczerpana bójkami, a często i pokaleczona. Grupa Huntera-Barlowa zaoszczędzała sobie tego kłopotu. Dopóki trzymali się razem, nikt nie poważzył się ich zaatakować. Nadzorca nie lubił „bandy”, jak ich nazywał; oni siebie nazywali „paczką”. Nadzorcy nie lubili żadnych prób organizacji. Dopóki dokerzy walczyli między sobą, nie walczyli przeciw pracodawcom. Ale „paczka” znana była z tego, że należeli do niej najlepsi robotnicy, którzy każdą robotę wykonywali w dwukrotnie krótszym czasie od innych.

W magazynie John Barlow zrzucił worek z lewego ramienia. Ale worek z prawego ramienia zsunął się za wcześniej. Padając na ziemię pękł i cukier kaskadą wysypał się na deski drewnianej podłogi.

— No i co ty wyprawiasz, pało zakuta? — zawołał magazynier. — Musisz zapłacić za ten worek, Barlow.

— Zbierz, co można, czystego cukru — rzekł John. — Ja i moi towarzysze zapłacimy za tyle cukru, ile zabraknie.

— A co ty sobie wyobrażasz, że ja to będę zlizywał? Może jestem twoim

sługą na rozkazy? — krzyknął magazynier. — Zapłacisz za cały worek i basta!

— A ty sobie zabierzesz cukier do domu, tak? Powiem ci, co myślę! Myślę, że jesteś zwykły złodziej!

Magazynier był niskim grubasem, dużo mniejszym od Johna. Nie chciał doprowadzić do bójki. A w dodatku nadchodzili z workami Jim Birkett, Adam Hunter, Bill Rogers i inni z „paczki”.

— Idźcie do roboty, wy reszta — rzekł Adam. — Ja pomogę Johnowi zebrać czysty cukier.

— Nic podobnego! — zaprotestował magazynier. — Znasz zarządzenia. Za uszkodzony worek trzeba zapłacić w całości.

— Zapłacimy. I zabierzemy cukier, za któryśmy zapłacili — odparł Adam.

— Wcale nie — upierał się magazynier. — Jeśli mi brak jednego worka, muszę złożyć raport, jak to się stało, i zwrócić równowartość. Barlow zapłaci za worek cukru dziś przy wypłacie, albo żaden nadzorca w londyńskim porcie nie da mu więcej pracy! A od cukru wara!

Taki był zwyczaj, jeśli nawet nie było to zarządzenie, wypisane czarno na białym. Pracodawca dostawał pieniądze, a nadzorca albo magazynier — prócz bardzo nielicznych wypadków — brał zniszczony towar. Był to jeden ze sposobów, dzięki którym pracodawcy przeciągali na swoją stronę nadzorców i magazynierów. Barlow szykował się do bójki.

— Jak go walnę, to mu ten zakuty łeb zleci — wygrażał.

— On nawet nie zauważy, że jest bez głowy — łagodził Adam. — A resztę naszej paczki narazisz na kłopoty.

Nim jeszcze skończył mówić, Pat O’Sullivan przepchnął się między nimi i wychodząc z magazynu, wielkimi, brudnymi buciskami zmiażdżył rozsypany cukier.

— Przestań, ty zawszony Irlandczyku! — wrzasnął magazynier.

Ale nie magazynier, ani Adam — gdyby chciał — nie mogliby już teraz powstrzymać dokerów. Szli jeden za drugim, a każdy włożył na cukier. Dwa-dzieścia par ciężkich butów rozdeptało zawartość uszkodzonego worka bardzo dokładnie.

— Tak! A teraz liź nam buty, jeśli masz apetyt na cukier! — rzekł Barlow. Magazynier nie znalazł już odpowiedzi.

Barlow poszedł z powrotem do statku mrując jeszcze; inni śmieli się, zadowoleni ze sposobu, jaki wynalazł Pat O’Sullivan.

„Pracodawcy są bezosobowi, jak rządy — myślał Adam. — Prosty robotnik odgradzony jest od nich nadzorcami i drobnymi urzędnikami. Tak, zawsze są dwa narody: bogaci i biedni. Nikt się nie opowiada po stronie biednych. Powinni sami się o siebie zatroszczyć. Czartyści pokazali, jak to robić. Ale

jednak nie wytrwali przy swoim, nie zorganizowali się dość dobrze, dość konsekwentnie, by wygrać. Nie spełniono ich żądań. Pod pewnymi względami łatwiej było na wsi. Robotnik rolny miał tam wroga, oczywiście — właściciela ziemskiego. Ale chociaż dziedziec brudną robotę powierzał rządcom i ekonomom, znało się go i widziało: czasem można było nawet przemówić do niego. W miasteczku robotnicy, a już zwłaszcza dokerzy, nie wiedzieli nawet, kim są ich pracodawcy. Ci pracodawcy żyli zupełnie odrębnym życiem. Nawet szli do innego kościoła w niedzielę, wspaniale ozdobionego, gdzie zamożny i modnie ubrany pastor schlebiał im, nigdy nie odważając się wspomnieć o sprawie tak drażliwej, jak stosunek do najemnych sił roboczych".

Gdy dokerzy ustawili się w kolejce po wypłatę za rozładunek, który trwał trzy dni, Adam przeszedł wzdłuż szeregu przypominając, że każdy z nich powinien złożyć się na pokrycie straty Johna Barlowa. Paru zaprotestowało.

— Właśnie dla takich spraw, jak dzisiejsza strata Barlowa, zawiązaliśmy naszą paczkę — przypomniał Adam. — My dziś pomożemy Johnowi, on nam pomoże kiedy indziej.

— A skąd mamy wiedzieć, że on nam pomoże? — burknął jeden z do-kerów.

— Bo już pomógł nieraz, może nie? — rzucił szybko Adam.

— Jeśli chce się chęplić, nosząc po dwa worki, to niech sobie to robi na własne ryzyko, nie moje! — odezwał się inny.

— Nosi po dwa worki, by zostało mniej dla ciebie do noszenia — odparł Adam. — Nie żąda za to dodatkowej zapłaty. Co dzień odwali dwa razy więcej roboty od niejednego z was!

— To głupi ten John Barlow i tyle — brzmiała odpowiedź.

I tylko dziewięciu z dwudziestu zapłaciło składkę. Kiedy Adam i Jim Birkett przekonywali jednych, inni wymknęli się i poszli sobie. Barlow walnął któregoś pięścią i pieniądze jego potoczyły się po nierównym bruku. To tylko pogorszyło sprawę. Ostatecznie zebrano potrzebne pieniądze, ale garstka lojalnych poniosła całość kosztów.

Przy bramie prowadzącej do nadbrzeży czekała na Adama jego suczka. Adam pogłaskał psa i dał mu kawałek chleba z kieszeni. Strażnicy rewidowali wychodzących ludzi.

— A co, myślisz, że mam worek cukru w kieszeni kamizelki? — pytał Bill Rogers strażników.

— Jak mi tu będziesz pyskował, to cię jutro w ogóle nie wpuszczę! — zagroził starszy strażnik.

— Słuchajcie cara portu! — zakpił Rogers. — Jemu się zdaje, że on rządzi tym zakichanym miejscem.

— W każdym razie bliżej mi do tego niż tobie po najdłuższym życiu! — odparł strażnik.

Pracując w porcie Adam stanął znowu w obliczu dawnego swego kłopotu: sam nie kradł, a jednocześnie nie chciał donosić o pospolitych kradzieżach, popełnianych przez towarzyszy. Ale tutaj strażnicy przy bramach bardzo mu się przydadli. Rewidowali o wiele dokładniej niż w dokach w Liverpoolu. I nadbrzeże było oddzielone od ulic East Endu. Jednym z zobowiązań, podjętych przez „paczkę” było — nie kraść. „Paczka” byłaby znacznie liczniejsza, gdyby nie to zastrzeżenie. A i tak nie wszyscy w „paczce” przestrzegali ściśle tego przepisu. Adam też od czasów liverpoolskich się zmienił. Dojrzał, złagodniał. Wystarczyło mu teraz, jeśli sam nie zadawał gwałtu swoim zasadom. Niech się każdy o własne sumienie troszczy.

Adam, John Barlow i paru innych wstąpili do tawerny koło nadbrzeży portowych. Piwo przynajmniej było tanie. Pies usiadł przy drzwiach. Ludzie poszli w głąb obszernego, ciemnego pomieszczenia do lady.

— Jak możemy myśleć o jakiejś własnej organizacji, kiedy oni się tylko wykręcają od wszystkiego? — mówił Adam, rozgoryczony nieudaną składką na pokrycie straty Barlowa.

— Wiecie, to jednak była po części moja własna wina — przyznał Barlow.

— Oni się najbardziej boją powiedzieć kochającej żonce, że nie przynieśli pełnej wypłaty do domu — powiedział ze śmiechem Jim Birkett, kawaler.

— Nie chcę więcej z nimi pracować — oznajmił John Barlow z nawrotem złego humoru.

Oberżysta postawił na ladzie przed nimi pięć kufli piwa.

Adam pomyślał, że Johna Barlowa cechuje podobna agresywność w połączeniu z dobrym sercem, co Berta Carpentera. Miał sympatię do tego typu ludzi: porywczych, ale szczerych.

— Nie, to nie jest sposób — odrzekł. — Musimy ich pouczyć.

— Moimi pięściami — zaproponował Barlow.

— A ja myślę, że powinniśmy i ciebie pouczyć o paru rzeczach, Johnie Barlow — upomniał go O’Sullivan swoim irlandzkim akcentem. — Oni mieli rację, według mnie, kiedy powiedzieli, że nie chcą płacić za twoją głupią chępliwość.

— No, więc przyznałem to, może nie? Co mam jeszcze zrobić? Klękać na własne zakichane kolana i prosić ciebie o przebaczenie, ty zawszony Irlandczyku? Zwrócę ci wszystko, co do grosza!

— Nie o to chodzi, John — wmieszał się Adam. — Wiemy przecież, że zapłaciłbyś nam wszystkim, gdybyś miał, i że w potrzebie zapłacisz za każdego z nas.

— Więc o co, psiakrew, chodzi?

— Chodzi o to, żeby pracodawcy nie mieli tyle władzy nad nami.

— A jak temu zaradzisz? — zapytał rudowłosy Irlandczyk. — W moim kraju...

— Nic nas nie obchodzi twój kraj — przerwał mu Barlow. — Wy tam tylko umiecie kartofle sadzić. Posłuchajcie profesora Huntera. On ma edukację. Tego żaden z was nie ma, tumany!

— Gdyby nie angielscy panowie w Irlandii... — nie ustępował O'Sullivan.

— I gdyby nie irlandzcy dokerzy w Anglii... — przerwał mu znowu Barlow.

— Nie wiem, czy potrafię wam odpowiedzieć na pytanie, jak ograniczyć władzę pracodawców nad nami — rzekł Adam. — Ale jasne jest, że w ich interesie leży dawać nam jak najmniej, a w naszym interesie leży wydstać od nich jak najwięcej. To oznacza konflikt. Oni zawsze bardzo solidnie występują przeciw nam. A my nie występujemy solidarnie. Musimy się zorganizować. Musimy mieć wszystkich dokerów w jednej wielkiej paczce, jak nasza, by jeden stawał za drugiego.

— Jak dzisiaj, co? — zauważył szydyczko Rogers.

— Na drugi raz będzie lepiej — odrzącił go Adam. — Czytałem niedawno...

— Tak, w tym masz nad nami wyższość — powiedział Birkett i westchnął.

— Mógłbyś się nauczyć. W wieczorowej szkole — rzekł Adam.

— Dobrze, ale co tam wyczytałeś? — przypomniał O'Sullivan.

— Jak go ostatni raz widziałem nad książką, to powiedział mi, że napisał to niejaki Dickens — wyjaśnił Barlow. — Ale on nie jest dokerem...

— Dickens, tak, to wielki pisarz — Adam zignorował zastrzeżenie. — Ale czytałem pisma dwóch Niemców, którzy teraz mieszkają tu w Londynie — Karol Marks i Fryderyk Engels. Oni nie powieści piszą...

— Nie chcemy żadnych niemieckich pomysłów — zaprotestował O'Sullivan.

— Ani irlandzkich mądrali, co wszystko wiedzą lepiej — dodał Barlow.

— Chcemy idei, wszystko jedno skąd — ciągnął Adam. — Ci dwaj powiadają, że nadejdzie dzień, kiedy władza panów się skończy...

— Coś mi się zdawało, że twój ojciec jest panem, tylko że na wsi? — zainteresował Bill Rogers.

— Skończy się władza panów. Akurat! — rzekł Barlow. — Napijmy się jeszcze piwa na pociechę!

— Musi się skończyć — nalegał Adam. — Kiedy robotnicy, którzy są o tyle liczniejsi, zorganizują się, złączą swoje siły i zażądają...

— Chcesz nam francuską rewolucję urządzić? — zapytał Rogers.

— Za dobrym wodzem poszedłbym i na rewolucję — odparł Adam. — Słuchajcie, chodzi o to, że robotnicy są dzisiaj najbardziej postępową częścią społeczeństwa. I musimy osiągnąć jakiś postęp, bo inaczej pozdychamy z głodu. Panowie nie chcą postępu.

— Słuchaj, czy ty naprawdę myślisz, że jest jakiś sens w tej całej gadaninie? — zapytał Jim Birkett. — Bo według mnie, więcej jest sensu w tym, żeby pójść na dziewczynki. A ja tu właśnie znam jedną, która mieszka nad tą tawerną. Bardzo przyjemna... i tak sobie myślałem...

Adam chwycił go za ramię i rzekł:

— Ja sam nie wiem, ile w tym jest sensu — powiedział. — Ale mnie to interesuje.

— No, mnie to interesuje bardzo mało... przynajmniej w tej chwili! — odparł Jim, bezskutecznie usiłując się wydostać z uścisku rąk Adama.

— Jest w tym wielka idea — ciągnął Adam. — A ja chcę znaleźć naprawdę wielką ideę...

— Szeregowiec Debenham! To jest podżeganie do buntu!

Pięciu dokerów okręciło się w miejscu jak jeden. Spojrzeli w ciemny kąt tawerny, skąd dobiegł ich ten gniewny, donośny głos. Ale tylko jeden z dokerów poznał mówiącego.

Tawernę oświetlała jedna lampa gazowa i ogień płonący na kominku, który znajdował się po stronie przeciwnej od tej, skąd odezwał się gniewny głos. Ciemne, drewniane ławy i stoły ściemniały jeszcze bardziej, wycierane od lat brudnym odzieniem i podwędzane dymem z niezliczonych fajek. Butelki, stojące rzędem na półkach za ladą, odbijały światło ognia i gazowej lampy, tworząc dodatkowy krąg migotliwego blasku. Ale żadne światło nie przenikało do kąta, z którego teraz wynurzył się mężczyzna średniego wzrostu z laską o srebrnej gałce, ubrany trochę jak woźnica dyliżansu, w długi, obszerny płaszcz z krótką peleryną i wielu kieszeniami, w czapkę futrzaną i wysokie buty — odzież ta nigdy zapewne nie była bardzo kosztowna, ale przed jakimiś dwudziestu laty jej właściciel mógł zadawać szyku w londyńskich portowych tawernach. Mężczyzna mierzył dokerów gniewnym spojrzeniem bardzo błyszczących, surowych, czarnych oczu i wojowniczo poruszał sztywno wywoskowanymi długimi wąsami.

— Tygrys Smith! — zawołał Adam, podchodząc do niego. — Tutaj — i w tym stroju?

Fred Smith zignorował pytanie i wyciągniętą ku niemu rękę. Stanął w pozycji na baczność, z laską w charakterze karabinu u boku, pośrodku grupki dokerów.

— Szeregowiec Debenham! To jest podżeganie do buntu! — powtórzył.

— Zwariował jegomość, czy co? — rzekł Barlow. — Tu nie ma ani szeregowca, ani Debenhama. O wojsku my tylko wtedy myśleliśmy, kiedy chodzimy tam, gdzie nawet generał piechotę chodzi.

Birkett prychnął krótkim śmiechem.

— Nie odpowiadać! — szczerknął Tygrys Smith. — To jest szeregowiec Debenham... — I oskarżycielskim palcem wskazał na Adama.

— Pod tym nazwiskiem służyłem w wojsku — wyjaśnił Adam kolegom.

— Słyszałem, coś mówił — ciągnął Smith. — Znam te buntownicze gadaniny. Kto jest przeciw pracodawcom, prawu i porządkowi, ten jest przeciw rządowi i królowej...

— Powoli, sierżancie, powoli — rzekł Adam. — My tu chcemy poprawić naszą dolę i dolę takich jak my — milionów głodujących mężczyzn, kobiet i dzieci w całym kraju. Kto ma być po naszej stronie — te miliony czy paru fabrykantów i oficerów...

— Nic nie mów na oficerów! — ostrzegł Smith. — Widzę, że zgorzkniałeś, odbywając karę więzienia. Ale zasłużyłeś na nią...

— Według regulaminu zasłużyłem — zgodził się Adam. — Dlatego też przed sądem przyznałem się do winy.

— Za dużo masz do powiedzenia. A przecież byłeś dobrym żołnierzem.

— A teraz staram się być dobrym dokerem...

— I dobrym towarzyszem — wtrącił O'Sullivan. Przynął swą rudą brodę do twarzy sierżanta Smitha. — Ja tam nie jestem żadnym rewolucjonistą — mówił przyduszonym z gniewu głosem. — Jestem dobrym katolikiem. Rewolucja jest przeciw Bogu. Ale ten tu Adam jest moim przyjacielem. Ty go zostaw w spokoju! Tam, skąd ja pochodzę, nie kochają angielskiego wojska — ani sierżantów, ani oficerów, ani żadnego z nich! Za dużośmy ich mieli.

— Nie jesteś tu w wojsku, wiesz? — dodał Birkett. — Ani nawet w mundurze.

— Jeszcze jeden przekłety szpicel — powiedział Bill Rogers. — Siedzi w ciemnym kącie i podsłuchuje...

— Wyrzucimy go — zaproponował entuzjastycznie Barlow i już zaczął ściągać roboczą, zniszczoną kurtkę.

— Zaczekajcie, towarzysze — powiedział Adam. — Sierżant Smith jest moim przyjacielem. Wypijcie z nami piwa, sierżancie. I posłuchajcie. Kiedy wróciliście do domu? Wy nie rozumiecie, co się dzieje w kraju.

— Pewno, że nie rozumie — burknął Rogers, spluwając na podłogę. — Sierżanci niczego nie rozumieją. Prócz rozkazów oficerów. Gdybyśmy mieli robić rewolucję — ho, to ci concept, kiedy my nawet nie możemy zebrać składki na towarzysza — gdybyśmy mieli robić rewolucję, ten drań rozkazałby swoim wytresowanym żołnierzom strzelać do nas.

Oberżysta postawił na ladzie kufel piwa.

— Za nasze stare czasy, sierżancie! — powiedział Adam, chcąc zażegnać szukającą się burzę, którą już widział w groźnie wysuniętym podbródku Tygrysa, wściekłym spojrzeniu, ciężkim sapaniu.

Sierżant Smith patrzył na niego.

— Nie znam twojego prawdziwego nazwiska. Dla mnie jesteś szeregowcem Debenhamem, wydalonym ze służby w wojsku Jej Królewskiej Mości, a teraz podżegającym do buntu. Do diabła z twoim piwem! — I machnąwszy ręką stracił kufel, zalewając deski podłogi pienistym płynem.

Dokerzy milczeli przez chwilę zaskoczeni.

— A teraz, hołoto, słuchajcie! — szczeknął Tygrys, wciąż stojąc na baczność.

— W moim kraju my nie słuchamy żadnych angielskich sierżantów! My do nich strzelamy! — krzyknął O’Sullivan.

— Wy zakichani, przekłęci... — zaczął Smith.

Wielka, jak bochen, pięść Barłowa potężnym zamachem dosięgła Tygrysa w szczękę. Sztymba, wojskowa postać zachwiała się — chwycił ręką za ładę — palce ześliznęły mu się po zalanej piwem powierzchni i ciężko siadł na podłogę, na rozlane piwo. Barlow skoczył i nachylił się nad nim. Adam chwycił towarzysza za łokcie, odciągając z całych sił do tyłu. Kundel od drzwi rzucił się na mocujących się mężczyzn. Adam kazał mu leżeć cicho.

— Przestańcie! Przestańcie! — wołał oberżysta. — Tu nic wolno się bić! Idźcie na dwór, jeśli chcecie się bić. Odbiorą mi licencję!

— Spokój, chłopcy, spokój, na litość boską! — krzyknął Adam. — Następnego, który go dotknie, skopię tak, że go rodzona matka nie pozna!

— Jak matkę kocham, syn dziedzica się odezwał — rzekł O’Sullivan. — A co my czterej będziemy robić, kiedy ty będziesz kopał, co?

Ale cofnęli się wszyscy czterej. Sierżant Smith, którego Adam wziął pod ramię, podnosił się powoli z podłogi. Stał wreszcie i popatrzył w każdą z pięciu otaczających go twarzy. Odwrócił się, pochylił z trudem, podnosząc z ziemi łaskę i futrzaną czapkę. Czapka była zabrudzona. Otarł ją starannie o rękaw. Dokerzy śledzili go wzrokiem w milczeniu, podejrzliwie. Znowu popatrzył na nich uważnie.

— No, sierżancie, nie chowajcie urazy — rzekł Adam. — Napijcie się piwa ze mną!

Tygrys Smith nałożył czapkę, starannie i równo, ani odrobinę na bakier, i pomaszerował do drzwi miarowym krokiem, jakby wychodził na rozkaz oficera. Adam poszedł za nim. Kundel obnażył kły i zawarczał, zabierając się do wysokich butów. Adam uspokoił go znowu. Smith ostrym ruchem, z wojskową precyzją, sięgnął ręką do klamki. Puścił klamkę i odwrócił się do Adama. Nie stał już na baczność. Przygarbił się. Wąsy nie jeżyły się groźnie. Oparł się ciężko na łascę i sapał, ale nic gniewnie, tylko jakby w wyczerpaniu. W blasku gazowej lampy Adam dostrzegł, że jego oczy miały wyraz rozczarowania i upokorzenia. Tego człowieka nikt by nie przezwiał Tygrysem. To był zwyczajnie Fred Smith.

— Przepraszam. Ja tu jestem niczym. Zapominam. Zapominam — powie działa cicho, z wahaniem. — Głupi stary Fred Smith. Wstąpił do wojska, by się raz dobrze najeść... najadał się przez dwadzieścia jeden lat... i zapomniał o ludziach w kraju, co nie mają czym się najeść...

Spojrzał w dół, na własny płaszcz, dotknął futrzanej czapki. Adam poczuł

jakąs przeszkodę w gardle, jakby nie mógł przełykać. Obserwowanie tej metamorfozy wzruszyło go głęboko. „Tygrys Smith"... „Wy, brudna, zakichana, przeklęta hołota..." Dokerzy i oberżysta za ladą patrzyli również, a na ich twarzach malowały się różnorodne uczucia. Jim Birkett — zaambarasowany; Bill Rogers — szydery; Pat O’Sullivan — bliski łez; John Barlow — nie rozumiejący niczego; oberżysta — czujny. Fred Smith dotknął swej czapki, a potem położył lewą rękę na górnej części prawego rękawa.

— ...ja tu jestem niczym. Nie ma pasków na rękawie. Nie ma krzyku... — Przerwał znowu: mówił powoli, z trudnością. — Widzisz, Adamie, to nie krzyki każą bać się sierżanta. — Spojrzał w twarz dawnego szeregowca. — To te trzy paski, które każą szeregowcom drzeć, gdy się na nich krzyczy. Boją się i robią to, co się im każe. — Znowu położył rękę na rękawie. Skinął w stronę milczących dokerów. — Nie ma pasków. Nie boją się mnie. Do widzenia panu.

— Ale gdzie wy mieszkacie, sierżancie? — zapytał Adam, obejmując twarzą uściskiem wyciągniętą rękę.

— Wczoraj dopiero przyjechałem do kraju — odrzekł Smith. — Odsłużyłem dwadzieścia jeden lat. Skończyłem z żołnierką. Matkę mam sparaliżowaną. Myślałem, że przyjdę do tawerny i posłucham trochę, co ludzie mówią. To dla mnie egzotyczny kraj. Obcy kraj. Czy... pan chce wiedzieć, gdzie mieszkam?

— Oczywiście. Chcę was znowu zobaczyć.

Adam zapisał jego adres na kopercie listu od Harolda Cooka. Smith spojrzał na niego przygasłymi oczami. Wyszedł. Adam patrzył za nim, stojąc w drzwiach. Szedł jak stary człowiek, nie maszerował, wspierał się ciężko na lasce. Przez głowę Adama przeszła dziwna myśl. „Dlaczego ten tuman Irlandczyk nazwał mnie synem dziedzica? I dlaczego stary Smith tytułuje mnie panem?" Od kiedy zdjął mundur, wracają mu dawne klasowe nałogi. Trzeba temu zapobiec.

Wrócił w zamyśleniu do lady i rzekł:

— Jeszcze po piwie dla każdego. Ja stawiam, choćbym miał pójść spać na głodno. I wypijcie ze mną za jego zdrowie. Powiadam wam, towarzysze, długo byście szukali i nie znaleźli lepszego człowieka od Tygrysa Smitha. I będzie znowu tygrysem — zapamiętajcie moje słowa — tylko już inne paski dostanie.

— Ja się nigdy nie sprzeczam z kimś, kto mi piwo stawia — zaśmiał się Jim Birkett.

Rozdział piętnasty

W gruncie rzeczy Adam wcale się nie obawiał, że pójdzie spać bez kolacji. Agnieszka dopilnuje, żeby nie był głodny. Następnego dnia upływał miesiąc, od kiedy się poznali. Dzień w dzień Agnieszka szykowała dla niego jakiś przysmak — pieróg z mięsem albo gotowaną rybę — który zabierał ze sobą na kolację.

Chodzili na długie spacerory lub na mityngi, gdzie głoszono potrzebę politycznej reformy albo jakiegoś zbawionego leku na biedę i ubóstwo. W Europie tliły się wszędzie zarzewia buntu. Polityczni emigranci — Polacy, Włosi, Węgrzy — przywozili ze sobą tę atmosferę do Londynu. Różnorodne organizacje rodziły się w ciągu jednej nocy, wyrastały jak grzyby po deszczu, kwitły przez jakiś czas i ginęły naturalną śmiercią. Parę przetrwało i miało odegrać szlachetną rolę w walkach przyszłości. Adama interesowały głównie te organizacje, które łączyły robotników w związki zawodowe — były już takie, ale nie dla dokerów — i które żądały prawa głosu dla ludzi pracy. Robotnicy, według Adama, powinni wziąć sprawy w swoje ręce, a zjednoczeni i silni liczbowo mogą postawić pracodawcom żądania, zamiast błagać i upokarzać się, i zdradzać własnych towarzyszy za parę dodatkowych szylingów. Zachodził też z Agnieszką parokrotnie do rodziców Berta Carpentera. Stary Frank Carpenter sam był bojownikiem o reformę i członkiem związku zawodowego mechaników, jednego z pierwszych, jakie powstały w Anglii.

Wyszedłszy z tawerny i rozstawszy się z towarzyszami, Adam udał się przede wszystkim pośpiesznie na swoją facjatkę, by się przebrać. Facjatka była malutka, o suficie spadzistym, okno wychodziło na przeciwległy mur. Stało tu żelazne łóżko, żelazna na trzech nogach umywalka z miednicą, drewniany stółek, stara komoda, podparta z jednej strony kawałkiem drewna — blatu tej komody używał jako stołu — i półka z surowego drzewa, którą sam sobie zmajstrował, a która zawierała najcenniejszą jego własność — kilkanaście książek. Gdy wchodził do tej nędznej facjatki, zwykł mówić do siebie:

— Apartamenty brata dziedziczki Binwood.

Tego wieczoru starał się opanować uczucie podniecenia. Po raz pierwszy Agnieszka zaprosiła go do siebie. Mała Julietka wyjechała na dwa tygodnie na wieś, do krewnej pani Hodderowej. Miała wrócić na Boże Narodzenie.

Poprzedniego wieczoru pogoda była taka mroźna, czysta, księżycowa, Agnieszka taka miła i wdzięczna, tak gorąco odpowiadała na jego uściski, gdy się żegnali w ciemnym zakątku ulicy. Wydawało się, jakby chciała podniecać jego pożądanie, które z pewnością podniety nie potrzebowało — drżał z pragnienia za każdym razem, gdy jej dotknął. Stali oparci o balustradę nad Tamizą, patrzyli na rzekę. Adam stojąc za nią objął dłońmi jej piękne, wy-

sokie piersi, Agnieszka wsunęła jego ręce pod stanik, mówiąc, że jest taki zimny — co można sobie było różnie wytłumaczyć.

Gdy był w wojsku, doświadczenia Adama ograniczały się tylko do spotkań z zawodowymi prostytutkami. Niektóre bywały wesołymi towarzyszkami zabawy, ale nie było nigdy mowy o żadnym osobistym uczuciu. Wspomniał Doreen i aż otrząsnął się na myśl, że niewiele brakowało, a byłby się z nią ożenił. Od kiedy poznał Agnieszkę, pojął, jak piękny stosunek może połączyć mężczyznę z kobietą. Doreen uwielbiała go i lgnęła do niego. Agnieszka patrzyła mu prosto w oczy, jak równa z równym, jak kobieta, która także знаła życie. Adam osobiście uważał ją, za istotę wyższą od siebie, za dziewczynę, której nie tylko się pożądało, ale która, gdy zechce stanąć przy jego boku, będzie go zachęcała, dopomagała mu, wskazywała drogę prawdy i uczciwości.

Przypuśćmy, że dziś wieczorem, w jej pokoju, który był zarazem jej sypialnią, zastanie ją miękka, może nawet spragniona?... Czy powinien nalegać, żeby czekali, aż się pobiorą? Właśnie z powodu Julietki Adam w głębi serca chciał, aby najpierw odbyła się ceremonia zaślubin. Chciał pokazać Agnieszce, że ją szanuje. Ale jeśli ona sama będzie zachęcała?... Adam czuł, że w takim razie nie będzie w stanie zadawać pytań.

Tymczasem Agnieszka odwiedzała swoich chorych. Adam nie poznałby jej, gdyby ją spotkał przy tych dobrowolnie podjętych obowiązkach. Agnieszka przekonała się, że nieraz musi być surowa, energiczna, by zmusić do posłuchu pacjentów — dla ich dobra.

W pierwszej nędznej norze, do której tego dnia weszła, zastała szesnastoletnią dziewczynę z brzuchem, który mówił sam za siebie, wyglądającą w znużeniu przez okno. Matka jej, ciężko chora, leżała na legowisku z brudnych szmat w izbie, nie zamiatanej od czasu, kiedy Agnieszka tam była przed trzema dniami.

— Chodź no tu, moja mała! — rzekła Agnieszka.

— Jestem zmęczona — narzekała dziewczyna, dwa razy wyższa od Agnieszki.

— Zaraz będziesz jeszcze więcej zmęczona. Weź się za szczotkę.

— Nie mogę — odparła dziewczyna, nie odwracając się od okna. — Nie mamy szczotki.

Agnieszka pobiegła na schody, zastukała do paru drzwi, aż wreszcie zdołała pożyczyć jakąś znośną szczotkę. Z powrotem na górze, w pokoju, podała szczotkę córce chorej kobiety. Dziewczyna nie ruszyła się, tylko nadal wyglądała przez okno. Agnieszka podniosła szczotkę i trzepnęła ją w plecy. Dziewczyna odwróciła się wojowniczo.

— Och, proszę ją zostawić — jęknęła matka z pomiędzy brudnych ła chów. — Ona nic nie robi.

— I nie będę robić — potwierdziła córka.

Orzechowe oczy Agnieszki zabłyśły. Zamachnęła się szczotką tak energicznie, aż dziewczyna uciekła na drugi koniec izby. Agnieszka poszła za nią i wcisnęła jej szczotkę w rękę.

— A teraz zabieraj się do zmiatania — rozkazała. — Ten pokój ma być czysty, zanim stąd wyjdę!

Przez chwilę dziewczyna patrzyła na nią. Agnieszka wsparła się pod boki i odpowiedziała jej wyzywającym spojrzeniem. Dziewczyna odwróciła się i zaczęła zmiatać. Kurz wznosił się tumanami.

— Zejdź na dół i przynieś wody z kranu w korytarzu. Pokropisz podłogę, żeby takiego kurzu nie było — powiedziała Agnieszka. Potem wyjrzała przez okno, żeby jej dziewczyna gdzieś nie uciekła. Kiedy wróciła, Agnieszka prześcielała legowisko chorej. Ze swej dużej torby wyciągnęła lekarstwo i pigułki, które dostała od jakiejś organizacji charytatywnej. Mieszkańcy East Endu nie mogli sobie pozwolić na lekarzy i lekarstwa.

We flasce od poprzedniego lekarstwa, która stała na oknie, Agnieszka znalazła jakiś podejrzanie wyglądający, przezroczysty płyn. Odkorkowała i powąchała.

— Tak myślałam. Dzin. Czy pani to pije? — Stała groźnie pochyłona nad chorą.

— To mi pomaga zapomnieć, siostró.

— To pani pomoże umrzeć i to szybko — odparła Agnieszka. — Skąd pani na to wzięła pieniądze?

— Córka sprzedała dwa wazony, które dostałam jako prezent ślubny, tyle lat temu...

— Jak następnym razem pani córka będzie sprzedawać wazony, to niech za to kupi chociaż kości na rosół. Co za pożytek z tego, że ja tu przynoszę lekarstwa, jeśli pani się zabija tą trucizną?

Agnieszka otworzyła okno i wylała resztę zawartości flaszki. Dziewczyna niechętnie i powolnie zmiatała podłogę. Agnieszka wzięła dwa garnki z małej kuchenki, powąchała je podejrzliwie i podeszła do drzwi.

— Idę do zlewu, żeby umyć te brudy — rzekła. — Jak wrócę, żeby mi ta podłoga przyzwoicie wyglądała. I nie bój się odsunąć paru mebli, żeby wy mieść śmiecie!

Na końcu korytarza znajdował się wspólny zlew, przy którym Agnieszka wyszorowała, o ile tylko mogła, oba garnki.

— Pani ma chory żołądek, jeśli nie gorzej — powiedziała do chorej po powrocie. — Każdy brud to śmierć dla pani. Niech pani każe temu leniuchowi, swojej córce, utrzymywać wszystko w czystości.

— Ona mnie nigdy nie słucha, siostró — poskarżyła się kobieta.

Agnieszka zwróciła się do dziewczyny.

— Masz robić, co powiedziałam. Bo jeśli nie, to powiem o tobie wielebnemu ojcu Blackowi. I kiedy będziesz miała dziecko, wielebny ojciec nie pomoże ci, boś tego nie warta. Rozumiesz?

— Och, proszę, siostró! — zawołała dziewczyna, nareszcie poruszona. — Ojciec Black przyrzekł, że mnie stąd wyśle. Ja nie mogę tu zostać, nie mogę!

— Jeżeli będziesz robiła, co ci mówię, ojciec Black dotrzyma swego przyrzeczenia. Ale mogę mu parę słów powiedzieć, a wtedy pożegnaj się z planami wyjazdu! Więc uważaj!

Następna pacjentka Agnieszki leżała na podłodze, na legowisku z kilku starych płaszczy, w prawie pozbawionym mebli pokoju, który stanowił cały jej dom. Ale było tu czysto. Sąsiadka siedziała przy niej na stołku bez jednej nogi. Oparte o ramię leżącej spało niemowlę, które poprzedniego dnia przyszło na świat przy pomocy Agnieszki.

— Och, siostró, mój malutki dobrze się miewa, jak sędzę. I ja też! — Patrzyła do góry na Agnieszkę z pokorną wdzięcznością.

Agnieszka z trudem powstrzymywała łzy. Twarz dzielnej matki była śmiertelnie biała, rysy zaostrome, w oczach gorączkowy blask. Czule, troskliwe, Agnieszka spełniała swoje obowiązki przy młodej matce, zamężnej dopiero od roku. Przed wejściem powiedziała:

— Jeśli będę potrzebna, proszę przysłać męża po mnie, gdy wróci z pracy.

— Niech cię Bóg błogosławi, siostrzyczko kochana! Siostra jest aniołem — powiedziała matka.

— Tam, skąd właśnie przyszłam, myślą o mnie wręcz odwrotnie — uśmiechnęła się Agnieszka.

Sąsiadka, odprowadzając Agnieszkę na schody, powiedziała cicho:

— Do zakładu pogrzebowego będą posyłać, nie po siostrę...

Tak upływał dzień.

Wreszcie, powróciwszy do domu, z chlebem i wątróbką, którą kupiła, by usmażyć na kolację Adamowi, rzuciła się na krzesło, oparła głowę o wysokie drewniane oparcie i zamknęła oczy.

„Lepiej mi się zrobi, kiedy go zobaczę — myślała. — Przy nim nie czuję się zmęczona. Ktoś, na kim nareszcie można się wesprzeć. Gdyby tylko mógł zostać...” — Mimo woli spojrzała na łóżko i przez chwilę marzyła, że będzie leżeć w jego objęciach. Sama myśl o tym odświeżyła ją. Wstała z krzesła. — „Ale dziś wieczorem będzie musiał o mnie źle myśleć. Nie zrozumie. Ale chyba mnie nie rzuci — och, Boże, tylko nie to! Jutro wszystko zrozumie”.

Zakrzętała się, przygotowując pokój na przyjęcie gościa. Poszła do kuchni swojej gospodyni, by pod zlewem umyć wątróbkę.

— Usmaż tutaj wątróbkę, kochanie — powiedziała gospodyni. — Lepiej niż nad ogniem w twoim pokoju.

— Bardzo dziękuję za napalenie u mnie — przerwała jej Agnieszka.

— Drobiazg, kochanie. Ja nie zapomnę, jak mnie pielęgnowałaś, kiedy zachorowałam. Już byłam jedną nogą na tamtym świecie, a tyś mnie wyciągnęła, moja kochana!

— Proszę już nie mówić o tym — odrzekła Agnieszka, ale była zadowolona. — Odwdzięczyła mi się pani stokrotnie, opiekując się moją Julietką.

Gospodyni uśmiechnęła się do niej i gawędziła dalej:

— Tak, tak, jeszcze trochę pożyję. Mam szczęście, że trafiłam na takich dobrych lokatorów. Płacą mi, kiedy mogą. — Wreszcie powróciła do tematu wątróbki. — Nie chcesz chyba, kochanie, żeby ci w całym pokoju smażoną wątróbką pachniało, kiedy on przyjdzie. Możesz przybiec tu do kuchni i za brać, kiedy będziesz potrzebowała. Popatrz. Mam tu trochę kartofli przygotowanych do smażenia. Pokrajałam je do mego obiadu, ale jakoś nie chciało mi się usmażyć. Będą akurat pasowały do tej wątróbki. Leżały w wodzie. Są całkiem świeże.

W godzinę później Agnieszka posprzątała pokój, sama wystroiła się i uczesała najładniej, jak tylko mogła. Włożyła tę samą krynolinę, którą miała na sobie u ojca Blacka, kiedy pierwszy raz spotkała Adama. Usiadła wreszcie, czekając, aż przyjdzie. Ale nie mogła usiedzieć na miejscu. Wstała i zaczęła chodzić po małym pokoiku tam i z powrotem. Potem pobiegła do kuchni sprawdzić, czy wątróbka jest przygotowana do smażenia. Gospodyni powiedziała jej, żeby się nie kłopotać o to. Agnieszka wiedziała zresztą, że gospodyni już zajmie się kolacją. Gdy wreszcie jeszcze raz wybiegła na korytarz, wpadła prosto na Adama, z psem u nogi.

— Och, przestraszyłeś mnie! — wykrzyknęła.

Popchnął ją, śmiejąc się, z powrotem do pokoju. Zamknął drzwi za sobą i objął ją gorąco. Podniosła głowę, z oczyma przymkniętymi, ustami rozchylonymi, a w odpowiedzi na pocałunek przywarła do niego z taką samą namiętnością, z jaką on ją obejmował. Wreszcie oderwali się od siebie, z płonącymi policzkami, z ogniem w oczach. Przez chwilę stali tak oboje, szukając nawzajem oczyma w oczach drugiego odpowiedzi — „Tak, ja ciebie pragnę tak samo, jak ty mnie!”

Agnieszka ochłonęła pierwsza.

— Bezwstydne zachowanie! — zawołała do niego ze śmiechem.

— Cudowne zachowanie — odpowiedział.

— Chodź, nie widziałeś jeszcze mojego pokoju.

— Mam oczy tylko dla jego mieszkanki.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do fotela, jedyne, jaki posiadała, przed wesoło trzaskającym ogniem na kominku. Suczka Adama już się ułożyła wygodnie na podłodze.

— Nie zimno ci? — pytała Agnieszka.

— Wciąż powtarzasz, że musi mi być zimno — rzekł, spoglądając na nią z ukosa. — Muszę cię wreszcie pouczyć przykładowo, że tak nie jest.

Spojrzała na niego pytająco. Nie pamiętała, że użyła tego wyrażenia, chowając jego zziębnięte dłonie pod swój staniczek na piersiach poprzedniego wieczoru. Usiadła na niskim stołeczku koło jego nóg, jedną rękę oparła na jego kolanach, drugą głaskała psa.

Adam rozejrzał się po jej pokoju. Meble były zwyczajne, ale całość robiła miłe wrażenie. Gospodyni, wdzięczna za pielęgnację w chorobie, ozdobiła pokój różnymi dodatkami, których Agnieszka nigdy by nie kupiła dla siebie — na małym stoliku leżała ciemnowiśniowa aksamitna narzuta, takie same firanki zasłaniały okno, przed podwójnym łóżkiem, na którym Agnieszka sypiała z małą, stał parawan szafirowy, malowany w blad różowe kwiaty. Zauważył półkę z książkami.

— Mogę obejrzeć te książki? — zapytał.

Wstał z fotela i podszedł do półki. Przesunął palcem po grzbietach, odczytując tytuły — powieści Henryka Fieldinga, Tomasza Smolletta, Waltera Scotta, Karola Dickensa, Williama Thackeraya, parę tomików poezji i „O prawach kobiety” Marii Wollstonecraft. Zatrzymał się, wyjął książkę z półki, przerzucił kilka kartek.

— Dobra? — zapytał, podnosząc książkę ku Agnieszce, żeby mogła zobaczyć tytuł.

— Kobieta o kobietach — odrzekła i dodała z uśmiechem — mężczyźni przeważnie myślą, że to stek nonsensów.

— Jej mąż, William Godwin, napisał „Uwagi o sprawiedliwości politycznej” — rzekł Adam. — Czytałem to.

Przerzucał dalej kartki książki, a Agnieszka mogła patrzeć na niego swobodnie. Opadająca powieka przyprawiała ją o lekkie ściśnienie serca. Ale to nie była litość, tylko głęboka miłość. Myślała przy tym, że już zwątpiła, aby taka wielka prawdziwa miłość była kiedykolwiek jej udziałem. I oto nadeszła. I sprawiała jej jednocześnie ból i radość. Wyglądał tak szlachetnie i rozumnie, gdy stał w jej pokoju z książką w rękę, taki silny, spokojny, pewny siebie i godny zaufania — jej chłopiec, jej mąż, jeśli mogła zaufać jego słowu, a wiedziała, że mogła.

Odłożył książkę i odczytywał dalej tytuły, aż natrafił na „Nowy pogląd na społeczeństwo” Roberta Owena.

— To kapitalny człowiek — powiedział. — Nie zawsze praktyczny, ale ma bardzo ciekawe pomysły.

Powrócił do kominka, przed którym siedziała Agnieszka, pochylwszy się do ognia. Spojrzał na jej kark, zafascynowany jego wdzięczną, delikatną linią. Pochylił się i położył usta tuż ponad wycięciem sukienki. Podniosła

się ku niemu. W tej właśnie chwili rozległo się stukanie. Adam wyprostował się, Agnieszka skoczyła na równe nogi. Adam usiadł z powrotem w fotelu, zastanawiając się, czy Agnieszka będzie bardzo skrepowana, jeśli ktokolwiek zastanie go w jej pokoju.

Ale była to tylko gospodyni, która wniosła kolację na tacy i butelkę piwa w rękę. Adam wstał.

— Naprawdę, nie trzeba było — rzekła Agnieszka. — Pani zadała sobie tyle trudu!

— Drobnostka, kochanie, drobnostka — mówiła gospodyni. Adam ujrzał starszą już, korpulentną kobietę, niższą od Agnieszki, z bardzo niebieskimi oczami o dzieciennym wyrazie. — Wątróbka była już gotowa. Nie chciałam, żeby się przesmażyła. Młodzi, kiedy są razem, zapominają o jedzeniu. Ja też byłam kiedyś młoda.

Agnieszka wzięła z jej rąk tacę i postawiła ją na stole. Z szuflady w komodzie wyjęła biały obrus.

— Dobry wieczór — zwróciła się gospodyni do gościa.

— Pani jest bardzo uprzejma — odrzekł Adam.

— Mężczyźni lubią dobrze zjeść — odrzekła gospodyni. — Mój mąż był jednym z najlepszych. Pracował jako woźnica w browarze, aż kiedyś konie spłoszyły się i poniosły. Mój mąż chciał zatrzymać rozhukane konie i dostał kopytem w głowę. Tak, tak! Ale lubił smacznie zjeść i dużo!

— Ale piwo... — przerwała jej Agnieszka.

— Och, to? Miałam przypadkowo w domu — powiedziała gospodyni. — No, nie będę wam przeszkadzała. Powiem panu dobranoc, młody człowieku. I nie hałasuj wychodząc, dobrze? Ja się kładę spać wcześniej.

Kiedy wyszła, Agnieszka powiedziała:

— Pocziwa z kośćmi. Ale musiała ciebie obejrzyć! Powiedziała mi już wczoraj, że chce zobaczyć mojego chłopca, dzięki któremu mam rumieńce na policzkach i nowy blask w oczach. To ty masz taki wpływ na mnie, na wy padek, gdybyś nie wiedział, o kogo chodzi. Chodź do stołu, Adasiu. Żeby nie wystygło. Możesz otworzyć butelkę.

Zabrali się do jedzenia w wyborych humorach. Siedzieli tuż obok siebie i tęsknota nie odbierała im apetytu. Zostawili po kawałeczku dla psa, który starannie wylizal po nich talerze.

Pod koniec kolacji Adam rzekł:

— Jeżelibyś dostała posadę, na przykład kasjerki w jakimś hotelu, mogłabyś zamieszkać w lepszej dzielnicy.

— Gdy dostałam te pieniądze za Julietkę — odrzekła Agnieszka — przysięgam sobie, że będę ich używała na pomaganie tym, których jej ojciec wyzyskiwał i oszukiwał. Tak jest najlepiej. Znalazłam dobrą metodę. Gdybym rozdawała pieniądze, za mało osób mogłoby z nich korzystać — i w do-

datku wydawaliby te pieniądze na dzin. To już się teraz przekształciło w egoizm. Lubię moją pracę, chociaż jest męcząca. I pewno niewskazana dla mego charakteru. Dyktuję moim podopiecznym, co mają robić, licząc na to, że mnie potrzebują. Źle jest mieć władzę nad ludźmi.

— Nie martwisz się chyba, że masz władzę nade mną? — zapytał z uśmiechem.

Ale wbrew uśmiechom źle się czuł. Sam na sam z Agnieszką w jej pokoju. Jego pewność siebie była zachwiana, a jego zaufanie we własne siły znikło. Znowu usiadł na fotelu, ona na stołku, oparła się o jego kolana plecami. Jego ręce, wsparte o jej ramiona, zesunęły się znowu ku jej piersiom, objęły je łukami dłoni. Przycisnęła jego dłonie mocno do siebie.

Ale i ona była niespokojna. Miała mu powiedzieć o jutrze. Nie zrozumie tego. A ona nie mogła mu wytłumaczyć. Będzie musiała czekać, aż to jutro nadejdzie i on sam zrozumie. Bała się jego gniewu, który porywał go czasami z taką przerażającą siłą. Kiedy widziała go w ataku gniewu, kiedy pewien mężczyzna na ulicy znieważył ją po pijanemu, znając jej przeszłość. Adam skoczył na niego i chwyciwszy w swe mocarne ramiona, tłukł nim o mur tak, że byłby go zabił, gdyby Agnieszka ich w końcu nie rozdzieliła. Od tej pory właśnie Adam zaczął nalegać, by się pobrali jak najprędzej.

— Nie odkładajmy ślubu — powiedział teraz znowu. Czuł, że nie potrafi długo panować nad sobą.

— Chciałam tylko, byś był pewny swojej decyzji — odrzekła. — Jesteś teraz dokerem. Ale nie zawsze byłeś dokerem. Boję się, żebyś kiedyś nie pożałował, że się ożeniłeś z kobietą, która...

Zamknął jej usta dłonią.

— Pomówimy jutro z moim wujem o ślubie.

To była dla niej odpowiednia chwila. Chciała już to mieć za sobą. Ale bała się rezultatu. Odwróciła się ku niemu, objęła ramieniem za szyję, mocno przycisnęła jego usta do swoich. Gdy wreszcie się rozłączyli, powiedziała:

— Możesz z nim pomówić. Mnie tam nie będzie.

— Nie pójdziesz do wuja Archibalda? Przecież obiecałaś...

— Zmieniłam plany.

— Dlaczego?

— Och... mam coś do załatwienia. — Cały dzień starała się wymyślić jakąś prawdopodobną wymówkę, ale nic przekonywającego nie przychodziło jej do głowy.

— Ale co?

Nagle chwyciła ją złość. Nie była to złość skierowana przeciw niemu, tylko przeciw sobie, że nie potrafiła uniknąć tej głupiej sytuacji. Przrzekła ojcu Archibaldowi, że nie powie Adamowi, dlaczego musi pójść nazajutrz sam do swego wuja. Stary pastor obawiał się, że jeśliby Adam wiedział, co go

czeka, nie przyszedłby wcale. Zabronił Agnieszce mówić o tym. A teraz Adam miał cierpieć z powodu jej złości.

— Mogę chyba mieć własne sprawy do załatwienia, w które ty nie będziesz nosa wtrącał!

— Ja niczego przed tobą nie ukrywam! — odparł Adam, zdumiony.

— A czy ja wiem? I wcale nie chcę wiedzieć, jeśli już o to chodzi. Mam nadzieję, że pozostawisz mi swobodę, tak jak ja tobie!

— Swoboda nie ma tu nic do rzeczy — odrzekł Adam, zdejmując ręce z jej ramion. — Zadałem ci normalne, zwykłe pytanie.

— A ja ci nie dam na nie odpowiedzi — odparła Agnieszka, nienawidząc sama siebie i złościąc się coraz więcej, i bojąc się zdradzić sekret ojca Archibalda.

Adam wstał. Agnieszka stała przed nim, pragnąc rozpaczliwie zarzucić mu ramiona na szyję. Gdyby tylko mogła to zrobić i powiedzieć: „Zaufaj mi, Adasiu” — z pewnością by skapitulował. Ale coś ją powstrzymywało. Duma. Powinien jej ufać bez proszenia o to.

— Jeśli tak, to może ja lepiej pójde — rzekł.

— Jak ci się podoba. Nie mogę cię zatrzymywać wbrew twojej woli — odparła i w następnej chwili gotowa była uciąć sobie język.

Adam spojrzał na nią jeszcze raz ze zdumieniem, wziął swoją czapkę i z krótkim: „Dobranoc w takim razie!” podszedł do drzwi. Agnieszka nie mogła mówić. Walczyła ze łzami, zdradziecko podchodzącymi do gardła.

Przystanął jeszcze przy drzwiach i odwrócił się.

— Czy wcale cię jutro nie zobaczę? — zapytał.

Stała bez ruchu. Nie mogła odpowiedzieć. Załamałaby się, gdyby zaczęła mówić i wybuchnęła idiotycznym płaczem.

Drzwi zamknęły się za nim, omal nie przygniótłszy psa, który pobiegł pospiesznie za panem.

Agnieszka osunęła się na kolana przed fotelem i pozwoliła płynąć łzom, tylko jeszcze tłumiąc łkanie, które mógłby usłyszeć. Wiedziała, że jutro wszystko powinno się naprawić. Ale w rozpacz pierwszej kłótni dzień jutrzejszy wydawał się bardzo odległy. Może go już nigdy nie zobaczy? Nie mogła sobie wyobrazić, jak doczeka chwili, kiedy będzie wiedziała na pewno. Może prosto ze starego domu ojca Archibalda pojedzie jutro wieczorem do swojej rodziny? Może będzie zły na nią, że brała udział w narażaniu go na...

W godzinę później Agnieszka wciąż siedziała przed wygasłym ogniem na kominku. Teraz przychodziło jej do głowy tysiąc doskonałych wymówek, które byłyby go z pewnością przekonały.

— Jutro zrozumie — powtarzała, próbując się pocieszyć. Żeby tylko zrozumiał... Och, Boże, żeby zrozumiał jutro!

Rozdział szesnasty

Filip zamówił karetę, która miała zawieźć Oliwię na stację kolei żelaznej do Newbury. Grudniowe chłody i przenikliwa wilgoć utrudniały korzystanie z modnego otwartego powoziku, który był najnowszym nabytkiem w Orchards.

Stangret skręcił z bocznej drogi do Chilcote na gościniec Oxford — Newbury. Z karczmy na skrzyżowaniu dróg wyszli na odgłos turkotu kół — Harold Cook i bracia Appletonowie. Wąsy Cooka imponowały rozmiarami jak zawsze, ale były teraz zupełnie białe. Stanley, dobiegszy pięćdziesiątki, cierpiał na reumatyzm, jak niegdyś jego ojciec, i garbił się tak, że był prawie jednego wzrostu z Tomaszem, niegdyś o dobrą głowę od brata niższym.

— Panie Bryant, proszę się zatrzymać na chwilkę! — zawołała Oliwia do stangreta.

— Tak jest, proszę pani. Ale pan powiedział, że nie mamy czasu do stracenia.

Oliwia nie należała do osób, które by łaskawie i z wysoka kiwnęły ręką przez okno karety. Wyskoczyła na gościniec i serdecznie przywitała dawnych przyjaciół, których Filip unikał, jak tylko mógł, i witał tylko z konieczności.

— Przyjemnie popatrzeć na panią Oliwię, jak zawsze — mówił Cook.

Istotnie przyjemnie było na nią spojrzeć. Jej bujne piękne włosy nie straciły połysku, chociaż ich ognistą czerwień przyprószyła teraz gęsto siwizna: nadal robiły wrażenie, że z trudem tylko poddają się zdyscyplinowanemu ujęciu w karby modnego, wykończonego aksamitką kapelusika. W piwnych, wielkich oczach kryła się może na dzień rezygnacja, ale nadal jeszcze potrafiły ciskać płomienie na wieść o krzywdzie ludzkiej i zabłysnąć radośnie na widok przyjaciół. Płaszcz jej — modnego, acz surowego kroju, ciasno spięty pod szyją, obcisły w biuście, a rozszerzony na ogromnej krynolinie — oddawał pełną sprawiedliwość jej figurze, postawnej i rygorystycznie wygorsetowanej. Oliwia mogła być demokratką, ale o swój wygląd i strój dbała po kobiecemu.

— Za stara jestem na połykanie komplementów — odpowiedziała wesoło kołodziejowi.

— Choćby i najlepsze mówić o pani Oliwii, to zawsze będzie prawdą, wcale nie pochlebstwem — dodał Stanley Appleton, uśmiechając się bezzębnymi dźwiękami.

— Nic nie byłoby pochlebstwem — powtórzył Tomasz.

— Wybieram się do Londynu — opowiadała Oliwia. — Mam zamiar odwiedzić wielebnego Archibalda Blacka.

— Proszę mu od nas przekazać wyrazy uszanowania — rzekł Stanley. — Proszę mu powiedzieć, pani Oliwio, że my nigdy o nim nie zapomnimy — ani o innych z tamtych binwoodzkich czasów.

— Nie zawsze byliście tak przyjaźni względem niego — przypomniała Oliwia, mrugając do nich po łobuzersku.

— Ale w końcu pastor opowiedział się po naszej stronie — rzekł Harold Cook.

Bryant na swoim wysokim koźle zakaszał głośno i nieuprzejmie.

— Jeśli się spóźnimy na pociąg, on powie, że to było z mojej winy — po wiedziała Oliwia do swoich przyjaciół, ale o tyle głośno, żeby Bryant ją mógł słyszeć. — Wrócę bardzo prędko, pewno w poniedziałek.

Weszła z powrotem do karety lekkim zręcznym ruchem znacznie młodszej kobiety, skinęła im ręką i trzech mężczyzn zostali sami na gościńcu.

— Cudowna to rzecz, ta kolej żelazna — powiedział Stanley w zamyśleniu. — Pomyślcie tylko: pani Oliwia będzie w Londynie za jakieś trzy godziny! Przecież konno jechało się cały dzień, a i to trzeba było mieć dobrego wierzchowca.

— Nie każdy myśli, że koleje są takie cudowne — zauważył Cook. — Strasznie hałasują i powietrze dymem zatrują. I różnych wydrwigroszy z miast nawożą nam tutaj na wieś.

— Masz wsteczne poglądy — rzekł Stanley, solidny czytelnik wszelkich broszur. — Przemysł nie może się rozwijać bez kolei.

— A rolnikom lepiej by się wiodło bez kolei — upierał się Cook. — Przywożą do Londynu irlandzkie płody rolne, co tylko ceny obniża. A dyliżanse i barki przewozowe będą bankrutować, zobaczycie!

— Słuchaj, nie martw się! — roześmiał się Tomasz, wyczuwając istotną przyczynę zastrzeżeń kołodzieja. — Dość będzie jeszcze wozów i powozów, byś miał robotę do końca życia!

— Wiecie dobrze, że jestem za postępem — burczał Cook. — I wcale się o siebie nie boję. — Potem przyznał niechętnie: — Możliwe, że te żelazne koleje mają w sumie więcej zalet. A w każdym razie zostaną i tyle. Za dużo ludzi włożyło w to pieniądze. Sami wiemy, że Sir James Paton inwestuje w kolejach i nasz Filip także. Pomyśleć, jak ten nasz Filip się dorobił! Pracuje ciężko, trzeba mu to przyznać, chociaż ostatnio rzadko kiedy sobie ręce pobrudzi.

Pomimo odłączenia się Filipa, dawni towarzysze z Binwood nadal mówili O nim: „nasz Filip”.

— Pracuje ciężko, to mu przyznaję — zgodził się Tomasz. — Ale ta praca zupełnie mu wypaczyła charakter.

— To nie może być — zaoponował Cook. — Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby uczciwa praca wypaczyła człowieka. Tu chodzi o co innego.

Stanley coraz częściej w tych dyskusjach przyjaciół miał głos decydujący. Przeczytane książki dawały mu przewagę.

— To nie praca — powiedział teraz trochę uroczyście. — To cel, ku któ-

remu go praca prowadzi, może znieprawić człowieka. Nasz Filip zaraził się pańskością — życie towarzyskie, różne ambicje i pieniądze, które mu umożliwiają zaspokajanie tych ambicji. Nie można zdobyć tego wszystkiego i pozostać nie zmienionym...

— Filip nie jest naprawdę wypaczony. Wciąż wam to powtarzam — wystąpił w obronie dawnego przyjaciela Harold Cook. — Tylko z pozoru. Ja wierzę, że on jest w głębi serca nadal synem Agnieszki Hunter. Może się pewnego dnia przekonacie, że mam rację.

— Jedno wam powiem — rzekł Tomasz. — Filip już bardzo długo jest innym człowiekiem. Sami wiecie. — I zmienił temat. — Ciekawym, co Filip myśli sobie o pani Oliwii, tak wyjeżdżającej do Londynu całkiem samej. Słyszałem o pewnym gogusiu...

— Daj spokój, Tomaszu — przerwał mu brat. — Pani Oliwia jest uczciwą kobietą, głowę dam za to.

— Z pewnością, ale moja Elsie powiada...

— Długi język twojej Elsie nie jest nowością — przerwał mu znowu Stanley.

— Ale posłuchajcie no! — rzekł zniecierpliwiony Tomasz. — Czy pamiętacie takiego londyńskiego gogusia nazwiskiem Guy Forster? Prawnik, często przyjeżdżał do dworu w Binwood wtedy, kiedy nasz Filip dopiero zaczął robić słodkie oczy do pani Oliwii.

— Pamiętamy, chciał się żenić z nią — rzekł Cook. — I stary dziedzic też sobie życzył tego małżeństwa. Ten goguś Forster jest bardzo zamożny. Został jedynym właścicielem poważnej firmy prawniczej, którą kiedyś prowadził do spółki ze starym Jamesem Debenhamem, teściem dziedzica — tym samym czarnym prawnikiem, który nam dopomagał w czasie rebelii głodnych żołądków.

Szli w stronę chatki Appletonów.

— No, więc właśnie — rzekł Tomasz. — Otóż ja słyszałem, że to właśnie Guy Forster opiekuje się naszą panią Oliwią, kiedy ona jeździ do Londynu. I nie ma w tym nic złego. Goguś z niego może i był, ale to uczciwy człowiek.

— A co więcej, to on już teraz musi być niemłody; był przecież dużo starszy od naszej pani Oliwii — rzekł Stanley tonem człowieka, który zna się na życiu i kobietach. — Nigdy się nie ożenił, prawda?

— A nie — potwierdził Cook. — I możesz być pewny, że Filip dobrze wie, co jego żona porabia w Londynie. Na Forstera się zgadza. Ostatecznie, to przecież Forster bronił i nas, i Filipa podczas procesu.

— Nie wydaje się, aby Filip bardzo dbał o to, czy pani Oliwia... — zaczął Tomasz.

Cook zaprotestował.

— Nie bój się, już ja nie chciałbym być w skórze tego, co by się naraził

naszemu Filipowi. On rogi nosić? A pamiętacie, jak wyrzucił z domu tego malarza Bowersa? I pewno miał rację. Wiecie sami, jacy są ci artyści!

— A ona nadal się widywała z Bowersem — przypomniał Tomasz.

— Ale już Filip się postarał, żeby Bowersowi tu się zrobiło za gorąco — rzekł Stanley. — Służący mu wymówił, w sklepie nie chciano mu nic sprzedawać. Wreszcie musiał się wynieść.

— No, pani Oliwia już nie taka młodziutka — powiedział Tomasz, rozkoszując się rozmową. Nie tylko jego małżonka uwielbiała plotki. Trzej mężczyźni stali przed chatą Appletonów.

Elsie, która roztyła się jeszcze bardziej i wydawała się jeszcze więcej nieporządna, wyjrzała przez okno.

— Chodźcie już raz do domu, lenie patentowane! Wasz obiad stoi i stygnie od godziny! — krzyknęła do męża i szwagra.

Tomasz zapomniał o swoim zainteresowaniu prywatnym życiem Oliwii.

— Pospieszmy się lepiej — rzekł i pociągnął brata za rękaw.

Stanley nie ruszył się ani nawet nie odwrócił.

— Pani Oliwia jest jeszcze bardzo szykowną niewiastą — powiedział. — Czy są jakieś wiadomości od Adama?

Harold Cook zaczął opowiadać treść ostatniego listu od Adama... Elsie wrzasnęła znowu z okna.

— Na mnie czas — rzekł Tomasz. — Do widziska, Haroldzie. Lepiej nie marudź, bracie!

Stanley nadal spokojnie rozmawiał, jakby nic nie słyszał ani nie widział.

— Adam nigdy nic nie pisuje o sprawach sercowych — opowiadał Harold Cook. — A już mu czas chyba!

— Bywają tacy mężczyźni, dla których nigdy ten czas nie nadchodzi — odparł uroczyście zatwardziały stary kawaler, Stanley Appleton.

Oliwia zdążyła na pociąg. Po platformie, jeszcze nie wykończonyj, spacerował Sir James Paton, wystrojony według najświeższej mody — wąskie spodnie w kratę, luźny, obszerny płaszcz z wyłożonym kołnierzem. Ujrawszy teściową swego syna, uniósł kapelusz ceremonialnym gestem i podszedł ku niej, stukając głośno obcasami, a tak wyprostowany, że odchyłał się nieco do tyłu. Cokolwiek Sir James mógł sobie w skrytości ducha myśleć o Oliwii, nie ulegało wątpliwości, że zwracał się zawsze do niej z wyszukaną uprzejmością. To mu oczywiście nie przeszkadzało robić kąśliwych uwag pod płaszczykiem tej uprzejmości.

— Droga pani, cóż za niespodziewany zaszczyt mnie spotyka! Pani za-

pewne również udaje się do Londynu żelazną koleją. Nie będę więc się nudził w podróży!

Ta przesadna nieco kurtuazja pojawiła się w jego manierach dopiero od niedawna, wraz z nadziejami, które miały się już niedługo spełnić.

— O ile mnie dobrze poinformowano, Sir Jamesie, to będziemy mieli niebawem przyjemność tytułowania pana inaczej — powiedziała teraz do niego wesoło.

— Istotnie, są możliwości, że otrzymam tytuł para — odrzekł Sir James tonem lekceważącym, jakby mówił o śniadaniu, którego od dłuższego czasu mu nie podawano.

— A jakie nazwisko pan przyjmie, Sir Jamesie?

— Chyba Chilcote. Myślałem o tym, żeby tytuł dodać do mego nazwiska — Lord Paton — ale moja żona woli, żebym się nazywał Lord Chilcote.

„Wyobrażam sobie — pomyślała Oliwia — ile też ta żona miała tu do powiedzenia!”

Z rozgłośnym sapaniem i fukaniem lokomotywa wtoczyła się na stację i stanęła przy akompaniamencie straszliwego zgrzytu hamulców. Z ostatnim, głębokim westchnieniem wyrzuciła z siebie kłęby pary, która zasłoniła na chwilę cały peron. Sir James z wielką galanterią podał Oliwii rękę i pomógł jej wsiąść, przy czym Oliwia z powodu szerokiej krynoliny musiała wchodzić przez wąskie drzwiczki bokiem. Baronet usiadł w pustym przedziale naprzeciwko niej, złożwszy obok siebie kapelusze i parasol.

Oliwia rzadko bywała sama w towarzystwie teścia Eweliny. Wprawiło ją to w nastrój łobuzerski.

— Pewna jestem, że zasłużył pan w pełni na swój awans w arystokratycznej hierarchii — powiedziała.

— Tak sędzę, tak sędzę — odparł Sir James, najwidoczniej zupełnie szczerzy i zadowolony. — W tym, co mi się zawsze wydawało i jak sędzę, zawsze będzie mi się wydawało, wyższymi interesami naszego kraju, odegrałem niejaką rolę, jak pani zapewne słyszała, w hamowaniu niewczesnych skłonności niektórych ugrupowań ludności robotniczej do nadużywania swych socjalnych i ekonomicznych praw — jeśli takie prawa w ogóle posiadają, zważywszy, że nawet ich każdy zarobek uzależniony jest od klas posiadających. Ale pani, z jej znanymi radykalnymi poglądami, będzie zapewne odmiennego zdania. Jednakże — tu pozwolił sobie na zadowolony uśmiech — tak się składa, że dystrybucja tytułów i zaszczytów nie została złożona w pani rączki, droga pani.

— Czy pan nigdy nie pomyślał o tym — zapytała Oliwia głosem spokojnym, choć dźwięczały w nim niebezpieczne nuty — że te klasy posiadające są jednak uzależnione od robotników?

— Klasy posiadające — odparł przyszły par i lord tonem nauczyciela,

przemawiającego do tępego raczej ucznia — mają poczucie odpowiedzialności, którego to poczucia robotnicy wcale nie mają.

— Czy ta odpowiedzialność klas posiadających nie jest odpowiedzialnością tylko w stosunku do własnych majątków?

— No, to właśnie jest odpowiedzialność. Te majątki są powierzone celem przekazania ich... hm... potomności. — Sir James podkreślił wypowiedzianego wąsa.

— Pan chce powiedzieć: najstarszym synom — odrzekła Oliwia.

Ogarnęło ją zniecierpliwienie. Ta rozmowa nie miała żadnego sensu. Diametralne przeciwieństwa nie mogły się nawzajem przekonać podczas przypadkowego spotkania w pociągu. Ale ostatecznie, czas szybciej upływał na rozmowie, a Oliwia nie mogła przecież wyciągnąć nagle książki i zacząć czytać. Sir James mówił:

— Cóż, na bezrobocie jest lekarstwo — emigracja. Kolonie potrzebują ludzi, dają świetne warunki. Nasz kraj jest przeludniony. Ludzie mnożą się jak króliki.

— A więc jedyne, co możemy uczynić dla tych, których pracy zawdzięczamy nasze bogactwo — odparła Oliwia — to wypędzić ich z ojczyzny, którą nie wiadomo za co kochają?

— Za długo mieszkała pani na wsi, droga pani Oliwio — rzekł pobłaźliwie Sir James i poważniejąc ciągnął dalej uroczyście: — pani mąż, i pani także, powinniście więcej zwrócić uwagi na problemy przemysłu, na zagadnienie, jak budować nasze imperium i utrzymywać naszą kluczową pozycję międzynarodową. Wówczas patrzylibyście na sprawy raczej z mojego punktu widzenia i może kto wie, niedługo zwracałbym się do pani per: „Lady Oliwio!” — Uśmiechnął się najmilej, jak mógł, i wyglądem przypominał chyba tylko tygrysa, z satysfakcją rozdzierającego ofiarę.

— Całe moje życie usiłowałam być szczerze i prawdziwie sobą — odparła Oliwia z gniewnym błyskiem w oczach. — Nie chcę być kimś innym ani zmieniać mojej etykiety!

— No, cóż, różni są ludzie na szerokim świecie — mruknął Sir James. — To mi coś przypomina. Czy wie pani już, że Edward dostał dłuższy urlop z wojska? Miałem od niego list dziś rano.

— Tak, mówiła mi Ewelina — odrzekła Oliwia, opanowując irytację, by podtrzymać familijną rozmowę we właściwym nastroju ducha.

— Ich mały wydaje mi się kapitalnym chłopakiem — mówił Sir James, mając na myśli wnuka, którego Ewelina urodziła przed trzema miesiącami. — No, odziedziczy kiedyś piękny majątek, o ile oczywiście jego ojciec przestanie robić głupstwa ze swymi pieniędzmi.

Tu Oliwia straciła grunt pod nogami. Ewelina nigdy takich spraw z matką nie omawiała. Z ojcem — na pewno, ale stosunki Oliwii z mężem były ostatnio

czysto formalne. Sir James spostrzegł od razu, że to, co mówił, było nowością dla jego towarzyszkii podróży.

— Muszę przyznać — powiedział — że raczej zawiodłem się na Edwardzie. Podobno jest dobrym żołnierzem. Świadczy o tym jego szybki awans aż do szarży pułkownika. („Jego szybki awans świadczy tylko o tym, że papa używał swoich wpływów i pieniędzy” — pomyślała Oliwia). Natomiast nie mogę zrozumieć, dlaczego mój syn daje się złapać na każdy, najbardziej zwariowany pomysł tracenia pieniędzy. Tak głupio inwestuje, że to trudno pojąć. Nigdy się mnie nie poradzi, dopiero po fakcie przychodzi i stara się mnie przekonać, bym równie łatwo rozstawał się z pieniędzmi, jak on.

Oliwia wtrąciła niewinnie:

— Jestem pewna, że to mu się nigdy nie uda.

Sir James rzucił w jej stronę nieufne spojrzenie, ale Oliwia siedziała ze skromnie spuszczoneym wzrokiem. Zdecydował się zignorować uwagę, zwłaszcza że nie umiał znaleźć odpowiedzi. Pochylił się naprzód i powiedział poufnym, przyciszonym głosem, chociaż byli sami w przedziale:

— Ale muszę pani powiedzieć, że jego żona jest wspaniałą kobietą. Na prawdę wspaniałą kobietą. Nie mógłbym sobie życzyć lepszej synowej. Ufam, że potrafi utrzymać w ryzach Edwarda, chociaż jest tak rozrzutny i lekkomyślny. Niebezpieczeństwo tylko na tym polega, że będzie próbował trwonić pieniądze za jej plecami. Ewelina zarządza majątkiem Binwood, ale według prawa wszystko jest oczywiście własnością męża. Ale, powtarzam, wspaniała młoda kobieta, rozsądna, ma właściwe poczucie wartości. — Mówił dotąd tak, jakby Ewelina i Oliwia były sobie w ogóle obce. Odchylił się z powrotem do tyłu i dorzucił: — Po ojcu, oczywiście. Ale jej zdrowy rozsądek zaprowadzi ją dalej niż jej ojca.

Zadowolony, Sir James wyjrzał przez okno. Oliwia aż zaniemówiła z gniewu. Nie wiedziała, co by powiedzieć, żeby nie wydało się nielojalnością wobec córki albo męża. Odrzekła wreszcie z ironią:

— Pan jest wzorem taktu, Sir Jamesie.

Znowu, gdy spojrział na nią, miała oczy skromnie spuszczone.

— Podobno młody Alek pięknie się spisuje w Oxfordzie — zaczął znowu Sir James.

— W czym — odparła Oliwia — nie wstąpił w ślady ani ojca, ani matki.

— Obawiam się tylko, że naukowa kariera nie jest dochodowa.

Oliwia nie odpowiedziała i zapadło skrępowane milczenie. Właściwie należało teraz wspomnieć o Adamie. Oczywiście, Sir James nie poruszyłby takiego tematu. A Oliwia nie mogła — nie wiedziała, co się z jej ukochanym pierworodnym w ogóle dzieje. Adam pisał ostatnio z Aldershot, bezpośrednio po usunięciu go z wojska. Pisał, że będzie sobie szukał pracy — niełatwa rzecz z jego przeszłością. Będzie musiał chwytąć się każdego zajęcia, przypadko-

wego, byle nie zadawano pytań. Na zakończenie napisał — z bezwzględną brutalnością, zdaniem Oliwii — że ma nadzieję nie spotkać nikogo z rodziny, dopóki nie ułoży sobie życia w cywilu. Od tej pory — cisza. I znowu Sir James próbował nawiązać rozmowę.

— Pani jedzie odwiedzić przyjaciół w Londynie?

— Jadę do kuzyna mego ojca, wielbego Archibalda Blacka. Zna go pan. Dawał ślub Ewelinie i Edwardowi.

— Myślałem, że już dawno umarł — rzekł obojętnie Sir James.

Oliwia zamyśliła się. Nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego stary pastor tak nagle i pilnie wezwał ją do siebie. Napisał dziwny list, nalegając, żeby mu poświęciła parę dni. Oliwia przypuszczała, że staruszek czuł nadchodzącą śmierć i chciał ją jeszcze raz zobaczyć.

Najdziwniejsze było to, że pani Hodderowa nie wspomniała o niczym, co by wyjaśniło ten pośpiech, z jakim stary pastor wzywał Oliwię.

Rozdział siedemnasty

— Ale nie napisałeś o tym ani słowa! — zawoła Oliwia.

— Tak było najlepiej, moja droga Oliwio — odparł z łagodną stanowczością wielbny Archibald Black. — Twoje poczucie obowiązku nie pozwoliłoby ci wyjechać z Orchards, nie powiedziawszy o wszystkim Filipowi. A to by tylko utrudniło sytuację. Jeśli przyjeżdżasz do Londynu, by odwiedzić starego krewniaka — jest to rzecz całkiem naturalna. Ale przyjechać po to, by zobaczyć się z synem po jego... po jego...

— A czy pani Hodderowa nie wiedziała, kim jest Adam?

— Kiedy przyszedł do mnie pierwszy raz, unikał wymienienia swego nazwiska. Namówił ją, by go wpuściła do mnie bez anonsowania. Od tej pory знаła go tylko jako mego młodego przyjaciela.

Siedzieli we dwoje w gabinecie pastora, gdzie Oliwia zastała swego krewnego, czytającego esej Johna Staurta Milla, radykalnego humanisty i filozofa, zatytułowany „O wolności”.

— A jak on wygląda? Co robi? Co sądzisz o nim, stryju Archibaldzie?

— Dzielny i podziwu godzien młodzieniec, moja droga Oliwio. Zmienił się bardzo — och, bardzo! Ma skryzalizowane poglądy, wie, czego chce, wie, jaką ma pójść drogą. Jest w nim jakaś spokojna pewność siebie, ufność we własne siły, co widywałem u ludzi tylko wtedy, gdy dojrzejają intelektualnie. To wcale nie znaczy, że jest agresywny. Bynajmniej. Ale ma świadomość obowiązku wobec samego siebie. I wypełni ten obowiązek. Jeśli ktoś zechce mu w jego drodze towarzyszyć — przyjmie chętnie, nawet przyjaźnie takie towarzystwo. Jeśli nie — on i tak pójdzie swoją drogą. Ma własne zasady.

które wykuł nie w modlitwie, jak miałem nadzieję, lecz w konflikcie z samym sobą. Wie, że on sam — i tylko on — może być dla siebie władzą ustawodawczą. Jak wygląda, pytasz? Od czasu tej rany ma opadającą jedną powiekę. Poza tym wygląda świetnie. Nie jest może piękny, ale przystojny, o miłej twarzy i wspaniale zbudowanym ciele. Stary człowiek, jak ja, potrafi ocenić korzyści tego idealnie działającego organizmu — ani uncji zbędnego tłuszczu: tylko mięśnie i muskuły.

— Wie, czego chce; wie, jaką pójdzie drogą — powtórzyła powoli Oliwia. — Ale czego on chce? I co to za droga?

— Chwileczkę, moja droga Oliwio. — Stary pastor położył końce sztywnych, zgrubiałych od reumatyzmu palców na splecionych rękach Oliwii. — Dojdziemy i do tego. Ale najpierw pozwól mi powiedzieć, że w Adamie jest bardzo dużo z Filipa takiego, jakim był niegdyś w Binwood. Tylko że Filip zawsze kierował się instynktem. Nawet gdy go uczyłem na probostwie, jego reakcje wobec tego, cośmy razem czytali, były zawsze instynktowne. Te odruchy były prawie zawsze słuszne, uczciwe, humanitarne, ale były to odruchy instynktowne...

— Gdzie są teraz te słuszne i dobre instynkty Filipa? — zapytała Oliwia z westchnieniem tak głębokim, iż zabrzmiało jak jęk żalu.

— Widzisz, właśnie dlatego, że teraz nie słucha własnych instynktów, wydaje ci się innym człowiekiem. Ale instynkt nie umiera w człowieku nigdy, moja droga.

Uśmiech, którym Oliwia odpowiedziała na tę próbę pociechy, był bardzo błady.

— Otóż Adam nie kieruje się instynktem — ciągnął stary pastor. — Jest człowiekiem logicznie myślącym, którego intelekt kontroluje uczynki. Wy pracował sobie własny kodeks — głęboko humanistyczny. Adam rzadko — nie mówię nigdy, gdyż człowiek jest słabą istotą — ale rzadko postąpi wbrew swoim przekonaniom. Głęboko wziął sobie do serca kwestię nędzy ludzkiej. Stogów nie będzie podpalał, ponieważ osądzi, że to nie naprawi zła od korzeni, ale...

Do późnego wieczoru rozmawiali. Do późnej nocy Oliwia bezsennie przewracała się w łóżku, próbując wmówić sobie, że uda jej się zabrać Adama do Orchards choćby na krótko, aczkolwiek sama się bała konsekwencji takiego postępu. Gdy zapadła w niespokojny sen, śnił jej się Filip taki, jak i m był przed ich ślubem i Adam, wypominający jej, że jest złą żoną.

Kundel doskonale wyczuwał nastrój swego pana. Nie uganiał wokoło, nie wracał co chwila po uśmiech i pieszczotliwego klapsa; biegł truchcikiem tuż przy nodze. Bezsenna noc zostawiła ślady na twarzy Adama. Szedł długimi

krokami na probostwo, wysoko podnosząc głowę, a w sercu mając gniew, o którym sam dobrze wiedział, iż jest nierozumny. Nie tyle mu właściwie chodziło o to, że Agnieszka nie chciała pójść razem z nim *do* starego pastora. Rozgniewał go fakt, że nie podała żadnej przyczyny odmowy. A jeszcze więcej złościł się na samego siebie za to, że dopuścił do siebie cięń wątpliwości. Skąd niby miał wiedzieć, czy Agnieszka nie miała... kogoś innego? Chłodny rozsądek *mówił* mu, że nie ma nikogo, że poznał *już* jej charakter, że nie mogłaby go zwodzić w ten sposób. A serce bijąc mocno, odpowiadało, że jeśli Agnieszka ma w ogóle jakieś tajemnice przed nim, to może go i zwodzić nawet w ten sposób. Doświadczał stanu, który był w jego naturze wyjątkiem, potwierdzającym regułę. W tej chwili instynkt zapanował nad logicznym rozumowaniem w sercu Adama, wbrew temu, co *mówił* o nim stary, mądry pastor.

Pod pachą niósł paczkę z ciastem, wiedząc, że będzie musiał siedzieć w gabinecie o zniszczonych meblach i pilnować, żeby pastor zjadł swoją porcję — inaczej pierwszy nędzarz, napotkany na ulicy albo przed kościołem, otrzymałby tę paczkę.

Nawet z panią Hodderową Adam, zazwyczaj tak przyjacielski, był szorstki tego popołudnia.

— Wielebny pastor ma gości — powiedziała pani Hodderową. — Ale polecił mi wprowadzić pana zaraz.

Adam zachnął się z irytacją. Wszedł do gabinetu. Tylko stary pastor znajdował się w pokoju, schylony, jak zwykle, nad książką.

— Wuju Archibaldzie! Pokłóciłem się z Agnieszką — wybuchnął młody człowiek.

Pastor obrócił się i spojrzawszy na niego ponad okularami, dźwignął się na nogi.

— Siedź, wuju drogi — rzekł Adam, sadzając łagodnie staruszka z powrotem na fotel. — I opowiedz mi wszystko, co wiesz — wszystko, wszystko! — o Agnieszce Naylor.

Pastor popatrzył uważnie na swego gościa.

— Chętnie, mój synu. Chętnie. Może trochę później? Mamy dziś...

— Nie chciała przyjść ze mną — przerwał mu Adam gwałtownie. — I nie chciała mi powiedzieć wcale dlaczego. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że Agnieszka może być taka... taka...

— Lojalna wobec życzenia starego pastora? — przerwał mu z kolei staruszek.

— Wobec życzenia?... Ty, wuju? Co to znaczy? — Adam aż się zająknął.

— Zaraz się dowiesz, dlaczego Agnieszka nie przyszła dzisiaj, dlaczego uważałem, że będzie lepiej, jeśli nie przyjdzie i jeśli nawet nie powie ci...

Jeszcze mówiąc, pastor zastukał mocno obcasem w podłogę. Kundel, za-

warczał groźnie, unosząc pysk w stronę drzwi, które z gabinetu prowadziły do małego pokoiku, gdzie jak Adam wiedział, mieściły się rejestry parafialne i dokumenty. Te drzwi otworzyły się...

— Mój Boże! Matka!

Oliwia przystanąła na progu. Adam podniósł się i stał patrząc na nią, jedną ręką wsparty o poręcz kanapy, odchylony do tyłu, jakby się powstrzymywał, by ku niej nie podbiec. W rzeczywistości prawie jej nie widział. Przez myśl przelatywały mu słowa Agnieszki z poprzedniego dnia — tego dnia, na który wyczekiwał z utęsknieniem i z obawą... „Nie pójdę z tobą... zmieniałam plany... mam pewne sprawy... nie ma odpowiedzi...” A cóż z niego był za idiota! Idiota! Idiota!

Oliwia podeszła do syna.

— Taki jesteś zaskoczony, Adasiu? — Starąła się za wszelką cenę mówić naturalnie, nie przestraszyć go melodramatem.

Jego odpowiedź była dla niej kompletnie niezrozumiała.

— Oczywiście! Dlatego nie mogła przyjść!

Stary pastor, który wychylał się ze swego fotela uśmiechnięty, wiedział, o co chodzi.

— Tak, dlatego nie mogła przyjść — powtórzył. — Powinieneś być zaufać jej, mój chłopcze. Liczyłem na to, że jej zaufasz.

Biedna Oliwia! Czy oni zwariowali, ci dwaj — stary i młody? Mówili, że nie przyszła, kiedy przecież ona właśnie przyszła! Oliwia stała w miejscu jak wryta. Wszystkie jej plany, aby to spotkanie uczynić możliwie naturalnym, jakby nie była rozdzielona od swego najstarszego syna na dłużej niż parę tygodni — rozwiały się w nicość. Adam nadal patrzył na nią tak, jakby jej nie widział. Wyciągnęła ku niemu obie ręce — nie po to, by go objąć, a tylko ująć jego ręce w swoje. Adam podniósł rękę — z dłonią podniesioną, rozstawionymi palcami — jakby chciał matkę odsunąć. Gwałtownie uchylił się w lewo i wypadł razem z kundlem z pokoju, zanim Oliwia się zorientowała, co zamierzał. Stała, patrząc za nim, przerażona.

Z fotela o wysokim, oskrzydłonym oparciu dobiegł ją głęboki, schrypnięty śmiech.

— Zaraz wróci — rzekł pastor. — Siądź tutaj, moja droga Oliwio.

Oliwia wciąż stała, patrząc na drzwi. Usłyszała, jak jej syn przebiegł przez hall jednym skokiem i dopadł drzwi frontowych, najwidoczniej nie fatygując się wcale, by zabrać płaszcz i kapelusz.

— Wuju Archibaldzie... czy on nie jest... czy on jest całkiem normalny?

— Równie normalny, jak ja sam — odparł staruszek. — A zaryzykował bym twierdzenie, że nawet nie mniej normalny od ciebie, moja droga!

Oliwia opadła na kanapę, z której przed chwilą uciekł Adam i mechanicz-

nie rozkładając fałdy krynoliny, patrzyła na starego pastora, jakby był średniowiecznym czarodziejem. Westchnęła.

— Czy Adam się teraz kierował instynktem, czy intelektem? — zapytała z powracającym poczuciem humoru.

Tymczasem Adam biegł z probostwa do domu Agnieszki. Taki miał rozpęd, że ledwo zdołał przyhamować, dopadłszy wejścia. Poślizgiem wleciał w sień, z której prowadziły schody do różnych mieszkań, odbił się o framugę jak bilardowa kula, która ledwie osiągnęła zamierzone zagłębienie. Odtrącił jakąś postać, nie patrząc wcale na nią i gdy skręcił w klatkę schodową, by gnać w górę po trzy stopnie naraz, usłyszał wołający za nim głos, zarazem urażony i rozbawiony:

— Zdążyysz, młody człowieku, zdążyysz! Ona jest w domu... — Adam nie słyszał już więcej, ale poznał głos gospodyni Agnieszki. Pocziwa kobieta mówiła dalej: — I wypłakuje sobie oczy. Bóg jeden wie, coś jej takiego zrobił! Ale myślę, że może przychodzisz, by to naprawić..,

Adam rzucił się na drzwi mieszkania. Były zamknięte. Walił pięściami jak na pożar. Kundel zaszczekał z wielkiego podniecenia. Wewnątrz, w głębi, inne drzwi otworzyły się i zamknęły: na korytarzu zabrzmiały kroki Agnieszki. Adam nie mógł się doczekać.

— Otwieraj, Agnieszko, otwieraj! — wołał. — To ja, Adam!

Zazgrzytał klucz w zamku, zadźwięczał zdejmowany łańcuch. Adam wpadł do środka i ujrzał tylko pusty korytarz. Agnieszka znikła za gwałtownie otworzonymi drzwiami. Odwrócił się i chwycił dziewczynę w ramiona. Zanim w ogóle wiedziała, co się dzieje, już całował gorąco jej oczy, włosy, usta.

— Adasiu! Ależ, Adasiu! Przestań, Adasiu! — wołała na wpół płacząc, na wpół się śmiejąc, zachwycona.

— W porządku — dyszał Adam. — Wszystko w porządku. Rozumiem... co za idiota ze mnie... niech cię Bóg błogosławi... wrócę później. Będziesz w domu?

Czysto po męsku wcale nie pomyślał, że i ona mogła się czuć urażona.

— Będę, oczywiście...

I już go nie było. Słyszała, jak pędził po schodach...

Stary pastor opowiedział w paru słowach o Agnieszce i dopilnował tego, że gdy Adam powrócił, zastał ich oboje siedzących przed kominkiem, taca z herbatą koło Oliwii, która tylko gestem ręki zaprosiła syna, by usiadł na kanapie, obok niej, tak blisko, o ile tylko krynolina pozwalała.

— Nie stwarzaj atmosfery napięcia i nerwowości — doradzał pastor.

Było to zresztą również zamierzeniem Oliwii, dopóki wypadki tego wieczoru niezrozumiała dla niej gwałtownością nie wytrąciły jej z obmyślonej starannie równowagi i pogody ducha.

Ale razem z Adamem powróciło i nerwowe napięcie. Młodzieniec zmierzył uważnym spojrzeniem czekającą nań przed kominkiem parę, wyczuł ukrywany niepokój, odgadł jego powody i zdecydował rąbać prawdę prosto z mostu, bez ogródek. Nie chciał stwarzać sposobności do sentymentalizowania.

— Przepraszam. Musiałem powiedzieć coś pilnego dziewczynie, z którą się żenię — rzekł. Tymi słowami odezwał się do matki po raz pierwszy od ośmiu lat.

Od przyjazdu na probostwo Oliwia wciąż wyobrażała sobie, jak też odbędzie się to spotkanie. Miała nadzieję, że ukochany syn powitają z otwartymi ramionami; to znowu bała się, że odwróci się na jej widok i oedzie bez słowa. Roztrząsała wszelkie możliwe warianty między tymi dwoma ostatecznościami. Ale teraz pomyślała, że nawet w snach nie mogłaby przewidzieć spotkania tak zwariowanego, jak to, które rzeczywiście miało miejsce. Przez chwilę chciała chwycić Adama za ramiona i potrząsnąć nim z całej siły, zapytać, czy go nic nie obchodzi matka, dom, rodzeństwo, ojciec?

Na szczęście spokój, zarówno zewnętrzny, jak i wewnętrzny, nie opuścił wielbego Archibalda Blacka. Jemu to łatwiej przyszło. Znał już trochę tego nowego Adama. I nie był tak głęboko zaangażowany emocjonalnie.

— Małżeństwo z Agnieszką jest z pewnością decyzją słuszną, chociaż zważywszy okoliczności, wymagającą pewnej odwagi — powiedział.

— Odwaga jest po jej stronie — odrzekł Adam. Siedział teraz na kanapie obok matki i jadł ciasto, które poprzednio sam wręczył pani Hodderowej.

Oliwia starała się naśladować pastora.

— Kiedy zamierzasz się ożenić, mój synu? — zapytała.

— Kiedy tylko wuj Archibald będzie mógł nam dać ślub.

— No cóż, nie widzę tu szczególnych trudności — odrzekł pastor. — Mogę ci powiedzieć, że ta nowina nie jest dla mnie niespodzianką, mój chłopcze. — Uśmiechnął się do niego z pogodną serdecznością.

— Przywieziesz najpierw swoją narzeczoną do Orchards? — zapytała Oliwia.

— Na pewno nie! — odrzekł Adam szorstko.

Roztkliwianie się nad sobą nie było cechą charakteru Oliwii. W tej chwili jednak czuła, że bezwzględność Adama niepotrzebnie utrudni jej i tak trudne stosunki rodzinne. Odrzucając w zniecierpliwieniu dobre rady pastora, spytała żywo:

— Kto ona jest? Skąd pochodzi? Gdzie ją poznałeś?

— Jest matką nieślubnego dziecka. Pochodzi z sierocińca. A poznałem ją tutaj, w tym pokoju — odrzekł biorąc z jej ręki filiżankę herbaty i dodał: — Dziękuję.

Oliwia zaczęła sobie zdawać sprawę, że Adam, niespodziewanie postawio-

ny twarzą w twarz z matką, bał się czegoś. Czego? Że zaciągnie go do domu? Nie. Adam nie był człowiekiem, którego by można wbrew jego woli gdziekolwiek zaciągnąć. To już wiedziała, choćby z historii jego uwięzienia w Lucknow — historii, której знаła dwie wersje, z dwóch punktów widzenia, a ani jednej obiektywnej. Czegóż więc się bał?

— Twój ojciec i Alek będą chcieli poznać twoją narzeczoną — powiedziała, ostrożnie próbując gruntu. Eweliny lepiej nie wspominać.

— Nie wyobrażam sobie, żeby ojciec naprawdę chciał ją poznać — odparł Adam. — Co do Alka, to może ją spotkać na neutralnym gruncie, jeśli chce. Ale inicjatywa musi wyjść od niego. Postawmy sprawę jasno, mam — ja mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę Orchards.

— Nie będę nalegała, mój synu. Ty nie jesteś pierwszym członkiem naszej rodziny, który wybrał sobie odmienne — i uboższe — warunki życiowe od tych, w których był wychowany.

— Mnie nie obchodzą warunki życiowe — odparł Adam. — To jest w tym wypadku rzecz drugorzędna. Obchodzą mnie sprawy rodzinnych więzów i obowiązków.

A więc o to chodziło! Jej syn obawiał się, że matka spróbuje opłacać go swoim uczuciem, płakać mu na ramieniu. Powinien był znać ją lepiej.

— Różnymi metodami i sposobami uwolniłem się od wszelkich więzów, które nie są z. mojego własnego, wolnego wyboru — ciągnął Adam. — Kiedy teraz spotkamy się z Alkiem, spotkamy się jako obcy ludzie. I zobaczymy, czy przypadniemy sobie do gustu. W zależności od tego zostaniemy przyjaciółmi albo wcale się nie będziemy znali.

— A jednak zaryzykowałeś i przyszedłeś do mnie — przypomniał mu z niewinną przebiegłością pastor.

Odpowiedź Adama dotknęła Oliwię do żywego.

— Ty, wuju, byłeś jednym z bardzo niewielu na świecie ludzi, o których mogłem być pewien, że mnie zrozumieją. Może sam nie wiesz o tym, wuju, ale ciebie znają w tej dzielnicy Londynu. Nie było trudno domyślić się, z jakiego rodzaju przyjęciem się spotkam. Poza tym nasze pokrewieństwo to dziesiąta woda po kisielu i niewiele mamy wspólnej krwi w żyłach.

Oliwia aż się zachnęła. Ale teraz już wiedziała, czego nie wolno jej mówić, chociażby każde słowo miała odważać we własnym sercu. Nie wolno go zrazić. Musi sprawić, aby ją polubił dla niej samej. I w głębi duszy poezula podziw dla tego syna, chociaż jednocześnie cierpiała nad jego szorstką oschłością. Zarazem wszakże straciła się i nie miała pojęcia, co ma w ogóle mówić. Rozmowa utknęła na martwym punkcie. Nie chciała poruszać tematów rodzinnych, mówić o ojcu, bracie, siostrze, aby się nie wydawało, że chce synowi przypomnieć o więzach, które istnieją, choćby ich nie uznawał.

Stary pastor znowu pospieszył ratować sytuację, zwracając rozmowę na bezpieczne tory.

— Zamierzacie wziąć cichy ślub, przypuszczam? — zapytał.

— Taki cichy, że go prawie nikt nie dosłyszy — odrzekł Adam i pierwszy uśmiech, jaki do tej pory Oliwia u niego zobaczyła, rozjaśnił mu rysy. W tym uśmiechu dopiero matka odnalazła swego ukochanego syna. Opadająca powieka zmieniała wyraz jego twarzy bardziej, niż Oliwia oczekiwała. Ale w uśmiechu była dawna szczerłość, dawny chłopięcy urok. Serce jej wyrwało się ku niemu, poczuła, że go rozumie, chociaż ona sama porzucała dom rodzinny w innych okolicznościach. Jej powodem była miłość. Adam pozwolił sobie poddać się miłości dopiero wtedy, gdy już wykrystalizował własny światopogląd.

— Druhny? Drużbowie? — pytał dalej pastor.

— Jedna druhna, Julietka — to jest córka Agnieszki, mamó. Ma siedem lat. I mój dawny sierżant z wojska, Fred Smith, o ile się zgodzi. Nie zaprosiłem go jeszcze, ale sądzę, że nie odmówi.

— Twój dawny sierżant? — zapytała Oliwia. — Ależ to ten, który... — Zatrzymała się, zdając sobie sprawę, że jej własna porywczność znowu zaprowadziła ją na niebezpieczne ścieżki.

— Który postawił mnie przed sąd wojskowy, w rezultacie czego dostałem dwa lata ciężkich robót i wyrzucono mnie z wojska? Tak, ten sam. Wcale mu tego nie mam za złe.

— Urządzenie jakiego przyjęcie? — ciągnął pastor.

— Zjemy dwa kotlety wieprzowe i popijemy butelką portera, gdy wrócimy do pokoju Agnieszki, jeśli akurat wtedy będziemy sobie mogli na to pozwolić. Nie widzę żadnej korzyści w tym, że inni ludzie mają się bawić na naszym weselu. My chcemy tylko wpisać nasze nazwiska we właściwym miejscu, zanim zaczniemy żyć z sobą. Nasze szczęście nie zależy od weselnego tortu.

Jak serce matki miało nie krwawić, słysząc, że jest tak wykluczona od ślubu swego pierworodnego syna? Oliwia panowała nad sobą z największym trudem. Ale właśnie spokój i opanowanie były jej jedyną nadzieją. Musi próbować.

— Czy możesz dać nam ślub, wuju, jeszcze przed gwiazdką? — zapytał Adam, pochylając się ku pastorowi. — To krótki termin i bez zapowiedzi, ale może...

— Potrzebna będzie specjalna licencja, a to są koszty... — Wielebny Archibald Black spojrział znacząco na Oliwię, która siedziała za Adamem. Skinęła leciutko głową.

— Może się to uda jakoś załatwić — powiedział pastor. — Porozmawiam jeszcze o tym z Agnieszką. — Nieznacznie mrugnął na Oliwię.

Pani Hodderowa weszła, by sprzątnąć po podwieczorku. Powitało ją skrepowane milczenie. Oliwia pragnęła przedstawić jej Adama, jako swego syna, ale bała się go urazić. Przy drzwiach frontowych zadzwieczał dzwonek. W chwilę później drzwi do gabinetu otworzyły się cicho. Trójka przed kominkiem odwróciła się, by spojrzeć: Adam skoczył na równe nogi, uśmiechnięty, radosny, przemieszany.

— Agnieszko! — Po czym uśmiech znikł mu z twarzy. — Ale co cię tu sprowadza?

Kundel skakał i lizał ręce dziewczyny. Agnieszka popatrzyła uważnie po twarzach trojga osób. Adam był skrepowany. Do tej pory poprowadził rozmowę z matką tak, jak sobie życzył. Ale nie przewidział — tej wizyty. Stary pastor wyglądał zza skrzydła wysokiego oparcia fotela, z aprobującym uśmiechem. Oliwia oceniała miłą nieśmiałość dziewczyny, wyraźną w orzechowych oczach chęć przypodobania się, wdzięczną subtelność jej postaci, razem z wyprostowaną postawą, która sugerowała zaradność i energię. Oliwia wstała powoli z kanapy, ale jeszcze nie uczyniła pierwszego kroku.

Dziewczyna spojrzała na Adama.

— Nie będziesz się gniewał na mnie? Musiałam... nie mogłam czekać dłużej... zdecydowałam, że muszę zobaczyć twoją matkę, która teraz będzie i moją także...

Oliwia już więcej niczego nie potrzebowała. Uniosła lekko krynoliny i pobiegła. Oto było zbawienie! W mgnieniu oka pojęła, że teraz nie straci syna, utraconego od tak dawna. W sekundę później obie kobiety obejmowały się i całowały. Uradowany pastor szturchnął Adama, który przez chwilę patrzył w kompletnym oszołomieniu. Nagle szczery, chłopięcy uśmiech rozjaśnił jego twarz. Oliwia zdjęła czepeczek i szal Agnieszki, podprowadziła ją do kanapy.

— Właśnie omawialiśmy szczegóły waszego ślubu — mówiła.

Agnieszka była równie prostolinijna i szczerą, jak Adam.

— Wiedziałam, że mogą być trudności — rzekła. — Pomyślałam sobie, że jeśli przyjdę trochę później, będę mogła może pomóc... — Spojrzała na matkę i syna. — Że może będzie łatwiej. Oczywiście, pewnie trochę przyczyniła się także zwykła kobieca ciekawość...

Adam i Oliwia oboje jednocześnie chcieli uścisnąć Agnieszkę. Wymknęła się im, schylając się szybko, i zostawiła ich obejmujących się nawzajem. Agnieszka i pastor śmieli się i oklaskiwali.

Wyswobodziwszy się, zaczerwieniony i zmieszany, ale uśmiechnięty, Adam powiedział:

— Widzisz, mam, jaki sobie kłopot biorę!

— Widziałam również, jaki Agnieszka sobie kłopot bierze — odparła Oliwia.

Wszyscy zostali na kolacji. Pani Hodderowa z dumą podawała różne smakołyki, gdyż Oliwia zaraz po przyjeździe zajęła się zaopatrzeniem spiżarni na probostwie.

Gdy młodzi już wychodzili, Adam powiedział do matki:

— Jeśli ojciec będzie miał cokolwiek do powiedzenia na temat mojego małżeństwa, przypomnij mu, mam, że on też mnie się nie radził, z kim ma się zenić!

— Twój ojciec również należy do ludzi, którzy się nikogo nie radzą nawet wtedy, gdy jest się kogo poradzić — odparła Oliwia z uśmiechem.

Orzechowe oczy Agnieszki mrugnęły do niej wesoło. Adam zignorował tę sugestię podobieństwa między ojcem a synem. Położył tylko ręce na ramionach matki i rzekł bez emocji, ale szczerze:

— Faktem jest, że nie mógłby wybrać lepszej matki dla mnie, nawet gdy bym ja tam był, by mu doradzić.

Rozdział osiemnasty

— Kiedy pierwszy raz pokazywałam twojej matce ten pokój — mówiła w zamyśleniu Agnieszka — czułam się trochę zaambarasowana. Wydawał się taki żałośnie niewystarczający na mieszkanie dla nas obojga i dla Julietki na dodatek. Jeszcze nie wiedziałam wtedy, że nasza gospodyni zabierze Julietkę do swego pokoju. A matka powiedziała tylko: „Mój mąż nauczył mnie, gdy byłam jeszcze młodsza niż ty dzisiaj, że najwygodniejsze jest to łóżko, na którym najbardziej chce się spocząć”.

— Moja matka zaproponowała, że kupi nam dom — wyjaśnił Adam Tygrysowi i Johnowi Barlowowi, którzy siedzieli razem z nimi przed kominkiem. — Mielibyśmy i dochód w ten sposób. Odmówiliśmy oczywiście. Wówczas powiedziała z całym spokojem, że się właśnie tego po nas spodziewała.

— Ale i tak znajduje różne sposoby, żeby nam pomóc — dorzuciła Agnieszka. — Nasza gospodyni zawsze była zacną duszą. Ale od czasu naszego ślubu i Julietkę wzięła do siebie, i wciąż nas podkarmia wybornymi daniami, opowiadając stale, że dostała okazji, że tego właśnie nie lubi, i tak dalej. Ale ja dobrze widziałam, jak matka Adama od razu się z nią zaprzyjaźniła i jak tam ciągle miały jakieś konszachty ze sobą...

— Bardzo szczęśliwie. Bardzo szczęśliwie — rzekł Tygrys Smith. Dawny sierżant dostał pracę listonosza. Dzięki przyjaźni z Adamem stopniowo, ostrożnie, niemniej jednak bardzo szczerze, zaczynał dzielić jego zainteresowania związkami zawodowymi, reformą prawa wyborczego i Instytutem Mechaniki, gdzie prowadzono kształcenie robotników. — Londyńskie gospo-

dynie, odnajmujące pokoje — ciągnął dalej — można podzielić na dwa rodzaje. Wampiry albo takie, które muszą matkować, czy są matkami, czy nie. A na jaką się trafi, to loteria.

— Nasza gospodyni ma powody, żeby być wdzięczną mojej żonie — zauważył Adam.

— Nie zawsze spotkasz wdzięczność, gdzie się jej spodziewasz — odrzekł Tygrys Smith. — Czasem bywa właśnie na odwrót.

Była to rocznica ślubu młodych Hunterów. Pobrali się rzeczywiście cicho, bez żadnych ceremonii, chociaż Adam zmiękł na tyle, że zgodził się na obecność matki i brata. Filipa nie zaproszono. Nikt nie chciał narazić się na wzgardliwą odmowę. Pierwszym družbą był Tygrys Smith, a drugim John Barlow. W kościele zjawili się tłumnie dokerzy z „paczki” Adama. Pani Hodderowa przygotowała na probostwie skromne przyjęcie weselne, w czasie którego mała drużna, Julietka, nie puszczała ręki poważnego młodego studenta, Alka, który odnosił się do niej z niezwykłą u niego sympatią. Miodowego miesiąca nie było wcale. Młoda para zamieszkała w pokoju Agnieszki, do którego Oliwia — w znowiu z synową — wsunęła kilka dodatkowych mebli: dwa fotele, dywan. Adam oczekiwał, że Agnieszka będzie się bała nocy poślubnej po swoim poprzednim doświadczeniu fizycznego zbliżenia z mężczyzną. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i wiele serdecznej czułości.

Adam i Julietka — drobna, bledziutka dziewczuszka o wielkich oczach i trójkątnej twarzyczce o przedziwnym uroku — zaprzyjaźnili się bardzo szybko, Ojczym traktował ją zawsze z całą powagą, nigdy nie odnosił się do niej z góry jak do dziecka i prędko posiadłszy jej zaufanie, został dopuszczony do zabaw, z których najulubieńsza polegała na zabawie w wielką damę, otoczoną liczną służbą. Adam udzielał cennych wskazówek natury technicznej o tym, jak naprawdę wielkie damy się zachowują i jak mówią.

— Wiecie, wcióż, myślę o tym starym pastarze — odezwał się John Barlow. — Ja go dawniej nigdy nie widziałem, chociaż oczywiście mówili mi o nim ludzie. Pomyśleć tylko, miał ponad osiemdziesiątkę, a laki wesół i przystępny! Raz się zapomniałem i zakląłem, a on tylko się uśmiechnął i powiada, że on jest też mężczyzną i doskonale mnie rozumie, ale że w towarzystwie są panie...

— Biedny, zacny staruszek — rzekła Agnieszka. — Ta jego wesołość na naszym ślubie była ostatnim płomykiem życia.

— W każdym razie był szczęśliwy w ostatnich godzinach — dodał Adam. — Cieszył się, że myśmy się pobrali i że mama była z nami.

— To nie były jego ostatnie godziny — zauważył Barlow ponuro.

— Nie. Gdy pomyślę, że umierał sam w swoim gabinecie — powiedziała Agnieszka. — Czy myślicie, że mógł być jeszcze zawołać panią Hodderową?

— Doktor mówił, że nie można być tego pewnym — przypomniał Adam. —

Ale że prawdopodobnie były dwa ataki, a po pierwszym mógł odzyskać przytomność. To do niego podobne, że nie chciał zawołać pani Hodderowej, nie chciał nikomu przyczyniać kłopotu...

— Nie wszyscy bohaterzy noszą mundur królowej — rzekł Tygrys Smith, wyjmując na chwilę z ust ogromną fajkę; poprzednio poprosił Agnieszkę z dworną grzecznością, czy może zapalić.

— Nigdy nie myślał o sobie, tylko o innych. I umarł tak, jak żył — zakończył Adam. — Szkoda, że nie będzie go na chrzcinach. On dawał ślub moim rodzicom i chrzczył ich troje dzieci.

Ocieżała postać Agnieszki, ciemne sińce pod oczami, chudość policzków zdradzały, że niedługo już na te chrzciny wypadnie czekać: do początków nowego roku. Młoda kobieta przypomniała sobie teraz, że stary pastor w ostatnich prawie słowach nalegał, aby, jeśli będzie miała dziecko, prosiła Oliwię o przyjazd do Londynu. Będzie to, mówił pastor, jedyna sposobność doprowadzenia do zgody w rodzinie, chociaż może nie od razu i on już tego nie dożyje. Bo Filip na pewno przyjedzie za Oliwią.

Adam zaś myślał, że odeszła już cała jedna generacja — bohater jego dzieciństwa, James Debenham; później Sir Aleksander Paterson; wielbny Archibald Black; przed dwoma laty generał Ralf Paterson, mówiła mu o tym matka; i przed pół rokiem dawny wielbiciel Oliwii, Guy Forster.

Milczenie, podczas którego myśli męża i żony biegle różnymi torami, przerwał Tygrys Smith:

— A więc Bert Carpenter został zwolniony z wojska jako inwalida.

— Tak, mówił mi o tym jego ojciec — potwierdził Adam. — Spędził prawie cały rok w szpitalu w Chinach.

— Kiepski był z niego żołnierz. Tylko w bitwie dobrze się spisywał.

Agnieszka zaśmiała się i rzekła:

— Jak może być złym żołnierzem człowiek, który się dobrze spisuje w bitwie?— zapytała. — Przecież jeśli jest dobry w bitwie, to znaczy, że jest dobrym żołnierzem.

— Poczekaj, może ja ci to wytłumaczę — wmieszał się Adam. — Bert był dobrym przyjacielem i kolegą, ale bardzo niebezpiecznym wrogiem.

—» Czy chcesz przez to powiedzieć, że był dobrym żołnierzem tylko dlatego, że umiał nienawidzić?

— Coś w tym rodzaju. Widzisz, w wojsku chcą, żebyś walczył tylko wtedy, kiedy jest bitwa i tylko z wrogami królowej. W takich sytuacjach Bert się dobrze spisywał. Ale chciał wojować z własnymi nieprzyjaciółmi także. I do tego się zabierał wtedy, kiedy nie było bitwy. I dlatego ciągle przysparzał kłopotów swoim oficerom i sierżantom — a i kolegom też.

Adam wspomniął z gorącym wstydem swój własny udział w incydencie z Harrym Grantem.

— To bardzo filozoficzne tłumaczenie, Agnieszko — zauważył Tygrys Smith.
— Jeżeli ci powiem, że był nieznośnym typem i nigdy nie było wiadomo, czego się po nim spodziewać, to może będzie to zwyczajniejsze wytłumaczenie.

— Zdaje mi się, że zrozumiałam — odrzekła Agnieszka, śmiejąc się znowu.
— W każdym razie będę z ciekawością czekała, by go poznać, po takiej charakterystyce!

— Czy będzie pracować w porcie? — zapytał John Barlow i nie czekając odpowiedzi mówił dalej: — Bo jeśli mu się zechce dobrej bójki, to John Barlow chętnie służy.

— Zaprzyjaźnisz się z Bertem — rzekł Adam. — I my wszyscy też. Bert nie lubił ludzi nieuczciwych, ot i wszystko. A w wojsku za dużo ich spotykał — wśród wszystkich szarż.

Tygrys Smith poważnie skinął głową i otoczył się wielkim kłębem dymu z fajki.

Alek siedział przy pianinie w typowo wiktoriańskim salonie — zastawionym tłumem ciężkich, krytych drewnem mebli, przeładowanym bibelotami i cackami. Obok niego młoda dziewczyna grała na harfie. Dziewczyna była nieprzeciętnej urody: jasne włosy, ciemne oczy, klasyczne rysy, świeża cera. Chwilami spoglądała na swego partnera wzrokiem pełnym uwielbienia i czułości. Alek grał na pianinie lepiej niż ona na harfie; oprócz tego był już młodym naukowcem, któremu na uniwersytecie rokowano piękną przyszłość. W tej chwili zajęty był tylko grą. Ani razu nie zauważył czułych spojrzeń dziewczyny.

— Czemu tak wzdychasz, Elzo? — zapytała starsza dama, siedząca na kanapie w głębi salonu, gdy młodzi skończyli grać, a Alek zabrał się do szukania nut na pianinie.

Za całą odpowiedź dziewczyna tylko westchnęła znowu.

Starsza dama była matką dziewczyny. Miała szczupłą figurę i zapadnięte policzki, a jej zniszczona twarz, świadczyła o przebytych chorobach. Trzymała na kolanach robótkę włóczkową, ale z rzadka tylko poruszała szydełkiem.

Alek przerwał swoje poszukiwania i wyjąwszy z kieszeni kamizelki zegarek, uniósł brwi.

— Nie wiedziałem, że już tak późno — rzekł. — Bardzo przepraszam szanowną panią, ale muszę się spieszyć. Mam jeszcze dużo roboty.

— Nawet wieczorem? — zaprotestowała Eliza. Miała wdzięk laleczki; teraz porzuciwszy harfę, stała blisko przy nim i patrzyła mu prosząco w oczy.

— Nawet wieczorem — odparł Alek. — Nie mam właściwie prawa marno-

wać czasu. Tylko pani rodzice są zawsze tak uprzejmi... — Skłonił się pani Godwinowej.

Eliza wydeła ładne usteczka, a pani Godwinowa spróbowała zatrzymać gościa.

— Moja córka miała nadzieję, że zostanie pan na kolacji z nami. Pan przecież wie, jak Eliza się zachwyca... jak lubi muzykę i grywanie przy pana akompaniamencie.

— Czuję się zaszczycony — powiedział Alek, uśmiechając się do dziewczyny, ale sztywno, ustami tylko, oczy pozostały poważne. — Ale kiedy jest praca, przyjemność musi, niestety, ustąpić pierwszeństwa.

— Nawet, jeśli to dla mnie jest przyjemnością? — zapytała Eliza, wciąż wdzięcznie nadąsana.

— Jestem w pani oczach brutalem dlatego, że staram się czas mój poświęcić nauce?

— Och, więc idź już pan! — zawołała dziewczyna na wpół z płaczem. — Zmęczyłam się słuchając ciągle o nauce, o studiach i wiedzy, kiedy ja chciałabym po prostu... — spojrzała na matkę, po czym odegnała dąs i uśmiechnęła się słodko: — ...ja chciałabym spędzić mile czas w pana towarzystwie...

— Pani mi pochlebia — odparł Alek. — Dla mnie życie jest sprawą poważną. Jestem młody i...

— Nikt by nie przypuścił, że pan jest młody — odparła, odchodząc od niego. — Młodzi powinni się bawić, a nie... tylko...

— Przepraszam. Dlatego że jestem młody, nie powinienem marnować godzin, dni, miesiące. Są inni młodzi ludzie, mniej zajęci...

— Istotnie, są inni. — Pani Godwin przyszła z pomocą córce. — Inni, którzy nie uważają czasu spędzonego w towarzystwie Elizy za zmarnowany.

— Jestem pewien, że to bardzo rozumni młodzieńcy — Alek skłonił się znowu, a czy słowa jego zawierały złośliwość, czy nie, ani matka, ani córka nie zdobyły się na to, by się obrazić. — Muszę więc opuścić miły dom państwa. I mam nadzieję, że moje złe maniery nie przeszkodzą paniom zaprosić mnie kiedyś znowu.

Elizie ukłonił się sztywno. Dziewczyna stała w milczeniu, kręcąc chusteczkę w paluszkach.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Eliza rzuciła się na kanapę i ukrywając twarz na kolanach matki, rozpląkała się głośno.

— Czy on wcale nie dba o mnie, mamó? Więc po co jednak przychodzi, jeśli mu na mnie wcale nie zależy?

— Poproszę ojca, żeby z nim poważnie pomówił — rzekła pani Godwinowa. — Niedługo będzie Boże Narodzenie. Bardzo odpowiednia okazja, by ogłosić wasze zaręczyny. Naprawdę, nie możemy zapraszać go więcej, jeśli...

się nie zdeklaruje. Młody człowiek nie powinien budzić nadziei panienki, jeśli nie ma poważnych zamiarów.

— Kiedy on wcale nie budził żadnych nadziei — rzekła szczerze Eliza. I znowu wybuchnęła płaczem. — Ale och, mamo, ja go tak strasznie Kocham!

Pan Godwin, niski, krępy, małomówny jegomość, był zamożnym kupcem oxfordzkim. Miał to, co wówczas nazywano pięknym domem i jeździł codziennie do swego biura eleganckim powozem. Alka Huntera przedstawił Godwinom kolega uniwersytecki. Poważny student polubił obie panie i miły domowy nastrój i przyjmował zaproszenia, nie zdając sobie sprawy, że się może niepotrzebnie angażuje. Lubił muzykę, miał sposobność w domu Godwinów grać na pianinie i akompaniować Elizie. W głowie mu nie powstała myśl o zakochaniu się w dziewczynie, ani tej, ani żadnej innej. Gdyby go zapytano, odpowiedziałby, że jego głowa jest do innych celów, innych myśli przeznaczona. A jeszcze nie wiedział w ogóle, czy ma serce. Nie był właściwie egoistą, ale skoncentrował wszystkie myśli wokół pracy naukowej. Zaślepiiony tym, bezwiednie obudził uczucie wrażliwej i rozpieszczonej jedynaczki, którą rodzice jeszcze w tym kierunku popychali, widząc w młodym naukowcu sposobność zdobycia dla córki męża spoza sfer kupieckich i wprowadzenia jej w świat nauki i kultury, pożądaną, chociaż dla nich niepojętą.

W ciągu następnych kilku dni Alek dostawał od Elizy liściki, które ponoć pisała i wysyłała po kryjomu, bo rodzice oczywiście by jej na to nie pozwolili. Te liściki, chociaż skromnie i powściągliwie sformułowane, otworzyły Alkowi oczy na niebezpieczeństwo, na które się lekkomyślnie naraził. Nie odpisywał, ale w ślad za liścikami nadeszło znowu zaproszenie do Godwinów — tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

Wizyta okazała się krótka. Gdy przyszedł, poproszono go na pierwsze piętro, do pokoju, który pan domu nazywał biblioteką, chociaż studiował tam tylko książki rachunkowe.

Pan Godwin nie był człowiekiem pompatycznym. Obserwował świat małymi, głęboko osadzonymi oczkami, które umiały niezawodnie dostrzec, czy dany kontrahent wywiąże się z obligacji płatniczych. Okrągły brzusek pana Godwina wydawał się za ciężki dla jego krótkich, cienkich nóg, więc podtrzymywał go dodatkowo złotymi łańcuszkami od zegarka, obwieszonymi pieczętkami i innymi drobiazgami. Jego pracownicy uważali go za nieludzkiego, nawet ochrzcili go przezwiskiem Scrooga. zapożyczywszy je od wielkiego współczesnego pisarza — Dickensa. Ale pan Godwin był Scroogiem tylko dla swoich pracowników, a Shylockiem tylko dla swoich klientów. We własnym domu był hojny i wielkoduszny, a już zwłaszcza, gdy chodziło o ukochaną jedynaczkę, tę jedynaczkę, której urodzenie jej matka przypłaciła zdrowiem.

— Siadaj, młody człowieku — przywitał Alka, gdy ten wszedł do biblioteki.

Najmłodszy syn Oliwii nie zastanawiał się nawet wcale nad tym, czemu zawdzięczał zaszczyt — jeśli to było zaszczytem — dopuszczenia go do sanktuarium pana domu. Alek roztrząsał właśnie w myślach pewien problem matematyczny, bardzo pasjonujący, i próbował właśnie dopasować do niego wzór, umożliwiający rozwiązanie.

Pan Godwin przywykł do załatwiania interesów bez zbędnej frazeologii. Zazwyczaj zwyciężał kontrahenta związłymi stwierdzeniami lub pytaniami, które padały znienacka, jak strzały z zasadzki.

— Perspektywy zadowalające, o ile wiem?

— Mam nadzieję, że tak — odrzekł Alek, mając na myśli rozwiązanie pasjonującego zadania.

— Myśli pan o mariażu?

— O mariażu? Tak, może trzeba będzie pomyśleć o połączeniu dwóch wzorów — rzekł młody matematyk, nie patrząc na swego gospodarza, lecz w sufit.

— Dwóch wzorów? — wystrzelił pan Godwin jak z pistoletu.

— Tak, to jest dobry pomysł, taki mariaż.

— Czy pan zwariował, młody człowieku?

— Każdy nowy pomysł w matematyce wydaje się zwariowany, dopóki się go nie dowiedzie.

— Co ma matematyka wspólnego z mariażem?

— Pan chce powiedzieć, co taki mariaż może mieć wspólnego z matematyką? Zaraz to panu wytłumaczę. Jeżeli się próbuje rozwiązać zadanie, przy którym należałoby zastosować dwa wzory połączone, to — oczywiście z zastrzeżeniem i zakładając, że...

— Czy pan zwariował, panie Hunter, czyja?

Wzrok Alka, opuściwszy sufit, spoczął na okrągłym obliczu pana Godwina, ukoronowanym lśniąca łysiną. Młody człowiek zamrugał. Przyszło mu do głowy, że to pewno nie miejsce, by dyskutować na problemy matematyczne. Co najwyżej bilans roczny...

— Przepraszam pana... — powiedział, by zyskać na czasie i zrozumieć, o czym właściwie mówił pan Godwin.

— Pytam, czy pan tu zwariował, czy ja?

Alek zaprodukował swój najbardziej czarujący uśmiech, który miał sporo ciepłego uroku Oliwii, a jeszcze więcej dawnej złośliwości Filipa.

— Nie sędzę, żebym zwariował — rzekł.

— Mówisz pan, jakby ci piątę klepki brakowało!

— Bardzo przepraszam. Czy panu się nie zdarza zamyślić się w nieodpowiednim momencie, na przykład o jakiejś transakcji handlowej? Mnie się

to zdarza z problemami matematycznymi. Czy nie byłby pan łaskaw zacząć jeszcze raz od początku?

Pan Godwin zacisnął usta i przełknął głośno ślinę.

— Pytałem, czy pan nie myślisz o mariażu — o małżeństwie, z kobietą, jak inni mężczyźni?

— Nie, szanowny panie.

— Czy nie czas już, byś o tym pomyślał, młody człowieku?

— Żona przeszkadzałaby mi w pracy.

— Nie pozwól jej!

— Nie chciałbym się żenić, dopóki nie będę mógł poświęcić mojej żonie tyle czasu, ile powinienem.

— Otóż, hm, hm... myślałem, że może... czy pan wiesz, że moja córka Eliza ma o panu wysoką opinię?

— To bardzo nierozsądnie z jej strony. Lubię pannę Elizę. Jestem wdzięczny za miłe zaproszenia do pańskiego domu. To przyjemny odpoczynek od czasu do czasu, wśród pracowitego życia uniwersyteckiego. Ale nigdy nie myślałem o pannie Elizie inaczej, jak o obiecującej harfistce, której lubię akompaniować. Muzyka odświeża mnie.

— Dam jej wielki — w każdym razie dość duży posag, gdy wyjdzie za mąż.

Alka zaczęła ta rozmowa bawić i niecierpliwić zarazem. Nie widział też powodu, dla którego miałby sobie odmówić przyjemności podrażnienia lego nowobogackiego kupca.

— Gdy zjawi się właściwy kandydat, jestem pewny, że nie będzie potrzebował tego rodzaju zachęty, by ożenić się z tak uroczą panienką. Moja matka wyszła za mąż za ubogiego parobka folwarcznego, który właśnie wyszedł z więzienia, i nigdy tego nie żałowała.

— Ubogiego... parobka... z więzienia? A pan, na uniwersytecie?

— Dużo ludzi, niegdyś ubogich, dorabia się w naszych czasach, szanowny panie. A więzienie, powiadają, jest nie gorszą pod pewnymi względami szkołą życia od uniwersytetu.

— Czy pan żartujesz, młody człowieku?

— Mógłbym przytoczyć przykłady, by dowieść tego twierdzenia, niematematycznego, szanowny panie.

Pan Godwin zupełnie nie wiedział, jak sobie radzić z tym impertynentkim młodym uczonym. Wstał z głębokiego skórzanego fotela i przeszedł się po pokoju drobnymi kroczkami. Obracał w palcach złoty łańcuszek, podrzucił zawieszony na nim cacka. Z ostatecznym westchnieniem usiadł znowu do jeszcze jednej próby. Zawsze dawał Elizie wszystko, cokolwiek tylko ukochana jedynaczka zapragnęła.

— Posłuchaj no, młody człowieku. Eliza jest... hm, hm... otóż, to jest głupie

wyrażenie, ale ona jest, no, zakochała się w panu. Chce za pana wyjść za mąż. Ja — jej bogaty, powiedzmy zamożny, ojciec — podejmuję się wyposażyć was oboje i urządzić bardzo przyzwoicie. I ofiaruję okrągłą sumkę na fundusze uniwersyteckie. No, to jest przyzwoita oferta, może nie?

— Ta ostatnia propozycja jest bardzo pięknym gestem, szanowny panie, bardzo cennym gestem. Tak właśnie nasi kapitanowie przemysłu powinni postępować. Ale bez warunków. Dotacja na fundusz uniwersytecki nie może być ceną kupna mojej skromnej osoby.

— Czy pan chcesz powiedzieć, że pan się nie ożeni z moją córką? Ja myślałem, że skoro pan nas odwiedzasz...

— Ta myśl mi w ogóle nie postąpiła w głowie. Może kiedyś spotkam dziewczynę, bez której nie będę mógł żyć. Na razie jestem zadowolony z obecnego stanu rzeczy, bez konfliktów między moją pracą a życiem osobistym.

— Ale pieniądze — pomyśl pan tylko, co mógłbyś zrobić mając pieniądze, młody człowieku!

— Będę zarabiał pieniądze sam. Jeśli mi pan wybaczy otwartość — nie chcę, by mnie kupowano na męża.

— Mój Boże, tak nie można tego określać!

— A jak inaczej?

— Myślałem, że mają trochę poczucia taktu w tych kołach, w których pan się obracasz.

— Ja się nie obracam w żadnym kole, a staram się iść możliwie po prostej linii.

— Więc ja mam powiedzieć Elizie...? — Maniery i tupet bogatego człowieka interesu, przywykłego do przeprowadzania swojej woli, uległy nagłej zmianie. Stał po raz pierwszy w obliczu konieczności wyznania porażki i to komu? Córce, która przywykła uważać go za wszechmocnego — zdolnego swymi pieniędzmi przenosić góry.

— Nie wiem, dlaczego ja miałbym to zrobić — powiedział Alek wstając. — Nie dałem jej nigdy najłżejszego powodu spodziewać się...

Pan Godwin ujrzał, że ten bezczelny student odsunął go i zostawiał w tym gabinecie, wzgardziwszy jego ofertą. Zerwał się na równe nogi. Podniósł do góry głowę, brodą prawie dotykając kamizelki Alka i dramatycznym ruchem wskazał mu drzwi.

— W takim razie opuść mój dom. Zaproszenie na kolację jest odwołane!

Alek spojrział na niego z uśmiechem.

— Pójdę, szanowny panie. Jest mi doprawdy przykro, że tyle sprawiłem panu kłopotów. Co do kolacji — nie szkodzi; uda mi się coś przekąsić, by z głodu nie umrzeć, nie płacąc przy tym małżeństwem.

Poszedł do swoich pokoi na uniwersytecie, przeklinając własną lekkomyślność i mówiąc sobie, że postąpił ohydnie, że ten gruby mały handlarz posiadał

przynajmniej jedno niesklamane, głębokie uczucie — miłość do córki. I to pewno mu wystarczy, by się dostać do nieba — jeśli takie miejsce w ogóle istnieje, co po Darwinie wydawało się mocno wątpliwe.

Ewelina miała jeszcze dużo czasu. Edward nie przyjedzie wcześniej jak za pół godziny. Zdecydowała się więc wyjechać mu na spotkanie, na drogę do Wokingham. I jeszcze zdąży spojrzeć na rozległe pola majątku, pozostawionego jej w spadku, ale teraz należącego do jej męża. Skierowała rasową, białą klaczkę, o długiej grzywie i ogonie, na wzgórek, z którego rozciągał się daleki widok. Ewelina sama przedstawiała w tej chwili obraz, który mógł obudzić myśli romantyczne lub pożądliwe w każdym mężczyźnie. Miała lat dwadzieścia trzy, chociaż jej dumna postawa i odcień arogancji sprawiały, że robiła wrażenie dojrzałszej kobiety. Doskonale skrojona amazonka uwydatniała piękne kształty, siedziała na koniu pewnie i swobodnie. Płomiennie rude włosy wymykały się spod kapelusika, zrobionego na wzór męskiej czapki do polowań.

Spoglądała w dół na łagodne zbocze, które zniżało się do kopyt białej klaczy pastwiskiem o barwach brunatnych w ten grudniowy dzień. Poranną mgłą rozwiął ostry podmuch południowo-wschodniego wiatru i wzrok Eweliny swobodnie biegł w dal, aż poza żywopłoty na końcu pastwiska, poprzez ciemne skiby ornych pól, czekających na wiosenny siew. Czarne sylwetki dębów i buków, lip i brzoź ponad linią żywopłotów przypomniały Ewelinie ćwiczących akrobatów. Na wiosnę będą wschodziły równe rzędy bladozielonych kielków zbóż, a pod żywopłotami zabłysną słoneczne pierwiosnki i kiwające się dzwoneczki. Ale nawet w tej surowej szacie uśpiania Ewelina kochała tu każdą skibę roli, każdy rosochaty pień, każdy kolczasty zakątek żywopłotu. Odwróciła się w siodle, by spojrzeć wstecz, na dachy dworu — rozbudowanego, by pomieścić salę bilardową i dodatkowe pokoje sypialne. potrzebne dla ciągle tu przyjeżdżających oficerów, kolegów Edwarda. A jeszcze dalej budynki gospodarcze, błyszczące jaskrawą zielenią farby i złocistą słomą świeżo poszytych strzech.

Na rozbudowę dworu i odnowienie budynków gospodarczych oboje z Edwardem wydali znaczne sumy. Była to, oczywiście, dobra inwestycja — zwłaszcza budynki gospodarcze. Ale z gotówką było coraz gorzej. Majątek przynosił dochód, który jednakże nie mógł wystarczyć życiu na tak szeroką stopę, przyjęciom i zabawom, licznym pojazdom i koniom pod wierzch, ciągłym wypadom do Londynu na bale i premiery teatralne. Gaża oficerska Edwarda była śmiesznie niska, w każdym razie w porównaniu z ich wydatkami. A Sir James, chociaż miał pozostawić Edwardowi w spadku znaczną

fortunę, na razie nie dał im nic, prócz marnych paruset funtów w charakterze prezentu ślubnego. Całe szczęście, że jej ojciec tak dobrze gospodarzył i wydawał stosunkowo niewiele. Mógł im ciepłą ręką dawać co nieco w krytycznych chwilach.

Gdy Ewelina jeszcze patrzyła na dachy budynków, pierwsze krople deszczu dotknęły jej policzka. Pojechała w dół, ale zanim dotarła do bramy na drogę, deszcz rozpadał się na dobre, a czarne powyginane gałęzie drzew kołysały się złowieszczo. Strumienie cięły w nią ukośnie. Jechała, popędzając klacz, i odwracała w bok głowę, by uniknąć dosięgających ją ostrych ukłuć deszczu.

Dostrzegła głowę i ramiona Edwarda ponad żywoplotem. Zawróciła swoją klacz tak, że jechała w stronę Binwood, gdy Edward ją dogonił.

— Po co wyjeżdżasz w taką ulewę! — krzyknął do niej poprzez wiatr i deszcz.

— Nie padało, kiedy wyjechałam z domu! — odparła z uśmiechem; zarmieniona od wiatru wyglądała ślicznie.

Kłusowali strzemię przy strzemienu, ze schylonymi głowami. Błoto pryskało spod kopyt.

— Przemokniesz! — krzyknął zatroskany Edward. — Zapakuję cię do łóżka, jak tylko dojedziemy do domu!

— Nie będę protestowała! — zaśmiała się Ewelina. — I rozgrzejesz mnie, dobrze?

Ewelina nie była szczególnie namiętna. Jej lodowato zielone oczy mogłyby o tym powiedzieć bystremu obserwatorowi. Ale знаła mężczyzn i wiedziała, że należy zachęcać częste męzowskie zapaly.

Wiatr świstał im koło uszu coraz silniejszy tak, że rozmowa stała się niemożliwa. Amazonka Eweliny przemokła zupełnie i oblepiała jej silne, krągłe uda. Wreszcie wpadli na dziedziniec dworski. Stangret wybiegł, by zabrać konie.

— Chodź prędko przebrać się! — wołał Edward.

— Trzeba najpierw dopilnować, żeby konie były wytarte i nakarmione — powiedziała z lekkim wyrzutem, ale i z uśmiechem.

— Och, nic koniom nie będzie! Służba się nimi zajmie! Najpilniejsze, to ciebie natrzeć!

Podniosła prowokacyjnie jedną brew do góry, ale uparła się, żeby dopilnować koni. Dopiero kiedy wytarte do sucha wierzchowce atakowały z apetytem siano i grzebały w świeżo podłożonej słomie, Ewelina odeszła.

— Ojciec mnie nauczył paru dobrych zasad — powiedziała, gdy wreszcie poszli z Edwardem krytą pergolą ze stajni do dworu, gdzie czekał z powagą stary kamerdyner Jenkins.

— Mam świeżą zmianę bielizny przyszykowaną, proszę jaśnie pani, w sy-

pialni — informowała zgrabna młodzianka pokojówka. Lokaj ściągał wysokie buty Edwarda.

— Dziękuję ci, Mabel. Ale nie będę cię potrzebowała.

Zaczęła wchodzić po schodach, a za nią Edward. Molly wyszła z pokoju na pierwszym piętrze.

— Dzień dobry, Edwardzie! Mój Boże, jacy jesteście oboje przemoczeni!

— Jak zwykle na deszczu — warknął niecierpliwie Edward.

W sypialni Edward zaczął niecierpliwie rozpinać amazonkę Eweliny.

— Spieszysz się jak w miodowym miesiącu — zakpiła.

— Przeziębisz się — odrzekł krótko. Już w

bieliźnie, powiedziała tryumfująco:

— Widzisz — suche jak pieprz! Ta amazonka nie przepuszcza wody.

— Ale musisz się rozgrzać. Kładź się do łóżka! — rozkazał.

— Tak myślałam — uśmiechnęła się. — Jak było w Londynie?

— Czy musimy właśnie teraz mówić o nieprzyjemnych sprawach? — odparł pytaniem na jej pytanie.

Ewelina przedłużyła o moment dłużej, niż było koniecznie potrzeba, chwilę między ostatnim detalem bielizny a przezroczystą i fałdzistą koszulką nocną. Miała figurę wartą pokazania — krągłe ramiona, długie nogi, piersi jak u dziewczyny — nie karmiła sama dzieci, przyjmowała do nich mamkę. Wzrok Edwarda oddał jej pełną sprawiedliwość.

W pół godziny później, leżąc z głową na ramieniu Edwarda, zapytała:

— Warto było wrócić do domu?

— Warto było i zawsze warto będzie.

— Nie zabawiałeś się z innymi kobietami w Londynie?

— Nawet nie pomyślałem o żadnej.

— A co za nieprzyjemne nowiny?

— Finansowe... Znowu przegrałem — wykrztusił.

Na swój sposób Ewelina kochała męża. To znaczyło, że uważała go za swoją własność, a o wszystko, co było jej własnością, dbała troskliwie i tylko z rzadka pozwalała sobie na wybuch gniewu.

— Dużo?

Nie odpowiedział. Patrzył na ozdobny deseń parawanu za wielkim, mahoniowym łóżkiem.

— Powiedz mi — nalegała. — Będę musiała wiedzieć wcześniej czy później.

I trzeba się ubierać do obiadu.

Jeszcze po chwili wahania rzekł:

— Pięć tysięcy funtów.

Poczuł, jak drgnęła i aż zachnęła się, ale tylko pytała dalej:

— Na giełdzie?

Nie, w karty.

To ją wreszcie oburzyło do żywego. Usiadła w łóżku, naga.

— Przegrałeś pięć tysięcy funtów w karty — do kogo, na miłość boską?!

— Do jednego oficera.

— Boże! Ależ to znaczy, że musisz mu zapłacić dług albo wyrzucą cię z wojska! Podpisałeś jakieś zobowiązanie?

— Nalegał, żeby mu wystawić formalny czek, płatny za siedem dni. Wie, że jeśli czek okaże się bez pokrycia, to ze mną koniec.

— Siedem dni? Ależ jakim cudem wpłacimy pięć tysięcy do banku w ciągu siedmiu dni?

— Weźmiemy pożyczkę na hipotekę Binwood.

Ewelina, która siedziała na brzegu łóżka, obróciła się do niego gwałtownie.

— Dlaczego moja własność miałaby pójść na...?

— Pozwól przypomnieć sobie, że ty nie masz żadnej swojej własności. Według prawa wszystko jest moje. — W jego głosie brzmiał sarkazm, który rozwścieczył Ewelinę.

— Jeżeli spróbujesz zastawić Binwood — wymówiła przez zaciśnięte zęby — opuszczę cię!

Edward pojął, że nie była to próżna groźba. Słyszał już plotki o dość intymnej przyjaźni Eweliny z bogatym sąsiadem, młodym Brome, z okresu, kiedy on sam był w Indiach. Dowodów jej zdrady nie miał, a za bardzo bał się, żony, by ją wprost o to spytać. Prócz tego wiedział, że jej potrzebuje. By się o tym przekonać, wystarczyło mu spojrzeć na nią w tej chwili — stała naga, a jej płomienne włosy zdawały się kontynuacją płomieni na kominku. Była wcieleniem wszystkich jego pożądań.

— Twój ojciec będzie musiał nam pomóc — rzekł.

— Mój ojciec? Filip Hunter? I ty sobie wyobrażasz, że ja go będę prosiła o pieniądze, by ciebie wydobyć z tej idiotycznej sytuacji, w którą się wpakowałeś? I przyznam się do tego, że wysłałam za męża za gracza i głupca? Mój ojciec i tak już ratował nas w potrzebie częściej od twego ojca, z jego całym osławionym bogactwem!

Gniewnymi, niecierpliwymi ruchami nakładała bieliznę.

— Idź do swojego pokoju — warknęła. — Potrzebuję pokojówki.

Na obiad Ewelina zeszła wystrojona, świeża, spokojna. Mażeńskich kłótni nie zdradza się przed służbą.

Dopiero po obiedzie, w salonie, zapytała:

— Więc co sprzedamy? Konie wierzchowe? Któryś powóz?

— Nie mam najmniejszego zamiaru obniżyć mego poziomu życiowego — odparł wyniośle. — Powiedziałem ci już, co zrobię — zastawię Binwood.

— I ja ci też powiedziałam, co w takim razie zrobię. Rzucę ciebie.

— I Binwood także? — zapytał podstępnie.

Był to dobrze wymierzony cios. Ale Ewelina nie poddała się.

— Tam, dokąd ja pójde, będzie pod dostatkiem pieniędzy i posiadłości.

Młody Brome posiadał nie tylko majątek w okolicy binwoodzkiego, odziedziczył prócz tego okazałą fortunę. Oczywiście dla Eweliny nie było to bez znaczenia.

Edward rzekł znowu agresywnym tonem:

— Zostaw to mnie i nie wtrącaj się. To mój dług i znajdę jakieś wyjście.

— Ty znajdziesz wyjście? Ty byś nie znalazł wyjścia przez podwójną bramę. Cóż za dubeltowego durnia wzięłam sobie za męża — żeby przegrać w karty pięć tysięcy funtów. Pięć tysięcy funtów! Boże!

— A ty potrafisz tylko odtrącać moje sugestie — odrzekł urażony.

— Więc zaraz ci powiem, co zrobisz — odparła. — Pojedziesz do twego ojca. Tym razem będzie musiał ciebie wyratować z opresji.

— Do mego ojca... i... i powiedzieć mu...?

— To, że masz mu powiedzieć taką właśnie wspaniałą wiadomość, jest jedyną szansą wydobycia od niego pieniędzy.

— Ależ. Ewelino, to jest niemożliwe. To jest nie do pomyślenia. On mnie... on mnie...

— Nie drzyj, ty mój bohaterze spod Lucknow. Za duży jesteś, by wziąć kija na ciebie — powiedziała szyderczo. — To jest możliwe, i to jest do pomyślenia, a jakże! Twój ojciec nie dopuści, by cię wyleli z wojska za wystawienie czeku bez pokrycia. Tylko mu podszeplnij, jak będą wyglądały tytuły artykułów w gazetach: „Pułkownik, syn lorda Chilcote, nie zapłacił długu honorowego. Syn lorda wyrzucony z wojska”. Nawet gdybyś miał rozum w głowie, którego nie masz, nie wymyśliłbyś lepszego sposobu rozwiązania mieszka tego starego sknery.

Edward załamał się. Klęknął przed Eweliną, chwytając jej ręce i całując je. Wyrwała mu się i odsunęła.

— Ewelino, najdroższa, nie zmuszaj mnie do tego! Zgódź się na zastawienie Binwood!

— I owszem. O ile ty się zgadzasz, żebym od ciebie odeszła.

— Wydaje się, że chciałabyś mnie opuścić!

— Dziwisz się temu?

Pofolgowała mu o tyle, że potargała mu lekko ręką włosy. Po czym wstała i pociągnęła za jedwabną taśmę dzwonka, gdy Edward klęczał jeszcze przed fotelem, na którym przedtem siedziała. Usłyszawszy kroki za drzwiami, zerwał się pospiesznie, otrzepując spodnie.

— Powiedz stangretowi, Tenkins, żeby osiodłał wierzchowca dla pana i podprowadził przed frontowe drzwi. Czekaaj, stangret niech się ubierze i pojedzie razem z panem.

— Bardzo dobrze, jaśnie pani.

Gdy Jenkins wyszedł, Edward zapytał żałośnie:

— W taką pogodę?

— Tak, w taką pogodę. Straciłeś pięć tysięcy funtów w taką pogodę, albo niewiele lepszą. Pojedziesz do twego ojca też w taką pogodę, jeśli trzeba!

Rozdział dziewiętnasty

— Bardzo dobrze, jedź! I możesz nie wracać. Od dzisiaj to nie jest twój dom. I nie spodziewaj się ode mnie pieniędzy dla tego nicponia, twój syna i jego żony, wyłowionej z rynsztoków Londynu!

Filip stał przed kominkiem w jadalni. Mówił podniesionym głosem, prawie krzyczał. Oliwia siedziała nadal przy stole, na którym położono nakrycia dla jeszcze dwóch osób. Obok niej leżała koperta i jedna jedyna kartka listu.

Wymówienie jej domu Oliwia zignorowała. Powiedziała ze spokojną zaciętością:

— Mój ojciec był na tyle przezorny, że pieniądze dla mnie zostawił pod zarządem powierniczym. Powiedział, że chce mieć pewność, iż będą wypłacane do moich własnych rąk, gdybym ich przypadkiem potrzebowała dla siebie. Wtedy irytowałam się za to na niego. Oczywiście, nigdy nie przypuszczałam... Teraz oceniam jego przezorność!

— Przecież dbał, aby pieniądze nie dostały się parobkowi folwarcznemu — rzekł gorzko Filip.

— Byłam szczęśliwa, że parobek mógł je mieć. Ale jeśli właściciel Orchards nie chce pomóc swemu synowi...

— Twój syn nie życzy sobie pomocy od właściciela Orchards.

— Należałoby może pomyśleć, dlaczego? — Oliwia miała ostatnie słowo.

Drzwi się otworzyły.

— Dzień dobry! — zaczęła wesoło Ewelina. — Znowu podniesione głosy? O co chodzi tym razem?

— Twoja matka nie chce być więcej twoją matką — rzekł Filip. — Tylko matką recydywisty!

— Co się stało? — Ewelina spoglądała to na zmienioną z gniewu twarz ojca, to na wyraz spokojnej decyzji, malujący się na twarzy matki.

Oliwia podała córce list. Napisany był stanowczym i zdecydowanym, choć trudno czytelnym charakterem pisma Adama. Agnieszka urodziła przed paru dniami syna. Poród był trudny. Matka i dziecko czują się dość dobrze i są pod opieką gospodyni, ale Agnieszka pragnie koniecznie, żeby Oliwia do nich przyjechała. On, Adam, wolałby nie prosić o to. Nie chciałby stwarzać trudności w Orchards. Ale dla Agnieszki... Czy mama nie mogłaby... choćby na krótko...

— Nie bądź śmieszna, mamó — rzekła Ewelina, odkładając list. — To przecież byłby wstyd, gdybyś pojechała!

Wszedł Edward, zajął sobie swoje miejsce przy stole. Ewelina podała mu list, ale Oliwia bez słowa wyjęła jej kartkę z ręki. Edward uśmiechnął się z pewnym zmieszaniem, wzruszył ramionami i rzekł:

— Sekrety rodzinne. Te lata małżeńskiego pożycia z Eweliną nie zakwalifikowały mnie jeszcze do rodziny.

Ton jego głosu zabrzmiał po prostu grubiańsko. Weszło już w zwyczaj, że wszyscy troje dokuczali Oliwii, która dawniej odczuwała to bardzo boleśnie. Teraz, odzyskawszy Adama, w serdecznej przyjaźni z Agnieszką, wróciła do równowagi i przyjęła pozę obojętności, przypominającą odosobnienie Alka. Czowała już, że ten przykry okres jej życia jest tylko przejściowy, że jej przyszłość będzie się wiązała z przyszłością Adama.

— Pójdę się zapakować — powiedziała chłodno Oliwia, wstając od stołu. Filip nie mógł powstrzymać uczucia podziwu dla tego spokoju, niezgodnego z jej płomiennymi niegdyś włosami i temperamentem, a narzuconego siłą woli. — I pozwól mi zauważyć. Ewelino, iż ja nie widzę żadnego wstydu w tym, że matka wyjeżdża do syna i synowej, gdy jej potrzebują i proszą ją o to. — Od jednej złośliwości nie mogła się pohamować. — Ich dziecko było przynajmniej poczęte w związku małżeńskim. — W drzwiach odwróciła się jeszcze do Filipa: — Przypuszczam, że znajdziesz tu miejsce na niektóre mo je rzeczy.

Filip stał pochylony nad kominkiem, odwrócony do niej plecami, wygarniając popiół z fajki.

— Wolałbym, żebyś od razu zabrała wszystko, co ci będzie potrzebne — rzekł przez ramię.

— Twoim zachowaniem narzucasz mi uczucie, jak gdybym ci była niewierna — rzekła Oliwia. — A jeśli cię nie zdradziłam, to nie z powodu braku sposobności.

Zamknęła za sobą drzwi i wysławszy lokaja do wsi, poszła po schodach na górę.

— Bardzo współczuję... — zaczął Edward po wyjściu Oliwii.

— Nie będziemy o tym mówić — uciął Filip. Były to jego ostatnie słowa na ten temat. — Podniósł list od Adama i zapalił nim fajkę.

— Czy chciałbyś, ojcze, żeby ciotka Molly wróciła i zajęła się prowadzeniem domu dla ciebie? — zapytała Ewelina. — Ona na pewno z chęcią to zrobi.

Ewelina miała wielką ochotę pozbyć się ciotki, która ganiła ich rozrzutny tryb życia i gorszyła się zwyczajem zamykania się w sypialni o różnych porach dnia. Eord Chilcote wystraszył się groźby wyrzucenia synalka z wojska i zapłacił dług, po czym młoda para wróciła do pozorów miłości i beztrioski.

— Owszem, to by mi odpowiadało — mruknął Filip. — Tylko czy tobie to kłopotu nie sprawi.

— Wiem o dobrej gospodyni, która mieszka w Wokingham — zapewniła go Ewelina.

Niebawem przed frontowe wejście do Orchards podjechał zwykły wóz. Powoził Harold Cook, obok niego siedzieli bracia Appletonowie. Oliwia posłała lokaja, by kazał zajechać od podwórza i poprosiła trzech mężczyzn o zniesienie na dół jej kufrów.

— Odprawiona służba nie wychodzi frontowymi drzwiami — powiedziała do siebie Oliwia, gdy lokaj wyszedł.

Stała przez chwilę, rozglądając się po opustoszałym pokoju. Niepowstrzymane łzy napłynęły jej do oczu. Ktoś zastukał do drzwi. Na jej krótkie: „proszę!” do sypialni wszedł Harold Cook, z czapką pod pachą, świecąc łysiną, dziwnie kontrastującą z jego olbrzymimi, białymi wąsami. Za nim stali dwaj bracia Appletonowie, zaglądając ciekawie. Harold Cook objął pokój jednym spojrzeniem: zamknięte kufry i walizy, pusta gotownia, szafy, których pootwierane drzwi zdradzały puste wnętrza.

— Co to znaczy, pani Oliwio...? — zaczął Tomasz Appleton. ale Cook mu przerwał:

— Bierz ten kufer i milcz!

Tomasz spojrział na kołodzieja gniewnie, ale usłuchał. Trzej mężczyźni wyszli, każdy coś dźwigając.

Czekając na ich powrót, Oliwia znowu pograżyła się w kontemplacji nad ruiną swego życia, tego życia, które rozpoczęło się przed trzydziestu laty, gdy oddała się Filipowi Hunterowi. W pierwszym małym folwarku, przed dwudziestu laty, byli bardzo szczęśliwi. Przed dziesięciu laty czuła już przykre napięcie i trudności, spowodowane, jak się orientowała, zmianą w ambicjach i poglądach Filipa. A teraz — czy to ma być koniec? Czy jeszcze coś można będzie odbudować na tej ruinie? Znowu łza spłynęła po policzku — starła ją gniewnym ruchem. Walczyła o panowanie nad sobą. Wzruszyła ramionami. W każdym razie była przekonana, że w obecnej chwili jej postępowanie jest słuszne. Przynajmniej jedzie tam, gdzie jej potrzebują. Trudno się dziwić, że Oliwia w danych warunkach nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest potrzebna również i w Orchards.

Trzej mężczyźni wrócili i w milczeniu zabrali resztę bagaży.

— Pojedziemy na stację kolejową w Newbury, Haroldzie — rzekła Oliwia.

— Dobrze, pani Oliwio. Kiedy powóz wyjedzie z domu? Bo pani Oliwia szybciej od nas będzie na stacji.

— Ja jadę z wami.

— Ale nie na wozie! Pani Oliwia nie może tak podróżować — rzekł Harold Cook, zgorzsony.

— W tej chwili nie mam do dyspozycji innych środków lokomocji — odrzekła Oliwia z uśmiechem, który wypadł dość blado.

— No, to... urządzimy panią Oliwię jak najwygodniej — powiedział wreszcie stary kołodziej.

Bracia Appletonowie, wymusztrowani przez Harolda Cooka, by nie gadali po próżnicy, tylko wymienili znaczące spojrzenia.

— Będę z wami za parę minut — rzekła Oliwia.

Wyszła na poszukiwanie Filipa.

— Pan wyjechał, proszę pani, konno na przejażdżkę z młodszą panią i panem Edwardem — poinformowała ją pokojówka.

— Te przejażdżki są bardzo zdrowe dla niego — burknęła sarkastycznie Oliwia.

Pokojówka milczała; przywykła do złośliwości, wymienianych przez panią o panu i na odwrót, jakby grali w teatrze i mówili „na stronie”.

— W takim razie pożegnaj się teraz z tobą, moja Mary — rzekła Oliwia. — Dziękuję ci za dobrą i wierną służbę. — Wsunęła w rękę dziewczyny parę złotych monet.

— Och, dziękuję, pani zawsze jest taka dobra! Ale dlaczego, moja kochana pani?

— Nie udawaj głupiej — odrzekła Oliwia z irytacją. — Wiesz dobrze, że kufry są spakowane nie dla zabawki. Już wszystko obgadałaś w kuchni. Powiedz teraz kucharce, żeby do mnie przyszła.

Gdy wóz skręcił na gościniec do Newbury, minęła ich karetka Lorda Chilcote. Oliwia, która celowo wynajęła wóz i przejechała na nim przez wieś, by ściągnąć na Filipa oburzenie i naganę mieszkańców, nie mogła się powstrzymać, by nie pozdrowić ręką Lorda Chilcote, na wypadek gdyby jego lordowska mość jej nie zauważyła. Nie otrzymała odpowiedzi na swoje gwałtowne machanie ręką, ale odwróciwszy się, z satysfakcją dostrzegła ojca Edwarda, wyglądającego za nią tylnym okienkiem karety.

W ciągu całej drogi Oliwia podtrzymywała ożywioną rozmowę z Haroldem Cookiem i braćmi Appletonami o sprawach wsi. Mimoходом wtrąciła informację, że przez jakiś czas nie będzie brała udziału w zebraniach komitetu parafialnego i nie będzie mogła pomagać przyjaciółom w różnych petycjach i kłopotach wiejskich.

Bracia Appletonowie kiwali głowami, ale mówili mało. Harold Cook odpowiadał jej, co prawda najczęściej monosylabami. W Newbury trzej weterani z Binwood wnieśli kufry Oliwii do pociągu, po czym Cook impulsywnie chwycił rękę Oliwii i pocałował ją kilka razy. Appletonowie, aczkolwiek mocno zaambarasowani, poszli za jego przykładem.

— Pani zasługuje na to, by być szczęśliwą, pani Oliwio — powiedział stary kołodziej.

— Pani Oliwia zasługuje na to... — powtórzyli jak echo tamci.

— Nie jestem pewna, czy naprawdę zasługuje, ale spodziewam się, że będę szczęśliwa, a w każdym razie zadowolona — odrzekła Oliwia. — Nie żegnam się z wami, tylko do zobaczenia! Wbrew tym wszystkim kufrom zobaczymy się znowu!

— Musimy się zobaczyć — rzekł Cook. — Ten cały Londyn to nie miejsce dla nas. Za dużo ludzi. Za dużo ulic. Za dużo powozów. Za dużo wszystkiego. Ale jeśli tylko pani Oliwia zechce, żeby któryś z nas albo wszyscy trzej...

— Każdy z nas — powtórzyli Appletonowie.

Konduktor zagwizdał. Powiała zielona chorągiewka.

— Gdy przyjdziecie mnie odwiedzić — wychyliła się z okna Oliwia — zobaczycie również Adama i jego żonę, i jego syna.

— To świetnie — wołał Cook podniesionym głosem, by przekrzyczeć hałas buchającej z lokomotywy pary. — Miałem dziś rano list od Adama. O synu. I o tym, że spodziewa się przyjazdu pani Oliwii...

Koła pociągu zaczęły się obracać.

— Jesteście najlepszymi przyjaciółmi! Moimi i Adama! — zawołała Oliwia do trzech mężczyzn, którzy stali przygnębieni na peronie.

O tej porze Filip z córką i zięciem galopował po wzgórzach za polami Orchards. Nie mówił ani słowa. Poganiał wierzchowca jak na wyścigach i wyprzedzał towarzyszy. Gdy zwolnił, by dać odetchnąć koniowi i pozwolić przyłączyć się tantym dwojgu, Ewelina położyła na jego ramieniu rękę serdecznym ruchem. Ale Filip tylko się odwrócił.

Od dość dawna już nie żyli z Oliwią jak małżeństwo. A jednak była podporą i treścią jego życia. W chwili gdy odrzuciła jego ultimatum, Filip nagle to zrozumiał. Ale upór nie pozwolił mu się wycofać. Teraz cierpiał za chwilę tego uporu, a jednak celowo i świadomie nie został w domu, by się z Oliwią pożegnać.

Po powrocie do Orchards Filip przez cały wieczór nie wspomniał ani razu żony, której odjazd przekształcił jego dom w pustą skorupę. Ewelina spoglądała na ojca z ukrywaną troską. Edward ziewał, przeciągał się i demonstracyjnie okazywał, że go nudzą te melodramatyczne nastroje. Gdy młoda para znalazła się sama w gościnnym pokoju Orchards, Edward rzekł:

— Nie widzę powodu do całego tego zamieszania. Wyjazd twojej matki tylko ustalili i wyjaśnili sytuację, która istniała od dawna. Twój ojciec nie jest stary. Będzie mógł teraz zacząć żyć.

— Powinien by — odparła Ewelina. — Ale nie zrobi tego. Nie znasz go tak, jak ja. Jeśli kiedyś dwoje ludzi stanowiło jedność, to moi rodzice. I tego nic nie zmieniło. Próbowалам wiele razy zająć miejsce matki na zasadzie

koleżeńskiej przyjaźni. Ojciec kocha mnie, ale te moje próby kończyły się zawsze fiaskiem. W Binwood opowiadają, że jako młodzik ojciec latał za spódniczkami. Ale od kiedy spotkał matkę — dla Filipa Huntera nie istniała żadna inna kobieta.

— A Pamela Lane?

— Nie bądź naiwny. Czy możesz sobie wyobrazić, aby mężczyzna, który miał Oliwię Paterson, mógł się zadowolić tą afektowaną lalą?

— Przyznaję, że Pamela nie jest moim typem.

— Ojciec posługiwał się nią tylko po to, by przekonać samego siebie, że potrafiłby się obejść bez matki — a teraz wie na pewno, że tego nie potrafi.

— Sądzisz, że sprowadzi matkę z powrotem?

— O, nie, tego nie powiedziała. Musiałoby się zdarzyć coś doprawdy nadzwyczajnego, żeby ojciec wezwał ją do siebie z powrotem. Tylko nie zacznie, jak ty mówisz, żyć teraz. Nikomu nie okaże, co czuje, będzie nosił głowę wysoko i hardo. Ale będzie tylko własnym cieniem. — Przerwała na chwilę. Układając się w łóżku ciągnęła dalej: — Zawsze kochałam ojca. Mogłam wydostać od niego wszystko, co chciałam. Matka, jak sam wiesz, nie obdarzała mnie wielką miłością, a w każdym razie, od kiedy wyrosłam z dziecinnych sukienek... A ja jej teraz po prostu nienawidzę za to, że opuściła ojca i poszła do tego... tego zarozumiałego nicponia, mego brata, któremu się zdaje, że jest Chrystusem ubogich czy czymś w tym guście. A jednak muszę przyznać sama przed sobą, że gdyby powiedzieć o mamie „jego lepsza połowa”, to nie byłoby to wcale banalnym frazesem, lecz szczerą prawdą.

Nigdy w obecności Eweliny ani Edwarda Filip nie wymawiał odtąd imienia Oliwii, tak jak od lat nie wspominał imienia Adama. Twarz jego przybrała wyraz surowy i odpychający, który bronił go przed niepożądanymi pytaniami Molly albo wieśniaków z Chilcote. Raz na tydzień otrzymywał regularnie kopertę, zaadresowaną ręką Oliwii. Każdy taki list palił natychmiast, gdy tylko znalazł się sam w pokoju. Zrzucił wszelkie kontakty towarzyskie. Nie przyjmował zaproszeń nawet do dworu Chilcotów. Zerwał z Pamelą Lane, jakby jej nigdy w ogóle nie znał. Oddał się wyłącznie gospodarce, którą prowadził do coraz większej zyskowności i powrócił do pracy fizycznej, co było z korzyścią dla jego figury i zdrowia. Nie miał innego ujścia dla gniewu, zwróconego przeciw sobie samemu, przeciw własnej głupiej, upartej dumie, która go oddzieliła od Oliwii; nie miał innego sposobu pohamowania coraz bardziej wzrastającego w nim pragnienia, by odrzucić wszelką dumę i pójść w ślad za tą, która zaczęła ich wspólne życie, przychodząc pierwsza do niego. Coraz wyraźniej pojmował, że miłość do Oliwii stanowiła treść jego życia i największą siłę, którą na pewien czas sam przytłumił egoizmem.

Oliwia tymczasem męczyła się myślami, że wszystko stało się z jej winy. Mąż powinien zajmować pierwsze miejsce w życiu kobiety. Początkiem ich niezgody były towarzyskie ambicje Filipa, których nie podzielała i które uważała za nieodpowiednie. Ale przez tyle lat jej szczęście i przyszłość wiązały się nierozdzielnie z imieniem Filipa. Zamożność, którą zdobyli, cieszyła ją jedynie ze względu na niego. A teraz Filip odrzucił ją nie tylko jako towarzyszkę łoża — co Oliwii zdawało się wciąż tylko chwilowe — ale również jako towarzyszkę pracy i życia.

A jednak Oliwia miała w sobie więcej hartu niż jej mąż. I codzienne jej życie wypełniła od razu troska o Agnieszkę i jej dzieci. Prócz tego, ku jej wielkiemu rozbawieniu — w jej wieku! miała ponad pięćdziesiątkę — Oliwii w jej charakterze słomianej wdówki asystował uparcie Geoffrey Bowers, i nie on jeden.

Oliwia chciała wynająć nieduży dom w dzielnicy portowej, gdzie mogłaby zamieszkać razem z synem i jego rodziną. Tę propozycję Adam stanowczo odrzucił. „Mama zamieszka w odpowiedniej dla niej dzielnicy Londynu i będzie swobodnie, we własnym domu. przyjmowała swoich przyjaciół”. A z takiej dzielnicy byłoby za daleko do portu. Doszło więc do kompromisu. Młodzi Hunterowie przeprowadzili się — z finansową pomocą Oliwii — do nowego, dwupokojowego mieszkania, mniej więcej na pół drogi między dzielnicą portową a cichym zakątkiem, w którym ulokowała się Oliwia.

Agnieszka wracała do sił nadzwyczaj szybko i Oliwia zorientowała się wkrótce — nawet nic nie wiedząc o radach starego pastora — że synowa sprowadziła ją do Londynu nie tylko z powodu swego stanu zdrowia. Julietka zamieszkała z Oliwią i jej pokojową. Oliwia co dzień chodziła do Agnieszki i małego, przywiązała się też do obojga bardzo szybko. Popołudnia poświęcała różnego rodzaju działalności społecznej i politycznej — należała do Komitetu Równouprawnienia Kobiet.

Adam był zakochanym ojcem i gdy tylko wracał z portu — albo kiedy nie było w porcie pracy, co się też zdarzało — robił wszystko przy małym: bawił I go, usypiał, przewijał. Ale wolnego czasu miał coraz mniej, w miarę jak angażował się w działalność związków zawodowych i innych stowarzyszeń, które zawiązały się w owym czasie w Anglii celem przeprowadzenia reformy parlamentarnej. „Paczka” dokerów Adama liczyła teraz blisko stu ludzi — od niedawna należał do niej również Bert Carpenter, który w Anglii odzyskiwał stopniowo zdrowie. Tygrys Smith roznosił dalej listy i na swój własny, ostrożny i baczny sposób towarzyszył Adamowi w jego działalności.

Determinacja, z jaką Adam nalegał, by jego matka zamieszkała oddzielnie, opierała się na paru powodach. Po pierwsze, Adam wiedział, że zainteresowanie jego matki działalnością polityczną nie będzie sięgać tak głęboko, jak jego. Oliwia kierowała się uczuciami — współczuciem z nędzą, nienawiścią

do ucisku. Tymczasem on sam coraz bardziej angażował się intelektualnie, czytając i chodząc na różne zebrania i odczyty. Od utopii na modłę Owena przechodził do poglądów bardziej naukowych, sięgając po oparcie do pism wygnańców osiedlonych na ziemi angielskiej: Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Drugi powód dotyczył osobistego życia Oliwii. Nie wąpił ani przez chwilę w jej bezwzględna wierność mężowi, ale nie mógł jednak pogodzić się z tym dworem podstarzałych kawalerów, który otaczał Oliwię, chociażby ich asysta była jak najbardziej platoniczna. Trzecim powodem, o którym Adam nikomu nie wspomniał, była cicha nadzieja, że Filip Hunter powróci do żony — a powróci tym łatwiej, o ile nic będzie musiał zarazem rozwiązywać problemu swego stosunku do syna.

Tak mijały lata. W roku 1863 Agnieszka urodziła drugiego syna i właściwie przestała zajmować się pracą społeczną. Jeszcze tylko towarzyszyła Adamowi na odczyty i zebrania. Robotnicza klasa angielska żądała za pośrednictwem demonstracji i wieców, aby Wielka Brytania dopomogła powstaniu, które wybuchło w Polsce. Adam nie spodziewał się, aby rząd dał się nakłonić do interwencji na rzecz Polski, ale popierał każdą sposobność solidarnego wystąpienia klasy robotniczej. W roku 1864 młodzi Hunterowie witali wśród entuzjastycznie demonstrujących tłumów Kossutha, a potem Garibaldię w Londynie.

Jeden z przyjaciół Oliwii, Colin Simpson, siwowłosy archeolog, należał do tych nielicznych mężczyzn, którzy popierali postulat praw wyborczych dla kobiet. Adam ironicznie twierdził, że Simpson interesuje się tylko prawem wyborczym dla Oliwii albo prawem mianowania jej premierem czy też wicekrólem Indii, jeśliby takie były jej ambicje. Towarzystwo tego łagodnego i inteligentnego człowieka było dla Oliwii istotnie wielką przyjemnością, może dlatego, że Simpson przypominał jej nieco dawnego wielbiciela, Guya Forstera, który do śmierci pozostał wierny swemu ideałowi i nie ożenił się nigdy. Mniej była pewna tego, czy naprawdę lubi towarzystwo Geoffreya Bowersa, nazbyt natarczywego i nietaktownego. Kobiecie w jej wieku asysta Bowersa pochlebiała, ale jednocześnie wydawała się czasem odstręczająca. Unikała go, gdy mogła, a zwłaszcza dbała o to, by nie spotykać się z nim sam na sam. Zdawała sobie jednak sprawę, że Bowers tylko tłumił uczucie, gotowe każdej chwili wybuchnąć gwałtownym pożarem.

— Doprawdy, jaki z niego nierozumny człowiek — mówiła któregoś dnia do Golina Simpsona, gdy wracali razem z odczytu. — Powinien by już od dawna zwrócić w inną stronę swoje atencje. Traci tylko czas, a stracił już wiele lat.

— Droga pani Oliwio — odrzekł Simpson z trochę staromodną, wyszukaną uprzejmością. — Bowers jest mężczyzną o usposobieniu, które przeszkody i zwłoki tym bardziej podniecają, (idy droga pani tak systematycznie

odmawia zaspokojenia jego pragnień... aby być z panią sam na sam, Bowers dary tym upoczywiewj do postawienia na swoim.

W połowie lipca roku 1866 Oliwia wróciła do Londynu z krótkiej podróży do Grecji, gdzie wybrała się razem z Colinem Simpsonem — który towarzyszył jej platonicznie, i może trochę nierozważnie, jako przewodnik wtajemniczający ją w cuda i zagadki skarbów kultury antycznej. W parę dni później, pewnego parnego popołudnia, Oliwia siedziała sarna na kanapie przed kominkiem w swojej małej bawialni, gdy pokojówka wprowadziła Bowersa. Szczupły i chuderlawy jak zawsze, wyglądał jednak na zdrowszego niż dawniej.

— Mam nadzieję, że wróciłaś odświeżona czarującą wycieczką.

— Odświeżona i gotowa na każdą ewentualność — zaśmiała się Oliwia. — A zważywszy, jakie są niespokojne nastroje teraz w Anglii, kto wie, na jakie ewentualności powinnam być gotowa?

— Ależ ty chyba chętnie witasz te niespokojne nastroje!

Oliwia poprosiła, by usiadł, i wskazała mu miejsce na końcu kanapy.

— Zamieszki są może nieuniknioną ceną naprawienia krzywd — powie działa.

— Ale, biorąc to pod uwagę, czy nie narażasz się, mieszkając tu sama? Oliwia roześmiała się na tę myśl.

— A czegoż mam się bać? Syn blisko i tylu dobrych przyjaciół!

— Ale potrzebny ci jest opiekun oddany, osobisty — rzekł Bowers. Wzrok jego przesunął się tam i z powrotem po jej postaci w taki sposób, że Oliwia zapragnęła, aby kanapa była znacznie dłuższa.

Oliwii przychodziło chwilami do głowy, że sytuacja w Londynie jest poważna i może zanosi się na stan, przypominający wojnę domową. Wprawdzie do tej pory tłumy okazywały nadzwyczajną powściągliwość; ale jeśli któraś demonstracja rozluźni dyscyplinę, dojdzie do rozruchów. W takich chwilach Oliwia myślała z jeszcze większą niż zwykle tęsknotą o Filipie, jego fizycznej sile, jego odwadze i przedsiębiorczości. Gdyby był przy niej, nie bałaby się naprawde niczego. Ale do Bowersa uśmiechnęła się z odrobiną wyższości i rzekła:

— Niepotrzebnie dramatyzujesz. To Anglia. Nic się nie stanie zwykłej kobiecie, jak ja.

— Wszystko jedno, w jakim kraju — odparł malarz, przysuwając się do niej bliżej — i wszystko jedno, w jakiej sprawie, słusznej czy niesłusznej, gdy tłumy wszczynają rozruchy, jednostkom, a zwłaszcza kobietom, może się zdarzyć coś złego.

— Jeszcze nie ma takich rozruchów! Poczekajmy, aż zdarzy się coś poważniejszego.

Oliwia obserwowała go bacznie. Przez chwilę nic nie mówił. Niespokojny jego wzrok obiegił cały pokój i powrócił do niej. Palcami nerwowo szarpał obicie kanapy.

— Coś poważniejszego powinno zdarzyć się w naszym życiu — rzekł wreszcie.

— Och, ciągle się coś zdarza, mniej czy bardziej poważnego — odparła lekceważącym tonem, choć postać jej jakby zeszywniała.

Bowers zwrócił się do niej gwałtownym ruchem. Oczy mu pałały, ręce wyciągnął.

— Oliwio, wiesz, że cię kocham! Kochałem cię od pierwszej chwili, kiedy ciebie zobaczyłem — przed tyłu już laty!

— Uspokój się, Geoffrey. Takich rzeczy się nie mówi żonaciej kobiecie.

— Żonaciej kobiecie, która nie ma męża!? I jeśli to mówi żonaty mężczyzna, który nie ma żony! Nic jesteśmy już młodzi, Oliwio moja, ale moglibyśmy jeszcze być bardzo szczęśliwi razem.

— Proszę cię, jeśli cenisz naszą przyjaźń, przestań natychmiast i nigdy do mnie nie mów w ten sposób. Zapominasz, że jestem babką!

Bowers pochylił się szybko i ujął Oliwię za ramiona.

— Czas ucieka — mówił głosem, który mu trochę zachrypnął. — Ale jeszcze możemy przeżyć szczęśliwe lata. Tylko już nie zwlekajmy!

Oliwia otrząsnęła się z jego objęć i wstała, gniewna i wspaniała w swej urażonej godności. Z błyszczącymi oczyma i zarumienioną twarzą powiedziała:

— Proszę mnie nie dotykać. Ceniłam sobie twoją przyjaźń, twoje towarzysztwo, zwiedzanie galerii, dyskusje o sztuce! A niczego więcej nie chcę od żadnego mężczyzny, prócz mego męża.

Bowers wcale się nie rozgniewał. Uśmiechnął się z obłęsną zarożumiałością.

— Nie wiesz sama, czego chcesz, dopóki nie spróbujesz — rzekł. — Po jedź ze mną za granicę, nie do strupieszalej Grecji, lecz do romantycznej Italii, krainy kochanków... Ja nie będę platonicznym adoratorem. I nauczę ciebie chcieć... mnie! — Uderzył się przy tych słowach w pierś.

Oliwia była kobietą w każdym calu, kobietą nadal podlegającą pragnieniom, których ponoć wiek nie dozwalał już jej płci. Ale gdy mu odpowiedziała, był to głos najgłębszej prawdy:

— Dla mnie kochankiem był tylko Filip i nikt inny.

— Ech! — wykrzyknął pogardliwie Bowers. — Prymityw. Zwykły samiec. Ja, moja najdroższa Oliwio, znam się na sztuce kochania. Odkryję ci rozkosze, o jakich marzyłaś. Gdy jesteśmy nieco starsi, potrzebujemy nic tyle samczej siły, ile raczej delikatności i umiejętności.

— Kiedy namalowałaś ten przerażający portret Eweliny, sądziłam, że to

nie była z twojej strony perfidia, lecz raczej nieodparty nakaz sztuki. Widzę teraz, że jesteś zdolny do fałszu. Wprowadziłeś mnie w błąd, podszywając się pod płaszczyk przyjaźni...

— Czy mogłaś wątpić, zwłaszcza od kiedy przyjechałaś do Londynu, że pragnę być czymś więcej dla ciebie niż platonicznym przyjacielem?

Siedział jeszcze, z twarzą podniesioną ku niej.

— Samotnej i starzejącej się kobiecie przyjemnie jest dostrzec, że w oczach mężczyzny jeszcze nie straciła wszelkiego uroku — rzekła Oliwia. — Co wcale nie znaczy, że ma ochotę zostać prostytutką. Daj spokój, Geoffrey. Dość tych nonsensów. Upał ci musiał uderzyć do głowy. Przykro mi, jeżeli coś zrobiłam, albo czegoś nie zrobiłam, co dało ci błędne wyobrażenie o mnie. Proszę cię, idź już teraz. I nie wracaj, dopóki nie wytrzeźwiejesz i nie będziesz pewien, że potrafisz się normalnie zachowywać. Przez pamięć naszej dawnej przyjaźni zapomnę, że w ogóle się rozegrała ta godna pożałowania scena.

Mówiąc jeszcze, nasłuchiwała, gdyż zdawało jej się, że od drzwi frontowych doleciał odgłos mosiężnej kołatki, a później rozmowa z pokojówką. A ten drugi głos, ten głos...! Bowers chyba ogłuchł. Oliwia spojrzała ku drzwiom. Gdy tylko odwróciła wzrok od Bowersa, ten zerwał się z kanapy, chwycił ją w pół, przytrzymał jej prawą rękę i obejmując mocno, szukał ustami jej twarzy. Zapomniał może, że Oliwia nie była delikatną i słabowitą damą londyńskich salonów, lecz córą angielskiej wsi. Odchyliwszy się od napastnika, zadała mu lewą ręką zamaszty cios w głowę, wołając jednocześnie:

— Wejdz, na miłość boską...!

Zanim jeszcze wymieniła imię tego, kogo wołała, i gdy Bowers, który był zawsze cherlakiem, siadł ciężko na kanapie, rękoma obejmując głowę, drzwi się otworzyły.

Na progu stał Filip.

Rozdział dwudziesty

W obawie przed rozruchami władze powysyłały do szynków, klubów robotniczych, wieczornych szkół dokształcających — szpiegów policyjnych z instrukcjami, aby donosili o podburzających rozmowach. Adam nie sądził, aby rozmowy jego i kolegów o związkach zawodowych i działalności Ligi Walki o Reformę podpadały pod tę kategorię — ale nie jego opinia o tym decydowała. Aby więc nie ryzykować, młodzi działacze wybrali sobie na miejsce spotkań zaciszny antykwariat książkowy, do którego już dawniej Adam często zaglądał, kochając się w książkach. W pomieszczeniu za sklepem można było wypić kawę.

lego samego popołudnia, kiedy niespodziewane przybycie Filipa wprowadziło sporo zamieszania do cichego ustronia Oliwii, Adam i Alek siedzieli przy stoliku w kawiarence za antykwariatem. Duszno tu było: Alek wachlował się słomkowym kapeluszem. Przy krześle Adama leżał spasiony kundel znosem na łapach, jednym okiem pilnując drzwi.

Półki zastawione były aż do sufitu książkami: na rzędach stojących, zakurzonych tomów położono jeszcze książki poziomo, by wykorzystać każde wolne miejsce. Książki leżały stosami na ladzie, na krzesłach, na paru stolikach kawiarnianych, nawet na podłodze, gdzie często służyły w charakterze stopni tym, którzy pragnęli sięgnąć do wyższej półki. Kilku starszych jego-mościów — których Adam śledził spod oka, czy nie słyszą — grzebało się w książkach, otrząpywało z nich kurz, przerzucało kartki. Antykwariusz — o długich, siwych włosach i cienkim nosie, na którym chwiejnie sterczało *pince-nez*, od dawna stracił rachubę, ile ma książek. Ale nadal z żalem rozstawał się z każdą. Wolał, gdy jego klienci czytali na miejscu, pozostawiali książki i wracali następnego dnia, by znowu przeglądać, czytać i studiować.

— Wolałbym, żeby jej pan nie zabierał — mawiał zwykle do ewentualnego nabywcy. — Ale jeśli pan musi ją koniecznie kupić, cena wynosi...

Trudno było doprawdy odgadnąć, jak przy takich zasadach handlowych antykwariusz mógł zarobić na najprymitywniejszą choćby egzystencję, zważywszy nawet, że był człowiekiem samotnym i mieszkał w jednym z czterech pokoiów za antykwariatem — pozostałe trzy były zapchane książkami od podłogi do sufitu. Odżywiał się jajecznicą z kartoflami, które przysmażał sobie na małym piecyku i nigdy, nawet w niedzielę, nie widziano go w innej odzieży niż w połatany, niegdyś czarnym welwecie, skrojonym według mody sprzed czterdziestu lat.

— Wysokość zarobków w stosunku do wykonanej pracy jest śmiesznie niska — rozprawiał Adam, który traktował przyjaźnie młodszego brata, przekonawszy się już, że Alek ignoruje więzy rodzinne. Z Alkiem można było rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. — Mówię z doświadczenia. A jeszcze gorzej wygląda stosunek wypłat za pracę do zysku za rok, zwłaszcza gdy się zważy, pomiędzy jaką wielką ilość ludzi rozdziela się zarobki za pracę, a jak małą — zyski. niesprawiedliwość dzieje się za każdym razem, gdy w piątek robotnik wyciąga rękę po wypłatę.

— Pojmuję twoje uczucia — odrzekł Alek. — Tylko że nawet z tego, co mi mówisz — właśnie z tego, co mi mówisz — mogę wywnioskować, że robotnik nie ma szacunku dla pracodawcy.

— A niby skąd ma mieć ten szacunek, jeśli pracodawca nie okazuje mu żadnych względów, nie próbuje nawet być sprawiedliwym w stosunku do niego, cóż dopiero — wielkodusznym? A nie okaże żadnych względów, do póki się go do tego nie zmusi. Jego celem jest zarobić jak najwięcej pieniędzy

w jak najkrótszym czasie, a to znaczy płacąc jak najmniej za robociznę. Są dwa sposoby zmuszenia pracodawcy, żeby postępował z nami uczciwie... Antykwariusz podszedł do ich stolika, powłócząc z lekka nogami.

— Czy nie wam nie potrzeba, moi młodzi dżentelmeni? — zapytał, spoglądając przyjaźnie na Adama, którego bardzo polubił.

— Nic nam nie potrzeba, dziękujemy, panie Nickalls — odrzekł Adam.

— Wyborna kawa — dodał Aleksander.

— A to nie byle jaka sztuka: przyrządzić dobrą kawę — rzekł pan Nickalls. — Mało kto w Londynie zna się na tej sztuce, mało kto! — Z ubolewaniem potrząsnął siwymi włosami, które opadały mu aż na kołnierz.

— A przy sposobności chciałem zauważyć — powiedział Adam, zerkając z ukosa na Alka — że tylko jeden z nas jest dżentelmenem.

— Pański brat wygląda na dżentelmena — rzekł pan Nickalls. — Co do pana, wiem, że nim jesteś. — Położył na chwilę rękę na ramieniu Adama, po czym odszedł.

— Lubi mnie ten staruszek — powiedział Adam. — Zaprasza mnie czasem do tego swojego osobistego pokoiku, tam w głębi. Pokazuje mi swoje najukochańsze książki, istotnie bardzo cenne, których nie trzyma w sklepie z obawy, że jeszcze by ktoś zechciał kupić. Mówię ci, stare druki, niektóre jeszcze z czasów Caxtona! Okres początków drukarstwa w Anglii!

— Znam ten gatunek ludzi — rzekł Aleksander. — Jest paru podobnych do niego w Oksfordzie.

— Ale wracając do rzeczy. Jak ci mówiłem, są dwa możliwe sposoby zmuszenia pracodawcy do przyzwoitości — sposób demokratyczny, przez reformę parlamentarną, albo też rewolucja. Który byś wybrał?

— Żadnego — odpowiedział spokojnie Alek. — To, co nazywasz sposobem demokratycznym, opiera się na fałszywych założeniach. A rewolucja oznacza przelew krwi.

— Cofasz się na myśl o przelewie krwi, a głodowa śmierć cię nie przeraża? Wierz mi, głodujących jest pod dostatkiem w tym mieście, wbrew wszystkiemu, co się mówi o bogactwie Anglii. Ale co masz na myśli, mówiąc o fałszywych założeniach sposobu demokratycznego?

— Posłuchaj mnie. Adamie. Ty nie jesteś typowym robotnikiem. To jest jasne — składają się na to twoje wychowanie, wykształcenie, obecne zainteresowania kulturalne. A typowy robotnik nie dojrzał jeszcze ani moralnie, ani umysłowo do tego, by mu dać pełne prawa wyborcze. Nie złość się, ale to fakt.

— Tyle już razy słyszałem to twierdzenie, że nie jestem w stanie złościć się więcej. Mówiono to w parlamencie, gdy odrzucono projekt reformy na początku tego roku. Mówiono to na twoim uniwersytecie wiele razy. Ty, Alku, zarazasz się na ślepo typowymi profesorskimi poglądami, nie myśląc wcale samodzielnie.

— Wydaje mi się, że te profesorskie poglądy są słuszne, chociaż przyznaję, że poświęcam mniej czasu i uwagi tym sprawom od ciebie. Moja matematyka za bardzo mnie pochłania. Ale wiem, że podczas niektórych demonstracji, na przykład na północy, doszło do rozruchów. Ludzie, którzy gotowi są do gwałtu, nie dojrzeli do prawa głosu.

— Alku, obudź się! — zawołał Adam. — Czy ty nie wiesz, że każdy do tej pory wypadek rozruchów był spowodowany przez policję albo żołnierzy?

— Po twojej stronie tak twierdzą — odrzekł Alek. — Ale dobrze, odłóżmy na chwilę ten aspekt. Co twój człowiek pracy wie o gospodarce finansowej kraju, o polityce zagranicznej, o znaczeniu kolonii, a nawet o oświacie?

— Więcej, niż przypuszczasz. A w każdym razie nie mniej od wielu naszych szlachciców, którzy prócz myślistwa niczym się nie interesują. Przypomnij sobie, Alku, kto przed trzydziestu laty przychodził tłumami przez dom, w którym umierał Walter Scott i zapytywał o jego zdrowie? Londyńscy robotnicy! Czytali zatem powieści historyczne. A od tej pory zdobywają sobie coraz więcej wykształcenia.

— Moim zdaniem — upierał się Alek — robotnik nie jest jeszcze przygotowany do odpowiedzialności, która...

— Wiesz zapewne — przerwał mu Adam — że ten właśnie punkt widzenia wywołał demonstracje wszecz i wzdłuż kraju.

— Wiem, i mówię ci, że robotnik woli dowodzić słuszności swoich praw, bijąc oponenta pięścią w zęby, zamiast przekonywać go argumentami — i to mam na myśli, kiedy mówię, że robotnicy nie dojrzeli jeszcze moralnie ani umysłowo!

— A ja ci powiadam, że się mylisz. — Adam nie złościł się ani nie unosił w dyskusji, ale mówił z naciskiem. — Być może, że ja, jak powiadasz, nie jestem typowym robotnikiem. Ale dobrze znam psychikę typowego robotnika.

— Czy go trochę nie idealizujesz?

Zadzwieczęła krótko dzwonek i drzwi antykwiariatu otworzyły się: pies przy nogach Adama warknął, a potem zamerdał ogonem. Adam spojrział wzdłuż wąwozu między dwoma ścianami książek i rzekł:

— Właśnie przyszedł typowy robotnik.

John Barlow szedł ku nim, wyglądając i czując się — bardzo nie na miejscu w tej atmosferze erudycji, właściwej starym księgarzom.

— Moralnie i umysłowo dojrzały; gotów do rzeczowej dyskusji; wyższy ponad gwałty, rozruchy, rękoczynny — kpił Alek przyciszonym głosem, patrząc na nadchodzącego.

Istotnie, jego kpiny nie były bez podstaw. W każdej okoliczności John Barlow — muskularny, barczysty, czarnobrody, o spojrzeniu nieufnym i wyzywającym zarazem — wyglądał jak uosobienie brutalnej siły przy bardzo

skromnym udziale władz umysłowych. Skądinąd właśnie wyższość umysłowa dziwnie go pociągała, bo instynktownie czuł, że wykształcenie, wiedza są stopniami do życia pełniejszego, chociaż gdyby go o to zapytano, z pewnością by odrzekł, że określenie „pełny” może się odnosić tylko do pełnego żołądka, a to przyjemne uczucie rzadko i mało komu się zdarza. Ale tego dnia John Barlow wyglądał inaczej niż zwykle.

— Bił się z kim, czy co u licha? — mruknął Adam.

Rzeczywiście, doker miał długą, świeżą szramę przez policzek, spodnie rozdarte, był z gołą głową pomimo palącego słońca. Gdy powitał braci Hunterów podniesieniem ręki, dostrzegli, że dłoń jego pokryta była błotem i zaschniętą teraz krwią, która spłynęła między palce.

Uniósłszy jedną brew. Alek zerknął łobuzersko na Adama, który, trochę speszony, zapytał:

— Coś ty robił, John? Spadłeś ze schodów na dziedzińcu, czy co?

— Ktoś spadł, ja nie — odparł Barlow, siadając ciężko na krześle.

— Przepraszam — to mój brat, to jest John Barlow, Alku.

Barlow obejrzał młodego uczonego od góry do dołu, ale ręki nie podał.

— Pan! — wyrzekł z głęboką pogardą. I dodał zwracając się do Adama: — Myślałem, że już skończyłeś z panami?

— Nie skończyłem i nie skończę z nikim, kto jest po naszej stronie.

— A on jest? — Barlow przez ramię wskazał kciukiem Alka, który kręcił ołówek w palcach i uśmiechał się bez słowa.

— Może jeszcze nie, ale mam nadzieję...

— Ja bym nie miał nadziei na żadnego wystrojonego fircyka!

— Daj spokój, John! Nam potrzeba ludzi z głową, nie tylko z rękami!

— To i mamy ludzi z głową — takich jak ty — którzy się przecież nie stroją i wyglądają na mężczyzn, a nie gogusiów! — burknął Barlow, patrząc z niesmakiem na popielate, prązkowane spodnie Alka, biały, sztywny, szeroko rozłożony kołnierzyk i luźno zawiązany fontaż.

— Och, daj spokój memu bratu — rzekł żartobliwie Adam — a lepiej opowiedz nam o wypadku.

Barlow otrzepał ręce jedna o drugą.

— Nie było żadnego wypadku — rzekł. — Walnąłem go i tyle.

Alek musiał szukać ratunku w chustce do nosa i udawać, że jego wybuch śmiechu ma coś wspólnego z katarem nosa.

— Kogo? I dlaczego? — dopytywał się Adam Barlowa, spoglądającego podejrzliwie na Alka, ukrytego za wielką, białą chustką do nosa.

— Billa Rogersa. Dostał, na co zasłużył.

— Wydaje się, że i on trochę walił, co? — wtrącił Alek, wynurzając się zza chustki do nosa z zaczerwienioną, poważną twarzą i śmiejącymi się jeszcze oczyma. Wskazał przy tern na jaskrawą szramę na policzku Barlowa.

— Ale trzeba jego zobaczyć! Takem go urządził, że go rodzona matka nie pozna! — odparł agresywnie Barlow. — Oko ma wybite, nos rozkwaszony — pierwszorzędna robota!

— Ale dlaczego? Za co? — Adam uderzył pięścią w stół, zniecierpliwiony. Wniwecz się obracały jego argumenty. Co gorsza, wiedział, że Alek ma pyszną zabawę.

— Bo to podlec i szpion — splunął Barlow. — Tygrys Smith się wywiedział o tym. Bill Rogers donosił o naszych planach tajniakowi.

— Pewien jesteś?

— Tygrys jest pewien.

— W każdym razie tak się sprawy nie załatwia. Trzeba było siedzieć cicho, John. Oskarżylibyśmy go oficjalnie na następnym naszym zebraniu. Każdy by mógł zabrać głos i przedyskutować, co z nim zrobić.

— Wiem — rzekł pogardliwie Barlow. — Dużo gadania. Jak stare baby. A potem zadecydowalibyśmy, żeby go wykluczyć. I poszedłby sobie swobodnie! To nie dla mnie. Ja się z nim załatwiłem po swojemu. Nie będzie więcej donosił, to pewne.

— Typowy przeciętny robotnik. Dojrzały moralnie i umysłowo — mruczał Alek.

Adam dosłyszał aż nadto dobrze. Barlow nie dosłyszał.

— Że co? — zapytał, pochylając się groźnie ku Alkowi.

— Mruczę sobie melodię pod nosem, przepraszam bardzo! — odrzekł poważnie Alek, zerkając na zmieszanego Adama.

— To ja się będę zabierał — rzekł Barlow wstając. — Wiedziałem, że ciebie tu znajdę.

— Dziękuję za wiadomość, John. Spotkamy się później, to pogadamy — pożegnał go Adam.

— Siła i gwałt w miejsce dyskusji i argumentów. Oto mamy dowód słuszności mojego twierdzenia! — powiedział Alek z triumfującym uśmiechem, gdy doker odszedł.

— Przyznasz, że była prowokacja — odrzekł defensywnie Adam.

— Ale ty, jako nietypowy robotnik, powiedziałeś, że sprawę należało załatwić według zasad demokratycznych. Bo wiesz równie dobrze jak ja, że prowokacja nie jest usprawiedliwieniem gwałtu!

Gdy bracia się żegnali, Alek zapytał:

— Czy plany przyszłych demonstracji są tajemnicą? Chętnie bym wziął udział w którejś.

— Demonstracje nie mogłyby być tłumne, gdybyśmy je trzymali w tajemnicy — odparł Adam. Opowiedział mu o wiecu, planowanym na 23 lipca, za dwa dni, który miał się odbyć w Hyde Parku.

— Myśle, że będę mógł przyjechać — rzekł Alek. — Pracuję w Oksfordzie nad pewnym problemem, ale wyskoczę na dzień albo dwa.

Adam był zadowolony. To już coś, jeśli Alek się zainteresował. Reszty dokona jego własny zdrowy rozsądek, byle się pozbył tego akademicko--profesorskiego, oderwanego od życia światopoglądu.

Gdy wychodzili, stary antykwariusz podszedł do nich.

— Do widzenia, młodzi przyjaciele. Przyjedźcie prędko znowu. Widuję w moim antykwariacie wielu starszych klientów, ale o wiele za mało młodych. Nie każdego z tych młodych chciałbym u siebie widzieć, ale są tacy, których bardzo wyglądam. — I znowu położył rękę na ramieniu Adama, który odrzekł:

— Pan wie, panie Nickalls, że ja nie mogę długo wytrzymać z dala od tej księgarni. Najchętniej całe dnie bym tu przepędzał!

— Dobrze jest, gdy młodzieniec kocha książki — rzekł pan Nickalls.

Gdy Filip, chwyciwszy Bowersa za kołnier, jak psa za obrozę, wyrzucił go, Oliwia spojrzała w twarz męża — po raz pierwszy w życiu z przestachem. Sytuacja Bowersa wraz z wołaniem samej Oliwii nie pozostawiała żadnych wątpliwości, co do rodzaju sceny, jaka się w jej bawialce rozegrała. Filip wyrzucił natręta z pogardą, którą, jak się zdawało, spowodowała w równej mierze tchórzliwość, jak i niewczesne zapały miłosne biedaka. Przez głowę Oliwii przeleciała myśl, że Filip na pewno powie — i może słusznie — że gdyby ona, Oliwia, zachowywała się wobec mężczyzn z godnością, jak przystało zamężnej kobiecie, podobna scena nie mogłaby się zdarzyć.

Oliwia nie wiedziała, że Filip tym razem przynajmniej myślał szybko. Gdy szedł do Oliwii, ogarnął go nastrój dziwnej nerwowości. To przecież on sam zabronił żonie powracać do jej własnego domu. Jak ona go teraz przyjmie? W ciągu ostatnich, pełnych nerwowego napięcia dni i bezsennych nocy, po wielokroć wyobrażał sobie Oliwię, władczym gestem rozkazującą, by nie przekraczał progu jej domu. Ale scena z Bowersem, skądinąd niesmaczna i upokarzająca, sprawiła, że Oliwia musiała teraz zgodzić się na jego obecność, choć w innych warunkach byłaby go może nie przyjęła. A sposobność fizycznego wyładowania się pozwoliła mu pozbyć się wszelkiej nerwowości.

— Bardzo mi przykro — wykrztusiła Oliwia. — To mój ślepy upór... Ostrzegałeś mnie przed nim już dawno. A ja zamykałam oczy na... na...

Filip uśmiechnął się — dawnym, szerokim, trochę impertynenckim uśmiechem. Myślał: „Jak przewidziałem: wszedłem i będę mógł zostać!” Głośno powiedział:

— Nędznik. Ale to wszystko moja wina. Gdybym był z tobą, jak powinienem, nic takiego nie mogłoby się zdarzyć.

Oliwia również odetchnęła. Podeszła do niego i ujęła klapy jego surduta obu rękami.

— Czy chcesz powiedzieć, że potrzebuję cię jako stróża? — zapytała, podnosząc ku niemu twarz z uśmiechem.

— Nie, tego nie powiedziałem. Ale nie miałem nigdy przyczyn uważać cię za świętą z obrazka. Zanim wyszłaś za mnie — znowu uśmiechnął się po łobuzersku — zwracałaś porządnie głowę temu biednemu Forsterowi, nie mówiąc o tym, że mnie trzymałaś jak na rozżarzonych węglach przez czas, który wydawał się wiekiem!

— Tak, biedny Guy Forster. Ale ja teraz nie mam osiemnastu lat. Należałoby przypuszczać, że z siwymi włosami przyjdzie pewna powściągliwość.

— Dla mnie jesteś równie godna pożądania z siwymi włosami, jak z kasztanowatymi — odpowiedział z galanterią. — A w każdym razie nie będzie już potrzeby, by ci obcy mężczyźni towarzyszyli.

Patrzyła czujnie w jego twarz, by odgadnąć intencje.

— Mogę wrócić do Orchards?

— Ale jeszcze nie zaraz. Gdybym mógł tu zostać — a jeśli nie pozwolisz, to w hotelu — chciałbym zobaczyć trochę tych londyńskich wieców i demonstracji, o których tyle się mówi.

Właśnie nowiny o zamieszkach w całym kraju, a zwłaszcza w Londynie, dały Filipowi pretekst do zmiany decyzji. Może — przekonywał sam siebie — Oliwia byłaby bezpieczniejsza w Orchards, a nie wróci, bo przecież powiedział jej, by nie wracała już wcale. A jeśli coś jej się złego stanie...

Od dawna już walczył z rozpaczliwą samotnością i z poczuciem, które nadaremno próbował stłumić, że wygnał za drzwi najważniejszą treść swego życia. W miarę jak nadchodziły co tydzień listy, obracał je w rękach, zanim wrzucił w ogień. Raz posunął się tak daleko, że nawet wziął nóż do rozcinania papieru i wsunął go w kopertę, ale zaraz odłożył, a list rzucił w ogień.

Ewelina przyjeżdżała często do Orchards, ale stało się coś dziwnego. Oto teraz, gdy powinni byli się zbliżyć ze sobą, Filipa irytowała ukochana dawniej córka. Gdy sam zaprzestał bywać w towarzystwie i wydawać pieniądze na zaspokajanie towarzyskich ambicji, drażniła go jej rozrzutność i snobizm. On sam wkładał teraz, cały zysk z powrotem w gospodarstwo — powiększał inwentarz, wznosił nowe budynki gospodarskie, nowe ogrodzenia.

Nadszedł dzień, kiedy Filip posłał wóz do naprawy i odmalowania — do Harolda Cooka. Później stale już dawał mu jakąś pracę. Początkowo rozmawiali wyłącznie o robocie, aż któregoś dnia, w pokoiku myśliwskim, gdzie wisiała broń i siodła, przy kieliszku Filip zadał wreszcie pytanie: czy Cook nie wie, co porabia Adam? Mógł być oczywiście dowiedzieć się tego z listów Oliwii. Stary kołodziej wzruszył się głęboko, widząc że Hunter musi obcych ludzi pytać o syna. Odpowiadał zgodnie z prawdą, ale ogólnikowo, uważając.

by nie zdradzić zbyt bliskich kontaktów z Adamem ani też tego, że miał wiadomości od Oliwii.

I znowu pewnego dnia Filip powierzył Appletonom krycie słomą stogów. Zasiane ziarno, na które liczył stary pastor Black, nakłaniając Agnieszkę, by ściągnęła Oliwię do Londynu, zaczynało kiełkować i rosnąć w duszy samotnego człowieka.

Pewne echa tych zmian doszły do Oliwii za pośrednictwem starannie wykaligrafowanych listów Cooka, ale brak jakiegokolwiek odpowiedzi na jej własne cotygodniowe listy do Filipa — których pisanie przychodziło jej z coraz większym trudem — utrzymywał ją w przekonaniu, że Filip znajduje namiastki jej obecności.

...Coraz potężniej, coraz powszechniej szerzyły się żądania prawa głosu dla ludzi pracy. Utworzono narodową Ligę Reformy. Wrzało w każdym ośrodku przemysłowym. Z początkiem roku 1866 parlament odrzucił projekt reformy. W Londynie powstało Zrzeszenie Robotnicze, związane z Pierwszą Międzynarodówką. John Bright, radykał, członek parlamentu i przywódca zwolenników reformy w Izbie Gmin i w całym kraju, przemawiał na olbrzymich wiecach w Glasgow, w Birmingham, w Manchester. Setki tysięcy ludzi przemaszerowało przed nim w demonstracjach, w których związkowcy szli ramie przy ramieniu z burżuazyjnymi radykałami. Wydawało się, że kraj jest u progu wojny domowej. Zmobilizowano policję, wojsko stało w pogotowiu, by interweniować na rzecz, „ładu i pokoju”.

Taka właśnie sytuacja w kraju dała Filipowi do ręki powód czy wymówkę, by pojechać do Oliwii. Powziął decyzję dopiero po wielu dniach i nocach zmagania się z własnym uporem. Pojechać do niej znaczyło upokorzyć się, przyznać się do popełnienia błędu. Nie przyszło mu do głowy, że Oliwia może być gotowa uczynić to samo.

W innych okolicznościach Oliwia dostrzegłaby humor w tym, że Filip odezwał się do niej teraz takimi samymi słowami, jak poprzednio Bowers:

— Czy nie obawiasz się o własne bezpieczeństwo, mieszkając tutaj sama w takich niespokojnych czasach?

„Właściwie łatwo jest przewidzieć, co mężczyźni powiedzą” — pomyślała Oliwia. Ale głośno rzekła tylko:

— Mam nadzieję, że moje czasy samotności się skończyły. — Mogła była dodać, że ona sobie nie wybrała tej samotności, ale to nie była chwila na podkreślanie zwycięstwa.

Prócz tego, umysł Oliwii był teraz zaprzątnięty różnymi kłopotliwymi problemami. Filip przyjechał i chciał zostać. Ale jak się ustosunkuje do Adama i jego żony? I jakiego stosunku do syna oczekuje od niej, matki?

Te same problemy przedstawiały i dla Filipa najtrudniejsze przeszkody. Ale teoretycznie już je rozwiązał.

Wreszcie, przy wieczerzy Filip zaczął:

— A więc Adam pracuje w porcie?

— Tak. Dostają coraz więcej pracy, on i jego „paczka”, którą zorganizował.

— Czy... lubisz jego żonę? — Filip wymuszał z siebie pytania, wyrzucał, jakby chciał coś wypluć.

— Jest doprawdy urocza. Przeszła straszne rzeczy, ale wcale nie zgorzkniała. Polubisz ją, bo... — Oliwia zawahała się i spojrzała z ukosa na męża, zastanawiając się, czy to jest odpowiedni moment, by mu przypomnieć o tych cechach charakteru, które niegdyś i jego do niej przyciągnęły; zdecydowała się zaryzykować — bo jest ładna, a jednocześnie ma dobrze umeblowaną główkę na karku!

Teraz Filip z kolei zerknął na żonę, by sprawdzić, czy Oliwia chce mu przypomnieć...

Dwa spojrzenia spotkały się, rozpoznały, odgadły wzajemne myśli. Mąż i żona wybuchnęli śmiechem i śmiali się długo, serdecznie, nieproporcjonalnie do komizmu sytuacji, śmiali się, bo w śmiechu tym odnajdywali siebie i swoje dawne prawdziwe uczucia, w śmiechu tym topniały resztki lodu, jaki jeszcze leżał między nimi.

Zapalono świece. Siedząc przy kawie, w chłodzie wieczoru, rozmawiali szczegółowo o Adamie, jego zaangażowaniu w związkach zawodowych i działalności politycznej; o Agnieszce; o tym, że Alek kilka już razy przyjeżdżał do Londynu, zatrzymywał się u matki i odwiedza! brata. Oliwia opowiedziała również o Tygrysie i Johnie Barlowie, których obu serdecznie polubiła.

Filip wyraził obawy — które Oliwia podzielała — że Edward i Ewelina wydają więcej, niżby mogli sobie na to pozwolić. Wprawdzie należało się spodziewać, że Lord Chilcote im pomoże, ale jeśli ta pomoc zawiedzie, sytuacja może być tragiczna.

— Dostali ode mnie kilka razy pewne sumy — mówił Filip. — Ale ostatnio Ewelina nie zwraca się do mnie, a nawet wręcz odrzuca moje propozycje pomocy; zresztą, mam wrażenie, że sumy, które teraz wchodzi w grę, przekraczałyby moje możliwości.

— Finansowym kłopotom można by zaradzić wspólnymi siłami — zauważyła Oliwia. — Ale mnie najwięcej martwi i niepokoi to, że Ewelina ma romans z tym młodym Brome'em i teraz nawet nie bardzo się z tym kryje.

— To już trwa od dłuższego czasu — mruknął Filip, trochę zawstydzony, gdyż zdawał sobie sprawę, że w swoim czasie wcale nie potępiał postępowania Eweliny, nawet ją zachęcał do tego flirtu.

— A Brome nie należy do cierpliwych. Gdy Edward jest w domu, jakieś, tam przejrzyste pozory przyzwoitości są zachowywane, ale gdy tylko wy-

jeżdżą do pułku, Brome właściwie mieszka w Binwood. Ewelina musi mieć jakąś szczególną władzę nad mężem, że jej na to wszystko pozwala. Na czym to polega, nie wiem, a czasem boję się myśleć.

Krytyczny moment wieczoru nadszedł wraz z pokojową Oliwii, która powiedziała:

— Przygotowałam pokój gościnny, proszę pani.

Po jej odejściu Oliwia z nadzwyczaj intensywną uwagą przyglądała się deseniowi na jedwabiu swojej krynoliny. Filip uśmiechnął się nad jej głową po łobuzersku:

— Czy nie zostanę zaproszony?...

— Nie potrzebujesz zaproszenia. Masz prawo.

— Istotnie, przypominam sobie, że braliśmy ślub.

— To było dawno — zwlekała Oliwia, kryjąc uśmiech. — I człowiek, który nam dawał ślub, już nie żyje.

— Ale partnerzy żyją...

— I są o trzydzieści lat starsi.

— I mądrzejsi. — Filip przechylił się ku niej i podniósł łagodnie, końcami palców, jej twarz ku sobie tak, że ich spojrzenia się spotkały. — Ta ceremonia ślubna nadal, jak sądzę, obowiązuje?

Nieco później Oliwia leżała już w łóżku. W jej małym londyńskim domu nie było oddzielnej garderoby. Filip ściągnął najpierw koszulę, przypominając sobie radę starego Jamesa Debenhama, że jeśli mąż chce być w oczach żony mężczyzną, a nie strachem na wróble, to nie powinien nigdy ukazywać się jej oczom w samej tylko koszuli. Gdy stał tak w spodniach, z obnażonym torsem — zawsze pięknym i muskularnym — przypomniał się Oliwii ów wieczór, kiedy przyszła do jego szalasu w Binwood i zastała go myjącego się. Zamknęła oczy, pograżając się we wspomnieniu, które w połączeniu z obecną chwilą wywołało uśmiech na jej usta. W tę gorącą noc przykryła się tylko prześcieradłem. Z zamkniętymi oczami powiedziała:

— Łóżko jest bardzo wąskie, mój drogi. Kupowane było dla samotnej kobiety. Boję się, że ci będzie niewygodnie.

— Najwygodniejszym łóżkiem jest to, na którym najbardziej chce się spocząć — przypomniał jej.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kilkanaście grup — członków Ligi Walki o Reformę i związków zawodowych — uformowało się na wzgórzu Tower, by maszerować do Hyde Parku. Potężne mury i blanki starożytnej wieży londyńskiej spoglądały na nich

z góry, jakby chciały przypomnieć o ludziach, od wieków więzionych tutaj za walkę o wolność osobistą lub społeczną.

Adam i jego „paczka”, licząca teraz trzystu pięćdziesięciu ludzi, zajęli się werbowaniem dokerów do pochodu i sami byli zdumieni solidarnością swoich towarzyszy pracy, których stawiło się blisko tysiąc. Dalej gromadzili się murarze, cieśle, mechanicy, krawcy. John Barlow i Pat O’Sullivan nieśli dragi z transparentem, na którym widniał napis: „Dokerzy żądają prawa głosu!” Każda grupa niosła transparenty z jakimiś napisami, często humorystycznymi.

Maszerując pomiędzy Jimem Birkettem a Bertem Carpenterem, tuż za transparentem, Adam poprowadził towarzyszy w długi siedmiomilowy pochód do Hyde Parku. Na szczęście pogoda dopisała i chociaż słońce świeciło, nie było nadmiernego upału; ale i tak niebawem zaczęto zdejmować marynarki, ujawniając fakt, w który liczni dowcipnisie zawsze powątpiewali — że dokerzy posiadają czyste koszule.

Tygrys Smith nie mógł się oprzeć przyjemności maszerowania, chociażby maszerowano niezupełnie po wojskowemu. Szedł nieco na lewo od grupy dokerów, idących po ośmiu w rzędzie i pokrzykiwał w najlepszym podoficerskim stylu:

— Lewa... prawa! Lewa... prawa! Lewa... rów-no! Ech, wy łążęgi, co wy sobie wyobrażacie, że to spacerek po piwie od szynku do szynku?

Usłyszał w odpowiedzi śmiechy i żarty, o które mu chodziło; usłyszał też złośliwości, do których nie przywykł w wojsku.

— Psiakrew, ależ to daleko! — rzekł Carpenter. — Powiedz mi, Hunter, dlaczegoście wybrali właśnie Hyde Park? Nie można było gdzieś bliżej East Endu?

Choroba tropikalna zmieniła go bardzo. Wychudł, twarz miał żółkła i znać było, że jest o przeszło dziesięć lat starszy od Adama. Krewki temperament też znacznie złagodniał, choć jeszcze potrafił wybuchnąć, jeśli sprowokowano.

— Chcemy trochę wstrząsnąć nerwami mieszkańców tamtych dzielnic — rzekł Adam. — Najbogatsze pałace i domy mieszczą się przy Park Lane, Bayswater Road, Knightsbridge. Jeśli nadejdzie choć połowa tej liczby, na którą liczę, do uszu jej królewskiej mości w Buckingham Pałace też doleci parę okrzyków. Będzie myślała, że sprawdza się jej najgorsza zmora nocna: Anglia chce być republiką!

— Gdybym ja o tym decydował — powiedział przez ramię John Barlow od draga z transparentem — tobyśmy przyszli przed sam Pałac!

— Chcesz powiedzieć, że ci z nas by przyszli, którzy by pozostali żywi, kiedy wojsko skończy strzelać, co? — odparował Adam.

— My nie jesteśmy przeciw królowej! — rzekł O’Sullivan.

— Wiecie, o nas, Anglikach, powiadali — wtrącił niepozorny blondynek. Jim Birkett — że nienawidziliśmy króla, ale kochaliśmy monarchię; ci Irlandczycy robią na odwrót: nienawidzą monarchii, ale kochają królową!

— Ona podpisze ustawę o reformie, gdy jej przedłożą projekt — upierał się O'Sullivan.

— Wie, że straciłaby swoją posadkę, gdyby nie podpisała — zaśmiał się Jim Birkett.

— Lewa! Prawa! Lewa... Prawa! Lewa! — ryknął potężnym głosem Tygrys Smith. — Wyrównać szeregi zakichane!

Kundel wbiegł między szeregi, aby przypomnieć się Adamowi. Przeważnie uganiał po chodnikach, gdzie nie było tyle przerażających wielkich buciorów, za to bogatszy wybór różnorodnych zapachów.

— Co policja robi, gdy tam dojdziemy? — pytał Carpenter.

— Poczekaj, a zobaczysz — odrzekł Adam. — Musimy im przypomnieć o tradycyjnym prawie publicznych wieców. Nie wiemy jeszcze, co policja robi.

— Dużo oni tam dbają o tradycyjne prawa — burknął Carpenter. — Trzeba będzie na siłę...

— Tylko bez awantur — ostrzegwał Adam.

— Adam stchórzył, czy co? — powiedział Barlow. — Gada cały czas o demokracji, dowodzi, żeśmy warci mieć prawo głosu. Ja bym z przyjemnością pogłosował przeciw tym draniom pięściami.

Z bocznych ulic koło katedry św. Pawła wynurzyło się kilka grup i przyłączyło do maszerujących. Gdy poszli w stronę Fleet Street i stamtąd na ulicę Strand, szeregi ich wydłużały się i powiększały coraz szybciej. Mniejsze i większe grupy ludzi z transparentami dołączały się do marszu, cieszyło to serca maszerujących, ale jednocześnie wprowadzało nieład w ich dość regularne szeregi, przekształcając je w bezkształtny tłum.

— Będziemy wyglądać jak przedszkole na niedzielnej wycieczce — kłął Tygrys Smith, urażony w swych najgłębszych uczuciach.

— Im nas więcej, tym lepiej! — krzyknął do niego Adam.

— A jeśli ci nowi zamierzają wzniecać rozruchy? — zapytał O'Sullivan.

— Z pewnością nie — odparł Adam, uśmiechając się do jakiegoś nowo przybyłego. — A nawet jeśli by tak było, to nas jest dosyć, by temu zapobiec.

Na Strandzie było tylu prawie widzów, stłoczonych na chodnikach, co i maszerujących. Adam badał wzrokiem twarze — mieszanina robotników i klasy średniej, jak ocenił na podstawie ubiorów — by zaobserwować reakcje. Jedni byli po prostu ciekawi albo obojętni — przyszli pogapić się tylko — inni wydawali się przyjaźni, wołali słowa zachęty i co krok ktoś wychodził ze ściśniętego na chodniku tłumu, by wmieszać się między maszerujących.

U wylotów bocznych ulic stały wszędzie oddziały z transparentami, czekając, by dołączyć się na końcu pochodu.

— Tam za nami musi być teraz niemały ogon — powiedział Bert Carpenter. Zaimponował mu ten pochód. Bert dopiero od niedawna przyłączył się do akcji i nie orientował się, jak wielkim poparciem cieszyła się Liga.

— Spodziewam się, że będzie nas ponad sto tysięcy — rzekł Adam.

— Aż tyle? — zdumiewał się jakiś nowy przybysz, maszerujący obok.

— Zobaczycie. Nie było ruchu o tak masowym poparciu od czasów czar-tyzmu.

— No! Miejmy nadzieję, że wy osiągniecie więcej od czartystów — zauważył przybysz.

— Wkrótce już nikt nie powie, że czartyści niczego nie osiągnęli — upierał się Adam. — Ich wszystkie żądania będą spełnione.

— Może pan i ma słuszność — rzekł z powątpiewaniem przybysz. Ale uśmiechnął się do Adama i szedł dalej. — Skąd zdobyliście sobie tego wojskowego? — zapytał, wskazując głową w kierunku Tygrysa Smitha, którego głos właśnie wzniosł się ponad wszystkie inne, wcale pokaźne hałasy:

— Lewa... prawa... lewa... prawa! Hej, wy tam, dołączyć, wyrównać! Rekrutów chętnie widzimy, ale maszerować ostro, nie wlec się!

— Mój dawny sierżant z Indii.

— To pan się bił w Indiach?

— Owszem. Lucknow i tak dalej. Ten mój towarzysz też tam był. — I Adam szturchnął łokciem Carpentera dodając — bunt nas nauczył bun-towniczości!

Przed czołem pochodu widać było policję. Boków również pilnowała policja. W tylnej straży, Adam to wiedział, szła policja. Coraz więcej jej było. Zezwolono na pochód, ale zabroniono urządzania wiecu w Hyde Parku. Policja stanowiła, jak miano nadzieję, przede wszystkim ostrzeżenie przed rozruchami.

— Ja bym tam rzucił jakiś kamyczek jeden i drugi w te okna, gdybym miał wolną rękę — Barlow wciąż się uskarżał. — To tylko Adamowi tak zależy na spokoju i żeby broń Boże nikogo nie nastraszyć.

— Nastraszyć, i owszem, na to się zgadzam — odrzekł Adam. — Ja tylko jestem przeciwny rozbijaniu głową muru. Przypuśćmy, że zaczepisz te gliny, John, a w zamian oni i wojsko zastrzelą kilkudziesięciu naszych — jak się wtedy będziesz czuł?

— Lepiej niż wielu tych, którzy się zapoznają z moimi pięściami — burknął Barlow zły, bo zrozumiał, że Adam wciągnął go słowami w pułapkę.

Na samym czele pochodu szedł związek zawodowy murarzy; za nimi cieśle i stolarze. Pochód prowadził Edmund Beales, prawnik, radykał i prezes Na-

rodowej Ligi Walki o Reformę; razem z nim szedł George Howells, murarz i sekretarz Ligi; dalej Robert Applegarth, stolarz i wybitny działacz związkowy. Od czoła pochodu rozległ się okrzyk:

— Czy chcemy reformy?

I potężne „tak!” odpowiedziało na pytanie. A potem ci, którzy odpowiedzieli, pytali dalej:

— Czy chcemy reformy? — z tysięcy gardel.

I jeszcze potężniejszy okrzyk: „taaaak!” Pytania i odpowiedzi biegly wzdłuż całego pochodu, który teraz miał już ponad milę długości. Brzmiało to jak wyolbrzymiona pieśń, na poszczególne głosy śpiewana, męskie przeważnie, bo niewiele kobiet brało udział w pochodzie. A do nich przyłączały się jeszcze głosy tych, co stali wzdłuż trasy pochodu, wypełniając szczerlnie chodniki, wyloty bocznych ulic, przejścia i bramy, wychylając się z okien i balkonów.

Gdy już pytanie i odpowiedź, powtórzone wielokrotnie, zamarły w oddali, od czoła pochodu rozbrzmiał nowy okrzyk:

— Jeśli robotnicy na koloniach głosują... I gromka odpowiedź:

— To czemu robotnicy w Anglii nie mają głosować!

I znowu pytanie i odpowiedź biegly tysiącem głosów aż do najdalszych krańców pochodu.

— Beales, Howells, Applegarth! Zacni ludzie! — powiedział O’Sullivan w chwili, gdy gromkie chóry minęły już dokerów.

— I jeszcze John Bright — dodał Jim Berkett. — Nam potrzeba wielkich przywódców!

— Pracują z oddaniem dla naszego rucnu — rzekł Adam. — Ale ważniejsze jeszcze od wielkich ludzi są wielkie zasady.

Gdy skręcili w Piccadilly, skąd już widać bramy Hyde Parku, i powkładali z powrotem marynarki, Adam dostrzegł niską postać o charakterystycznie szerokich ramionach, na wpół ukrytą za drzewem, przypatrującą się pilnie dokerom. Barlow też miał bystry wzrok. Uniósł swój drag jedną ręką, a drugą wygrażał w kierunku kryjącej się postaci.

— Donosiciel! — wrzasnął. — Szpion! Gdybym nie trzymał tego draga, już bym ci wszystkie gnaty połamał!

Ale Bill Rogers znikł już w tłumie, który gęstniał z minuty na minutę i sływał na jezdnię; niektórych zagarniał w swoje szeregi pochód nawet wbrew ich woli.

Bramy Hyde Parku różniły się znacznie od zwyczajnych parkanów. Była to cała budowla o trzech wejściach z łukami nad każdym i fryzem nad środkowym łukiem, skopioną z ateńskiego Partenonu. Przed bramami była

otwarta przestrzeń, rodzaj okrągłego placu, do którego zbiegało się pół tuzina ulic. I tu stały tłumy.

— Jasny gwint! Ależ tylko na placu musi być z pięćdziesiąt tysięcy luda! — wykrzyknął obcy towarzysz Adama. Istotnie, tłumy falowały jak okiem sięgnąć, w wylotach ulic, zapełniły każde okno i balkon, każde nawet podwyższenie.

Raz jeszcze od czoła pochodu odezwał się okrzyk:

— Czy chcemy prawa głosu dla robotników?

W odpowiednim momencie zabrzmiało to pytanie, by sprawdzić przychyłność tłumów na placu Piccadilly. Okrzyk „tak!” z placu i okolicznych ulic zagłuszył zupełnie głosy czoła pochodu. I jak poprzednio, pytanie i odpowiedź powtarzały się, biegnąc wstecz aż do ostatnich maszerujących grup.

— Lewa... prawa! Lewa... prawa! Lewa... — zabrzmiały *staccato* ostre tony głosu Tygrysa Smitha, gdy ucichły chóry pytań i odpowiedzi. I to było także w dobrym momencie. Chociaż szeregi maszerujących zatraciły początkową formację przez ciągły dopływ nowych ludzi, to jednak głos Smitha robił wrażenie porządku, dyscypliny, wykluczył wrażenie niesfornej tłuszczy.

Oliwia i Filip doszli właśnie do bram Hyde Parku. Oliwia wybierała się oczywiście na wiec, a teraz nie potrzebowała nikogo obcego prosić o eskortę. W ciągu tych dwóch dni pilnowała, aby Filip nie spotkał się z Adamem; uznała, że publiczne zgromadzenie będzie najodpowiedniejszym tłem spotkania ojca z synem po tyloletnim niewidzeniu się — mniej kłopotliwym niż w domu. Alek, na prośbę Adama, eskortował Agnieszkę. Przybywszy wcześniej na Piccadilly, obie pary się spotkały. Filip, gotów pogodzić się z synem i poznać synową, aby odzyskać w pełni zaufanie żony, był od razu mile ujęty powierzchownością Agnieszki. Jej delikatna, subtelna uroda, która oczarowała Adama, zdobyła również sympatię jego ojca. Zdumienie, wywołane niespodziewanym spotkaniem, dodało jej jeszcze uroku.

— Och! Nieznany rodzic! — powiedziała mimo woli. I zaraz dodała — bardzo przepraszam. Źle się zachowuję. Adam powiada, że często jestem nietaktowna. Ale... pan od tak dawna istniał dla mnie — i wcale nie istniał zarazem.

Filip roześmiał się z pewnym przymusem.

— To, że istnieję, dość łatwo sprawdzić doświadczalnie — rzekł prostując muskularną postać.

Agnieszka spoglądała na niego na wpół pytająco, na wpół złośliwie, próbując przebrnąć przez te pierwsze trudne chwile.

— Wydaje mi się, że pan jest przystojniejszy od Adama rzekła.

— Oliwia wybuchnęła śmiechem.

— Czekaj, powiem to twojemu Adamowi — rzekła i by podkreślić, że są

znowu w dobrych stosunkach, wsunęła rękę pod ramię męża. — I nie zapomnij, że ja jestem żoną Filipa!

— Dzięki Bogu — rzekł gorąco Filip.

Tak się dopełniła ceremonia zapoznania — na oczach Alka, który nic nie wiedząc o przyjeździe ojca, stał kompletnie oszołomiony. Kiedy przyjechał na niedzielę do Orchards, służba nie umiała mu w ogóle powiedzieć, dokąd pan wyjechał ani na jak długo; uprzedził tylko, że w razie przedłużania się jego nieobecności napisze list z instrukcjami gospodarskimi. Już to samo było dostatecznie dziwne u człowieka, który od czasu wyjazdu swej żony żył tylko gospodarką.

We czworo zdecydowali, że wobec wydanego przez władze zakazu urzędzenia wiecu w Hyde Parku najlepiej będzie, jeśli zajmą pozycję strategiczną naprzeciw bram parku, na rogu ulic Knightsbridge i Grosvenor Place. Ale w miarę jak tłumy gęstniały, zepchnięto ich z chodnika. Mogli zachować swoją frontową pozycję tylko w ten sposób, że posuwali się krok za krokiem ku środkowi placu.

Gdy głos Tygrysa Smitha ucichł, zagłuszony szumem ludzkiej cizby, Oliwia złożyła ręce koło ust i krzyknęła z całych sił energicznym kontrałtem:

— Czy chcemy prawa głosu dla kobiet?

Odpowiedziała jej chwila ciszy. Tłum był zaskoczony. Przyszli tutaj, by żądać prawa głosu dla robotników, nie dla kobiet. Ale zaraz odezwało się gromkie „tak!”, co prawda dużo cichsze, niż wtedy gdy odpowiadano na poprzednie pytania. Nie wszyscy mężczyźni, zebrani na Piccadilly tego dnia, uznawali wyborcze prawa kobiet, wielu było nawet zdecydowanych przeciwników. Ale maszerujący dalej podjęli pytanie, i powtarzano pytanie i odpowiedź aż do końca pochodu.

Oliwia była taka zadowolona, jak uczennica w szkole, gdy dostaje nagrodę za dobrą naukę. Filip potrząsnął głową spoglądając na nią z serdecznym uśmiechem, a Agnieszka gorąco ścisnęła jej ramię i powiedziała z dumą:

— Jesteś po prostu wspaniała!

Oliwia zerknęła ukradkiem na Alka, którego twarz była zupełnie bez wyrazu.

Adam, gdzieś daleko w pochodzie, powtórzył pytanie i odpowiedź, ale nie dosłyszał ani nie rozpoznał głosu matki.

Policja uformowała kordon przed bramami Parku. Przywódcy na czele pochodu dostrzegli teraz to, co Oliwia i jej towarzysze widzieli już poprzednio: bramy Parku były zamknięte na klucze, łańcuchy i zasuwę. Wieść o tym szybko pobiegła wstecz, aż do ostatnich szeregów pochodu. Juryści rządowi doradzili komisarzowi policji londyńskiej, że jeśli w obawie rozruchów nie zezwala na urządzenie wiecu w Hyde Parku, to musi zabronić wstępu do

Parku i wtedy ma prawo aresztować i karać za wdzieranie się na zagrodzony teren.

Przywódcy zatrzymali się naprzeciw kordonu policji.

— Co dalej? — pytał Bert Carpenter.

— Nie ty jeden pytasz — odrzekł Adam. — Nawet pewno policja, widzisz ich przed bramami Parku, i jakieś — rozejrzał się dookoła uważnie — dwieście tysięcy ludzi pyta, co dalej?

Rozpoczęły się pertraktacje między prezydentem Ligi, Bealesem, a inspektorem policji na pięknym białym koniu. Adam rozglądał się wciąż w nadziei, że dostrzeże gdzieś Agnieszkę. Ale tylko morze obcych twarzy falowało wokół niego.

— Dwieście tysięcy, myślisz? — pytał O'Sullivan, wsparłszy drąg z transparentem na ziemi. — To nieźle!

— A spójrz na okna tych domów naokoło — dodał Barlow. — Postrojone lalunie! Trzęsą się ze strachu! Gdyby to ode mnie zależało, ja bym ich dopiero przestraszył! Cisnąłbym cegłę w każdziutkie okno!

— Za grosz nie masz dyscypliny, dlatego bieda z tobą — wtrącił Tygrys Smith. — Porządny z ciebie chłopak, tylko że albo rozpuszczasz język, albo w ruch chcesz puścić pięści. Ten tutaj Bert Carpenter był taki sam, ale trochę nabrał sensu.

— Przecież robię, co mi każecie, może nie? — zawarczał Barlow.

— I nie czekasz rozkazów, jeśli tylko się uda — uśmiechnął się Adam.

W jednym z okien na Knightsbridge znajdowała się Ewelina z przyjaciółmi. Nie dostrzegła rodziców ani brata, którzy przez jakiś czas stali blisko jej okna. Była w Londynie już od tygodnia, a tego ranka Edward powiedział jej, że będzie dowodził oddziałem żołnierzy, któremu wyznaczono straż w Hyde Parku, gdzie ponoć szykowały się jakieś zamieszki. Co prawda, nie interesowało jej wcale, gdzie się obraca mąż. Udawała tylko zainteresowanie, bo przyjaciele spodziewali się tego po niej. Edward znowu się zadłużył — karty i wyścigi — i bez jej wiedzy zaciągnął dużą pożyczkę na hipotekę Binwood. Odkryła to przypadkowo z listu od adwokata, zostawionego nieostrożnie na biurku. Od tej pory Ewelina inaczej się odnosiła do propozycji Brome'a, który namawiał ją, aby rzuciła męża i wyjechała z nim — na koniec świata. Powstrzymywała ją jeszcze miłość do tego właśnie, co Edward roztrwonił — do zieleniejących akrów Binwood. Ale już niebawem miał nadejść dzień, kiedy nawet z tą ukochaną ziemią trzeba będzie się rozstać.

Za Oliwią i Filipem napór tłumu był coraz silniejszy. Wolna od tej pory przestrzeń na środku placu wypełniła się teraz pierwszymi szeregami maszerujących. Filip obawiał się, aby ich nie zgnieciono między tłumem na placu a tłumem maszerujących. Razem z Alkiem stanęli za paniami, starając się

je osłonić przed naporem. Alek dostrzegł na chwilę Adama, ale zanim zdołał go wskazać — ten znikł znowu w tłumie.

Inspektor policji na białym wierzchołku podniósł do ust megafon. Rozległy się wołania o spokój i wzajemne uciszania, które przez chwilę więcej hałasu narobiły, niż go było poprzednio. Wreszcie zapanowała względna cisza.

— Nie może się dziś odbyć wiec w Hyde Parku — wołał inspektor policji. — Park jest zamknięty i pozostanie zamknięty aż do jutra rana!

— Z czyjego rozkazu — zapytały różne głosy, w tym głos Tygrysa Smitha.

— Z rozkazu komisarza policji! — odpowiedziano z megafonu.

— A kto jego upoważnił?

— Minister spraw wewnętrznych.

— Eeee, dosyć tego! — rzekł gniewnie Barlow. — Chodź Pat. Bierz transparent.

Ruszył naprzód, pchając ludzi przed sobą. Prawie jednocześnie ruszył związek murarzy, najbliżej bram. Za dokerami wezbrała potężna fala pracującego tłumu. I pchać się zaczęli ci, którzy poprzednio stali na placu. Może większość ludzi nie mogła dosłyszeć, co mówił inspektor. Może chcieli się dowiedzieć, dlaczego tak zwlekają tam z przodu. Może ci z tyłu myśleli, że bramę jednak otwarto i pchali się, by wejść do Parku. Wszystkie te przyczyny mogły się odnosić do zebranych na placu tłumów — tylko nie do Johna Barlowa i nie do murarzy.

Z nieustalonych więc przyczyn potężna fala ludzkich tłumów ruszyła ku bramom. Bealesa, Howella, Applegartha i innych przywódców zepchnięto wprost na kordon policji, Policjanci wzięli się pod rękę, tworząc długi łańcuch. Tłum parł niepowstrzymanie. Ci, którzy bezpośrednio pchali policjantów — a należy to do najsurowiej karanych w Anglii przestępstw — nie mogli nic poradzić. Nie sposób się było oprzeć. Napór tłumu wszystko przed sobą znosił, rozpychał, tratował. Policja ustąpiła, usunęła się na boki i schroniła w ulicę Park Lane. Żelazne sztachety pozostały jako jedyna ochrona nienaruszalności Parku, jego alei, trawników, ławek — przed mieszkańcami Londynu.

Tłumy parły naprzód. Adam w pewnej chwili spostrzegł, że jego nogi tylko z rzadka kiedy dotykają ziemi. Zauważył, że Tygrys Smith upadł — ale wynurzył się znowu, jakby cudem jakimś. Bez kapelusza, z zakrwawioną twarzą, jednak szedł naprzód. Barlow, daleko na przodzie, wciąż jeszcze niósł transparent razem z O'Sullivanem. Krzyczał:

— Przez sztachety! Do Parku!

Beales wszedł na jakiś cementowy postument i widziano go, jak zwrócony plecami do bram, twarzą do tłumu, wymawiał niedosłyszalne słowa. Później dowiedziano się, że wzywał do spokoju, aby nie dać władzom pretekstu rozwiązania Ligi, aby dowieść tej właśnie dojrzałości do praw wyborczych,

o której tyle mówiono. Mógł był sobie zaoszczędzić wysiłku. Co prawda, ten właśnie wysiłek ocalił jego samego. Gdyż jedynym człowiekiem, który usłyszał w całości przemówienie Bealesa, był inspektor policji.

Adam, bez tchu, popychany, przygnieciony, wykrzykiwał słowa podobne do Sealesowych, nadaremno próbując powstrzymać awanturniczego Barlowa. Carpenter gdzieś się zapodział — aż Adam dostrzegł go, daleko na przodzie, obok Barlowa i O'Sullivan — teraz dawny Carpenter!

Chwycił drąg z rąk O'Sullivan i krzyczał:

— Przez sztachety! Do Parku!

Transparent opierał się już na sztachetach. O'Sullivan i Tygrys Smith — jak ten ostatni wysforował się tak daleko naprzód, Adam nie mógł pojąć — próbowali wyperswadować tym dwóm szalonym głowom, Johnowi Barlowi i Bertowi Carpenterowi ich zamiary, wyraźne teraz, bo zaczęli już bić drągami od transparentu w sztachety Parku. Adam wywalczył sobie dostęp do nich i chwyciwszy Berta Carpentera za ramię, wyrwał mu drąg. Bert w pasji rąbnął go pięścią na odlew w głowę. Adamowi zawirowało przed oczyma: Bert zabrał mu z powrotem drąg. Wszyscy byli tuż przed sztachetami. O'Sullivan i Tygrys Smith trzymali Barlowa. Ale w chwilę później już nikt nikogo nie mógł trzymać ani bić, ani nawet się poruszyć. Przyciśnięto ich do sztachet tak, że groziło im zaduszenie na śmierć przez te tłumy dwustutysięczne, prace naprzód, nikt nie wiedział, po co i dlaczego.

— Zadusicie nas... Zabijecie nas... Nie mogę oddychać — krzyczał rozpaczliwie Adam.

Na drugim krańcu placu Filip i Alek rozpychając się już zupełnie bezwzględnie łokciami, wyprowadzili Oliwię i Agnieszkę na skraj zbiegowiska. Nie widzieli tu nic, co się dzieje, i Alek powiedział do ojca:

— Panie będą teraz bezpieczne pod twoją opieką, pater. Ja pójdę w stronę bram. Adam może potrzebować pomocy.

— Nasz uczoney się zapomina — zauważyła Oliwia. — Dzięki Bogu.

Poczem razem z Agnieszką zaczęły się napierać, by Filip poprowadził je w tę stronę, gdzie zapewne był Adam; ale Filip nie dał się ubłagać.

Nie było żadnego sposobu opanowania tłumu albo ulżenia naporowi. Wciąż nowe kolumny marszowe wkraczały na Piccadilly z bocznych ulic. Ci przed nimi też musieli pchać się naprzód, aby nie zostać stratowanymi na śmierć. Oprócz uczestników pochodu ciżba ciekawskich tłoczyła się zewsząd ku placowi, nie wiedząc, co się tam dzieje. Sytuacja Adama i kilkudziesięciu przyciśniętych do sztachet była istotnie tragiczna.

Niespodziewanie, prawie dokładnie za Adamem, który już właściwie nie miał nadziei na ocalenie, napór zelżał. Prawie bez hałasu, cały jeden odcinek sztachet, łagodnie i dość powoli przechylił się do wewnątrz i leżał na trawniku. Adam i jego towarzysze znaleźli się nagle w Parku. Ocaleli. Ale dla tysięcy

stłoczonych, gniotących się, rozpychających, walczących ludzi na Piccadilly niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, bo gdy setki właczały się przez wyłamane sztachety do środka, tym, którzy byli po obu stronach wolnego przejścia, groziło niebezpieczeństwo, że zostaną wbici na sztachety, jak na pal. Na szczęście coraz więcej sztachet padało pod naporem. Mężczyźni z siłą desperacji mocowali się z żelazem i wyłamywali sztachety, wyszarpywali je z ziemi, przeginali. Teraz już tysiące wpływały do Parku. Ścisk na placu zelżał. Wszyscy pędzili do Parku, aż wreszcie na przestrzeni Piccadilly zostały tylko niewielkie grupki trwożliwszych.

Gdy tłumy wwały się do Parku, przywódcy zaczęli przemawiać i gromadzić swoich zwolenników tak, że wytworzył się jakby szereg poszczególnych wieców. Beales, Howell i Applegarth spostrzegli obecność wojska na drugim krańcu Parku i zalecali, aby natychmiast rozejść się, zanim jazda nie zaatakuje, co musiałoby skończyć się poraniem i aresztowaniem, a nawet śmiercią wielu. W otoczeniu najposłuszniejszych przepychali się przez rozrzedzony teraz tłum, nawołując wszystkich w pobliżu, aby szli za nimi na plac Trafalgar, gdzie będą przemówienia.

Ale sporo niespokojniejszych duchów, wśród nich oczywiście John Barlow i Bert Carpenter, nie dało się odwieść.

— Jesteśmy liczniejsi! Tysiąc razy! — wykrzykiwał Barlow. — Nie mogą nas wszystkich wystrzelać! Zostajemy!

Zapanował kompletny chaos. Duża część uczestników pochodu zawracała i wychodziła przez obalone sztachety z Parku, którego ogrodzenie było teraz przewrócone lub połamane na długości trzech czwartych mili. Inni, niezdecydowani, błąkali się po Parku bez celu, a awanturnicy szykowali się do obrony przed wojskiem.

Kiedy pierwsze sztachety wyłamano i tłumy przedostały się do Parku, a ścisk zelżał nieco, Filip rozsądnie namawiał Oliwię i Agnieszkę, by powróciły do domu. Ale one obie należały do bojowniczek. Jedna była matką, a druga żoną związkowca.

— Muszę odnaleźć Adama — upierała się Agnieszka.

Poszła w stronę wyłamanych sztachet.

— Nie możemy go zostawić — potwierdziła Oliwia. — Ani Alka! — I po biegła za synową. Filip nie miał innego wyboru, jak udać się za nimi.

Ewelina ze swego okna dostrzegła po raz pierwszy rodziców: „Ci się narażają!” — pomyślała. Cóż, to ich własna wina, że wmieszali się w taką wulgarną demonstrację. Pewno im to przypomina sławetne podpalenie stogów w Binwood.

Istotnie, Filip czuł nawrót dawnego podniecenia, jakby był znowu bojownikiem o słuszną sprawę.

Do Parku wkroczyła policja. Ściągnęli tu pospiesznie wszystkie oddziały.

jakie tylko były do dyspozycji. Rozganiali poszczególne grupy, spędzali mówców z ławek i innych zaimprovizowanych mównic. Gdy Hunterowie w ślad za Agnieszką przekroczyli linię przewróconych sztachet, inspektor policji na białym koniu wyjął gwizdek i zaświstał przenikliwie. Odpowiedział mu gwizdek od strony stojących w pogotewiu oddziałów wojska.

— Wychodzić z Parku! Wychodzić! — krzyknął gniewny głos. — Wojsko atakuje! — Był to głos Adama.

Oliwia i Agnieszka, chwyciwszy w ręce fałdziste spódnice, pobiegły pędem — w kierunku, skąd usłyszały głos Adama. Młodsza kobieta szybko wyprzedziła starszą. Filip biegł obok Oliwii, perswadując:

— Ależ nie pędź tak, moja droga! Dostaniesz ataku serca. Doprawdy, powinniśmy wracać!

Oliwia nie odpowiadała. Ale przystanąła zdyszana i oparła się na jego ramieniu.

Adam i Pat O'Sullivan przy pomocy Jima Birketta i Tygrysa Smitha odciągali siłą tych dwóch awanturników: Barlowa i Carpentera. Jazda ruszyła do ataku. Ci dwaj, rozgrzani własną pasją tak, iż jakby rozum postradali, z grupą innych szykowali się do przyjęcia ataku uzbrojeni w drągi, wyłamane sztachety, gałęzie oberwane z drzew. Adam rzucił się między atakującą jazdę a swoich towarzyszy i ledwie rzuciwszy okiem na jeźdźców, odwrócił się do nich plecami i rozłożywszy ramiona, w ostatnim daremnym wysiłku próbował skierować do odwrotu swoich towarzyszy.

Tuż nad nim rozległ się głos, wydający rozkaz trzem policjantom, biegnącym do agresywnej grupy:

— Aresztować tego człowieka! On wyłąmał sztachety. I przekroczył za broniony teren.

Adam obrócił się w miejscu — i ujrzał Edwarda Patona na koniu ze wznieśioną do ciosu szablą.

— Chcesz po raz drugi udawać prokuratora? — krzyknął Adam.

Trzej policjanci biegli do niego. Wyrывał się i szarpał. Kundel skakał, ujadając, na konia. Spłoszony koń Edwarda stanął dęba. Jeździec szarpnął się gwałtownie, przednie kopyta opadły...

Barlow i Carpenter pędzili na Edwarda. Niespodziewanie Barlow poczuł, że jakieś silne ramiona chwyciły go w pól i rzuciły nim o ziemię. Przewracając się na ziemi, wrzasnął:

— Ty przekłeta glino, ja cię ze skóry obedrę!

Usiadł. Patrzył w twarz tego lalusia, brata Adama. Wytworne ubranie potargane, w oczach wściekłość.

— Nie bądź skończonym durniem! — sapał Alek.

— Co? Twój brat zabity? A ty mnie zatrzymujesz... — Barlow podnosił się z ziemi.

Pat i Tygrys Smith — korzystając z tego, że policjanci stali, zakłopotani na chwilę, nad postacią leżącą nieruchomo z twarzą ukrytą w trawie — obezwładnili Berta Carpentera.

— Nie wolno ci prowokować więcej nieszczęść! — Alek syczał w pasji.

Barlow zignorował jego słowa, ale burknął z uznaniem:

— Muszę przyznać, że jesteś silniejszy, niżbym się spodziewał!

— A ja muszę przyznać — odparł Alek — że istotnie trzeba nam czegoś więcej niż przemówień!

Agnieszka klęczała przy mężu. Filip z tkliwością, która by ją zdziwiła, gdyby mogła w tej chwili o tym myśleć, pomógł jej odwrócić bezwładne ciało na plecy. Patrzył badawczo w twarz syna. Tak właśnie, pod kopytami atakującego żołnierza, zginęła jego matka, tamta Agnieszka Hunter. Oliwia stała nad nimi z oczyma suchymi, twarzą zmienioną ze zgrozy.

Agnieszka była pielęgniarzką z zawodu. Jej umiejętność pozwoliła na opamiętanie emocji. Spokojnymi ruchami rozluźniła ubranie przy szyi Adama. Wsunęła dłoń pod koszulę, potem przyłożyła ucho do jego piersi. Wyprostowała się, jej spokojna twarz była jak maska, niczego nie zdradzająca, i wzięła w dwa palce rękę Adama, by wyczuć puls. Filip ujął Oliwię pod ramię.

Ogromna większość tłumu opuściła już Park: jedni poszli w ślad za przywódcami Ligi na Trafalgar Square, inni uznali, że najbezpieczniej będzie powędrować bocznymi ulicami do domów. Policjantów, którzy byli świadkami wypadku Adama, odwołał inspektor w obawie, aby jego ludzie nie byli zmuszeni do świadczenia przeciw pułkownikowi. Edward wycofał swój oddział z powrotem do dalszej części Parku. Policjanci wyganiali maruderów przez rozwalone sztachety. Aresztowania tylko by rozżłościły i tak już gniewną ludność: nikogo więc nie aresztowano.

Agnieszka, nadal chłodna i rzeczowa, puściła rękę Adama i odwróciwszy się do Alka, który stał obok rodziców, powiedziała spokojnie:

— Postaraj się sprowadzić doktora, Alku. — Poczem uśmiechnęła się przyjaźnie, prawie pogodnie do Hunterów. — Ramię ma poważnie zgniecione. I pewno jedno lub dwa żebra złamane. Mam nadzieję, że poważniejszych wewnętrznych obrażeń nie odniósł. Serce bije równo, puls jest mniej więcej normalny.

Ale Adam nie odzyskiwał przytomności. Filip patrzył z zaciśniętymi wargami, z brwiami ściągniętymi. Oskarżał się w tej chwili gorzko i boleśnie.

Agnieszka na kolanach, Filip i Oliwia stojąc — wpatrywali się intensywnie w leżącego. Powieki Adama poruszyły się, podniosły, spojrział dookoła ze zdziwieniem. Agnieszka pochyliła się nisko i przytuliła policzek do jego twarzy.

— Wszystko w porządku. Nie ruszaj się. Zaraz przyjdzie doktor.

Wzrok Adama spoczął na Oliwii, przesunął się na Filipa, potem znowu powrócił do Oliwii. Jego matka spojrzała pytająco na ojca.

Filip nie mógł wymazać z pamięci obrazu tamtej drobnej, szczupłej postaci, leżącej bez życia na zwęglonym sianie pod stogiem na dziedzińcu Binwood, zabitej uderzeniem kopyta żołnierskiego konia. Ukląkł obok Adama, na przeciwko Agnieszki. Bał się go dotknąć, bał się wziąć jego rękę.

— Leż spokojnie, synu — powiedział.

— Znowu Edward Paton... — szepnął Adam.

— W gruncie rzeczy, to wszystko była moja wina, synu — mówił Filip. Adam poruszył przecząco głową. Kundel położył się obok i zaczął zlizywać z jego twarzy kurz i pot.

Rozdział dwudziesty drugi

W czternastym roku życia uroda Julietki jeszcze nie zapowiadała późniejszego rozkwitu. Tylko jej błyszczące oczy świadczyły o żywym usposobieniu, zabawnie kontrastującym poważnymi zainteresowaniami, a delikatna, świeża cera i trójkątny kształt twarzyczki nadawały jej wdzięk, który nie mając nic wspólnego z klasyczną pięknnością, jest przede wszystkim wyrazem indywidualności. Leciutko wypełniające się kształty zdradzały nadchodzącą dojrzałość, a ponieważ w owej epoce dzieci ubierano tak samo jak dorosłych, więc Julietka wyglądała na dużo starszą, niż była w istocie.

W obszernej izbie na piętrze, nad szynkiem binwoodzkiej oberży „Pod Koczobrykiem”, Julietka powiedziała do Alka, siedzącego obok niej na długiej ławie, ustawionej w pierwszym rzędzie tuż przed stołem, za którym stały trzy krzesła:

— Szkoda, że dziś już nie urządza się licytacji przy świecach.

— Licytacja przy świecach? — zapytał Alek. — Wieczorem?

Alek nigdy nie rozmawiał z Julietką jak z dzieckiem, ale często wprowadzał do rozmowy nastrój dyskretnej kpiny. Lubił jej poważne zainteresowania, jej chłonną pamięć i z całym przekonaniem odgrywał rolę pobłażliwego wujaszka. On, tak bezstronnie i rzeczowo obserwujący innych ludzi, nie spostrzegł wcale, że jak na wujaszka, niezwykle dużo poświęca tej dziewczusce uwagi, myśli, nawet tęsknoty.

— Czy nie wiesz o licytacjach przy świecach? — zapytała, spoglądając trochę z góry na tego ważnego uczonego, który widocznie nie czytał i nie słyszał o rzeczach tak znanych. — Za dawnych czasów zapalano do licytacji jednocalowe świece i ta osoba, która ostatnia przed zagaśnięciem świecy

wywołała stawkę, dostawała to, co tam sprzedawano. Bardzo to jest podniecające, no i licytacja nie trwa za długo!

— Miejmy nadzieję, że i tym razem mój ojciec kupi Binwood bez długich ceregieli — rzekł Alek. — Właśnie idzie licytator. Może byśmy dali mu całową świeczkę?

Stryj Alek nie wiedział może o zwyczajach dawnych licytatorów, nie mniej jednak był niewątpliwie bohaterem Julietki.

Licytator, tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy, energicznym ruchem strącił ze stołu kilka afiszy, zawiadamiających, że „...urodzajne, w dobrej uprawie ziemie... wraz z pięknym dworem... znane pod nazwą majątku i dworu Binwood... dnia 10 września roku 1867... odbędzie się licytacja...” Z kolei wyjmował dokumenty i papiery z dobrze wypchanej teczki i rozkładając je na stole, rozmawiał scenicznym szeptem z adwokatem wierzycieli. Obok Julietki i Alka, na tej samej ławce, siedzieli Oliwia i Filip, Agnieszka i Adam. Wszyscy Hunterowie przyjechali wcześniej, przed innymi — bo licytacja przyciągnęła sporo właścicieli ziemskich z bliższej i dalszej okolicy oraz kilkunastu londyńskich agentów w nadziei taniego kupna dla dalszej odprzedaży. Ci usiedli za Hunterami; a jeszcze dalej, na tylnych ławkach, stłoczyli się miejscowi wieśniacy, którzy przyszli tylko z ciekawości.

Drzwi izby otworzyły się raz jeszcze. Hunterowie i prawie każdy z siedzących w ławkach obejrzeli się: wszedł Harold Cook, a za nim bracia Appletonowie, wszyscy trzej w granatowych niedzielnych ubraniach. Stary kołodziej, dla dodania sobie animuszu, podkręcał olbrzymiego białego węża i przyciskał jego koniec do skroni; Stanley szedł zgarbiony, nieomal zgięty wpół od reumatyzmu, wsparty na sękatym kijku, Tomasz nerwowo obracał w rękach kapelusz.

— Popatrz tylko, kto się zjawił! — rzekł Filip. — Nie miałem pojęcia...

Oliwia kiwała ręką, wzywając starych kompanionów dawnej „rewolty głodnych żołądków”. Trzej weterani stali przez chwilę w niepewności, potem uklonili się — co w wypadku Stanleya oznaczało tylko opuszczenie głowy, zwykle z bolesnym wysiłkiem unoszonej do góry — i ruszyli do ostatniej ławki.

— Chodźcie tutaj! — zawołał Filip. — Tu dosyć miejsca. Starzy kompani razem!

Cook i Appletonowie popatrzyli po sobie. Okoliczni ziemianie, niegdyś jeszcze przyjaciele Sir Aleksandra Patersona, marszczyli się gniewnie, widząc takie pospolitowanie się z niższymi klasami.

— Chodźcie! — wołała Oliwia. — I powiedzcie nam, co u was słychać i co was tu sprowadza?!

We trzech poszli ostrożnie, potykając się, choć przejście między ławkami

było szerokie. Uklonili się znowu i cisnęli się do końca ławki, gdzie było wolne miejsce za Adamem.

— Nie wszyscy razem — rzekł Filip. — Rozdzielcie się! O, tu!

Zrobił miejsce pomiędzy sobą a Oliwią. Alek usunął się, a Julietkę szybko dołączyła do niego. Stanley usiadł między Julietką a Oliwią, Tomasz między Oliwią a Filipem. Harold Cook usiadł obok Adama.

Licytator, który poprzednio już wstał z krzesła, czekał z wyraźną niecierpliwością, aż wszyscy się usadowią.

— Jeżeli państwo są całkiem gotowi — rzekł z ciężkim sarkazmem.

— Och, najzupełniej! — odpowiedział mu Alek niewinnie. Oliwia spojrzała na niego wzdłuż szeregu siedzących na ławce z macierzyńskim wyrzutem, a Julietką szepnęła mu do ucha:

— I czekamy!

— Wszyscy obecni widzieli niewątpliwie afisze — zaczął wymownie licytator — zawiadamiające o mającej się odbyć sprzedaży z licytacji tych żyznych ziem, wraz ze znakomicie utrzymanym budynkiem mieszkalnym, budynkami gospodarczymi w doskonałym stanie... znanymi pod nazwą majątek Binwood. Jest to bardzo wartościowy obiekt, prawdziwa okazja, o pięknej przeszłości jako ośrodek hodowlany i rolniczy. Zawsze był w rękach wybitnych gospodarzy. Niewątpliwie państwo widzieliście już sami, w jak doskonale utrzymanym stanie znajdują się wszystkie budynki, czy to starsze, czy też dobudowane niedawno...

Licytator wyraźnie rozkoszował się własnym głosem. Oliwia pochyliła się do Stanleya Appletona i szepnęła:

— Nie spodziewałam się tu was trzech zobaczyć.

— Nie mogliśmy wytrzymać, żeby nie przyjść. Przecież to Binwood. Tak byśmy chcieli, żeby nasz Filip mógł kupić... Przyszliśmy sami zobaczyć, czy mu się to uda...

Oliwia kiwnęła ze zrozumieniem głową.

— ...dlatego też spodziewam się dzisiaj — perorował licytator — osiągnięcia rekordowej ceny, lepszej niż kiedykolwiek osiągnąłem za tego rodzaju i tej klasy majątek. A mogę państwu powiedzieć, że w ciągu mojej kariery miałem kilka bardzo pięknych cen. Tak. Majątek został obciążony długiem hipotecznym przez poprzedniego właściciela, pułkownika... hm, hm — przez poprzedniego właściciela i wierzyciele zażądali wystawienia obiektu na sprzedaż z licytacji, gdyż dłużnik nie mógł uiścić się ze swoich zobowiązań. A więc majątek Binwood jest wystawiony przez, wierzycieli łącznie. Prawo własności jest wpisane do ksiąg wieczystych. Warunki sprzedaży zostaną teraz odczytane przez mojego kolegę, mecenasa Delmage.

Licytator usiadł, adwokat wstał.

— Słyszałem, że pułkownik Paton jest w więzieniu? — zapytał bez ogródek Tomasz Filipa.

— Niestety, tak.

— Podobno sprzeniewierzył pieniądze kasy pułkowej? — dopytywał się zamiłowany plotkarz.

— Proszę o spokój! — zawołał licytator, stukając w stół młotkiem. Żądanie było uzasadnione, bo adwokat tak spieszył z odczytaniem dokumentu, który trzymał w ręku, że trudno było w ogóle cokolwiek zrozumieć.

Skończywszy czytać, adwokat — drobny, szczupły człowieczek prawie całkowicie łysy — usiadł, odsapnął, jakby po szybkim biegu i zaczął czyścić swoje okulary. Licytator zastukał młotkiem w stół i znowu wstał.

— Widzę, że wszyscy tu zebrani są ludźmi doświadczoneymi, znającymi się na rzeczy i z pewnością nie potrzebuję nawet w krótkich słowach mówić, jak niezwykle rzadka jest taka okazja... — Tu zaczął mówić, wcale nie w krótkich słowach, o wielu zaletach Binwood: wymieniał ilości ziemi ornej, łąk, lasów; wspominał o dobrej klasie ziemi, o wybornym nawodnieniu, o dobrze wybranym położeniu domu, o sali bilardowej świeżo dobudowanej...

— A panna Ewelina zwiła? — szepnął Tomasz Appleton. Filip, zły, kiwnął głową.

— Z tym bogatym ziemianinem Brome'em?

Filip nic nie odpowiedział. Julietka przechyliła się do niego i zaszeptała:

— Uciekli oboje do Afryki! Ewelina zostawiła dzieci u przyjaciół w Londynie. Będą próbować szczęścia z kopalniami diamentów. Nie brak im przedsiębiorczości i zamiłowania do przygód, co? Ale oczywiście, czy im się po wiedzie z diamentami, czy nie, on i tak ma pod dostatkiem pieniędzy.

Oliwia zmarszczyła się znowu, ale Tomasz nie patrzył na nią.

— Ciekaw jestem, dlaczego Brome nie kupił dla niej z powrotem Binwood — pytał Julietkę, zachwycony, że znalazł źródło informacji.

— Ewelina nie chciała — wyjaśniła Julietka.

— Alek szturchnął ją łokciem i też się namarszczył.

— A zawsze tak chciała mieć Binwood! — powiedział Tomasz, zdziwiony.

— Może już miała dosyć — odrzekła Julietka.

Teraz już i licytator patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Ale nie zwrócił jej uwagi, skończył wreszcie swoją perorę i rozpoczął licytację.

— A więc, moi państwo, kto da pięć tysięcy, żeby uczynić dobry początek? Bo spodziewam się osiągnąć cztery razy tyle!

Oliwia spojrzała na Filipa, podnosząc brwi. Filip skinął na licytatora.

— Daję pięć tysięcy.

Jeden z właścicieli ziemskich powiedział:

— Pięć tysięcy pięćset.

— Cóż to, czy będziemy tak dokładać po pięćsetce? — pytał licytator

z radosnym uśmiechem, uważając widocznie, że jest bardzo dowcipny. — To będziemy tutaj bardzo długo! Ale panowie mają czasu dość, nie to, co ja... Wszystko jedno — kto da sześć tysięcy? Pan?

Wskazał wysuniętą brodą Filipa, który jednak się nie ruszył. Ale tu i tam pomiędzy agentów zaczęto wywoływać stawki.

— To by dopiero było odwrócenie kota-ogonem, gdyby nasz Filip kupił Binwood — mówił Stanley do Oliwii.

— Filip chce kupić Binwood głównie ze względu na Ewelinę — odrzekła Oliwia. — Powiada, że będzie mogła wrócić do Binwood, kiedy tylko zechce, byle tylko wróciła bez tego... łowcy diamentów.

Filip słuchał wywoływania stawek i bacznie obserwował licytatora. Ale usłyszał i mruknął:

— Straciłem na długo syna przez własny upór. Nie chcę stracić teraz córki, zamykając drzwi!

— No, panowie! Ja nie mam całego tygodnia na spędzenie w Binwood, chociaż tu piękna okolica i zdrowe powietrze!

— Osiem tysięcy — powiedział jeden z agentów.

— Osiem tysięcy sto — odezwał się Filip.

— Oj! To musimy cykać po setce teraz? To potrwa miesiąc, nie tydzień! No cóż, licytator nie ma prawa wybierać! Panowie muszą tu dyktować tempo. Kto da osiem tysięcy dwieście — a może aż osiem pięćset?

— Wiesz, że Lord Chilcote zmarł? — pytał Cook Adama.

— Tak? Słyszałem tylko, że ciężko zachorował. Kiedy umarł?

— Dziś w nocy. To syn go zabił. Miał atak apopleksji w zeszłym tygodniu, kiedy dostał wiadomość o aresztowaniu młodego Edwarda Patona.

— Wyobrażałem sobie, że za pieniądze można to było wszystko zatuszować.

— Lord Chilcote nie chciał dać ani złamanego szeląga. I sporządził testament na rzecz wnuków, a syna wydziedziczył.

Za całą odpowiedź Adam złożył wargi jak do gwizdania — ale nie zagwizdał.

— Dziewięć tysięcy! — Licytator powtórzył ofertę jednego z londyńskich agentów. — Dziewięć tysięcy! Kto da więcej? Moi panowie! Taka okazja, a ledwieśmy do tej nędznej sumki dotarli, wdrapując się po setce... Mogliśmy już przed kwadransem dojść do tego... Ale tak to już jest, licytacja musi iść swoim torem!

Filip posępnie zacisnął wargi. Sprzedał Orchards za osiem tysięcy funtów wraz z całym inwentarzem Erykowi Perrottowi — temu samemu, któremu Cook i Appletonowie pomagali ugasić pożar stodoły przed laty, po kłótni z Filipem. Filip jeszcze przed licytacją ofiarował był tę sumę wierzycielom, którzy jej nie przyjęli. Trochę pieniędzy jeszcze miał w gotówce i liczył, że na licytacji dostanie Binwood za dziesięć tysięcy, a tu już ofiarowywano dziewięć.

— Dziewięć tysięcy dwieście usłyszałem — głos licytatora przerwał mu te posepne rozważania.

— Jeśli będę musiał zapłacić więcej niż dziesięć... ale jakoś muszę się na to zdobyć — mruknął Filip.

— Myślałem, że nasz Filip porzuci wieś i zamieszka w Londynie? — powiedział pytającym tonem Stanley do Oliwii. Ale ona nie odpowiedziała, tylko głową potrząsnęła, jakby chciała ostrzec, by teraz milczał. Wiedziała, że nadchodzi chwila pełna napięcia. Trzeba śledzić każdą wywołaną stawkę.

— Dziewięć tysięcy sześćset... — Jeszcze tylko jeden z właścicieli ziemskich licytował, spoglądając na Oliwię z zaciętym wyrazem twarzy, który świadczył wyraźnie o postanowieniu kupna Binwood.

— Dziewięć tysięcy sześćset — powtórzył licytator. — To jeszcze nawet nie połowa wartości majątku. Panowie sami o tym najlepiej wiedzą. I może... Dziękuję — dziesięć tysięcy! — Tę sumę zaferował jeden z dwóch agentów, którzy pozostali jeszcze w rozgrywce.

Filip czekał. Nie chciał, aby się wydawało, że mu bardzo na kupnie zależy. Zapadła chwila milczenia, poczem licytator znowu zaczął wychwalać Binwood. Wreszcie ujął za młotek. — Dziesięć tysięcy ofiarowano za ten wspaniały, wyjątkowy, okazjny obiekt! To jest oddawanie go za darmo! Za darmo, powiadam! — Nie wiedział, że za tę właśnie sumę Edward Paton zastawił majątek żony. Licytator podniósł młotek. — Tylko dziesięć tysięcy! A więc, jeśli więcej ofert nie ma... Po raz pierwszy, panowie! — Młotek zawisł w powietrzu. Gdy opadnie, gdy dotknie zielonego sukna stołu — licytacja będzie skończona.

— Jedenaście tysięcy! — odezwał się na ułamek sekundy przed Filipem ów uparty właściciel ziemski.

— Ach, przecież obudziliśmy się! — zawołał licytator i też się ożywił. — No, więc mamy o tysiąc więcej! Kto da więcej, panowie? Pan? — I wskazał młotkiem na jednego z londyńskich agentów. Ale ten wkładał już papiery do teczki.

Filip rozejrzał się dookoła. Agenci już się nie interesowali licytacją. Jeden ziewnął, drugi wyjął wielki srebrny zegarek z kieszeni kamizelki. Dziesięć tysięcy funtów musiało być górną granicą, do której upoważnili ich londyńscy mocodawcy. Na twarzy upartego właściciela ziemskiego malował się teraz pewien niepokój.

— Jeszcze trochę, panowie — namawiał licytator. — Jestem pewien, że możemy dojść do piętnastu tysięcy, a za tę cenę majątek Binwood będzie półdarmo...

Oliwia przechyliła się poprzez Tomasza do Filipa:

— Licytuj dalej — powiedziała. — Ja mogę zaciągnąć pożyczkę na gwarancję moich kapitałów, jeżeli powiernik się zgodzi, a na ten cel na pewno się zgodzi.

Licytator skoncentrował teraz uwagę na Filipie. Nie było nadziei, żeby ktokolwiek inny zaoferował wyższą sumę. A jeżeli ten właściciel ziemski okaże się uparty, licytacja może potoczyć się interesująco...

— Więc, szanowny panie! Jeszcze jeden tysiączek od pana. Albo. jeżeli pan jest bardzo ostrożny, to nawet mała setka da panu jeszcze szansę...

I znowu podniósł młotek.

— Ale proszę się pośpieszyć, szanowny panie. Będzie pan żałował... Po raz pierwszy... tylko jedną setkę...

— Dwanaście tysięcy — rzekł Filip.

Właściciel ziemski wstał i sapiąc gniewnie, energicznym krokiem wyszedł z izby.

Gdy licytator energicznie i hałaśliwie wystukiwał młotkiem „majątek Binwood, zakupiony...”, Harold Cook zerwał się na nogi i podbiegłszy do Filipa, jął gorąco potrząsać obu jego rękami.

— Wielki dzień! — wołał. — Wielki dzień! Ten stary, piękny majątek młotek wystukał dla...

— Dawnego parobka z tegoż majątku — dokończył Filip ze śmiechem, oddychając z ulgą.

— Byłeś parobkiem tylko dlatego, że twoich rodziców obrabowano z ziemi — poprawił go Cook. — Ja pamiętam, jak twoi rodzice mieli sześć krów, dwadzieścia owiec, z tuzin świń...

— Dobra gospodarska rodzina — rzekł poważnie Stanley Appleton.

Na dole w oberży, w izbie o podłodze niższej od poziomu gościńca i o belkowanym suficie, Filip kazał podać trunki i kanapki. Dwaj ze zwyciężonych londyńskich agentów siedzieli posępnie w rogu.

— Zalicytowałem więcej, niż będę mógł zapłacić — mówił Filip. — Moja żona raz jeszcze przysłała mi z pomocą.

— W twoich rękach Binwood będzie prawdziwą kopalnią złota — powiedziała Oliwia.

— Przy pomocy pewnej damy, która niegdyś była rządcą Binwood w imieniu swego ojca — przypomniał jej z uśmiechem Filip.

— Będzie pani brak Londynu, pani Oliwio — powiedział Harold Cook.

— Zatrzymamy tam moje mieszkanie — odrzekła Oliwia. — Zaangażowałam się poważnie w sprawę równouprawnienia kobiet. Będę tam często musiała dojeżdżać. Filip także już przerobił się na londyńczyka.

— Jak się miewa Molly? — pytał Filip Stanleya Appletona. Tomasza Perrott zaangażował na stałe do pracy w Orchards, ale Stanley nie mógł już

pracować z powodu reumatyzmu, więc Filip wyznaczył mu niewielką pensyjke dożywotnio.

Alek i Julietka wzięli talerzyk z kanapkami i poszli na koniec stołu. Julietka spoglądała na stryja poważnie.

— Molly? To twoja ciotka, prawda? Czy ona jest stara?

— Młodsza od mojej matki.

— Ale twoja matka jest bardzo stara!

— Z twojego punktu widzenia może i jest — przyznał Alek z uśmiechem. — Ale wiesz, po prostu ze względów taktycznych w twoich stosunkach z dziadkami, nie mówiłbym memu ojcu, że jego żona jest stara. To nie będzie dobrze przyjęte.

— Twoja ciotka wyszła za mąż niedawno. Słyszałam, jak opowiadano o tym mojej mamie. Za kogo?

— Wyszła za mąż za tego pana Perrotta, który kupił Orchards.

— To on się do tej pory nie ożenił? Bo on przecież też musi być strasznie stary.

— On jest wdowcem. Obecna żona pomoże mu prowadzić gospodarstwo w Orchards.

— Aha, to dlatego się z nią ożenił. Ja sobie myślałam, że w tym wieku to nie może być z powodów romantycznych. Ona chyba już nie jest ładna, prawda?

Alkowi chciało się śmiać, ale gdyby śmiał się z rzeczy, które Julietka mówiła z taką powagą, nie byłoby to „dobrze przyjęte”. Wybawił go Stanley Appleton, który przykuśtykał do nich mówiąc:

— Tyle zmian, mój Alku, tyle zmian! A u ciebie po staremu?

— Prawdę rzekłszy, i u mnie zanosi się na zmiany — przyznał Alek.

— On opuszcza Oksford — wtrąciła Julietka.

— Doprawdy, ależ ja słyszałem... — zaczął Stanley, patrząc do góry na młodzieńca, na którego niegdyś patrzył w dół.

— Oksford jest wspaniałą uczelnią — rzekł Alek. — Ale uniwersytet w Durham, do którego się przenoszę, jest bardziej nowoczesny. Matematykę wiąże się bliżej z życiem, wysoko postawione są nauki technologiczne, cały nastawiony jest na przyszłość. Oksford za bardzo, jak dla mnie, ogląda się wstecz.

Stanley zmrużył oczy.

— Widzę, że Hunterowie całą rodziną będą robić rewolucję!

— Tego nie oczekuję — odparł Alek z uśmiechem. — Ale ten wypadek Adama podczas zeszłorocznych demonstracji w Hyde Parku — dzięki którym, zostały przyznane prawa wyborcze dla robotników — wykazał mi jasno, że muszę się przestawić na inne tory. Nie mogłem porzucić mojej pracy od razu. Ale na następny rok akademicki...

Rozsiadłszy się pośrodku oberży, Harold Cook pytał Adama:

— Czy nowa reforma, którą teraz uchwalono, da nam, czegośmy chcieli?

— Jeszcze nie wszystko, ale to dobry początek. Obecna reforma dała nam przede wszystkim możliwość wywierania presji na parlament. Teraz najpilniejszą sprawą jest zalegalizowanie związków zawodowych. Wtedy członkowie napłyną tłumami. I można będzie się zająć poprawą warunków pracy.

— Ale reforma nie wszystkich objęła — zauważył Harold Cook.

— Wykluczono robotników rolnych — wtrącił Filip. — Ale teraz zabierzemy się do roboty, żeby uzyskać uchwalenie poprawki. Robotnicy przemysłowi nie będą głosować na kandydatów, którzy po uzyskaniu mandatu poselskiego nie zobowiążą się do popierania praw wyborczych dla robotników rolnych.

— I dla kobiet, mam nadzieję — przypomniała Oliwia.

— Nie spodziewaj się, żebyśmy to mogły osiągnąć w krótkim czasie — rzekła Agnieszka. — Musisz najpierw przekonać mężów, żeby pozwolili swoim żonom interesować się polityką.

— Ty będziesz pracować nad tym, żeby robotnikom rolnym dano prawa wyborcze? — Harold Cook wskazał cybuchem fajki Filipa.

— Oczywiście — odparł Filip, czerwieniąc się z lekka. — Walka o prawa wyborcze! Nie będzie to nowością dla mnie.

— Pewno, że nie — odezwał się Tomasz Appleton. — Ach, ja pamiętam te czasy... Tu, w Binwood...

Na jednym końcu stołu Filip podniósł szklaneczkę whisky i ponad jej brzegiem szukał oczyma wzroku Oliwii. Spojrzenia ich spotkały się, ona też podniosła szklaneczkę. Oliwia mogła wydawać się bardzo stara oczom Julietki, ale w tej chwili wyglądała przede wszystkim na kobietę bardzo szczęśliwą: odzyskała ukochanego męża i rodzinny dom swojego dzieciństwa. Jej piękne oczy błyszczały promiennie. Adam wspomniał, jak kiedyś, jeszcze w Lucknow, marzył o tym, by za jego przyczyną rodzice się pogodzili. Właściwie tak się stało, pośrednio czy bezpośrednio. Agnieszka, obserwując rodziców męża, myślała: „Mądry, zacny ojciec Archibald...”

— A ty teraz nie wrócisz do Binwood? — pytał Tomasz Adama.

Agnieszka uśmiechnęła się tajemniczo i patrzyła na męża błyszczącymi oczyma.

— Tu nie miejsce dla mnie — odrzekł Adam. On też miał taką minę, jak kura, która za chwilę ma znieść jajko. — Ale i w naszym życiu nastąpi zmiana — powiedział.

Oliwia i Filip zwrócili się do niego.

— Coś, o czym nam jeszcze nie mówiłeś? — pytała Oliwia.

— Ja sam dowiedziałem się dopiero wczoraj.

— Mój mały kapitalik przepisemy na Julietkę — poinformowała Agnieszka.

Taka wiadomość jeszcze podnieciła ogólne zaciekawienie.

— Mów, o co chodzi? — naglił Filip. Adam uśmiechnął się i przekrzywił głowę.

— Stary antykwariusz Nickalls zmarł — powiedział i przerwał.

— Ależ, Adasiu! Co to ma wspólnego ze zmianą w twoim życiu? — za wołała prawie gwałtownie Oliwia.

Adam położył łagodnym ruchem rękę na ramieniu matki.

— Bo nie wiem dlaczego, ale poczciwy staruszek zapisał mi w spadku swój antykwariat.

— Mój Boże! — wykrzyknął Filip, a Oliwia zerwała się z krzesła i zaczęła ścisnąć młodą parę.

— Gotówkę też? — wypytywał Stanley.

— Nie, ale lokal i książki... powinniście zobaczyć, co za książki!

— Alek! Słyszałeś nowinę? — wołał Filip. Młodszy syn razem z Julietką przyłączyli się do zebranych; dziewczynka wsunęła mu rączkę w dłoń.

— Będziesz prowadził tę księgarnię? — pytał Tomasz.

— Jeszcze jak! — odparł Adam... — Za sklepem są cztery pokoje, załadowane od podłogi po sufit istnymi skarbami.

— Ale my to wszystko uporządkujemy, skatalogujemy, a pokoje oczyścimy i będziemy mieć prawdziwy dom — dorzuciła Agnieszka.

— Odpowiedni dom dla naszego czwartego dziecka — rzekł Adam. — Czwarte, licząc Julietkę.

— A czy się zapowiada czwarte? — spytała zaraz Oliwia.

Agnieszka rumieniąc się skinęła głową.

W pół godziny później opuścili wszyscy oberżę „Pod Koczobrykiem” i poszli długą aleją, wiodącą do dworu Binwood, gdzie czekał na nich stary Jenkins. Filip wspominał dzień, kiedy zbliżał się do dworu tą samą aleją na czele tłumu wieśniaków, by przedstawić petycję Sir Aleksandrowi Patersonowi, ojcu Oliwii — tego samego dnia, kiedy podpalono stogi i zginęła jego matka. Oliwia wspominała dzień, kiedy ojciec подарował jej przed stopniami tego właśnie ganku cudownego, białego konia pod wierzch; Adam przyciszonym głosem opowiadał Agnieszce, jak przyszedł się schronić do Binwood po swojej ucieczce ze szkoły; a Julietką, ujrawszy stary dwór po raz pierwszy, w radosnym podnieceniu ścisnęła mocno rękę stryja Alka.

SPIS TREŚCI

<i>Część pierwsza</i>	
Ucieczka	
.....	5
<i>Część druga</i>	
Wygnanie	80
<i>Część trzecia</i>	
Powrót	124